

5'00"

Na
podstawie książki
powstał
serial produkcji
NETFLIX

4'50"

4'0"

DZIEWCZYNY Z DANBURY

3'00"

ORANGE IS THE
NEW BLACK

PIPER KERMAN

ŚWIATOWY BESTSELLER!


Replika

PIPER KERMAN

DZIEWCZYNY Z DANBURY

Przekład:
Mateusz Fafiński


Replika

*Dla Larry'ego
mamy i taty
oraz dla Pop*

*Ring the bells that still can ring
Forget your perfect offering
There is a crack, a crack in everything
That's how the light gets in.*

Leonard Cohen, *Anthem*

Od Autorki

Dziewczyny z Danbury. Orange Is the New Black to książka wspomnieniowa, powstała na bazie mojego własnego doświadczenia. Nazwiska (w niektórych przypadkach także cechy wyróżniające) ludzi, którzy żyli i pracowali wewnątrz więzień, w których przebywałam, zostały zmienione w celu zapewnienia im prywatności.

Wyjątkami są Siostra Ardeth Platte i Alice Gerard, które uprzejmie udzieliły mi zgody na wykorzystanie ich prawdziwych nazwisk.

Rozdział 1

Czy pójdiesz ze mną?

Na lotnisku w Brukseli hala odbioru bagażu lotów międzynarodowych była duża i przestronna, a jej liczne wirówki toczyły się nieustannie. Skakałam od jednej do drugiej, desperacko próbując odnaleźć moją czarną walizkę. Była wypakowana pieniędzmi z przemytu narkotyków, więc miałam prawo być nieco bardziej zdenerwowana niż pasażerowie, którzy po prostu zgubili bagaż.

W 1993 roku miałam dwadzieścia trzy lata i wyglądem nie różniłam się z pewnością od innych, niepewnych siebie młodych kobiet. Moje martensy straciły swoją pozycję na rzecz pięknych, ręcznie robionych, czarnych, zamiszowych szpilek. Miałam na sobie czarne jedwabne spodnie i beżową marynarkę – typowa *jeune fille*, nic antysystemowego, no chyba że ktoś zauważyłby tatuaż na szyi. Zrobiłam tak, jak mi kazano – nadałam swoją torbę w Chicago przez Paryż, gdzie przesiadłam się w samolot do Brukseli.

Po przyjeździe do Belgii szukałam swojej czarnej walizki na kółkach w punkcie odbioru bagażu, jednak nie było po niej śladu. Mierząc się z nadchodzącym atakiem paniki, zaczęłam łamaną francuszczyzną dopytywać się, co się stało z moją walizką. „Torby czasem nie wafiają do właściwych samolotów” – odparł wielki osiłek pracujący w biurze bagażowym. „Proszę poczekać na następne połączenie z Paryża – walizka jest pewnie w tamtym samolocie”.

Czy przechwycono moją torbę? Wiedziałam, że przewożenie więcej niż 10 tysięcy dolarów było nielegalne, a co dopiero, gdy pieniądze te należały do zachodnioafrykańskiego bossa narkotykowego. Czy władze deptały mi już po piętach? Może powin-

nam przejść przez kontrolę celną i uciekać? A może mój bagaż naprawdę był opóźniony, a ja zostawiłabym tu dużą kwotę pieniędzy należących do gościa, który mógł załatwić mi wyrok śmierci jednym telefonem? Doszłam do wniosku, że ta druga alternatywa była bardziej przerażająca. Postanowiłam czekać.

Wreszcie przybył następny lot z Paryża. Wróciłam do mojego nowego „przyjaciela” w obsłudze bagażowej, który właśnie wszystko sortował. Trudno jest flirtować, gdy jesteś przerażona. Zauważyłam moją walizkę. „*Mon bag!*” – wykrzyknęłam w ekstazie, chwytając kufer. Podziękowałam mu wylewnie i pomachałam na odchodne, wychodząc przez jedno z nieobsadzonych przez personel drzwi wprost do terminalu. Tam zauważyłam czekającego na mnie Billy’ego. Nieświadomie przeskoczyłam kontrolę celną.

– Martwiłem się. Co się stało? – spytał Billy.

– Załatw mi taksówkę! – wyszczałam przez zęby.

Nie mogłam normalnie oddychać dopóki nie odjechalismy z lotniska i nie znaleźliśmy się w połowie drogi do Brukseli.

Moja ceremonia ukończenia studiów w Smith College odbyła się w piękny, wiosenny dzień. Na zalanym nowoangielskim słońcem dziedzińcu jęczały dudy, a gubernator Teksasu Ann Richards zachęcała mnie i moje koleżanki, byśmy wyruszyły w świat i pokazały wszystkim, z jakiej gliny jesteśmy ulepione. Moja rodzina promieniała dumą, gdy odbierałam dyplom – rodzice (świeżo w separacji) zachowywali się najlepiej, jak potrafili, a szacowni, typowo południowi dziadkowie cieszyli się na widok ich najstarszej wnuczki w pełnych studenckich regaliach, otoczonej przez WASP-ów* i studentów ligi bluszczowej. Mój młodszy brat umierał z nudy. Te lepiej zorganizowane i świadome swoich celów koleżanki wyruszyły na odyseję studiów magisterskich, praktyk w organizacjach non-profit lub też po prostu wróciły do domów

* White Anglo Saxon Protestant („Biali, anglosascy protestanci”) określenie elit północnej części USA ze względu na jednolity i zamknięty charakter tej grupy (przyp. tłum.).

– całkiem popularne rozwiązanie w najczarniejszym okresie pierwszej recesji Busha.

Ja za to zostałam w Northampton w stanie Massachusetts. Studiowałam teatr – ku wielkiemu rozczarowaniu mojego ojca i dziadka. Pochodzę z rodziny, w której ceniło się wykształcenie. Byliśmy klanem doktorów, prawników i nauczycieli – od czasu do czasu zdarzała się pielęgniarka, poeta albo sędzia, ot tak, żeby było ciekawiej. Po czterech latach studiów czułam się jak dyletantka, nie dość wykwalifikowana i niezmotywowana do pracy w teatrze. Nie miałam jednak innego alternatywnego planu: ani na inne studia, ani na porządną karierę, ani też na zaczynanie wszystkiego od zera na studiach prawniczych.

Nie byłam leniwa. Zawsze ciężko pracowałam na studenckich fuchach w restauracjach, barach i klubach, zdobywając sympatię swoich szefów i współpracowników dzięki wysiłkowi, humorowi i chęci dorobienia sobie nadgodzinami. Pracując w tych miejscach, więcej czasu spędzałam z ludźmi z pracy, niż ze znajomymi z roku. Byłam zadowolona, że wybrałam Smith, szkołę pełną inteligentnych i dynamicznych kobiet. Ale tylko odbębniłam, co było ode mnie wymagane z racji urodzenia i pochodzenia. Ledwo mieściłam się w bezpiecznych ramach Smitha i ukończyłam studia z wynikiem zaledwie uprawniającym do dyplomu. Teraz chciałam doświadczać, eksperymentować i badać. Nadszedł czas na moje własne życie.

Byłam dobrze wykształconą młodą pannicą z Bostonu, której brakowało pomysłu na życie i która bardzo chciała doświadczyć uroków bohemy. Nie miałam jednak bladego pojęcia, co zrobić z całym tym moim pragnieniem przygody lub jak uczynić produktywnym moje pragnienie ryzyka. W moim rozumowaniu nie było nawet krztyny analitycznego czy naukowego myślenia – najbardziej ceniłam artyzm, wysiłek i emocje. Wynajęłam mieszkanie wraz z koleżanką, która też studiowała teatr, i jej stukniętą dziewczyną – artystką. Dostałam pracę jako kelnerka w mikrobrowarze. Nawiązywałam przyjaźnie z kelnerami, barmanami i muzykami – wszyscy byli równie atrakcyjni i niezmiennie

odziani w czerni. Pracowaliśmy, imprezowaliśmy, pływaliliśmy lub jeździliśmy na sankach, pieprzyliśmy się, czasami zakochiwaliśmy. Zrobiliśmy sobie tatuaże.

W Northampton i otaczającej go Dolinie Pioneer podobało mi się wszystko. Biegałam bez końca po wiejskich drózkach, uczyłam się wnosić tuzin puszek piwa na szczyt stromych schodów, oddawałam się kolejnym romantycznym przygodom z apetycznymi dziewczętami i chłopcami, a co tydzień – przez całe lato i jesień – w wolne dni robiłam sobie wycieczki na plażę w Provincetown.

Kiedy nadeszła zima, zaczęłam się denerwować. Moi przyjaciele ze szkoły coraz częściej opowiadali o swoim życiu i pracy w Nowym Jorku, Waszyngtonie czy San Francisco, zaczęłam się więc zastanawiać, co ja tu, do diabła, robię. Wiedziałam, że nie wrócę do Bostonu. Kochałam swoją rodzinę, ale za wszelką cenę chciałam uniknąć konsekwencji rozwodu rodziców. Patrząc wstecz, wydaje mi się, że bilet EuroRail czy wolontariat w Bangladeszu byłyby świetnym wyborem. Ale ja nadal siedziałam w Dolinie.

W naszym dość luźnym gronie znajomych wyróżniało się kilka nieznośnie modnych i cool lesbijek, wszystkie około trzydziestki. Te światowe i wysublimowane, starsze ode mnie kobiety sprawiały, że czułam się dziwnie nieśmiało, jednak prędko zostałyśmy przyjaciółkami po tym, jak kilka z nich wprowadziło się do mieszkania obok. Wśród nich wyróżniała się obdarzona głębokim głosem i grzywą kręconych, brązowo-piaskowych włosów, pochodząca ze środkowego zachodu Nora Jansen. Nora była niska i wyglądała jak coś pomiędzy francuskim buldogiem a białą Earthą Kitt. Wszystko w niej było urocze – jej głęboki, przepełniony mądrością głos, sposób, w jaki przechylała głowę, by przyjrzeć się tobie jasnymi, brązowymi oczyma spod swej grzywy, a nawet to, jak trzymała nieodłącznego papierosa – przeginając nadgarstek w pozycji gotowej do żywej gestykulacji. Potrafiła zwrócić uwagę na kogoś spośród otoczenia w tak intrygujący sposób, że kiedy już to robiła, odnosiło się wrażenie,

jakby zostało się dopuszczonym do jakiegoś sekretu. Nie można powiedzieć, że była to miłość od pierwszego wejrzenia, ale z punktu widzenia dwudziestodwuletniej dziewczyny, w Northampton Nora była intrygująca.

I nagle, jesienią 1992 roku, zniknęła.

Wróciła po świętach. Wynajęła własne, duże mieszkanie, zaopiecznione nowiutkimi meblami w stylu Arts and Crafts i wyposażone w obłądną wieżę stereo. Każdy, kogo znałam, siadał razem ze swymi współlokatorami na kanapach z drugiej ręki, a ona szastała pieniędzmi w sposób, który budził wątpliwości.

Zaprosiła mnie na drinka, pierwszy raz tylko we dwie. Czy to była randka? Być może, gdyż zabrała mnie do baru Hotelu Northampton, najbliższego w okolicy odpowiednika pozerskiej hotelowej restauracji, pomalowanego na kolor jasnozielony i wypakowanego treliazem. Nerwowo zamówiłam margaritę z solą, na co Nora, lekko zdziwiona, uniosła brew.

– Nie za zimno na to? – spytała i sama zamówiła szkocką.

Prawda. Styczniowe wiatry nie czyniły z Massachusetts najprzyjemniejszego miejsca na ziemi. Powinnam była zamówić coś ciemniejszego, w mniejszym kieliszku – moja zmrożona margarita wydawała się teraz strasznie dziecinny wybojem.

– Co to? – spytała, wskazując na małe, metalowe pudełko, które położyłam na stole.

Pudełko było żółto-zielone i początkowo mieściło w sobie kwaśne landrynki. Napoleon, rozpoznawalny dzięki swemu kapeluszu i złotym epoletom, spoglądał z wieczka na zachód. Pudełko służyło pewnej kobiecie z wyższych sfer ze Smith College jako portfel – była najwspanialszą osobą, jaką znałam. Poszła na sztuki piękne, żyła poza kampusem, była zadziorna, ciekawa, miła i niezwykle modna. Pewnego dnia, gdy podziwiałam pudełko, po prostu mi je dała. Miało idealną wielkość, by pomieścić paczkę papierosów, prawko i dwadzieścia dolców. Kiedy próbowałam wydobyć trochę pieniędzy z mojego kochanego blaszanego portfela, by zapłacić za kolejkę, Nora machnęła odmownie ręką.

Spytałam, gdzie była przez te wszystkie miesiące. Nora rzuciła na mnie okiem, po czym zaczęła opowiadać. Spokojnie wyjaśniła, że przyjaciel jej siostry, który miał „znajomości”, wprowadził ją do świata przemytu narkotyków. Wyjechała do Europy, gdzie otrzymała profesjonalne szkolenie przemytnicze z rąk amerykańskiego handlarza sztuką, który również miał „znajomości”. Przeszmygłowała narkotyki do USA i została za to sobie wynagrodzona.

Rozłożyło mnie to. Dlaczego Nora opowiadała mi te wszystkie rzeczy? Co, jeśli pójde na policję? Zamówiłam następnego drinka, prawie pewna, że Nora wszystko to zmyśliła i był to po prostu najgłupszy patent na podryw, o jakim kiedykolwiek słyszałam.

Spotkałam już wcześniej siostrę Nory, gdy przyjechała z wizytą. Miała na imię Hester i była okultystką. Po jej obecności pozostawał szlak amuletów i talizmanów wykonanych z kurzych kości. Myślałam wtedy, że była po prostu heteroseksualną kopią swojej siostry w wersji Wicca. Jednak, jak się okazało, w rzeczywistości była kochanką jednego z ważniejszych zachodnioafrykańskich bossów narkotykowych. Nora opisała, jak wraz z Hester pojechały do Beninu, gdzie spotkały samego szefa, który zwał się Alaji i wyglądał jak żywa kopia MC Hammera. Była gościem w jego kompleksie i przeszła przez szereg obrzędów odprawianych przez jego szamanów, po których oficjalnie uznano ją za jego bratanicę. Wszystko to brzmiało okropnie, przerażająco, tajemniczo i dziko – i jednocześnie niewyobrażalnie ekscytująco. Nie mogłam uwierzyć, że Nora, której powierzono tyle strasznych i pociągających jednocześnie tajemnic, dzieliła się nimi teraz ze mną.

Wydawało się, że zdradzając mi te sekrety, Nora związała mnie ze sobą. I tak zaczęły się potajemne zaloty. Nikt nie mógłby nazwać Nory klasyczną pięknoscią, ale miała dość czaru i dowcipu, była też mistrzem ukrywania wysiłku – wszystko potrafiła robić od niechcienia. A ja, jak zawsze, łatwo dawałam się złapać ludziom, którzy polowali na mnie konsekwentnie

i z pełną determinacją. Nora uwodziła mnie cierpliwie i nieustannie.

Przez następne miesiące bardzo się do siebie zbliżyliśmy i dowiedziałam się, że kilku gości w okolicy, których znałam już wcześniej, pracuje dla niej. Kusiła mnie nielegalna przygoda, której Nora była symbolem. Kiedy wyjeżdżała na dłużej do Europy lub południowo-wschodniej Azji, bez namysłu wprowadzałam się do jej mieszkania i opiekowałam jej ukochanymi kotkami, Edith i Dum-Dum. Dzwoniła wtedy o dziwnych porach (zazwyczaj w środku nocy) z drugiej części globu, by dopytać się, jak się mają kociaki, a w słuchawce trzeszczało i piszczało z powodu odległości, jaka nas dzieliła. Wszystko to trzymałam w tajemnicy – unikałam pytań moich – i tak już mocno zaciekawionych – przyjaciół.

Ponieważ cały proceder odbywał się gdzieś daleko, nie miałam pojęcia o tym, jak wygląda rzeczywistość przemytu narkotyków. Nie znałam nikogo, kto brał heroinę – nie myślałam też o cierpieniach, jakie towarzyszą uzależnieniu. Pewnego wiosennego dnia Nora wróciła do domu z nowiutką miętą cabrio i walizką pełną pieniędzy. Wywaliła całą kasę na łóżko i tarzała się w niej, naga, chichocząc. Była to jej największa, jak dotychczas, wypłata. Wkrótce potem szalałam po okolicy w miacie z Lenym Kravitzem w głośnikach, dopytującym ciągle: „Czy pójdziesz ze mną?”

Pomimo (a może właśnie z powodu) dziwnej, romantycznej relacji z Nora, wiedziałam, że muszę się wydostać z Northampton i coś ze sobą zrobić. Razem z moją przyjaciółką Lisą oszczędzałyśmy napiwki i zdecydowałyśmy, że rzucimy robotę w browarze i z końcem lata wyjedziemy do San Francisco. Lisa nie miała pojęcia o ciemnych sprawkach Nory. Kiedy powiedziałam Norze o swoich planach, odparła, że bardzo by chciała mieć mieszkanie w San Francisco i zasugerowała, by polecieć tam i poszukać czegoś ładnego. Byłam zszokowana tym, jak poważnie mnie traktowała.

Zaledwie kilka miesięcy przed wyjazdem z Northampton, Nora dowiedziała się, że musi wrócić do Indonezji.

– Pojedź ze mną, dotrzymasz mi towarzystwa – zasugerowała.
– Nic nie musisz robić, po prostu mi potowarzyszysz.

Nigdy w życiu nie byłam poza Stanami Zjednoczonymi. I chociaż miałam właśnie rozpocząć nowe życie w Kalifornii, to perspektywa wyjazdu była niezwykle kusząca. Chciałam przygody i Nora mogła mi taką przygodę dać. Kurierom, którzy wyruszyli z nią w podróż do egzotycznych miejsc, nigdy nic się nie stało – wracali cali i zdrowi z ekscytującymi opowieściami, które mogła usłyszeć tylko grupa wybrańców. Próbowałam sobie tłumaczyć, że nie ma nic złego w dotrzymywaniu Norze towarzystwa. Dała mi pieniądze na bilet z San Francisco do Paryża i powiedziała, że w biurze Garuda Airna na lotnisku Charlesa de Gaulle’a będzie na mnie czekać bilet na Bali. Proste.

Przykrywką dla nielegalnych działań Nory była historyjka, że ona i jej wspólnik – obdarzony kozią bródką gość o imieniu Jack – uruchamiają magazyn literacko-artystyczny. Budziło to wiele pytań, przedsięwzięcie było zbyt mgliste, by służyć za przykrywkę. Kiedy wytłumaczyłam swoim przyjaciółom i rodzinie, że przenoszę się do San Francisco, gdzie będę pracowała i podróżowała dla magazynu, wszyscy byli zdziwieni i podejrzliwi. Ignorowałam ich pytania, roztaczając wokół siebie atmosferę tajemniczej kobiety. Gdy wyruszałam z Northampton na zachód razem z moją kumpelą Lisą B., czułam, że wreszcie zaczynam swoje życie. Byłam gotowa na wszystko.

Jechałyśmy z Lisą bez postojów z Massachusetts do granicy Montany, na przemian śpiąc i prowadząc. W środku nocy zatrzymałyśmy się na parkingu, gdzie po przebudzeniu ujrzałyśmy niezwykle, złoty, montański świt. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek była bardziej szczęśliwa. Pokręciłyśmy się trochę po krainie wielkiego nieba, popędziłyśmy przez Wyoming i Nevadę, by wreszcie przekroczyć Bay Bridge i znaleźć się w San Francisco. Musiałam zdążyć na samolot.

Czego mogłam potrzebować w Indonezji? Nie miałam błędnego pojęcia. Spakowałam małą torbę podróżną L.L. Bean, miałam w niej parę czarnych jedwabnych spodni, sukienkę, dzin-

sowe szorty, trzy T-shirty, koszulę z czerwonego jedwabiu, czarną minispódniczkę, mój sprzęt do biegania i parę czarnych kowbojek. Byłam tak podekscytowana, że zapomniałam spakować strój kąpielowy.

Po przylocie do Paryża udałam się wprost do biura Garuda Air, by dostać swój bilet na Bali. W życiu o mnie nie słyszeli. Spanikowałam, usiadłam w lotniskowej restauracji, zamówiłam kawę i próbowałam zdecydować, co zrobić. Było to w czasach, gdy e-maile i komórki wciąż jeszcze stanowiły pieśń przyszłości i nie miałam pomysłu, jak skontaktować się z Norą. Założyłam, że musiało nastąpić jakieś nieporozumienie. Wreszcie zebrałam się, poszłam do kiosku, kupiłam przewodnik po Paryżu i znalazłam tani hotel, ulokowany niedaleko centrum w szóstej dzielnicy. Moja jedyna karta kredytowa miała bardzo niski limit. Ze swojego małego pokoju mogłam oglądać dachy Paryża. Zadzwoeniłam do Jacka, przyjaciela Nory, a teraz jej partnera biznesowego w Stanach. Jack był złośliwy, wyniosły i miał obsesję na punkcie prostytutek. Nie zaliczał się do moich ulubieńców.

– Utknęłam w Paryżu. Nic z tego, co mówiła Nora, się nie zgadza. Co mam robić? – spytałam go.

Jack był mocno poirytowany, ale zdecydował, że nie może mnie zostawić samej sobie.

– Znajdź przedstawicielstwo Western Union. Już ci prześlę ci pieniądze na bilet.

Przelew nie doszedł jeszcze przez kilka następnych dni, ale jakoś mi to nie przeszkadzało. Podekscytowana włóczyłam się po Paryżu, chłonąc wszystko. W porównaniu z francuskimi kobietami, wyglądałam jak nastolatka, więc kupiłam parę delikatnych i pięknych szydełkowych pończoch do moich martensów i minispódniczki. Nie miało dla mnie znaczenia, czy kiedykolwiek opuszczę Paryż. Byłam sama i byłam w niebie.

Kiedy wysiadłam z samolotu po dusznym, trzynastogodzinnym locie z Paryża na Bali, byłam ogromnie zdziwiona, widząc czekającego na mnie kolegę z pracy w browarze, Billy'ego. Górował

wzrostem nad Indonezyjkami, z wielkim uśmiechem na tej jego piegowatej twarzy. Mógłby być moim bratem – miał blond włosy i niebieskie oczy.

– Nora czeka w hotelu. Zakochasz się w tym miejscu! – powiedział.

Gdy spotkałam się z Norą w naszym luksusowym pokoju, poczułam się z nią nagle strasznie nieswojo w tym dziwnym otoczeniu. Jednak ona zachowywała się, jakby wszystko było w zupełnym porządku.

Bali to były istne bachanalia: dnie i noce opalania się, picia i tańczenia do późna z ekipą gejowskich chłopców Nory i pięknych miejscowych, którzy chcieli nam pomóc pozbyć się pieniędzy. Bawiliśmy się również z młodymi Europejczykami i Australijkami, których spotykaliśmy w klubach przy plaży Kuta. Poszłam na uliczny targ, by kupić strój kąpielowy i sarong, targowałam się o rzeźbione maski i srebrną biżuterię i wracałam bocznymi uliczkami NusaDua, rozmawiając z przyjaznymi tubylcami. Były też i inne rozrywki – wyprawy do świątyń, przejażdżki wodną parolonią i nurkowanie. Instruktorzy nurkowania na Bali wręcz uwielbiali moje długopłetwe, ozdobione klejnotami i eleganckie niebieskie ryby, które wytatuowałam sobie na karku w Nowej Anglii. Sami też chętnie pokazywali mi swoje tatuaże. Cały ten wspaniały nastrój przerywały jednak napięte telefoniczne rozmowy między Norą i Alajim lub między Norą i Jackiem.

Zasada całego interesu była całkiem prosta. Z Zachodniej Afryki Alaji dawał znać ludziom w Stanach, że miał gotowe „kontrakty” na „jednostki” narkotyków (zazwyczaj były to specjalnie przygotowywane walizki z heroiną wszytą pod podszewkę) – mogły one pojawić się w każdym miejscu na świecie. Ludzie tacy jak Nora czy Jack (najprościej mówiąc: podwykonawcy) zajmowali się transportem walizek do Stanów, gdzie były one oddawane anonimowemu odbiorcy. Sami musieli znaleźć sposób na organizację transportu – rekrutować kurierów, trenować ich w sztuce przechodzenia, tak by nie zostać zdemaskowa-

nym przez kontrolę celną, płacić za ich „wakacje” i wypłacać wynagrodzenia.

Nora i Jack nie byli jedynymi osobami, z którymi współpracował Alaji. Nora ściagała się teraz o przejęcie biznesu Alajego z Jonathanem Bibby, „handlarzem sztuką”, który ją trenował. Napięcie, które obserwowałam w Norze, brało się z niepewności, ile „kontraktów” będzie dostępnych, czy ona i Jack będą w stanie im sprostać, czy narkotyki rzeczywiście dojdą na czas – wszystkie te elementy zmieniały się z dnia na dzień. Robota wymagała dużej elastyczności i dużej gotówki.

Kiedy kończyły się pieniądze, byłam wysyłana po przelewy od Alajego w różnych bankach – co samo w sobie też było przestępstwem, chociaż nie zdawałam sobie z tego sprawy. Pewnego razu, gdy zostałam wysłana na jedną z takich wypraw do Dżakarty, jeden z przyszłych kurierów poprosił mnie o podwiezienie. Był młodym gejem z Chicago, stylizującym się mocno na gota, ale na podróż jakoś się doprowadził do normy i wyglądał jak wzorowy uczeń prywatnego liceum. Znudził go już wygodny hotel. W czasie długiej i dusznej jazdy przez ciągnące się w nieskończoność miasto fascynowały nas korki, klatki z warczącymi szczeniakami na sprzedaż, ustawione wzdłuż drogi i niezwykle przekrój społeczny, który oferuje południowoazjatycka metropolia. Na światłach napotkaliśmy żebraka, leżącego na ulicy i proszącego o jałmużnę. Jego skóra była czarna od słońca i nie miał nóg. Zaczęłam opuszczać szybę, by dać mu trochę z tych setek rupii, które miałam ze sobą.

Mój towarzysz jęknął i skulił się na swoim siedzeniu.

– Nie! – krzyknął.

Spojrzałam na niego z obrzydzeniem i zdziwieniem jednocześnie. Nasz taksówkarz wziął ode mnie pieniądze i podał przez okno żebrakowi. Dalej jechaliśmy w milczeniu.

Mieliśmy mnóstwo wolnego czasu. Relaksowaliśmy się w klubach na plażach Bali, w wojskowych salach bilardowych w Dżakarcie i klubach nocnych takich jak Tanamur, które właściwie

były po prostu burdelami. Nora i ja robiłyśmy zakupy i maseczki lub podróżowałyśmy do innych części Indonezji – tylko we dwie. Nie zawsze jednak nam się układało.

W czasie wyprawy na Krakatoa wynajęliśmy przewodnika, który miał nas poprowadzić przez góry pokryte gęstą, wilgotną dżunglą. To była gorąca i pełna potu eskapada. Zatrzymaliśmy się na lunch przy pięknym rzeczonym stawie u szczytu wysokiego wodospadu. Po tym jak trochę popływałyśmy nago, Nora postawiła przede mną wyzwanie – to mało powiedziane – chciała, bym skoczyła z wierchołka wodospadu, który miał dobre trzydzieści pięć stóp wysokości.

– Czy widziałeś, żeby ludzie stąd skakali? – spytałam naszego przewodnika.

– O tak, panienko – odparł z uśmiechem.

– Czy ty kiedykolwiek skakałeś?

– O nie, panienko! – odpowiedział, nadal z uśmiechem na twarzy.

No, ale wyzwanie to wzywianie. Naga zaczęłam powoli sunąć ku krawędzi skały, która wydawała się najlepszym miejscem do skoku. Wodospad huczał. Zobaczyłam pieniającą się, nieprzejrzystą wodę w dole. Byłam przerażona i wszystko to nagle wydało się bardzo złym pomysłem. Skała była jednak śliska i gdy bezskutecznie próbowałam doczołgać się z powrotem niczym krab, zdałam sobie sprawę, że będę musiała skoczyć; nie było innego wyjścia. Zebrałam całą swoją siłę i odbiłam się od skały w powietrze, wrzeszcząc, gdyż spadałam w głęboką, zieloną przepaść pod spodem. Wynurzyłam się przeszczęśliwa, śmiejąc się. Kilka chwil później Nora z wyciem skoczyła za mną.

Kiedy się wynurzyła, wydusiła tylko:

– Jesteś szalona!

– To znaczy, że nie skoczyłabyś pierwsza? Gdybym nie odważyła się skoczyć? – spytałam zaskoczona.

– Nie ma mowy! – odpowiedziała. Powinna być wtedy zrozumieć, że Norze nie należy ufać.

Indonezja oferowała niekończące się doświadczenia, ale

wszystkiemu towarzyszyło nieokreślone, mroczne poczucie zagrożenia. Nigdy nie widziałam takiej biedy jak w Dżakarcie ani takiego dzikiego kapitalizmu jak w wielkich fabrykach czy podczas rozmów prowadzonych z silnym teksańskim akcentem w hotelowym lobby, gdzie swoje drinki sączyli dyrektorzy koncernów naftowych. Mogłaś spędzić całą godzinę, gawędząc sobie w barze z uroczym podtatusiałym Brytyjczykiem o urokach San Francisco i jego medalowych chartach w Anglii, a gdy wychodząc, brałaś jego wizytówkę, nonszalancko dodawał, że sprzedaje broń. Kiedy o zmroku wjeżdżałam windą na szczyt dżakarskiego Grand Hyattu i wychodziłam pobiegać do cichego ogrodu umiejscowionego na dachu, z torem do biegania, mogłam usłyszeć mużułmańskie wezwanie do modlitwy, niosące się przez całe miasto od meczetu do meczetu.

Po wielu tygodniach byłam jednocześnie smutna i odczuwałam ulgę, że przyszedł czas pożegnać się z Indonezją i udać się z powrotem na Zachód. Tęskniłam za domem.

Przez cztery miesiące mojego życia ciągle podróżowałam z Norą, czasami wpadając do Stanów na kilka dni. Żyliśmy w ciągłym napięciu, a jednocześnie wszystko to było strasznie nudne. Poza dotrzymywaniem towarzystwa Norze, gdy ona doglądała swoich „mułów”, miałam niewiele do roboty. Włączyłam się po ulicach tych dziwnych miast całkiem sama. Czułam się odcięta od świata, mimo tego, że go doświadczałam; byłam kimś bez celu i bez swojego miejsca. To nie była przygoda, której pragnęłam. Rodzinę okłamywałam nawet o najdrobniejszym aspekcie mojego życia, i miałam już serdecznie dość mojej „narkotykowej” ferajny.

Podczas krótkiego pobytu w Stanach, gdy odwiedzałam bardzo już podejrzliwą rodzinę, zadzwoniła do mnie Nora. Powiedziała, że muszę się z nią spotkać na lotnisku w Chicago. Lotnisko O'Hare było uważane za „bezpieczne”, cokolwiek to miało oznaczać, i tam lądowały narkotyki. Spotkałam ją w Congress Hotel na Michigan Avenue. Co za dziura, pomyślałam, przyzwyczajona już do Mandarin Oriental. Nora wytłumaczyła

w krótkich, żołnierskich słowach, że mam następnego dnia polecieć do Brukseli z walizką pieniędzy. Musiała to zrobić dla Alajiego, a ja musiałam to zrobić dla niej. Nigdy mnie o nic nie poprosiła, ale teraz potrzebowała mojej pomocy. Gdzieś w środku zdawałam sobie sprawę, że sama sobie zgotowałam ten los i nie mogłam powiedzieć „nie”. Byłam przerażona. Zgodziłam się.

W Europie sprawy przybrały zły obrót. Interesy Nory były coraz trudniejsze w utrzymaniu, ryzykowała zbyt wiele z kurierami, a to nie był dobry pomysł. Jej partner Jack dołączył do nas w Belgii i sytuacja zaczęła się szybko pogarszać. Uważałam, że jest chciwy, obleśny i niebezpieczny. I widziałam, że Nora ufa mu bardziej, niż o mnie się troszczy.

Byłam przestraszona i nieszczęśliwa – milczałam prawie przez cały czas naszej przeprowadzki z Belgii do Szwajcarii. Włóczyłam się po Zurychu sama, bez przyjaciół, a Nora i Jack knuli. Widziałam *Fortepian* trzy razy pod rząd, przeniesiona w inne miejsce i inny czas, płacząc cicho przez cały film.

Kiedy Nora poinformowała mnie bez ogródek, że chce, abym szmuglowała narkotyki, zrozumiałam, że nie przedstawiam dla niej żadnej wartości, jeśli nie mogę pomóc jej w zarabianiu pieniędzy. Grzecznie „zgubiłam” swój paszport i wydano mi nowy. Ubrała mnie w okulary, perły i obrzydliwą parę butów bez sznurówek. Nakładała mi kolejne warstwy tapety, próbując ukryć mój rybi tatuaż. Miałam zmienić fryzurę. W zimne i deszczowe sobotnie popołudnie próbowałam znaleźć fryzjera, który zamieni moje przerośnięte blond pukle w coś nadającego się do oglądania. Wreszcie wpadłam cała mokra do małego salonu, piątego z rzędu. W czterech poprzednich spotkało mnie typowo zimne, szwajcarskie podejście, ale tutaj przywitał mnie miękki, znajomy akcent.

– Czołem, czym mogę służyć?

Prawie się popłakałam, kiedy zobaczyłam pytającego mnie gościa – słodkiego, młodego południowca imieniem Fenwick,

który wyglądał jak Terence Trent D'Arby. Wziął mój mokry płaszcz, posadził na krześle, dał herbaty i ściął włosy. Był ciekawy, ale nie wścibski, kiedy bez ładu i składu tłumaczyłam swoją obecność w tym salonie. Opowiadał o Nowym Orleanie, muzyce i Zurychu.

– To jest wspaniałe miasto, ale mamy tu okropny problem z heroiną. Czasami po prostu widzisz ludzi leżących na ulicy, kompletnie naćpanych.

Poczułam się winna. Chciałam wrócić do domu. Podziękowałam Fenwickowi wylewnie, opuszczając salon. Był moim pierwszym przyjacielem od miesiący.

W każdej chwili wystarczyłby jeden telefon, a moja rodzina wydostałaby mnie z całej tej kabały, w którą sama się wpakowałam. A jednak nie zdecydowałam się zadzwonić. Myślałam, że muszę się z tego wydostać sama, co najwyżej polegając na dobroci obcych, jak Fenwick. Sama wpędziłam się w tę nie-szczęśliwą przygodę i sama muszę dotrzeć do jej końca. Choć miałam wrażenie, że będzie to raczej smutny koniec...

Nora i Alaji obmyślili skomplikowany i ryzykowny plan zamiany walizek na lotnisku w Zurychu, ale na szczęście narkotyki nie dotarły na miejsce i cudem uniknęłam profesji narkotykowego kuriera. Wyglądało na to, że katastrofy nie da się już uniknąć i wpadłam po uszy. Wiedziałam, że muszę jakoś uciec. Kiedy wróciliśmy do Stanów, złapałam pierwszy lepszy lot do Kalifornii. Z bezpiecznego Zachodniego Wybrzeża zerwałam wszelkie związki z Norą i zostawiłam za sobą swoją kryminalną przeszłość.

Rozdział 2

Nagła zmiana

W San Francisco czułam się bezpiecznie – może i byłam dziwologiem, ale tutaj przynajmniej jednym z wielu. Znalazłam sobie mieszkanie na Lower Haight ze swoim starym kumplem Alfem, który pracował razem ze mną w browarze, a teraz mieszkał w San Francisco. Byłam w szoku i czułam się jak dymiący kawałek stacji orbitalnej SkyLab, który spadł z kosmosu na ziemię. Kiedy Alfiego nie było w okolicy, siedziałam na podłodze naszego mieszkania i zastanawiałam się, co też najlepszego zrobiłam, zdziwiona, jak daleko się posunęłam i jak łatwo przyszło mi pójście na taki kompromis ze sobą. Obiecałam sobie, że nigdy już nie zrobię niczego wbrew własnej woli – nieważne dla kogo, nieważne dla czego.

Po kilku miesiącach w przestępczym światku powrót do normalności zajął mi trochę czasu. Żyłam zbyt długo w świecie pokojówek, egzotyki i niepewności. Na szczęście miałam kilku świetnych przyjaciół z uniwerku w Bay Area, którzy wzięli mnie pod swoje skrzydła i wciągnęli w świat pracy, spotkań przy grillu, softballu i krąg innych tradycyjnych rytuałów. Rzuciłam palenie.

Cały czas byłam przerażona perspektywą braku pieniędzy i od razu wzięłam dwa etaty. Wstawałam wcześniej rano, by dotrzeć do pierwszej roboty w Castro, gdzie otwierałam bar Josie's Jucie Joint and Cabaret, i wracałam późno w nocy po kelnerskiej zmianie we włoskiej restauracji mieszczącej się po drugiej stronie miasta, w Pacific Heights. Wreszcie dostałam „prawdziwą posadę” w telewizyjnej firmie produkcyjnej, zajmującej się reklamami informacyjnymi. Robota polegała na nakłanianiu prze-

chodniów do korzystania z przedziwnych urządzeń treningowych w miejscach publicznych, dbania o potrzeby celebrytów klasy C na planie i usuwaniu zarostu obcym ludziom. Latałam po całym kraju, filmując ludzi, którzy chcieli być chudsi, bogatsi, mniej samotni i tych, którzy chcieli mieć mniej zmarszczek czy zarostu. Odkryłam, że potrafię się dogadać z każdym – niezależnie od tego, czy chodziło o Bruce Jenner, czy o mamuszkę z wąsem na twarzy. Też chciałam być bogatsza, mniej samotna i mniej zarośnięta. Awansowałam od asystentki do prawdziwej producentki, zajmując się preprodukcją, filmowaniem i montażem przed emisją. Kochałam swoją pracę, ku uciesze moich przyjaciół, którzy droczyli się ze mną o kolejny zmieniający życie gadżet, program czy krem.

Chodziłam na randki, ale nadal czułam się niepewnie i nieswojo po całej aferze z Norą. Odpowiadało mi życie singielki z szalonym romanssem co jakiś czas, który odrywał mnie od pracy.

Nigdy nie rozmawiałam z nowymi przyjaciółmi o moich przygodach z Norą i liczba ludzi, którzy znali mój sekret, pozostała niewielka. Wraz z upływem kolejnych tygodni czułam się coraz bardziej zrelaksowana. Pomyślałam, że nic mi już nie grozi i że wszystko to było po prostu dziką przerwą w życiu. Traktowałam mój pobyt za granicą jako rozpoznanie niebezpieczeństw życia walką i przykład tego, jak źle mogłyby potoczyć się sprawy oraz jak ważne jest pozostanie wierną sobie nawet w obliczu przygody lub jakiegoś eksperymentu. W swoich podróżach napotkałam przeróżnych ludzi, których godność wydawała się mieć swoją cenę – zawsze inną – i pomyślałam, że następnym razem i ja muszę ustalić swoją, ale wyższą, niż ktokolwiek byłby w stanie zapłacić.

Z całą tą teoretyczną wiedzą o świecie czułam się całkiem fartownie. Świetna praca, świetni przyjaciele, świetnie miasto i świetne życie towarzyskie. Dzięki wspólnym znajomym poznałam Larry'ego, jedyne gościa, który pracował tak ciężko jak ja w kochającym odpoczynek San Francisco. Prowadził agencję prasową AlterNet i instytut medialny non-profit. Kiedy wy-

czołgiwałam się po godzinach, wykończona, z montażowni, zawsze mogłam liczyć na Larry'ego i drinki poprzedzone kolacją.

Larry zawsze godził się na wszystko. Losowe bilety na losowy festiwal muzyczny? Larry był za. Chcesz wstać wcześniej rano w niedzielę i pójść do kościoła w Glide w Tenderloin, a potem na sześciogodzinny miejski spacer z przerwami na krwawą mary? Był Żydem, ale pewnie, pójdzie do kościoła i będzie udawał, że śpiewa hymny. Nie był moim jedynym przyjacielem hetero, ale mieliśmy identyczne, dość szczególne poczucie humoru i szybko stał się dla mnie najlepszym źródłem relaksu, jakie znałam.

Jako najlepsza lesbijska przyjaciółka Larry'ego, słuchałam o wszystkich jego podbojach miłosnych i rozstaniach w najdrobniejszych szczegółach, co było jednocześnie przerażające i zabawne. Odwdzięczał się, traktując mnie jak królową. Pewnego wieczoru do mojego biura zawitał kurier rowerowy z paczką, w której znajdował się prawdziwy miękki precel filadelfijski; Larry sam go zamówił dla mnie w czasie wyprawy na Wschód. Jak miło z jego strony, pomyślałam, zając się nim.

Jednak wtedy wydarzyło się coś niepokojącego. Larry uparł się zdobyć jedną z dziewczyn, w dodatku ciapowatą. Był zdecydowanie mniej zabawny. Nie ja jedyna to zauważyłam. „Wodzi go za nos”, wyśmiewali się inni kumple. Drwiliśmy sobie z niego niemiłosiernie, jednak nie przynosiło to żadnego efektu. Musiałam więc wziąć sprawy w swoje ręce i w ciemnym kącie brudnego klubu poświęciłam się dla godności Larry'ego, całując go prosto w jego zdziwione, dowcipkowate usta.

To zwróciło jego uwagę. I moją. Co ja u diabła sobie myślałam? Przez następnych kilka miesięcy udawałam, że nic się nie stało, próbując dojść do ładu z własnymi uczuciami. Larry nie przypominał żadnego z chłopaków, z którymi wiązałam się w przeszłości. Po pierwsze – lubiałam go. Po drugie – był niskim, zadziornym, chętnym do pomocy gościem z wielkimi, niebieskimi oczyma, szerokim uśmiechem i burzą włosów na głowie. W przeszłości raczyłam sypiać tylko z wysokimi, obdarzonymi egzotyczną urodą narcyzami. Nie miałam wielkiej ochoty

chodzić z tym facetem, bo ten facet nie był nawet w moim typie!

Problem polegał na tym, że jednak był. Larry był zupełnie w moim typie. Nawet po historii z pocałunkiem w klubie nadal byliśmy nierozłączni, chociaż, oczywiście, odrobinę pogubieni. Ale on nie nalegał, nie żądał odpowiedzi czy wyjaśnienia, po prostu czekał. Kiedy przypomniałam sobie ten precel, zdałam sobie sprawę, że Larry był we mnie zakochany już wtedy. A ja byłam zakochana w nim. W ciągu kilku miesięcy byliśmy prawdziwą, oficjalną parą, ku ogromnemu zdziwieniu naszych zbitych z pantałyku przyjaciół.

Co więcej, był to najłatwiejszy związek, w jakim się dotychczas znalazłam. Byłam w nim najzwyczajniej w świecie szczęśliwa, więc gdy Larry wyskoczył (wewnętrznie pogubiony i skonfundowany) z informacją, że dostał świetną ofertę pracy w magazynie na Wschodzie kraju, jakoś nie poczułam się wytracona z równowagi. Mój następny krok wydawał się oczywisty i naturalny, decyzja właściwie podjęła się sama. Rzuciłam swoją ukochaną pracę i przenieśliśmy się z nim na Wschód – zaryzykowałam, ale była to najlepsza decyzja ze wszystkich dotychczasowych.

Larry i ja wylądowaliśmy w Nowym Jorku w 1998 roku – był redaktorem w magazynie dla mężczyzn, a ja pracowałam jako wolny strzelec. Powoli też oswajałam się z moim pozbawionym windy domem w WestVillage. Pewnego ciepłego majowego popołudnia zadzwonił dzwonek do drzwi. Pracowałam w domu, wciąż jeszcze w piżamie.

– Kto tam? – spytałam przez domofon.

– Panna Kerman? Tu oficerowie Maloney i Wong.

– Tak? – byłam ciekawa, czego ci lokalni gliniarze szukają w budynku.

– Czy możemy przez chwilę porozmawiać?

– O co chodzi? – nagle zrobiłam się podejrzliwa.

– Panno Kerman, myślę, że będzie lepiej, jeśli porozmawiamy twarzą w twarz.

Maloney i Wong, potężni faceci ubrani w cywilne ciuchy, przemierzali pięć pięter schodami i usiedli w moim salonie. Maloney mówił, a Wong tylko patrzył na mnie bez cienia emocji.

– Panno Kerman, jesteśmy oficerami amerykańskiej służby celnej. Jesteśmy tutaj, by poinformować, że została pani postawiona w stan oskarżenia w sądzie federalnym w Chicago. Jest pani oskarżona o przemyt narkotyków i pranie brudnych pieniędzy – wręczył mi kartkę papieru. – Musi się pani stawić w sądzie tego dnia i w tym miejscu. Jeśli się pani nie pojawi, zostanie pani aresztowana.

Zamrugalam oczyma, nie mogąc wydusić słowa, a żyły w skroniach zadudniły nagle, jakbym dopiero co przebiegła całe mile. To, co się działo w mojej głowie, przeraziło mnie. Istny łomot. Zostawiłam przeszłość za sobą, trzymałam wszystko w tajemnicy, nawet przed Larrym. Ale teraz wszystko się skończyło. Byłam zszokowana, bo mój strach nabrał fizycznych kształtów, stał się realny.

Maloney wyjął notes i spytał, jakby od niechcienia:

– Czy chciałaby pani złożyć oświadczenie, panno Kerman?

– Będzie chyba lepiej, jeśli najpierw porozmawiam z prawnikiem, nie sądzi pan, oficerze Maloney?

Dotoczyłam się jakoś do biura Larry'ego, ledwo co pamiętając, by nałożyć na siebie coś innego niż piżama. Mówiąc bez składu, wyciągnęłam go na West 22nd Street.

– Co się stało? Jesteś na mnie zła? – spytał.

Wzięłam głęboki oddech, bo inaczej nie byłabym w stanie mówić.

– Zostałam oskarżona w sądzie federalnym o przemyt narkotyków i pranie brudnych pieniędzy.

– Co? – wyglądał na rozbawionego. Rozejrzał się dookoła, myśląc, że może uczestniczymy w jakimś programie z ukrytą kamerą.

– To prawda. Nic nie zmyślam. Przed chwilą wyszłam z domu. Byli tam federalni. Muszę zadzwonić. Potrzebuję prawnika. Czy mogę skorzystać z telefonu?

Chwileczkę, może nie mogłam. Może wszystkie telefony, nawet odległe, są ze mną powiązane, a te w biurze Larry'ego były na podsłuchu? Każda szalona, paranoidalna idea, o której kiedykolwiek opowiadała mi Nora, dobijała się w mojej głowie o uwagę. Larry patrzył na mnie, jakbym postradała zmysły.

– Muszę użyć komórki kogoś innego! Czyjej komórki mogę użyć?

Kilka minut później byłam na schodach pożarowych biura Larry'ego i dzwoniłam z komórki jego współpracownika do przyjaciela w San Francisco, który był najlepszym prawnikiem, jakiego znałam. Udało mi się dodzwonić.

– Wallace, tu Piper. Dwóch agentów federalnych właśnie przyszło do mojego domu i powiedziało, że zostałam oskarżona o pranie brudnych pieniędzy i przemyt narkotyków.

Wallace się roześmiał. Była to reakcja, do której miałam wkrótce przywyknąć, ponieważ tak reagowali wszyscy moi przyjaciele, gdy dowiadywali się o mojej sytuacji.

– Wallace, jestem, kurwa, poważna. Nie wiem, co mam zrobić. Zwariuję! Musisz mi pomóc.

– Skąd dzwonisz?

– Ze schodów pożarowych.

– Znajdź budkę telefoniczną.

Wróciłam do biura Larry'ego.

– Muszę znaleźć budkę telefoniczną.

– Kochanie, co się, u diabła, tutaj dzieje? – zapytał już zirytowany, ale też wyraźnie przestraszony i trochę zdenerwowany.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Muszę wykonać ten telefon. Zaraz wracam.

Później, kiedy usłyszał skróconą (i prawdopodobnie mniej niż spójną) historię całej sytuacji, Larry zrobił się niezwykle cichy. Nie krzyczał na mnie za to, że nie powiedziałam mu o swojej kryminalnej przeszłości, zanim zdecydowaliśmy się połączyć nasze losy. Nie krytykował mnie za bycie brawurową, bezmyślną i samolubną idiotką. Kiedy opróżniłam moje konto oszczęd-

nościowe, by pokryć koszty prawnika i kaucji, nie zasugerował, że być może właśnie zrujnowałam swoje życie i jego też, przy okazji.

– Jakoś z tego wyjdziemy – powiedział. – Wszystko będzie dobrze. Kocham cię.

Tego ranka rozpoczęła się długa i męcząca podróż przez labirynt amerykańskiego systemu karnego. Wallace pomógł mi znaleźć prawnika. Skonfrontowana z końcem mojego dotychczasowego życia, przyjąłam swoją standardową pozę, gdy wpadałam po uszy: zamknęłam się w sobie i powiedziałam, że skoro sama się w to wpakowałam, to nie jest to niczyja wina i sama muszę znaleźć wyjście z tej sytuacji.

Jednak, choć chciałam, nie byłam z tym wszystkim sama – moja rodzina i mój niczego niespodziewający się chłopak znaleźli się w tym razem ze mną. Larry, moi rodzice, mój brat, moi dziadkowie – wszyscy wspierali mnie przez całą drogę, chociaż byli zaskoczeni i zawstydzeni moją dotychczas skrywaną kryminalną przeszłością. Mój ojciec przyjechał do Nowego Jorku i przeżyliśmy koszmarne cztery godziny w podróży do Nowej Anglii, gdzie moi dziadkowie spędzali lato. Nie byłam już żadna przyciągająca, kontrkulturowa, buntownicza, super ani cool. Wiedziałam, że świadomie zraniłam i rozczarowałam wszystkich, których kochałam, i lekką ręką zniszczyłam sobie życie. Nie mogli zrozumieć tego, co zrobiłam. Siedziałam w salonie dziadków, skamieniała ze wstydu, podczas ratunkowego spotkania całej rodziny, która wypytywała mnie godzinami, próbując zrozumieć coś z tego, co się działo.

– A co zrobiłaś z tymi wszystkimi pieniędzmi? – spytała mnie wreszcie zadziwiona babcia.

– Cóż, babciu, nie pchałam się w to dla pieniędzy – brzmiała moja kiepska odpowiedź.

– Och, Piper, na litość boską! – odparła. Byłam dla nich nie tylko powodem do wstydu i rozczarowania, ale jeszcze na dodatek idiotką.

Oczywiście nie powiedziała, że byłam idiotką. Nikt nie powiedział też, że byłam powodem wstydu i rozczarowania. Nie musieli – dobrze to wiedziałam. Co niesamowite, cała moja rodzina – matka, ojciec, dziadkowie – powiedzieli, że mnie kochają. Że się o mnie martwią. Że chcą mi pomóc. Kiedy wyjeżdżałam, babcia przytuliła mnie mocno, obejmując swoimi malutkimi ramionami.

Chociaż zarówno moja rodzina, jak i tych kilku przyjaciół, którym o wszystkim powiedziałam, traktowali moją sytuację poważnie, wątpili, by „taka miła blondynka” jak ja trafiła do więzienia. Jednak mój prawnik szybko dał mi do zrozumienia, w jak poważnej znalazłam się sytuacji. Oskarżenie mnie w sądzie federalnym o spisek kryminalny, mający na celu import heroiny, nastąpiło na skutek załamania się operacji szmuglowania narkotyków mojej byłej kochanki. Nora, Jack i trzynastu innych (niektórych z nich znałam, innych nie), a wśród nich także i afrykański boss narkotykowy Alaji, byli oskarżeni wraz ze mną. Nora i Jack siedzieli w areszcie i ktoś wkrótce zaczął sypać nazwiskami.

Nieważne jak źle skończył się nasz związek, ale nigdy nie myślałam, że Nora mnie wsypie, by ratować własną skórę. Jednak kiedy mój prawnik wysłał mi materiały prokuratorskie ze śledztwa – dowody, które rząd zebrał przeciwko mnie – znajdowało się w nich bardzo szczegółowe oświadczenie Nory, opisującej, jak przewoziłam gotówkę do Europy. Znalazłam się w nowym świecie, gdzie „zarzuty o konspirację” i „obowiązkowy wyrok minimalny” miały decydować o moim losie.

Dowiedziałam się, że zarzuty o konspirację zamiast określać poszczególne bezprawne czyny, po prostu oskarżają grupę ludzi o spisek w celu popełnienia przestępstwa. Zarzuty o konspirację często są stawiane komuś wyłącznie na podstawie zeznania „współkonspiratora” lub, co gorsza, „tajnego informatora”, kogoś, kto zgodził się wsypać innych w zamian za nietykalność. Zarzuty o konspirację są uwielbiane przez prokuratorów, ponieważ na ich podstawie znacznie łatwiej jest uzyskać akt oskarżenia od ławy przysięgłych, i są świetnym sposobem na zmuszenie

kogoś do przyznania się do winy: kiedy jeden z oskarżonych pięknie, bardzo łatwo przekonać innych, że nie będą mieli szans w otwartym procesie. Pod zarzutami konspiracji zostałam skazana na podstawie ogólnej ilości narkotyków, które przewinęły się przez całą operację, a nie na podstawie nieznaczącej roli, jaką w niej odegrałam.

W Stanach Zjednoczonych obowiązkowy wyrok minimalny był najważniejszą częścią późnodwudziestowiecznej „wojny z narkotykami”. Według zasad ustalonych przez Kongres w latach osiemdziesiątych, sędziowie federalni mieli zasądzać wyroki za przestępstwa narkotykowe bez brania pod uwagę konkretnych okoliczności sprawy i bez możliwości indywidualnej oceny osoby oskarżonej. Wkrótce prawa stanowe poszły w ślady prawa federalnego. Długość tych wyroków przerażała mnie: dziesięć, dwanaście, dwadzieścia lat. Długie wyroki minimalne za przestępstwa związane z narkotykami są głównym powodem, dla którego liczba osadzonych w Stanach Zjednoczonych wzrosła od lat osiemdziesiątych do niemal 2,5 miliona ludzi – prawie o 300 procent. W tej chwili osadzamy jednego na stu dorosłych, znacznie więcej niż jakikolwiek inny kraj świata.

Delikatnie, lecz stanowczo mój prawnik wytłumaczył mi, że jeśli będę chciała procesu, będę jedną z najlepszych klientek, z jaką kiedykolwiek pracował – sympatyczną i z historią do opowiedzenia; jednak jeśli przegram, ryzykuję wyrok maksymalny, najprawdopodobniej ponad dziesięć lat więzienia. Jeśli przyznam się do winy, oczywiście też pójdę do więzienia, ale na znacznie krótszy czas.

Wybrałam to drugie rozwiązanie. Oczywiście nie obyło się bez kilku bolesnych rozmów z Larrym i moją wciąż zszokowaną rodziną, jednak to ja musiałam podjąć tę decyzję. Mój prawnik negocjował mądrze i twardo, i w końcu Biuro Prokuratora USA pozwoliło mi przyznać się do winy za pranie brudnych pieniędzy, a nie za konspirację. Zażądali za to minimalnego wyroku trzydziestu miesięcy w więzieniu federalnym.

W Halloween 1998 roku Larry i ja pojechaliśmy do Chicago

przebrani za „nastolatków”; być może ukryłam swoją niedolę pod kostiumem. Tej nocy ruszyliśmy na miasto z naszymi przyjaciółmi, Gabem i Edem, którzy nie mieli pojęcia o mojej sytuacji i myśleli, że jestem w mieście z powodu pracy. Następnego ranka ruszyliśmy do budynku federalnego, w którym mieścił się sąd. Byłam wyprostowana i błada, ubrana w mój najlepszy kostium. Larry patrzył na mnie, gdy wydusiłam z siebie trzy słowa, które przypieczętowały mój los:

– Winna, Wysoki Sądzie.

Wkrótce po tym, jak przyznałam się do winy, stało się coś niespodziewanego. Alaji, zachodnioafrykański boss narkotykowy, został aresztowany w Londynie na mocy amerykańskiego listu gończego. Nagle moje spotkanie z więzieniem zostało odroczone – na czas nieokreślony – dopóki Stany Zjednoczone starały się o jego ekstradycję i proces. Chcieli, bym zeznawała przeciwko niemu w normalnych ciuchach, a nie w pomarańczowym kombiniezonie.

Wyglądało na to, że to się nigdy nie skończy. Spędziłam prawie sześć lat pod nadzorem federalnych, co miesiąc stając przed moim „kuratorem przedwyrokowym”, uczciwą, młodą kobietą z burzą kręconych włosów i biurkiem w budynku sądu federalnego na Pearl Street na Manhattanie. Raz na miesiąc przechodziłam przez kontrolę w budynku, wjeżdżałam windą na piętro mieszczące Służby Przedwyrokowe, podpisywałam listę i czekałam w obskurnym pokoju udekorowanym inspirującymi i ostrzegającymi plakatami, przypominającymi mi o Wytrwałości i Używaniu Kondomów. Często byłam w pokoju sama. Czasami razem ze mną czekali młodzi Latynosi i Murzyni, którzy albo taksowali mnie wzrokiem, albo siedzieli cicho z oczyma wpatrzonymi w ścianę. Co jakiś czas pojawiał się jakiś pozbawiony karku starszy biały facet z mnóstwem złotej biżuterii – i patrzył na mnie z wyrazem szczerzego zdumienia. Raz na jakiś czas pojawiała się jakaś kobieta, nigdy biała, czasami z dziećmi. Zawsze mnie ignorowali. Kiedy panna Finnegan wreszcie pojawiała się

w pokoju i machała na mnie ręką, ruszałam za nią do jej biura, gdzie spędzałyśmy, czując się nieswojo, kilka minut.

– I co? Jakies wieści w twojej sprawie?

– Nie.

– No cóż... Rzeczywiście długo to trwa.

Co jakiś czas, przepraszając, robiła mi test na obecność narkotyków. Zawsze byłam czysta. W końcu panna Finnegan opuściła swoje stanowisko, by studiować prawo i zostałam przeniesiona do równie uprzejmej panny Sanchez. Miała długie, żelowe paznokcie pomalowane na jaskrawy róż.

– Najmniej z tobą problemów! – mówiła radośnie każdego miesiąca.

Przez ponad pięć lat oczekiwania wyobrażałam sobie więzienie na każdy możliwy sposób. Moja sytuacja pozostała tajemnicą dla niemal wszystkich moich znajomych. Na początku było to zbyt straszne i zbyt przerażające, a także zbyt niepewne, by komukolwiek powiedzieć. Kiedy wyskoczyła cała ta sprawa z eks-tradycją, sytuacja stała się na tyle dziwna, by nie opowiedzieć o niej przyjaciółom, którzy nie mieli o tych sprawach pojęcia. „Idę do więzienia... Kiedyś?”. Doszłam do wniosku, że muszę po prostu jakoś znieść to sama. Ci spośród moich przyjaciół, którzy wiedzieli o wszystkim, miłosiernie milczeli przez te lata. Czulałam się zawieszona przez Boga.

Pracowałam ciężko nad sobą, by nie myśleć o tym, co mnie czeka. Swoją energię pakowałam w odkrywanie Nowego Jorku z Larrym i naszymi przyjaciółmi oraz w robotę. Pracowałam jako dyrektor kreatywny dla firm internetowych. Potrzebowałam pieniędzy, by spłacić moje ogromne koszty prawne, więc pracowałam dla klientów, których moi hipsterscy koledzy uważali za nietrawialnych i nieseksownych – wielkich firm telekomunikacyjnych, petrochemicznych i innych podejrzanych koncernów.

Dystansowałam się, przynajmniej w części, od wszystkich, poza Larrym. Tylko przed nim mogłam odkryć swój wstyd i strach. Przy ludziach, którzy nie wiedzieli nic o moim kryminalnym sekrecie i nadchodzącym więzieniu, po prostu nie byłam

sobą – miła, czasem czarująca, ale zawsze wyniosła, odległa, może nawet obojętna. Nie angażowałam się nawet w relacje z moimi bliskimi przyjaciółmi, którzy wiedzieli, co się dzieje. Zawsze patrzyłam na siebie z przesadną przezornością – cokolwiek działo się teraz, nie miało większego znaczenia, biorąc pod uwagę to, co miało się stać. Gdzieś na horyzoncie majaczyła katastrofa, nadejście Kozaków i wrogich Indian.

Z upływem lat moja rodzina zaczęła wierzyć, że jakimś cudem mi się upiecze. Moja matka spędzała całe godziny w kościele. Jednak ja nawet na sekundę nie dałam się ponieść tej fantazji – wiedziałam, że pójdę do więzienia. Były momenty, gdy byłam cholernie załamana. Jednak wtedy zdawałam sobie sprawę, że moja rodzina i Larry kochali mnie pomimo tej całej pieprzonej sytuacji; że moi przyjaciele, którzy wiedzieli o wszystkim, nie odwrócili się ode mnie; i że nadal funkcjonowałam jakoś w świecie – zarówno w pracy, jak i towarzysko, pomimo tego, że zrujnowałam sobie życie. Z czasem bałam się coraz mniej o przyszłość, o swoje szczęście, a nawet o więzienie.

Głównym powodem tego był Larry. Kiedy zostałam oskarżona, z pewnością byliśmy w sobie zakochani, ale mieliśmy zaledwie po dwadzieścia osiem lat i dopiero co przyjechaliśmy do Nowego Jorku. Nasze plany na przyszłość nie wybiegały poza proste decyzje, na przykład, gdzie się przeniesiemy, gdy z Londynu wróci facet, od którego podnajmowaliśmy mieszkanie. Kiedy wyplłynęła moja kryminalna przeszłość, któż mógłby go winić, jeśli powiedziałaby: „Nie pisałem się na tę całą cholerną sytuację. Myślałem, że jesteś pozytywnie zwariowana, a nie przerażająco szalona”? Kto mógł przewidzieć, jak miły żydowski chłopiec z New Jersey poradzi sobie z informacją, że jego ekslesbijska, bohemo-WASP dziewczyna, wkrótce będzie także osadzonym przestępcą?

Któż mógł się spodziewać, że mój ekstrawertyczny, elokwentny, przesączony kofeiną chłopak będzie tak cierpliwy, tak taktowny i tak zaradny; że kiedy prawie dusiłam się z płaczem, będzie trzymał moją głowę i pocieszał; że będzie strzegł mojego se-

kretu i uczyni go też swoją tajemnicą; że kiedy użalałam się nad sobą zbyt długo, robiąc z siebie ofiarę i staczając się coraz niżej, będzie o mnie walczył, nawet jeśli będzie to oznaczało okropne kłótnie i trudne dni oraz nocę w domu?

W lipcu 2003 roku byliśmy w Massachusetts w plażowym domku mojej rodziny. W piękny, słoneczny dzień Larry i ja popłynęliśmy kajakiem na Pea Island – kawał skały i piasku w małej zatoczce Buzzard's Bay. Wyspa była spokojna i opuszczona. Pływalismy, a potem siedzieliśmy na skałach, patrząc na zatoczkę. Larry guzdrał się ze swoimi kąpielówkami, a ja gapiłam się na niego i zastanawiałam, dlaczego zachowuje się tak dziwnie. W końcu wyciągnął ze swoich kąpielówek plastikową torebkę, a z niej metalowe pudełko.

– P*, chcę dać ci te pierścionki, bo cię kocham i chcę, żebyś je miała, bo tyle dla mnie znaczysz. Jest ich siedem, po jednym na każdy rok, który razem spędziliśmy. Nie musimy się pobierać, jeśli tego nie chcesz, ale chciałbym, żebyś je miała...

Oczywiście nie pamiętam nic więcej z tego, co powiedział, ponieważ byłam tak zaskoczona i zdziwiona, poruszona i podekscytowana, że nic już nie słyszałam. Krzyknęłam tylko: „Tak!”. W pudełku było siedem złotych pierścionków, każdy cieniutki jak nitka i nosiło się je wszystkie razem na palcu. Sam też sprawił sobie pierścionek z cienkiego srebra, który nerwowo założył na palec.

Moja rodzina była przeszczęśliwa. Podobnie jak i rodzice Larry'ego, którzy jednak pomimo mojego tak długiego związku z ich synem, wciąż nie wiedzieli wszystkiego o swojej synowej. Zawsze byli dla mnie mili i otwarci, jednak byłam przerażona perspektywą ich reakcji na moją tajemnicę. Carol i Lou bardzo się różnili od moich ekshippisowskich rodziców. Ich związek był efektem licealnego romansu z lat pięćdziesiątych i dorastali przed całym szumem z dziećmi kwiatami. Nadal żyli w arkadyjskim hrabstwie, gdzie dorastali i chodzili na mecze futbolowe, a także

* Zdrobnienie, skrót w formie pierwszej litery imienia. (przyp. red.).

na kolacje korporacji prawniczej. Nie sądziłam, by mogli zrozumieć moją młodzieńczą fascynację półświatkiem, związek z przemytem narkotyków czy wiszący nade mną wyrok więzienia.

Minęło już ponad pięć lat od momentu, gdy zostałam skazana. Larry uważał, że powinniśmy powiedzieć jego rodzicom, co się dzieje. Zdecydowaliśmy się potrenować na innych ludziach, taktykę tę Larry nazwał „powiedz prawdę i uciekaj”. Reakcje były z grubsza takie same – nasi przyjaciele śmiali się do rozpuku, potem trzeba ich było przekonać, że to prawda, z którego to powodu wpadali w przerażenie i zaczęli się o mnie martwić. Pomimo takich reakcji naszych przyjaciół, martwiłam się, że moje szczęście wyczerpie się na przyszłych teściach.

Larry zadzwonił do rodziców i powiedział im, że jest coś ważnego, co musimy omówić osobiście. Pojechalśmy tam pewnego sierpniowego popołudnia, spóźniliśmy się i zjedliśmy typową letnią kolację – stek, kolby kukurydzy, wielkie i soczyste pomidory z New Jersey i pyszny placek gruszkowy. Larry i ja siedzieliśmy naprzeciw siebie przy kuchennym stole. Carol i Lou wyglądali na bardziej niż zdenerwowanych, ale nie na przerażonych. Myślę, że założyli, że chodziło o mnie, a nie o Larry’ego.

– To złe wieści, ale to nie rak – powiedział wreszcie Larry.

Zacząłam opowiadać całą historię (z krótkimi wstawkami mojego narzeczonego). Nie było to może zupełnie spójne, ale czułam się, jakbym wyjęła drzazgę.

Carol siedziała obok mnie. Chwyliła moją rękę, ścisnęła ją i powiedziała:

– Byłaś młoda!

Lou próbował ułożyć sobie te informacje w głowie, przechodząc na tryb prawniczy. Pytał o mój akt oskarżenia, mojego prawnika, sąd i co może zrobić, żeby pomóc. I czy jestem uzależniona od heroiny?

Ironia w rodzinie Larry’ego polegała na tym, że kiedy wydarzało się coś małego i nieważnego, dla nich było to tak, jakby tonął Titanic. Jednak gdy miała miejsce prawdziwa katastrofa,

byli ludźmi, z którymi chciało się znaleźć w łodzi ratunkowej. Zamiast potępienia i odrzucenia, zostałam wyściskana.

Ostatecznie Wielka Brytania odmówiła ekstradycji Alajego do Stanów Zjednoczonych i puściła go wolno. Mój prawnik tłumaczył mi, że jako Nigeryjczyk był obywatelem Wspólnoty Narodów i jako taki miał pewne prawa pod jurysdykcją brytyjską. Trochę szukania w Internecie ujawniło, że był on bogatym i potężnym gangsterem-biznesmenem w Afryce i z pewnością miał dość kontaktów, by nie przejmować się takimi drobiazgami jak ekstradycja.

Wreszcie prokurator w Chicago był gotów ruszyć z moją sprawą. By przygotować się na wyrok, napisałam oświadczenie dla sądu i przerwałam milczenie przed jeszcze większą grupą przyjaciół i współpracowników, prosząc ich o pisanie listów świadczących za mną i proszących sędziego o łagodny wymiar kary. Było to bardzo ponizające i trudne doświadczenie, by wytłumaczyć moją sytuację ludziom, których znałam od lat, a następnie prosić ich o pomoc. Ich reakcja była niezwykła. Byłam przygotowana na odrzucenie, wiedząc, że każdy z nich mógłby mi odmówić z wielu powodów. Zamiast tego zostałam przytłoczona ogromem dobroci i troski, płakałam więc nad każdym otrzymanym listem. Było w nich i moje dzieciństwo, i przyjaźnie, moja etyka pracy. Każda osoba starała się przekazać w listach to, co uważała za najważniejsze o mnie i o moim charakterze – wszystko to było sprzeczne z tym, jak się czułam: a czułam się tak, jakbym absolutnie nie była godna tej dobroci.

Jedna z moich najlepszych przyjaciółek z uniwerku, Kate, tak napisała do sędziego:

Wierzę, że jej decyzja o podjęciu kryminalnej działalności była częściowo motywowana poczuciem samotności i potrzebą zaopiekowania się samej sobą. Od czasu, gdy podjęła tę decyzję, jej związki z innymi ludźmi zmieniły się i pogłębiły. Wierzę, że teraz zdaje sobie

sprawę, że jej życie splecione jest z życiem tych, którzy ją kochają...

Zbliżała się data wydania wyroku. Chociaż truizm „co nas nie zabije, to nas wzmocni” kołatał mi się po głowie przez ostatnie sześć lat czekania, to musiałam zmierzyć się z prawdą ukrytą w tych słowach, jak we wszystkich odwiecznych, często powtarzanych powiedzeniach. Zaserwowałam sobie kiepskie karty: oszustwo, wstyd, obnażenie, prawie bankructwo i samemu sobie narzuconą izolację. Trudno grać z takim rozdaniem. Jednak nie byłam sama w tej grze. Miałam moją rodzinę, przyjaciół, współpracowników; ci wszyscy ludzie nie porzucili mnie pomimo mojego obrzydliwego, dzikiego i bezmyślnego zachowania sprzed tylu lat i mojego „jestem samotną wyspą” – sposobu radzenia sobie z problemami. Może dlatego, że wszyscy oni kochali mnie na tyle mocno, by mi pomóc, a może nie byłam aż tak zła, jak sądziłam. Możliwe, że gdzieś tam była jakaś część mnie, która była warta ich miłości.

Larry i ja znów poleciliśmy do Chicago i spotkaliśmy się na dzień przed wydaniem wyroku z moim prawnikiem, Patem Cotterem. Liczył na wyrok krótszy niż trzydzieści miesięcy i Biuro Prokuratora USA zgodziło się na to w świetle tak długiego oczekiwania na decyzję. Pokazałam Patowi moje propozycje ubioru do sali sądowej: jeden z moich wymuskanych kostiumów w stylu „dyrektora kreatywnego”; wojskową, marynarską, płaszczową sukienkę, która była chyba najbardziej konserwatywnym ubraniem, jakie miałam; i, jako wybór dodatkowy, garsonkę z lat pięćdziesiątych, którą wygrałam na eBayu, w kremowym kolorze, w delikatną niebieską kratkę, w stylu country club.

– Załóż to – powiedział Pat, wskazując garsonkę. – Chcemy, żeby patrząc na ciebie, przypomniała mu się jego własna córka albo bratanica, albo sąsiadka.

Tej nocy nie mogłam spać i Larry przełączył hotelowy telewizor na kanał jogi, gdzie giętki, przystojny jogin wyginał się w preclowate kształty na hipnotycznej hawajskiej plaży. Bardzo chciałam być na jego miejscu.

Wraz z małą grupką moich krewnych i przyjaciół, siedzących za moimi plecami w sali sądowej, 8 grudnia 2003 roku stanęłam przed sędzią Charlesem Norglem. Zanim sędzia ogłosił wyrok, wygłosiłam oświadczenie.

Wysoki Sądzie, ponad dziesięć lat temu podjęłam kilka złych decyzji, zarówno pod względem praktycznym, jak i moralnym. Działalam samolubnie, bez zważania na innych i świadomie złamałam prawo. Okłamałam moją kochającą rodzinę i oddaliłam się od moich prawdziwych przyjaciół.

Jestem gotowa zmierzyć się z konsekwencjami moich czynów i przyjmę każdą karę, jaką ogłosi Sąd. Jest mi bardzo przykro z powodu całego zła, jakie wyrządziłam innym i wiem, że Sąd wyda na mnie sprawiedliwy wyrok.

Chciałabym skorzystać z tej okazji, by podziękować moim rodzicom, mojemu narzeczonemu oraz moim przyjaciołom i kolegom, którzy są tu dzisiaj ze mną i którzy kochali i wspierali mnie. Chciałabym ich przeprosić za ból, kłopoty i wstyd, których im przysporzyłam.

Wysoki Sądzie, dziękuję za wysłuchanie mojego oświadczenia i rozważenie mojej sprawy.

Zostałam skazana na piętnaście miesięcy w więzieniu federalnym i słyszałam, jak Larry, moi rodzice i moja przyjaciółka Kristen płaczą za moimi plecami. Myślałam, że to cud, że nie dostałam dłuższego wyroku, byłam tak wyczerpana oczekiwaniem, że chciałam mieć już to wszystko jak najszybciej za sobą. Jednak cierpienie moich rodziców było znacznie większe niż jakikolwiek wysiłek, nerwy czy depresja, których doświadczyłam przez ten długi czas niepewności.

A jednak oczekiwanie jeszcze się nie skończyło – teraz musiałam dostać przydział do więzienia. Czułam się trochę, jakbym czekała na list z informacją o przyjęciu na uniwersytet – miałam nadzieję dostać się do Danbury w Connecticut! Gdziekolwiek indziej oznaczało zero szans na częste widywanie Larry’ego i mojej rodziny. Następne najbliższe federalne więzienie dla kobiet znajdowało się w Zachodniej Wirginii, pięćset mil stąd. Kiedy wreszcie przyszła cienka koperta z federalnej agencji wię-

ziennej, informująca, że mam się stawić 4 lutego 2004 roku w Federalnym Ośrodku Poprawczym w Danbury, byłam prze-szczęśliwa.

Próbowałam jakoś uporządkować swoje sprawy przed zniknięciem na ponad rok. Przeczytałam już mnóstwo książek z Amazona o tym, jak przetrwać więzienie, ale były one napisane dla mężczyzn. Odwiedziłam moich dziadków, nerwowo walcząc z poczuciem, że mogę ich już nigdy nie zobaczyć. Na około tydzień przed datą stawienia się w więzieniu Larry i ja spotkaliśmy się z małą grupką przyjaciół w Joe's Bar na Szóstej Ulicy w East Village, na dość naprędce przyszykowanym spotkaniu pożegnalnym. Byli tam moi dobrzy przyjaciele z miasta, którzy znali mój sekret i zrobili wszystko, co tylko mogli, by mi pomóc. Dobrze się bawiliśmy – graliśmy w bilard, opowiadaliśmy historie, piliśmy tequilę. Noc ciągnęła się dalej – nie zwalniałam, nie miałam zamiaru powstrzymać się od tequili, nie miałam zamiaru być nudziarzem. Noc zamieniła się w poranek i wreszcie ktoś musiał się pożegnać. Gdy tak ściszałam ich wszystkich mocno i długo, jak tylko dziewczyna pijana tequilą potrafi, zdałam sobie sprawę, że to prawdziwe pożegnanie. Nie wiedziałam, kiedy zobaczę moich przyjaciół i jaka wtedy będę. I zaczęłam płakać.

Nigdy nie zdarzyło mi się płakać przed kimkolwiek innym niż Larry. A jednak teraz łkałam, a razem ze mną moi przyjaciele. Musieliśmy wyglądać jak wariaci, tuzin ludzi siedzących o trzeciej nad ranem w barze na East Village, ryczących jak bobry. Nie mogłam przestać. Płakałam i płakałam, żegnając się z każdym z nich. Zajęło to wieki. Uspokajałam się na moment i wtedy zwracałam się do kolejnego z przyjaciół i zaczynałam znów łkać. Zupełnie bez poczucia wstydu – byłam tak bardzo smutna.

Następnego popołudnia ledwo co mogłam poznać samą siebie z za napuchniętych szparek, które były moimi oczyma. Nigdy nie wyglądałam gorzej. Ale czułam się trochę lepiej.

Mój prawnik, Pat Cotter, żegnał już w przeszłości kilka par „białych kołnierzyków” tuż przed pójściem do więzienia.

– Piper, myślę, że najtrudniejsze dla ciebie w więzieniu będą pieprzone, tchórzliwe zasady narzucane przez pieprzonych tchórzów. Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz miała kłopoty i nie zaprzyjaźniaj się z nikim.

Rozdział 3

11187-424

4 lutego 2004 roku, w niemal dekadę od popełnienia przeze mnie przestępstwa, Larry odwiózł mnie do kobiecego więzienia w Danbury w Connecticut. Ostatnią noc spędziliśmy w domu; Larry przyrządził mi wspaniałą kolację, a potem wtuliliśmy się w siebie w łóżku i płakaliśmy. Teraz zaś pędziliśmy znacznie za szybko przez ponury lutowy poranek w stronę nieznanego. Gdy skręciliśmy w drogę prowadzącą na teren federalny i dalej na parking, moim oczom ukazał się potężny, groźnie wyglądający budynek z potrójnym płotem z drutu kolczastego. Jeżeli tak wygląda złagodzony rygor, to po mnie, pomyślałam.

Larry zaparkował samochód. Spojrzeliśmy na siebie szeroko otwartymi oczyma. Niemal natychmiast obok nas pojawił się biały pick-up z policyjnymi światłami na dachu. Otworzyłam okno.

– Dzisiaj nie ma wizyt – powiedział oficer.

Wysunęłam podbródek, próbując ukryć smutek pod maską stanowczości.

– Miałam się dzisiaj u was stawić.

– Och... No, dobra – powiedział i odjechał. Czyżby wyglądał na zaskoczonego? Nie byłam pewna.

W samochodzie pozbyłam się całej mojej biżuterii – siedmiu złotych pierścionków, diamentowych kolczyków, które Larry dał mi na święta, szafirowego pierścionka od mojej babci, męskiego zegarka z lat pięćdziesiątych, który zawsze miałam na nadgarstku, kolczyków z tych wszystkich dodatkowych dziurek, które tak bardzo martwiły mojego dziadka. Miałam na sobie dzinsy, tenisówki i T-shirt z długim rękawem. Z fałszywą odwagą w głosie powiedziałam:

– Zróbmy to.

Weszliśmy do hallu. Spokojna kobieta w mundurze, z kręconymi włosami, siedziała za biurkiem na podwyższeniu. Były tam krzesła, telefon, automat do napojów. Wszystko nieskazitelnie czyste.

– Przyszłam się zgłosić – oświadczyłam.

– Proszę zaczekać – powiedziała, podniosła telefon i po krótkiej wymianie zdań, dodała: – Proszę usiąść.

Usiedliśmy. I siedzieliśmy kilka godzin. Musiała już być pora lunchu, Larry podał mi kanapkę z *foie gras*, którą przygotował z resztek wczorajszej kolacji. Nie byłam głodna, ale rozpakowałam ją z folii aluminiowej i z każdym kęsem tego wystawnego jedzenia czułam się coraz bardziej żałośnie. Jestem niemal pewna, że byłam pierwszą absolwentką Seven Sisters, która jadła gęsią wątróbkę popijaną dietetyczną coca-colą w hallu więzienia federalnego. Chociaż nigdy nic nie wiadomo.

Wreszcie do hallu weszła zdecydowanie mniej przyjemnie wyglądająca kobieta. Miała okropną szramę na twarzy i szyi, sepleniła.

– Kerman? – warknęła.

Wstaliśmy.

– Tak, to ja.

– Kto to? – spytała, wskazując na Larry'ego.

– Mój narzeczony.

– Cóż, musi stąd iść, zanim cię przyjmę – powiedziała. Larry był oburzony. – Takie są przepisy, to zapobiega problemom. Masz jakieś rzeczy osobiste?

Miałam w rękach kopertę, którą jej przekazałam. W środku znajdowały się instrukcje od służby więziennej dotyczące samodzielnego zgłoszenia, trochę papierów prawnych, dwadzieścia pięć zdjęć (zawstydzająca liczba moich kotów), lista z adresami przyjaciół i rodziny, a także czek na 290 dolarów, który polecono mi przynieść. Wiedziałam, że będę potrzebować pieniędzy na moim koncie, żeby telefonować i kupować... no właśnie, co? Nie mogłam się domyślić.

– Nie mogę tego wziąć – powiedziała, oddając czek Larry’emu.

– Ale dzwoniłam tydzień temu i kazali mi to przynieść!

– Musi to wysłać do Georgii i oni się tym zajmą – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Gdzie mamy to wysłać? – spytałam. Byłam wściekła.

– Hej, masz tam może gdzieś ten adres z Georgii? – strażniczka spytała przez ramię kobietę przy biurku, w tym samym czasie przeglądając zawartość mojej koperty. – Co to, zdjęcia? Masz tam jakieś nagie panienki? – uniosła brew na swojej i tak już wykrzywionej twarzy.

Nagie panienki? Serio? Patrzyła na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Muszę przejrzeć wszystkie te zdjęcia, żeby sprawdzić, czy nie jesteś niegrzeczną dziewczynką”.

– Nie, żadnych gołych panienek – odparłam. Trzy minuty od momentu zgłoszenia się do więzienia już czułam się poniżona i pokonana.

– Ok, jesteś gotowa? – Skinęłam głową. – No, to pożegnaj się. Nie jesteście małżeństwem, więc trochę potrwa, zanim będzie cię mógł odwiedzić.

Odsunęła się o symboliczny jeden krok, jak sędzę, by dać nam trochę prywatności.

Spojrzałam na Larry’ego i wtuliłam się w jego ramiona, ściskając go tak mocno, jak tylko potrafiłam. Nie wiedziałam, kiedy znów go zobaczę ani co się stanie ze mną przez najbliższe piętnaście miesięcy.

Wyglądał, jakby miał się rozplakać, ale jednocześnie czułam, że aż kipi z wściekłości.

– Kocham cię! Kocham cię! – powiedziałam wtulona w jego szyję i ten miły, beżowy sweter, który sama dla niego wybrałam. Przycisnął mnie do siebie i powiedział, że też mnie kocha.

– Zadzwoń, gdy tylko będę mogła – wychrypiałam.

– Ok.

– Zadzwoń, proszę, do moich rodziców.

– Ok.

– I wyślij ten czek natychmiast!

– Wiem.

– Kocham cię!

I wtedy wyszedł z hallu, trąc oczy wierzchem dłoni. Mocno trzasnął drzwiami i niemal wybiegł na parking.

Strażniczka więzienna i ja patrzyłyśmy, jak wsiadał do samochodu. Gdy tylko zniknął mi z oczu, poczułam przypływ strachu.

Strażniczka odwróciła się do mnie.

– Gotowa? – spytała.

Byłam sama z nią i z czymkolwiek, co teraz na mnie czekało.

– Tak.

– No to chodź.

Poprowadziła mnie do drzwi, przez które przeszedł Larry. Później, skręcając w prawo, szłyśmy wzdłuż okropnego, górującego płotu. Płot miał wiele warstw; pomiędzy każdą znajdowała się brama, przez którą trzeba było nas przepuścić. Kobieta otworzyła bramę i weszłam do środka. Spojrzałam przez ramię na wolny świat. Zadźwięczała kolejna brama. Przeszłam i przez nią, a nade mną wznosił się drut kolczasty i zasieki. To nie było to, czego się spodziewałam. Nie tak opisywano mi więzienia o obniżonym rygorze; to nie wyglądało jak „Club Fed”*. Byłam przerażona.

Doszliśmy do drzwi budynku i czekałyśmy, aż nas wpuszczą. Przez krótki korytarz przeszłyśmy do wyłożonego płytkami pokoju z mocnym, fluorescencyjnym światłem. Wyglądało to obскурnie, klinicznie i pusto. Wskazała na przechodnią celę z ławkami przymocowanymi do ścian i metalowymi osłonami nad wszystkimi ostrymi krawędziami.

– Zaczekaj tam – powiedziała i wyszła do drugiego pokoju.

Usiadłam na ławce zwróconej w przeciwnym kierunku niż drzwi. Patrzyłam na małe, wysoko umieszczone okno, przez które nie widziałam nic oprócz chmur. Zastanawiałam się, kiedy

* Żartobliwe określenie więzień o obniżonym rygorze w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie (przyp. tłum.).

znów zobaczę coś pięknego. Rozmyślałam o konsekwencjach moich dawnych czynów i na poważnie zastanawiałam się, dlaczego nie uciekłam do Meksyku. Machałam nogami. Myślałam o moim piętnastomiesięcznym wyroku, co niewiele pomogło w uspokojeniu się. Próbowałam nie myśleć o Larrym. W końcu jednak poddałam się i próbowałam wyobrazić sobie, co robi, ale bez większego sukcesu.

Miałam bardzo blade pojęcie na temat tego, co wydarzy się potem, ale wiedziałam, że muszę być odważna. Nie brawurowa, nie zakochana w ryzyku i niebezpieczeństwie, bez śmiesznych popisów, które miałyby udowodnić mi, że nie jestem przerażona – musiałam być prawdziwie odważna, być dzielna. Dość odważna, by być cicho, gdy każą być cicho; dość odważna, by obserwować, zanim się na coś zdecyduje; dość odważna, by nie zrobić czegoś wbrew sobie, gdy ktoś będzie chciał mnie nakłonić lub zmusić do zrobienia czegoś, czego nie chcę; dość odważna, by milczeć. Czekałam przez trudny do określenia czas i próbowałam być odważna.

– Kerman!

Nie byłam przyzwyczajona do bycia wzywana jak pies, więc okrzyki musiały się kilka razy powtórzyć, nim zrozumiałam, że oznaczają tu „Ruszaj się!”. Wstałam gwałtownie i wyjrzałam z celi przejściowej.

– Chodź – usłyszałam. Chrypa strażniczki czyniła jej wypowiedzi trudnymi do zrozumienia.

Zaprowadziła mnie do następnego pokoju, gdzie przesiadywali jej współpracownicy. Obaj byli łysymi, białymi facetami. Jeden z nich był niezwykle wysoki, miał co najmniej siedem stóp wzrostu; drugi był bardzo niski. Obaj patrzyli na mnie, jakbym miała trzy głowy.

– Samodzielne zgłoszenie – oświadczyła im eskortująca mnie strażniczka i zabrała się za robotę papierkową. Mówiła do mnie, jakbym była kompletną idiotką, jednak niczego nie tłumaczyła. Za każdym razem odpowiadałam zbyt wolno i prosiłam ją o powtórzenie pytania. Kurdupel parskał kpiąco lub, co gorsza, paro-

diował moje odpowiedzi. Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Było to denerwujące (i takie być miało) i strasznie mnie wkurzało, co było miłą odmianą wobec ogarniającego mnie strachu.

Strażniczka nadal zadawała pytania i wypełniała formularze. Gdy tak stałam na baczność i odpowiadałam, nie mogłam powstrzymać się od spoglądania w stronę okna i naturalnego światła na zewnątrz.

– Chodź.

Udałam się za strażniczką w stronę korytarza za całą przejściową. Poprzewalała trochę na półce z ubraniami i podała mi parę reform, tani nylonowy biustonosz, parę spodni khaki na gumkę, top khaki, przypominający ubranie w szpitalu, i podkolanówki.

– Jaki masz rozmiar buta?

– Dziewięć, dziewięć i pół.

Podała mi parę płóciennych pantofli w rodzaju tych, które można dostać na ulicy w Chinatown.

Wskazała na miejsce z umywalką i toaletą za plastikową zasłoną prysznicową.

– Rozbierz się.

Zrzuciłam z siebie moje tenisówki, zdjęłam skarpetki, dzinsy, T-shirt, biustonosz i majtki – całą garderobę zabrała strażniczka. Było mi zimno.

– Podnieś ręce do góry.

Podniosłam, pokazując pachwiny.

– Otwórz usta i wystaw język. Odwróć się, przykucnij, rozsłoń pośladki i kaszlnij.

Nigdy nie przyzwyczaiałam się do tej „kaszłcej” części procedury. Jej zadaniem było sprawdzenie, czy nie przemyca się czegoś w tyłku. Jednak było to po prostu zbyt nienaturalne. Odwróciłam się, naga.

– Ubieraj się.

Włożyła moje ciuchy do pudełka – miały zostać wysłane do Larry’ego, jak osobiste rzeczy martwego żołnierza. Biustonosz, chociaż drapiący i brzydki, pasował. Podobnie jak i, ku mojemu

zaskoczeniu, reszta więziennych khaki-ciuchów. Miała niezłe oko. W kilka minut zamieniłam się w osadzoną.

Teraz trochę zmiękła w stosunku do mnie. Gdy zdejmowała moje odciski palców (bardzo brudna i zadziwiająco intymna procedura), spytała:

- Jak długo jesteś z tym gościem?
- Siedem lat – odpowiedziałam smutno.
- Wiedział, co kręciłaś?

Kręciłaś? Co ona mogła wiedzieć! Znów trochę się wściekałam i odpowiedziałam stanowczo:

– To wykroczenie sprzed dziesięciu lat. Nie miał z tym nic wspólnego.

Wydawała się tym zdziwiona, co odebrałam jako formę moralnego zwycięstwa.

– Cóż, nie jesteście małżeństwem, więc prawdopodobnie nie zobaczysz go przez dłuższy czas. Musi najpierw dostać się na twoją listę odwiedzających.

Zderzenie z rzeczywistością, jaką był brak możliwości spotkania z Larrym, znów mnie uciszył. Strażniczka wydawała się obojętna na cios, który mi właśnie zadała.

Była bardziej zajęta tym, że nikt nie wiedział, jak używać maszyny do robienia fotografii przeznaczonych do więziennych dowodów tożsamości. Wszyscy próbowali coś tam przełączać i wreszcie udało im się zrobić zdjęcie, na którym wyglądałam zaskakująco podobnie do seryjnej morderczynie, Aileen Wuornos. Miałam dumnie uniesiony podbródek i wyglądałam okropnie. Później zorientowałam się, że każdy wygląda na więziennym dowodzie albo jak zbój i morderca, albo jak tchórz i sierota. Mogę z dumą powiedzieć, że, wbrew wszystkiemu, należałam do tej pierwszej kategorii, chociaż czułam się jak z tej drugiej.

Dowód był czerwoną kartą, z kodem kreskowym i napisem „Federalne Biuro Więzienné Departamentu Sprawiedliwości USA – WIĘZIEN”. Obok mojego niezbyt udanego zdjęcia znajdował się mój nowy numer, wypisany dużymi cyframi: 11187-424. Ostatnie trzy liczby odpowiadały mojemu regionowi ska-

zania – północnemu Illinois. Pierwsze pięć cyfr było moją nową tożsamością – moim unikalnym numerem. W dokładnie taki sam sposób, gdy jako sześciolatkę uczono mnie zapamiętać numer telefonu wujka i ciotki, tak też i teraz po cichu próbowałam utrwalić w pamięci mój numer rejestracyjny. 11187-424, 11187-424, 11187-424, 11187-424, 11187-424, 11187-424, 11187-424, 11187-424, 11187-424.

Po całym zamieszaniu z kartą Panna Wydział Personalny powiadziła:

– Pan Butorsky porozmawia z tobą, ale najpierw idź na kontrolę lekarską – i wskazała następny mały pokój.

Pan Kto? Wyszłam i gapiłam się w okno, obsesyjnie myśląc o drucie kolczastym i świecie za nim, z którego mnie wyrwano, aż przyszedł obejrzeć mnie lekarz – okrągły Filipińczyk. Przeprowadził najbardziej podstawowy wywiad medyczny, który nie trwał długo, bo miałam szczęście być całkiem zdrowym okazem. Powiedział mi, że musi zrobić test na gruźlicę, do którego wyciągnęłam ramię.

– Ładne żyły – powiedział z prawdziwym podziwem. – Żadnych cięć!

W jego głosie nie było nawet cienia ironii, więc mu podziękowałam.

Pan Butorsky był niewielkim, wąsatym gościem koło pięćdziesiątki, z wodnistymi, ciągle mrugającymi oczyma i, w przeciwieństwie do reszty dotychczas spotkanego więziennego personelu, o zauważalnej inteligencji. Bujał się na krześle, a przed nim leżały stosy papierów. Te papiery to był mój PSI* – wywiad przedwyrokowy, który federalni przeprowadzali przed pójściem do więzienia. Na jego podstawie można było ustalić podstawowe fakty dotyczące popełnionego przestępstwa, wcześniejsze wykroczenia, sytuację rodzinną i kwestię dzieci, a także historię nadużywania substancji nielegalnych, zatrudnienia, słowem: wszystkiego co miało jakiegokolwiek znaczenie.

* Presentencing Investigation.

– Proszę sobie usiąść – wskazał i spojrział na mnie w sposób, który, jak podejrzewałam, był wykalkulowany, wypracowany, przenikliwy i oceniający jednocześnie. Usiadłam. Patrzył na mnie przez kilka sekund w milczeniu. Starłam się wyglądać stanowczo i nie patrzeć na niego.

– Jak się czujesz? – spytał.

Byłam zaskoczona, że kogokolwiek obchodzi moje samopoczucie. Poczułam, wbrew sobie, przyływ wdzięczności.

– Ok, dzięki.

– Naprawdę?

Przytaknęłam, uznając, że to dobry moment na granie twardej sztuki. Wyrzwał przez okno.

– Niedługo każę im cię zabrać do Obozu – zaczął.

Rozluźniłam się trochę i poczułam ulgę w żołądku. Spojrzałam za okno, czując przyływ radości, że nie będę musiała tu zostać z Kurduplem.

– Będę twoim opiekunem w Obozie. Wiesz, czytałem twoje akta – wskazał na folder zawierający mój PSI na biurku. – Dość dziwna i duża sprawa.

Naprawdę? Zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, czy była to duża sprawa, czy nie. Jeśli byłam poważnym przestępcą, to z kim będę siedzieć?

– I minęło dużo czasu, odkąd się w to wpakowałaś – kontynuował. – To dość nietypowe. Widać, że dojrzałaś od tego czasu – powiedział i spojrział na mnie.

– Mhm, tak sądzę – wymamrotałam.

– Słuchaj, pracuję w Obozie od dziesięciu lat. Prowadzę to miejsce. To mój Obóz i nie dzieje się tam nic, o czym bym nie wiedział.

Byłam trochę zawstydzona ogarniającym mnie poczuciem ulgi: nie chciałam uważać tego człowieka lub jakiegokolwiek innego pracownika więzienia za swojego obrońcę, ale w tej chwili był najbardziej ludzką osobą, jaką tu spotkałam.

– Mamy tu różnych ludzi. Musisz naprawdę uważać na inne więźniarki. Niektóre z nich są w porządku. Nikt nie będzie z tobą

zadzierał, chyba że im pozwolisz. Kobiety nie biją się dużo. Gadają, plotkują, rozpowszechniają pogłoski. Mogą o tobie gadać. Niektóre z tych dziewczyn będą myśleć, że uważasz się za lepszą od nich. Będą mówić: „O, ona to ma kasę”.

Poczułam się niekomfortowo. Czy sprawiałam takie wrażenie? Czy miałam dostać łatkę zadzierającej nosa suki?

– I są tam też lesbijki. Są, ale nie będą ci przeszkadzać. Niektóre będą chciały się z tobą zaprzyjaźnić – trzymaj się od nich z daleka! Chcę, żebyś zrozumiała, nie musisz uprawiać lesbijskiego seksu. Jestem staromodny i jakoś mi nie odpowiada cały ten bałagan.

Staralam się nie uśmiechnąć. Wygląda na to, że jednak nie przeczytał moich akt zbyt dokładnie.

– Panie Butorsky?

– Tak?

– Zastanawiałam się, kiedy może mnie odwiedzić mój narzeczony i moja matka. – Nie zdołałam ukryć płacznego tonu w głosie.

– Oboje są w twoim PSI, tak?

Mój PSI zawierał informacje o wszystkich członkach mojej najbliższej rodziny, w tym o Larrym, który był już przepytywany przez wydział nadzoru sądowego.

– Tak, są tam, tak samo jak i dane mojego ojca.

– Każdy, kto jest w PSI, ma prawo składania wizyt. Mogą przyjechać w ten weekend. Postaram się, żeby lista znajdowała się w pokoju odwiedzin – powiedział i wstał. – Zajmuj się sama sobą i wszystko będzie dobrze – zebrał papiery i wyszedł.

Poszłam odebrać mój więzienny przydział od strażniczki: dwa prześcieradła, poszewkę, dwa bawełniane koce, dwa tanie, białe ręczniki i ściereczkę do twarzy. Wszystko to spakowane było w siatkową torbę na pranie. Do tego trzeba dodać brzydki, brązowy płaszcz z zepsutym zamkiem i torebkę z małą szczoteczką do zębów, małymi opakowaniami pasty do zębów i szamponu oraz małą kostką kiepskiej jakości mydła.

Gdy przechodziłam przez kolejne bramy potwornego płotu,

czułam się wspaniale, że nie będę za nim zamknięta, jednak teraz zaczęła do mnie docierać tajemnica Obozu. Na zewnątrz czekał biały minivan. Jego kierowcą była kobieta w średnim wieku, ubrana w wojskowe ciuchy i okulary przeciwsłoneczne. Przywitała mnie ciepło. Miała na sobie makijaż i małe złote kolczyki w uszach; wyglądała, jakby mogła być miłą, włosko-amerykańską matroną imieniem Ro, z New Jersey. Strażniczki zaczynają wyglądać przyjaźniej, pomyślałam, gdy sadowiłam się na siedzeniu pasażera. Zamknęła drzwi i uśmiechnęła się zachęcająco. Była bardzo miła. Też się jej przyglądałam.

Podniosła okulary.

– Mam na imię Minetta. Jestem więźniem.

– Och! – byłam zaskoczona, że jest więźniem, że prowadzi samochód i ma makijaż!

– Jak się nazywasz – jakie masz nazwisko? Tutaj funkcjonuje się pod nazwiskiem.

– Kerman – odparłam.

– Pierwszy raz cię osadzili?

– Chodzi o to, czy jestem tutaj pierwszy raz? – byłam dezorientowana.

– Pierwszy raz w więzieniu.

Przytaknęłam.

– Wszystko ok, Kerman? – spytała, gdy podjeżdżałyśmy minivanem pod szczyt małego wzgórza. – Nie jest tutaj tak źle, nic ci nie będzie. Zaopiekujemy się tobą. Wszyscy są w porządku, chociaż musisz uważać na kradzieże. Ile masz czasu?

– Ile czasu? – powtórzyłam dezorientowana.

– Jak długi jest twój wyrok?

– Ach! Piętnaście miesięcy.

– To nie tak źle. Minie, zanim się obejrzysz.

Zrobiłyśmy kółko do tylnego wyjścia długiego, niskiego budynku, który przypominał szkołę podstawową z lat siedemdziesiątych. Skręciłyśmy koło rampy dla niepełnosprawnych i zatrzymała samochód. Trzymając kurczowo swoją torbę z rzeczami, weszłam za nią do budynku, manewrując między zamrażniętymi

kałużami, a zimno atakowało mi stopy przez cienkie, gumowe podeszwy. Przed budynkiem małe grupki kobiet, wszystkie ubrane w te same brzydkie brązowe płaszcze, paliły papierosy na lutowym mrozie. Wyglądały na twarde i smutne, wszystkie miały duże, ciężkie, czarne buty. Zauważyłam, że jedna z nich była w zaawansowanej ciąży. Co kobieta w ciąży robiła w więzieniu?

– Palisz? – spytała Minetta.

– Nie.

– I bardzo dobrze! Zaraz załatwimy ci łóżko i czas się zadowolić. Tam jest stołówka – wskazała na lewo i w dół. Gadała cały czas, tłumacząc mi wszystko o Więzieniu Federalnym w Danbury, a ja nie rozumiałam niczego. Podążałam za nią po schodach i weszłyśmy do budynku.

– ...pokój telewizyjny. Tam jest biuro edukacyjne, a to biuro OD. Witam, panie Smith! OD to oficer dyżurny. Jest w porządku! Hej, Sally! – przywitała się z wysoką, białą kobietą. – To Ker-man, jest nowa, sama się zgłosiła.

Sally przywitała się ze mną ciepło kolejnym „Wszystko w porządku?”. Przytaknęłam w milczeniu. Minetta kontynuowała wprowadzanie.

– Tu też są biura, pokoje są tam, na górze, dormitoria tu, na dole – odwróciła się w moją stronę i nagle spoważniała. – Nie masz prawa tu być, nie wolno ci. Rozumiesz?

Przytaknęłam, nie rozumiejąc absolutnie nic. Dookoła mnie przybywało kobiet, białych, czarnych, Latynosek, w każdym wieku, tutaj, w moim nowym domu; narastał ogromny harmider w tym wnętrzu z betonu i linoleum. Wszystkie były ubrane w khaki kombinezony, zupełnie inne niż ten, który miałam na sobie; wszystkie też nosiły wielkie, ciężkie, czarne buty robocze. Zdałam sobie sprawę, że mój wygląd od razu zdradza, że jestem nowa. Spojrzałam w dół na moje małe płócienne obuwie i zadrżałam w moim brązowym płaszczu.

Gdy przechodziłyśmy przez długi główny hall, podeszło do mnie kilka innych kobiet – wszystkie białe – które przywitały mnie standardowym:

– Jesteś nowa... wszystko w porządku?

W ich głosie, wydawałoby się, pobrzmiwała prawdziwa troska. Nie wiedziałam, jak na to odpowiedzieć, więc uśmiechałam się słabo i odpowiadałam „cześć”.

– Ok, tu jest biuro kuratora. Kto jest twoim kuratorem?

– Butorsky.

– Och... Cóż, on przynajmniej odwała swoją robotę papierkową jak trzeba. Poczekaj, zobaczę, gdzie cię wrzucą.

Zastukała do drzwi z pewnym poczuciem władzy. Otworzyła je, wsadziła głowę do środka i rutynowym tonem spytała:

– Gdzie wsadziłeś Kerman?

Butorsky jej odpowiedział, ona przyjęła to do wiadomości i zabrała mnie do pokoju numer sześć.

Weszliśmy do pomieszczenia, w którym znajdowały się trzy piętrowe łóżka i sześć metalowych schowków, wysokich do pasa. Dwie starsze kobiety leżały na dolnych łóżkach.

– Hej, Annette, to jest Kerman. Jest nowa, sama się zgłosiła. Annette się tobą zajmie – powiedziała. – Oto twoje łóżko – wskazała na jedno z górnych łóżek, z pustym materacem.

Annette wstała. Była małą, ciemną kobietą po pięćdziesiątce, z krótkimi, nastroszonymi, czarnymi włosami. Wyglądała na zmęczoną.

– Hej – wydusiła z jerseyjskim akcentem. – Jak się masz? Jeszcze raz, jak się nazywasz?

– Piper. Piper Kerman.

Zadanie Minetty kończyło się tu i teraz. Przed jej wyjściem podziękowałam jej wylewnie, nie próbując nawet ukryć mojej wdzięczności. Zostałam sama z Annette i drugą, cichą kobietą, która była malutką, łysą i wyglądała na znacznie starszą, może około siedemdziesiątki. Ostrożnie położyłam swoją torbę na łóżku i rozejrzałam się po pokoju. Oprócz stalowych piętrowych łóżek i schowków, gdziekolwiek się rozejrzałam, widać było wieszaki z ubraniami, ręcznikami i workami. Wyglądało to jak koszary.

Annette wstała z łóżka i okazało się, że ma około pięciu stóp wzrostu.

– To jest panna Luz. Trzymałam rzeczy w twoim schowku, muszę je teraz wyjąć. Masz tu trochę papieru toaletowego, przyda ci się.

– Dziękuję – powiedziałam. Ciagle trzymałam kurczowo kopertę z moimi papierami i zdjęciami, a teraz doszła do tego jeszcze rolka papieru toaletowego.

– Czy wytłumaczyli ci, na czym polega zliczanie? – spytała.

– Zliczanie? – powoli przyzwyczajałam się do tego, że czułam się jak kompletna idiotka. Wyglądało to tak, jakbym całe dzieciństwo miała guwernantkę i teraz nagle wysłano mnie do wielkiego, zatłoczonego liceum. Pieniądze na lunch? A co to?

– Zliczanie. Liczą nas pięć razy dziennie i musisz być tutaj lub gdziekolwiek masz być; zliczanie o czwartej jest na stojąco, kolejne są o północy, drugiej nad ranem, piątej nad ranem i dziewiątej wieczorem. Czy dostałaś już swój numer PAC?

– Numer PAC?

– Ano. Będziesz go potrzebowała do dzwonięcia. Dali ci kartę telefonów? NIE? Będziesz musiała ją wypełnić, żeby telefonować. Ale może Toricella da ci zadzwonić, jeśli go spytasz. Dziś ma nocny dyżur. Pomaga, jak się rozryczysz. Zapytaj go po kolacji. Kolacja jest po zliczaniu o czwartej, więc już niedługo, a lunch jest po zliczaniu o dziesiątej trzydzięci. Śniadanie jest od szóstej piętnaście do siódmej piętnaście. Ile będziesz siedzieć?

– Piętnaście miesięcy... a ty? Ile?

– Pięćdziesiąt siedem.

Jeżeli istniała odpowiednia odpowiedź na taką informację, to nie znałam jej. Nie wiedziałam, co to oznacza. Co też mogła ta Amerykanka włoskiego pochodzenia z Jersey, na oko w średnim wieku i z klasy średniej, zrobić, by zasłużyć sobie na pięćdziesiąt siedem miesięcy w federalnym więzieniu? Co ona, Carmela Soprano? Pięćdziesiąt siedem miesięcy! Dzięki swojej przezorności, jeszcze przed zgłoszeniem się do więzienia dowiedziałam się, że pytanie o popełnione przestępstwo było absolutnym *faux pas*.

Zauważyła, że nie wiem co powiedzieć i postanowiła mi pomóc.

– Ta, to dużo czasu – odparła dość sucho.

– Ta – odparłam. Odwróciłam się i zaczęłam wyciągać rzeczy z mojej torby.

– Nie ściel łóżka! – wrzasnęła nagle.

– Co? – odwróciłam się nagle, zaalarmowana.

– Zrobimy to za ciebie – powiedziała.

– Och... nie, to nie będzie konieczne. Sama to zrobię – odwróciłam się w stronę cienkich bawełniano-poliestrowych prześcieradeł, które dostałam.

Podeszła do mnie.

– Złotko. Pościelimy. Za. Ciebie. Łóżko – powiedziała zdecydowanie. – Wiemy jak.

Byłam kompletnie zaskoczona. Rozejrzałam się po pokoju. Wszystkie łóżka były bardzo ładnie pościelone, a zarówno Annette, jak i panna Luz leżały wcześniej na swojej pościeli.

– Wiem, jak się ścieli łóżko – zaprotestowałam niepewnie.

– Słuchaj, daj nam pościelić to łóżko. Wiemy, jak to zrobić, by przejść inspekcję.

Inspekcje? Nikt nic nie mówił o inspekcjach!

– Inspekcje są wtedy, gdy Butorsky ma na nie ochotę, a on jest kompletnie stuknięty – powiedziała Annette. – Będzie stawał na schowkach, by sprawdzić, czy nie ma kurzu na świetlówkach. Będzie chodził ci po łóżku. Jest wariatem. A ta – wskazała na łóżko pod moim – nie chce pomagać w sprzątanii!

Ups. Też nie znosiłam sprzątanii, ale z pewnością nie miałam zamiaru zaryzykować gniewu moich nowych współlokatorów.

– Czyli musimy ścielić łóżka co rano? – spytałam, po raz kolejny próbując wyjaśnić sobie sytuację.

Annette spojrzała na mnie.

– Nie, śpimy na łóżkach.

– Nie śpicie w łóżkach?

– Nie, śpisz na łóżku, pod kocem.

Pauza.

– A co, jeśli chcę spać w łóżku?

Annette spojrzała na mnie wzrokiem, jakim matki patrzą na krnąbrnych sześciolatków.

– Ależ proszę bardzo, jak sobie życzysz – tylko pamiętaj, że będziesz jedyną w całym więzieniu!

Tego typu presja społeczna była nie do pokonania. Nie będę spała w łóżku przez następne piętnaście miesięcy. Dałam spokój kwestii łóżka – sama myśl o setkach kobiet śpiących na idealnie pościelonych wojskowych wyrkach była dla mnie zbyt dziwna, by zmierzyć się z nią w tym momencie. A do tego jakiś facet niedaleko zawodził:

– Zliczanie, zliczanie, zliczanie, drogie pani!

Spojrzałam na Annette, która wyglądała na zdenerwowaną.

– Widzisz to czerwone światło? – W korytarzu, nad biurem oficera znajdowała się ogromna czerwona żarówka, która teraz się świeciła. – Światło zapala się w trakcie zliczania. Kiedy świeci się to czerwone, lepiej, żebyś była tam, gdzie trzeba i nie ruszała się, aż zgaśnie.

Kobiety biegały w tę i z powrotem po korytarzu i dwie młode Latynoski wpadły szybko do pokoju.

Annette prędko nas przedstawiła.

– To jest Piper.

Zaledwie co na mnie spojrzały.

– A gdzie jest ta kobieta, która śpi tutaj? – spytałam o moją brakującą towarzyszkę z łóżka na dole.

– A, ta! Pracuje w kuchni, więc zliczają ją tam. Jeszcze się spotkacie – wygięła usta w grymasie. – Ok, teraz sza! To zliczanie na stojąco, bez gadania!

Nasza piątka stała w milczeniu koło swoich łóżek, czekając. Cały budynek nagle zamilkł – jedyne, co mogłam usłyszeć, to brzęk kluczy i stukot ciężkich butów w korytarzu. Wreszcie jakiś facet wsadził głowę do pokoju i... policzył nas. Potem, kilka sekund później, inny facet wszedł i też nas policzył. Kiedy wyszedł, każda z nas usiadła na łóżku lub stołku, ale doszłam do wniosku, że to nie w porządku siedzieć na łóżku mojej nieobecnej współlokatorki, więc oparłam się o pusty schowek. Mijały mi-

nuty. Angela i Emma zaczęły szeptać do panny Luz po hiszpańsku.

– Drogie panie, przeliczamy! – usłyszałyśmy nagle. Każda z nas zerwała się i stanęła na baczność.

– Zawsze coś spieprzą – wymamrotała Annette pod nosem.
– Czy to tak trudno po prostu policzyć?

Znów nas policzono, tym razem chyba już skutecznie i zdałam sobie sprawę z konsekwencji inspekcji.

– Czas na kolację – powiedziała Annette. Była 16.20, co według standardów nowojorskich jest absolutnie barbarzyńską porą na kolację. – Jesteśmy ostatnie.

– Co to znaczy: ostatnie?

Przez system głośników oficer dyżurny wywoływał numery:

– A12, A10, A23 – jeść! B8, B18, B22 – jeść! C2, C15, C23 – jeść!

– Wywołuje honorowe klity – jedzą jako pierwsze. Potem wywołuje dormitoria w kolejności zależnej od tego, jak im poszło na inspekcji. Pokoje są zawsze ostatnie. Zawsze wychodzimy najgorzej w trakcie inspekcji – wytłumaczyła Annette.

Wyrzałam przez drzwi na kobiety udające się do stołówki i zastanawiałam się, cóż to takiego honorowa klita, ale spytałam jednak o co innego:

– A co tak właściwie jest na kolację?

– Wątróbka.

Po kolacji złożonej z wątróbki i półksiężycowej fasoli, podanej w stołówce, która przywołała mi przerażającą wizję szkolnej jadłodajni, kobiety w każdym kształcie, wielkości i o każdym kolorze skóry przeszły z powrotem do głównego hallu budynku, krzycząc po angielsku i hiszpańsku. Wszystkie wydawały się wyczekiwać czegoś w hallu, siedząc w grupkach na schodach i półpiętrach. Uznałam, że też muszę, więc próbowałam być jak najbardziej niewidoczna i słuchać wirujących mi koło uszu konwersacji, ale za nic w świecie nie mogłam zrozumieć, o co chodziło. Wreszcie nieśmiało spytałam kobietę koło mnie.

– Czas na listy złotko – odparła.

Wydawało mi się, że bardzo wysoka czarna kobieta na półpiętrze rozdaje przybory toaletowe. Ktoś po mojej prawej wskazał w jej stronę.

– Gloria jedzie do domu, skończyła odsiadkę!

Patrzyłam na Glorię z nowym zainteresowaniem, gdy próbowała znaleźć chętną na mały purpurowy grzebień w jej ręce. *Jedźcie do domu!* Sama idea opuszczenia tego miejsca była dla mnie ekscytująca. Wyglądała tak wspaniale i tak szczęśliwie, gdy rozdawała swoje rzeczy. Poczulałam się odrobinę lepiej, wiedząc, że któregoś dnia można opuścić to okropne miejsce.

Nagle strasznie zapragnęłam jej purpurowego grzebienia. Na myśl przyszły mi grzebienie, które miałyśmy zwyczaj nosić w tylnych kieszeniach naszych dzinsów w pierwszej klasie liceum i które wyciągałyśmy, by poprawić nasze rozdwojone grzywki. Patrzyłam tak na ten grzebień zbyt zawstydzona, by podejść i spytać o niego, i nagle już go nie było, zabrała go jakaś inna kobieta.

Strażnik, inny niż ten, którego wcześniej wskazała mi Minetta, wyszedł z biura oficera dyżurnego. Wyglądał jak gejowska gwiazda porno, obcięty na jeża brunet z wielkim wąsem. Zaczął wykrzykiwać:

– Poczta! Poczta! – Po czym zaczął wydawać listy. – Ortiz! Williams! Kennedy! Lombardi! Ruiz! Skelton! Platte! Platte! Platte! Czekaj Platte, jest jeszcze więcej. Mendoza! Rojas!

Każda kobieta podchodziła z uśmiechem na twarzy, by odebrać swój list, a potem zmykała gdzieś w kąt, by go przeczytać – tam, gdzie można było mieć odrobinę więcej prywatności niż tutaj. Ludzi w hallu było coraz mniej, a strażnik przedzierał się przez kosz poczty, aż wreszcie w sali zostały już tylko te karmione nadzieją.

– Może jutro, drogie panie – krzyknął, odwracając pusty kosz do góry nogami. Nie wymienił mojego imienia.

Po wydaniu poczty snułam się po budynku, czując się obrzydliwie bezbronna w moich głupich, małych, płóciennych kapciach,

które z daleka zdradzały, że jestem nowa. W głowie huczało mi od nowych informacji i po raz pierwszy od wielu godzin byłam w pewnym sensie sama ze swoimi myślami. I natychmiast zaczęłam rozmyślać o Larrym i moich rodzicach. Musiało im teraz odbijać z nerwów. Musiałam jakoś wymyślić sposób, by dać im znać, że wszystko ze mną w porządku.

Bardzo nieśmiało podeszłam do zamkniętych drzwi biura kuratora, ściskając w rękę niebieską kartkę z numerami telefonów, którą wypełniłam według instrukcji Annette. Wyskrobałam na kartce numery, na które mogłam zadzwonić dopiero po otrzymaniu zezwolenia. Komórka Larry'ego, moja rodzina, moja najlepsza przyjaciółka Kristen, mój prawnik. W biurze paliło się światło. Zapukałam delikatnie i ze środka dało się usłyszeć parsknięcie. Ostrożnie nacisnęłam klamkę.

– Panie Toricella? Nazywam się Kerman, jestem nowa. Powiedzieli, że powinnam przyjść i z panem porozmawiać... – podeszłam, przetykając.

– Czy coś się stało?

– Powiedzieli, że powinnam zgłosić swoją listę telefonów... i nie mam numeru PAC...

– Nie jestem twoim kuratorem.

Ścisnęło mnie w gardle i nie musiałam nawet udawać płaczu – za sekundę gotowa byłam się rozryczeć.

– Panie Toricella, powiedzieli, że może pozwoli mi pan zadzwonić do mojego narzeczonego i dać mu znać, że wszystko ze mną w porządku? – błagałam.

Spojrzał na mnie w milczeniu. Wreszcie wydusił:

– Wejdz i zamknij drzwi.

Serce waliło mi jak młot. Podniósł telefon i podał mi słuchawkę.

– Podaj mi numer, to zadzwonię. Najwyżej dwie minuty!

Wykręcił numer komórki Larry'ego, a ja zamknęłam oczy i błagałam w duchu, by mój narzeczonny odebrał. Jeśli miałabym stracić tę okazję, by usłyszeć jego głos, mogłam równie dobrze paść trupem na miejscu.

– Halo?

– Larry! Larry, to ja!

– Kochanie, wszystko w porządku? – dało się słyszeć ulgę w jego głosie.

Płakałam już na dobre i starałam się nie spieprzyć danych mi dwóch minut ani też nie przestraszyć Larry’ego do reszty.

– Tak, wszystko ok, naprawdę, wszystko ok. W porządku. Kocham cię. Dzięki, że mnie dziś podwiozłeś – wysapałam.

– Kochanie, nie gadaj głupot. Jesteś pewna, że wszystko w porządku? Nie mówisz tak tylko, żeby mnie uspokoić?

– Nie, wszystko w porządku. Pan Toricella pozwolił mi do ciebie zadzwonić, ale nie będę mogła telefonować w najbliższym czasie. Ale słuchaj, możesz mnie odwiedzić w weekend! Powinieneś już być na liście.

– Kochanie! Przyjadę w piątek!

– Mama też może, zadzwoń do niej, proszę. I do taty. Zadzwoń do nich, gdy tylko się rozłączymy i powiedz im, że rozmawialiśmy i że wszystko w porządku. Do nich też na razie nie będę mogła zadzwonić. Nie mam jeszcze pozwolenia. I wyślij zaraz ten przekaz pocztowy.

– Już go nadałem. Skarbie, jesteś pewna, że wszystko w porządku? Wszystko ok? Powiedziałybyś mi, gdyby coś było nie tak, prawda?

– Tak, wszystko ok. Jestem w pokoju z kobietą z południowego Jersey, jest bardzo miła. Jest Włoszka.

Pan Toricella odchrząknął.

– Kochanie, muszę kończyć, mam tylko dwie minuty. Tak strasznie cię kocham i tak bardzo tęsknię.

– Skarbie! Kocham cię. Martwię się o ciebie.

– Nie martw się, wszystko ok, przysięgam. Kocham cię. Przyjedź, proszę. I zadzwoń do mamy i taty!

– Zadzwonię, gdy tylko się rozłączymy. Czy mogę coś jeszcze zrobić?

– Kocham cię! Muszę już iść!

– Też cię kocham!

– Przyjedź w piątek i dzięki za telefon do staruszków... Kocham cię!

Rozłączyłam się. Pan Toricella patrzył na mnie z wyrazem czegoś, co wyglądało na sympatię w tych jego małych oczkach, a ja starałam się nie płakać.

– To pierwszy raz, jak cię wsadzili? – spytał.

Podziękowałam mu i ruszyłam z powrotem do hallu, wycierając nos w ramię. Byłam wyczerpana, ale o wiele szczęśliwsza. Patrzyłam na drzwi zakazanych dormitoriów i dokładnie studiowałam tablice informacyjne, pokryte niezrozumiałymi dla mnie informacjami o wydarzeniach i zasadach – grafiki pralni, spotkania więźniów z różnymi pracownikami, zezwolenia na szydełkowanie i program filmów na weekend. Tym razem *Bad Boys II*.

Unikałam kontaktu wzrokowego. A jednak kobiety często mnie zaczepiały: „Jesteś nowa? Jak się masz, złotko? Wszystko ok?”. Większość z nich była biała. Ten plemienny rytuał miałam w przyszłości oglądać setki razy. Kiedy przyjeżdżała nowa osoba, jej plemię – białe, czarne, latynoskie lub te wszystkie, które zaliczyć można do „innych” – natychmiast dowiadywały się o jej sytuacji, pomagały zorganizować i przetrwać jakoś pierwsze dni. Jeśli przypadłaś do kategorii „innych” – Indianek, Azjatek, dziewczyn z Bliskiego Wschodu – wtedy witał cię komitet złożony z najmilszych i najbardziej pełnych współczucia kobiet z najważniejszych plemion.

Inne białe kobiety przyniosły mi kostkę mydła, prawdziwą szczoteczkę do zębów i pastę, szampon, parę znaczków i przybory do pisania, trochę kawy rozpuszczalnej, śmietankę w proszku, plastikowy kubek i (co być może najważniejsze) klapki pod prysznic, by uniknąć grzybicy. Okazało się, że wszystkie te rzeczy trzeba było kupić w więzieniu. Nie miałaś pieniędzy na pastę albo mydło? No to siedzisz w gównie po uszy. Możesz mieć nadzieję, że inna osadzona po prostu ci je da. Chciało mi się ryczeć za każdym razem, gdy jakaś dziewczyna przynosiła mi przybory toaletowe i zapewniała:

– Wszystko będzie ok, Kerman.

W mojej głowie zderzała się masa sprzecznych ze sobą myśli. Czy kiedykolwiek byłam w bardziej obcym mi miejscu niż Danbury? W sytuacji, w której po prostu nie wiedziałam, co powiedzieć i gdzie nie miałam pojęcia, jakie mogą być konsekwencje niewłaściwego ruchu? Następny rok majaczył na horyzoncie jak Góra Przeznaczenia, nawet gdy zdałam już sobie sprawę z tego, że w porównaniu z wyrokami większości osadzonych tu kobiet moje piętnaście miesięcy to pestka i nie powinnam się skarżyć.

I chociaż wiedziałam, że nie powinnam marudzić, to czułam się osierocona. Bez Larry’ego, bez przyjaciół, bez rodziny. Nikogo, z kim mogłabym porozmawiać, kto mógłby dotrzymać mi towarzystwa, rozśmieszyć, na kim mogłabym się oprzeć. Za każdym razem, gdy jakaś obca kobieta, której brakowało kilku zębów, dawała mi kostkę mydła, czułam najpierw przypływ radości, a potem falę rozpacz na myśl o życiu, które straciłam. Czy kiedykolwiek wcześniej byłam do takiego stopnia na łasce obcych? A jednak wszyscy byli tak mili.

Młoda kobieta, która przyniosła mi nowe klapki pod prysznic, przedstawiła się jako Rosemarie. Była niezwykle blada, z krótkimi, kręconymi, brązowymi włosami. Nosiła grube okulary, które zakrywały jej zawadiackie, brązowe oczy. Jej akcent rozpoznałam od razu – wykształcona, ale z charakterystycznym powiewem klasy pracującej w Massachusetts. Znała Annette, która powiedziała, że była Włoszką, i przywitała się ze mną już kilka razy. Teraz wpadła do pokoju numer sześć, by przynieść mi coś do czytania.

– Też sama się zgłaszałam i byłam przerażona. Wszystko będzie ok – zapewniła mnie.

– Jesteś z Massachusetts? – spytałam nieśmiało.

– No, wygląda na to, że mój bostoński akcent słychać na kilometr. Jestem z Nohwood – zażartowała.

Ten akcent jakoś podniósł mnie na duchu. Zaczęłyśmy rozmawiać o Red Sox i jej pracy wolontariuszki przy ostatniej kampanii senatorskiej Kerry’ego.

– Na ile tu jesteś? – zapytałam niewinnie.

Rosemarie przybrała zabawny wyraz twarzy.

– Pięćdziesiąt cztery miesiące. Za oszustwo na aukcji internetowej. Ale zaliczę Obóz, więc jeśli weźmiesz to pod uwagę...

– Zaczęła liczyć dobre sprawowanie, redukcję wyroku i czas w domu przejściowym. Znowu byłam zszokowana swobodą, z jaką oznajmiła mi o swoim przestępstwie i wyroku. Pięćdziesiąt cztery miesiące za oszustwo na eBayu?

Obecność Rosemarie podnosiła mnie na duchu – ten akcent, miłość do Manny Ramireza, prenumerata „Wall Street Journal”, wszystko to przypominało mi o miejscach innych niż to.

– Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała – powiedziała. – I nie wstydz się, jeśli będziesz się chciała komuś wypłakać. Przez pierwszy tydzień ryczałam non stop.

Przetrwałam pierwszą noc w więzieniu bez płaczu. Tak naprawdę w ogóle nie chciało mi się płakać – byłam zbyt zmęczona i zszokowana. Wcześniej zaszłam do jednego z pokoi telewizyjnych, ale leciały właśnie wiadomości o procesie Marthy Stewart i nikt nie zwracał na mnie uwagi. Przeglądając półkę z książkami, pełną romansów, Jamesa Pattersona i V.C. Andrews, znalazłam wreszcie starą, kieszonkową wersję *Dumy i uprzedzenia* i postanowiłam wrócić na swoje łóżko – leżąc na posłaniu, oczywiście. Z lubością zanurzyłam się w znacznie lepiej mi znany świat hanowerskiej Anglii.

Moje nowe współlokatorki dały mi spokój. O dziesiątej wieczorem nagle wyłączono światła, więc włożyłam Jane Austen do mojego schowka i gapiłam się w sufit, słuchając respiratora Annette, która tuż po przybyciu do Danbury dostała potężnego zawału i musiała używać tej maszyny w nocy, by oddychać. Panna Luz, której prawie nie było widać na drugim dolnym łóżku, wychodziła właśnie z leczenia raka piersi i to dlatego jej malutka głowa była zupełnie łysa. Zaczęłam podejrzewać, że najniebezpieczniejszą rzeczą, jaką możesz zrobić w więzieniu, to zachorować.

Pomarańczowy jest teraz w modzie

Następnego ranka ja i osiem innych „nowych” zgłosiłyśmy się na całodzienne szkolenie orientacyjne, które odbywało się w najmniejszej z sal telewizyjnych. W grupie była jedna z moich współlokatorek, grubiotka Dominikanka, mieszanka ponuractwa i chęci niesienia nieustannej pomocy. Na ramieniu miała mały tatuaż tańczącego Mefistofelesa, pod którym widniały litery JC. Zapytałam ją, czy to skrót od Jezus Chrystus – może po to, by chronił ją przed tym radosnym diabłem?

Spojrzała na mnie, jakbym była kompletną wariatką, po czym, wywracając oczami, powiedziała:

– To inicjały mojego chłopaka.

Po mojej lewej stronie, koło ściany, siedziała młoda, czarna kobieta, którą bez wyraźnego powodu od razu polubiłam. Jej zaczesane do tyłu warkoczyki i dumnie wysunięta szczęka nie mogły ukryć tego, że była bardzo młoda i bardzo ładna. Trochę z nią pogawędziłam, pytając o imię, skąd jest, ile czasu ma tu spędzić – cały ten zestawik pytań, które można bezpiecznie zadawać w więzieniu. Miała na imię Janet, była z Brooklynu i dostała sześćdziesiąt miesięcy. Chyba uważała, że to dziwne, że z nią rozmawiam.

Po drugiej stronie pokoju siedziała mała biała kobieta – ta to dopiero miała gadane. Była na oko jakieś dziesięć lat starsza ode mnie, z wyglądem dobrej wiedźmy: rozczepane czerwone włosy, orli nos i zmarszczki na skórze. Wyglądała, jakby mieszkała w górach albo nad morzem. Wróciła do więzienia za naruszenie zasad zwolnienia warunkowego.

– Odsiedziałam dwa lata w Zachodniej Wirginii. To jak wielki kampus szkolny, dobre żarcie. To tutaj to zadupie.

Wygłosiła uwagi raczej wesołym tonem i byłam zdziwiona, że ktoś, kto wraca do więzienia, może być tak konkretny i wesoły. Inna biała kobieta z grupy także wróciła do więzienia za nieprzestrzeganie warunków zwolnienia, ale była rozgoryczona – wydawało mi się to znacznie bardziej logiczne. Resztę grupy stanowiła mieszanka czarnych i latynoskich kobiet, które opierały się o ściany, patrzyły w sufit lub podłogę. Wszystkie byłyśmy ubrane tak samo – wliczając w to te durne, płócienne kaptcie.

Musiałśmy przetrwać męczącą, pięciogodzinną prezentację wszystkich głównych departamentów Danbury – finansów, telefonów, rekreacji, komisarycznego bezpieczeństwa, edukacji, psychiatrii – wachlarz profesjonalnej opieki, który jakimś cudem razem wzięty dawał potwornie niski standard życia więźniarek. Generalnie występujący zaliczali się do dwóch kategorii: tych, co przepraszała i tych, którzy zachowywali się protekcyjnie. Do przepaszających zaliczał się więzienny psychiatra, doktor Kirk, który był w moim wieku i nawet dość przystojny. Mógłby być mężem jednej z moich przyjaciółek. Doktor Kirk z zakłopotaniem wytłumaczył nam, że jest w obozie przez kilka godzin w każdy czwartek i „nie może zapewnić” ciągłej opieki psychiatrycznej, chyba że chodzi o „nagłe przypadki”. Był jedynym lekarzem psychiatrą dla tysiąca czterystu kobiet w Danbury i jego głównym zadaniem było wydzielanie psychotropów. Jeśli chciałaś dostać głupiego Jasia, to doktor Kirk był właściwą osobą.

W kategorii protekcyjnych wyróżniał się pan Scott, zadziorny młody strażnik więzienny, który uparł się na zabawę w pytania i odpowiedzi na temat najprostszych zasad społecznego zachowania i ciągle napominał nas, byśmy nie zmieniły orientacji tylko na czas pobytu w więzieniu. Ale najgorsza ze wszystkich była kobieta ze służby zdrowia. Była tak niemiła, że od razu się do niej uprzedziłam. Twardo poinformowała nas, że lepiej, abyśmy nie próbowały nawet marnować jej czasu, bo to ona będzie ustalać, czy jesteśmy chore, czy nie i co jest konieczne.

Nie powinniśmy też oczekiwać, że nasze obecne dolegliwości będą leczone, chyba że mamy jakieś schorzenie, które zagraża życiu. W duchu podziękowałam, że mam dobre zdrowie. Jeśli się zachorowało, miało się przerabane.

Po tym, jak paniusia od służby zdrowia wyszła z pokoju, ta gadatliwa z czerwonymi włosami powiedziała:

– Jezu, kurwa, Chryste, kto jej tak nadepnął na odcisk?

Następny był wielki rubaszny facet z zaopatrzenia, z ogromnymi krzaczastymi brwiami.

– Witajcie, drogie panie! – krzyknął. – Nazywam się Richards. Chciałem tylko powiedzieć, że jest mi przykro, że się tu znalazłyście. Nie wiem z jakiego powodu, ale cokolwiek się stało, chciałbym, żeby sprawy wyglądały inaczej. Wiem, że teraz na niewiele wam się to zda, ale mówię to szczerze. Wiem, że macie rodziny i dzieci i że wasze miejsce jest w domu, z nimi. Mam nadzieję, że będziecie tutaj bardzo krótko.

Po kilku godzinach traktowania nas jak niewdzięczne i podstępne dzieci, ten zupełnie obcy mężczyzna okazał wyjątkowy takt. Wszystkie się trochę ożywiłyśmy.

– Kerman – więźniarka z notatnikiem wsadziła głowę przez drzwi. – Uniformy!

Okazało się, że mam szczęście: trafiłam do więzienia w środę. Uniformy wydawano w czwartki, więc jeśli się zgłosiłaś w poniedziałek, to po paru dniach już trochę śmierdziałaś – co mocno zależało od tego, czy pociałaś się w nerwach. Poszłam za więźniarką z notatnikiem przez korytarz do małego pokoju, gdzie rozdawano uniformy – pozostałości z czasów, gdy było to męskie więzienie. Dostałam cztery pary spodni khaki na gumce i pięć poliestrowo-bawełnianych, zapinanych na guziki koszul, które na kieszonkach miały wszyte nazwiska ich poprzednich właścicieli: Marialinda, Maldonado, Vicki Frazer, Marie Saunders, Karol Ryan i Angel Chevasco. Do tego: jeden komplet białej bielizny termalnej, swędzącą czapkę z filcu, szalik i rękawiczki; pięć białych T-shirtów, cztery pary skarpetek, trzy sportowe biustonosze, dziesięć par majtek (które bardzo prędko, po kilku pra-

niach, straciły wszelką elastyczność) i koszulę nocną tak wielką, że aż się zaśmiałam – wszyscy nazywali ją muu-muu.

Wreszcie strażniczka, która w milczeniu wydawała mi ubrania, spytała:

– Jaki rozmiar buta?

– Dziewięć i pół.

Podawała mi czarno-czerwone pudełko z butami – w środku znajdowała się moja własna para ciężkich czarnych butów z metalową wkładką. Żadne buty mnie tak nie cieszyły od czasu, gdy znalazłam parę Manolo Blahników z odkrytymi palcami na wyprzedazy z wystawy za pięćdziesiąt dolarów. Zaś te skarby były solidne i obiecywały siłę. Pokochałam je od razu. Oddałam moje płócienne kapcie z wielkim uśmiechem na twarzy. Teraz byłam prawdziwą, twardą skazaną. I poczułam się o niebo lepiej.

Pełna dumy wróciłam w moich wzmacnianych butach na zajęcia orientacyjne. Moje towarzyszki nadal tam były, przewracając oczami od niekończącego się gładzenia. Miły gościu z zaopatrzenia został zastąpiony przez Toricellę, kuratora, który był partnerem Butorsky’ego i który pozwolił mi zadzwonić do Larry’ego zeszłej nocy. Szybko zaczęłam go w myślach nazywać „Bełkotem”. Jego wyglądająca jak mors twarz rzadko zmieniała swój wyraz. Nigdy nie słyszałam, by podniósł głos, ale było bardzo trudno odczytać jego nastrój pod lekkim zdenerwowaniem. Poinformował nas, że naczelnik Kuma Deboo zaszczyca nas za moment swoją obecnością.

Nagle bardzo się zainteresowałam: nic nie wiedziałam o naczelniczce, wielkiej szefowej, do tego kobiecie i to o tak niezwykłym imieniu. Nie słyszałam o niej ani słowa podczas mego dotychczasowego, dwudziestoczwierogodzinnego pobytu tutaj. Będzie przypominać bardziej Wendy O. Williams czy siostrę Ratched?

Ani jedną, ani drugą. Naczelnik Deboo wkroczyła do pokoju i zajęła krzesło naprzeciwko nas. Mogła mieć najwyżej dziesięć lat więcej niż ja i była wysportowana, o oliwkowej cerze. Wyglądała bardzo dobrze i była prawdopodobnie bliskowschodniego

pochodzenia. Nosiła niemodne spodnium i obrzydliwą biżuterię. Mówiła do nas w nieformalnym, pseudomiłym stylu, który od razu nasunął mi na myśl kogoś startującego w wyborach.

– Drogie panie, jestem naczelnik Kuma Deboo i jestem tutaj, by przywitać was w Danbury, które, jak wiem, nie jest wymarzoną scenariuszem dla żadnej z was. Podczas waszego pobytu tutaj jestem za was odpowiedzialna. Odpowiadam za wasze bezpieczeństwo i szczęśliwe dotrwanie do końca wyroku przez każdą z was. Dlatego, drogie panie, to ja tu jestem od podejmowania decyzji.

Przemawiała jeszcze trochę w takim stylu, kilkakrotnie wspominając o osobistej odpowiedzialności (naszej), no i wtedy przeszła do seksu.

– Jeśli ktokolwiek w tym przybytku atakuje was seksualnie, jeśli ktokolwiek wam grozi lub was krzywdzi, w szczególności seksualnie, chcę, żebyście przyszły bezpośrednio do mnie. Tutaj, w Danbury, wyznajemy politykę „zero tolerancji dla przewinień seksualnych”.

Mówiła o strażnikach więziennych, a nie o wędrownych lesbijkach. Najwyraźniej seks i władza były nierozłączne za murami więzienia. Wielu moich przyjaciół obawiało się, że w więzieniu więcej grozi mi ze strony strażniczek niż więźniarek. Rozejrzałam się po sali i po moich współtowarzyszkach. Niektóre wyglądały na przestraszone; większość była obojętna.

Naczelnik Deboo skończyła swoją przemowę i wyszła. Jedna z więźniarek odważyła się odezwać jako pierwsza:

– Wygląda na miłą.

Zgorzkniała kobieta, która przekroczyła warunki zwolnienia i siedziała już wcześniej w Danbury, parsknęła:

– Panna Śliska. Nie oczekujcie, że ją znów zobaczycie, poza piętnastoma minutami co drugi czwartek. Ma gadane, ale równie dobrze mogłoby jej tu nie być. Nie rządzi tutaj. To całe pieprzenie o zerze tolerancji? Pamiętajcie, *drogie panie...* na końcu to wasze słowo przeciwko ich.

Nowo przybyłe do więzienia federalnego przez pierwszy miesiąc znajdują się w czymś w rodzaju czyścica – jest się „PiO” – przyjęcie i orientacja. Kiedy jest się PiO, właściwie nie można nic robić – nie można mieć roboty, nie można chodzić na zajęcia do GED*, nie można chodzić na stołówkę, dopóki inni nie pójdą, nie można się sprzeciwić, gdy każą ci przewalać śnieg w środku nocy. Oficjalnie trzeba niby czekać, aż twoje testy medyczne i zezwolenia wrócą z tego magicznego miejsca, w którym podobno się znajdują, zanim twoje więzienne życie może się naprawdę zacząć. Nic, co wymaga papierkowej roboty, nie dzieje się w więzieniu szybko (poza zamknięciem w izolatce) i więzień nie ma możliwości przyspieszenia sprawy z pracownikiem więzienia. Lub w ogóle czeokolwiek.

Liczba oficjalnych i nieoficjalnych zasad, grafików i rytuałów jest przerażająca. Musisz się ich szybko nauczyć albo ponieść konsekwencje, takie jak: uznanie za idiotkę, bycie nazwaną idiotką, zrobienie sobie wroga z innej więźniarki, zrobienie sobie wroga ze strażniczki lub też kuratora, sprzątanie łazienek, ostatnie miejsce w kolejce w stołówce (a to oznacza, że nie zostało już nic jadalnego), dostanie „szota” (inaczej: raportu z zajścia) w papierach lub wysłanie do Specjalnej Jednostki Mieszkalnej albo SJM (znanej także jako Izolatka, Dziura, Zadupie). A jednak najczęstsza odpowiedź na jakiegokolwiek pytanie (poza kwestią oficjalnych zasad) brzmi: „Skarbie, nie wiesz, że w więzieniu nie zadaje się pytań?”. Wszystkiego innego – nieoficjalnych zasad – uczysz się przez obserwację, praktykę lub poprzez ostrożne wypytywanie ludzi, którym wiesz, że możesz zaufać.

Przez cały luty byłam PiO – rok był, jak na złość, przestępny – i była to przedziwna kombinacja zamieszania i przerażającej monotonii. Snułam się po budynku Obozu, uwięziona nie tylko przez federalnych, ale i przez pogodę. Bez roboty, bez pieniędzy, bez rzeczy, bez zezwolenia na telefonowanie – by-

* Amerykański egzamin eksternistyczny, uznawany za odpowiednik dyplomu szkoły średniej.

łam właściwie nikim. Dzięki Bogu za książki podarowane mi przez inne więźniarki, a także papier i znaczki. Nie mogłam doczekać się weekendu, kiedy będę mogła zobaczyć Larry'ego i moją matkę.

W piątek padał śnieg. Lekko przestraszona Annette obudziła mnie, łaskocząc w stopę.

– Piper, wzywają wszystkich PiO do służby śnieżnej! Wstawaj!

Usiadłam na łóżku, zdziwiona. Było nadal ciemno. Gdzie jestem?

– KERMAN! KERMAN! ZGŁOSIĆ SIĘ DO BIURA OFICERA DYŻURNEGO! KERMAN! – rozbrzmiał głośnik.

Annette miała wielkie oczy.

– Musisz iść! Teraz! Ubieraj się!

Wcisnęłam się w moje robocze buty i zgłosiłam do biura oficera dyżurnego, z nieumyтыми zębami i w stanie ogólnego chaosu. Oficerem na służbie była odrzucająca blondynka. Spojrzała na mnie, jakby takie coś jak ja codziennie chrupała na śniadanie po ćwiczeniach do triathlonu.

– KERMAN?

Przytaknęłam.

– Wezwałam PiO pół godziny temu. Jest służba śnieżna. Gdzie byłaś?

– Spałam.

Spojrzała na mnie, jakbym była jakąś dżdżownicą, która wylazła na chodnik po deszczu.

– Och, doprawdy? Bierz swój płaszcz i łopatę.

A śniadanie? Włożyłam na siebie termiczną bieliznę i obrzydliwy płaszcz z zepsutym suwakiem, po czym wyszłam do moich towarzyszek, które na przejmującym, lodowatym wietrze odsnieżały ścieżki. Teraz wstało już słońce i otaczała nas ponura poświata. Nie było dość łopat dla każdej, a moja była zepsuta, jednak nikt nie mógł wrócić do środka, dopóki nie uporaliśmy się z robotą. Mieliśmy więcej rozsypanych soli, niż łopat.

Jedną z PiO była mała, dominikańska kobietka w okolicach siedemdziesiątki, która praktycznie nie mówiła po angielsku.

Dałyśmy jej nasze szaliki, otuliłyśmy ją i posadziłyśmy z dala od wiatru, w drzwiach – była zbyt przestraszona, by wejść do środka, chociaż trzymanie jej tutaj z nami na zimnie było szaleństwem. Jedna z kobiet powiedziała mi przez wiatr, że ta starsza pani odsiadywała cztery lata pod „kablowym zarzutem”, czyli za odbieranie telefonów za jej męskiego krewnego – handlarza narkotyków. Zastanawiałam się, czy prokuratura USA była dumna z akurat tego „osiągnięcia”.

Martwiłam się, że Larry nie będzie mógł przyjechać z powodu pogody, jednak nie mogłam rozwiązać swoich wątpliwości, bo godziny odwiedzin zaczynały się dopiero o trzeciej po południu. Próbowałam się jakoś podnieść na duchu. Po prysznicu, ubrana w swój więzienny uniform, który uważałam za najmniej kompromitujący, stałam w fluorescencyjnym świetle obrzydliwej łazienki i patrzyłam na tę nieznaną mi kobietę w lustrze. Wyglądała mało gustownie i w moim mniemaniu niekobieco – bez biżuterii, bez makijażu, bez jakichkolwiek upiększeń. Na kieszonce mojej koszuli widniało nazwisko kogoś innego. Co pomyśli sobie Larry, gdy mnie zobaczy?

Poszłam zaczekać przed wielką salą rekreacyjną, gdzie odbywały się wizyty. Na ścianie pokoju odwiedzin umieszczono czerwone światło. Po tym, gdy więzień zobaczył ludzi idących na szczyt wzgórza i do Obozu lub gdy usłyszał swoje imię przez głośnik, trzeba było wcisnąć przełącznik z boku podwójnych drzwi pokoju. Wówczas po drugiej stronie zapalało się światło, informując OD w pokoju odwiedzin, że więzień jest na miejscu i czeka na swojego odwiedzającego. Jeśli OD miał na to ochotę, to wstawał, podchodził do drzwi, poklepywał więźnia i wpuszczał go do pokoju.

Po około godzinie czekania przed pokojem odwiedzin, zaczęłam włóczyć się po głównym hallu, znudzona i zdenerwowana. Kiedy usłyszałam swoje imię z głośnika – „Kerman, stawić się na odwiedzin!” – niemal biegiem wróciłam pod drzwi. Strażniczka z kręconymi włosami i jasnoniebieskim cieniem do powiek czekała tam na mnie. Rozłożyłam nogi i ręce, a ona mnie

obszukała, macając pod kołnierzem, pod moim sportowym biustonoszem i dokoła pasa.

– Kerman? Pierwszy raz, tak? OK, jest w środku i czeka. Uważaj na kontakt! – powiedziała i rozpostarła drzwi pokoju odwiedzin.

Na czas odwiedzin duża sala zastawiona była stolikami i składanymi krzesłami. Kiedy przyszedłam, była mniej więcej w połowie wypełniona. Larry, pełen napiętego wyczekiwania, siedział przy jednym z pustych stolików i wyglądał na zmartwionego. Kiedy mnie zobaczył, natychmiast wstał. Podbiegłam do niego i rzucałam mu się w ramiona. Byłam tak wdzięczna, że wyglądał na szczęśliwego. Znowu poczułam się sobą.

Przytulanie i całowanie się (bez języczka!) z odwiedzającymi było dozwolone tylko na początku i końcu wizyty. Niektórzy strażnicy zezwalali na trzymanie się za ręce, inni nie. Jeśli strażnik miał zły dzień, tydzień lub ogólnie życie do kitu, to od razu dało się to wyczuć w tym szarym, pokrytym linoleum pokoju. W sali były też zawsze dwie więźniarki pomagające OD i musiały tam stać godzinami i gadać o niczym ze strażnikiem.

Larry i ja usiedliśmy przy stoliku, a on po prostu patrzył na mnie, uśmiechając się. Nagle poczułam się zawstydzona, zastanawiałam się, czy zauważył we mnie różnicę. Potem zaczęliśmy rozmawiać, próbując omówić niemożliwą do omówienia ilość spraw na raz. Opowiedziałam mu o wszystkim, co wydarzyło się, odkąd wyszedł z recepcji więzienia, a on opowiedział mi, jak się czuł, wychodząc. Powiedział, że rozmawiał z moimi rodzicami i że się trzymają, i że mama przyjedzie mnie zobaczyć jutro. Wymienił wszystkich, którzy dzwonili, aby dowiedzieć się, co ze mną i którzy wysłali zgłoszenia do wpisania na listę odwiedzających. Wytłumaczyłam mu, że na liście odwiedzających jest dwudziestopięćoosobowy limit. Nasz przyjaciel Tim uruchomił w Internecie stronę www.thepipebomb.com i Larry umieścił tam wszystkie potrzebne informacje (w tym najczęściej zadawane pytania).

Rozmawialiśmy godzinami (odwiedziny odbywały się od trzeciej po południu do ósmej wieczorem w każdy piątek) i Larry'ego

interesował każdy detal mojego pobytu w więzieniu. Kiedy siedzieliśmy razem, przy stoliku, mogłam się zrelaksować i przez chwilę przestać być ciągle niespokojną i ostrożną – a taką musiałam być przez ostatnie trzy dni. Mogłam niemal zapomnieć, gdzie jestem, mimo tego że dzieliłam się właśnie wszystkimi nowymi doświadczeniami mojego życia. Czułam się kochana, gdy tak siedziałam tam z nim, i przepełniała mnie pewność, że któregoś dnia będę mogła opuścić to okropne miejsce i zostawić je za sobą. Wielokrotnie zapewniałam Larry'ego, że wszystko jest OK. Powiedziałam mu, żeby się rozejrzył – czy inne więźniarki wyglądają tak źle? Powiedział, że nie.

O siódmej czterdzieści pięć Larry i inni odwiedzający musieli wyjść. Ścisnęło mnie w sercu, gdy musiałam opuścić ten mały klosz miłości, który wytworzył się dookoła stolika. Nie będę widziała go przez następny tydzień.

– Dostałaś moje listy? – spytał.

Nie, jeszcze nie, listów nie było. Wszystko tutaj odbywa się według czasu więziennego... w zwolnionym tempie.

Rozstania były trudne i to nie tylko dla nas. Malec nie chciał rozstać się z matką i głośno zawodził, gdy jego ojciec próbował ubrać go w zimową kurtkę. Odwiedzający i więźniarki przestępowali z nogi na nogę, próbując powiedzieć sobie do widzenia. Wszyscy mieliśmy prawo do ostatniego przytulenia się, a potem pozostało nam już tylko patrzeć, jak nasi ukochani znikają w ciemności nocy. Bardziej doświadczone więźniarki już rozwiązywały sznurowadła, przygotowując się na przeszukanie.

Ten rytuał, który przechodziłam setki razy przez następny rok, nigdy się nie zmieniał. Zdjąć buty i skarpetki, koszulkę, spodnie, T-shirt. Podciągnąć sportowy biustonosz i pokazać biust. Pokazać podeszwy stóp. Potem odwrócić się plecami do strażniczki, ściągnąć majtki, kucnąć, kaszlnąć, co miało niby spowodować, że kontrabanda wypadnie na podłogę. Zawsze uważałam ten kontakt między więźniarką, która nie ma wyboru, a strażniczką, która sprawdza, za krótki i czysto formalny, ale niektóre kobiety czuły się tym tak upokorzone, że w ogóle zaprzes-

tawały korzystania z odwiedzin, byle go uniknąć. Ja nie przetrwałabym bez odwiedzin, więc zaciskałam zęby i szybko wykonywałam potrzebne czynności. Oto *qui pro quo* systemu więziennego: chcesz kontaktu z zewnętrznym światem? Bądź gotowa pokazać nam swój tyłek – za każdym razem.

Ubrałam się i wróciłam do głównego hallu, wciąż myśląc o tym, co powiedział Larry.

– Hej, Kerman, wywołali cię przy rozdawaniu poczty! – usłyszałam.

Poszłam natychmiast do biura OD, który wręczył mi szesnaście wspaniałych listów (w tym od Larry’ego!) i pół tuzina książek. Ktoś tam naprawdę mnie kochał.

Następnego dnia miała mnie odwiedzić matka. Mogłam tylko zgadywać, jak okropne musiały być dla niej ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny i martwiłam się, co sobie pomyśli, widząc ogrodzenie z drutu kolczastego – wywoływało ono atawistyczny lęk. Kiedy więc wykrzykiwali moje nazwisko przez głośnik, ledwo wytrzymałam całą tę procedurę przeszukania. Wpadłam do sali i natychmiast zaczęłam szukać wzrokiem twarzy matki. Kiedy ją zobaczyłam, wydało mi się, że całe nasze otoczenie rozmyło się w dalekie tło. Rozpłakała się, gdy mnie spostrzegła. Przez trzydzieści cztery lata mojego życia nigdy nie widziałam większej ulgi na jej twarzy.

Przez następne dwie godziny próbowałam przekonać mamę, że wszystko jest w porządku; że nikt mnie nie męczy i nikt nie robi mi krzywdy; że moje współlokatorki mi pomagają, a strażniczki zostawiają w spokoju. Obecność innych rodzin w sali, a wśród nich wielu dzieci, przypominała mi, że nie jesteśmy jedyne. W rzeczywistości byłyśmy tylko jedną z miliona amerykańskich rodzin próbujących poradzić sobie z systemem więziennym. Moja matka zamilkła, oglądając małą dziewczynkę bawiącą się z rodzicami przy innym stoliku. Skupienie na jej twarzy skutecznie przegoniło ode mnie wszelkie skargi lub uzalenie nad sobą. Starła się jakoś trzymać, ale wiedziałam, że będzie płakać całą drogę w samochodzie.

Godziny, które spędziłam w sali odwiedzin więzienia, były jednymi z najbardziej pocieszających w całym moim życiu. Mijały szybko – jedyny moment w Obozie, który mijał jak mrugnięcie okiem. Mogłam zupełnie zapomnieć o wszystkich problemach, które czekały na mnie po drugiej stronie drzwi i to uczucie towarzyszyło mi przez wiele godzin po zakończeniu każdej z wizyt.

Jednak zauważyłam, jak przerażające i okropne dla mojej rodziny było zobaczenie mnie w tym uniformie khaki i w małym stopniu – ale jednak – doświadczenie tego, z czym musiałam się mierzyć, otoczona przez strażników, obcych i potężny system kontroli. Czułam się okropnie, że muszą przeze mnie oglądać ten świat. Każdego tygodnia musiałam ciągle zapewniać i matkę, i Larry’ego, że dam radę, że wszystko jest OK. Czułam więcej winy i wstydu, patrząc na to, jak się martwią, niż w momencie, gdy stałam w obliczu sędziego – a ta chwila na sali sądowej była naprawdę trudna do zniesienia.

Zauważyłam, że Obóz miał swój charakterystyczny rytm podwyższonej aktywności i okresy spokoju – jak liceum albo pogotowie. W okresach aktywności mówiące wieloma językami kobiety chodziły tam i z powrotem w grupach, spieszyły się, przegadywały, bardzo często czekały i nieustannie gadały w kafce hałasów, różnych akcentów, które, mieszając się, tworzyły wielki, nowy język.

Jednak całe to miejsce potrafiło także umilknąć i stać się zupełnie spokojne... niemal śpiące w pewnych godzinach dnia, gdy większość obozowiczek pracowała, a salowe uporały się już ze sprzątaniem i poszły się przespać, szydełkować lub grać w karty. W nocy, po zgaszeniu świateł o dziesiątej, wszędzie było cicho, co jakiś czas tylko ten spokój przerywała jakaś kobieta zmierzająca w koszuli nocnej do łazienki lub skrzynki pocztowej, nawigując po Obozie dzięki odległemu światłu ze świetlicy, gdzie zapewne ktoś siedział, być może nielegalnie oglądając telewizję.

Nie do końca jeszcze rozumiałam zasady, które rządziły tym rytmem – posiłki, wydawanie poczty, praca, wydawanie leków,

dni zakupów (w których nie mogłam jeszcze brać udziału), telefonowanie. Jednak uczyłam się każdego dnia, uzupełniając brakujące informacje i próbując wydedukować, jak się w to wszystko wpasować.

Niemal natychmiast z zewnętrznego świata zaczęłam dostawać listy i dobre książki – bardzo dużo dobrych książek. I już niemal każdego dnia podczas wydawania poczty Gejowski Pornogwiazdor krzyczał: „Kerman!” i kopał w moją stronę plastikową torbę wypełnioną tuzinem książek, w połowie zniszczony, a w połowie zdziwiony. Wszyscy mieszkańcy Obozu patrzyli, jak odbierałam swoją pocztę i czasem komentowali to okazijnym: „Nadążasz?”.

Z jednej strony dziewczyny były pod wrażeniem tego, że ludzie na zewnątrz troszczyli się o mnie. Z drugiej jednak taka lawina słowa pisanego była dowodem, że jestem inna, jestem dziwadłem: „To ta z książkami”. Annette i kilka innych kobiet było zachwyconych świeżym dopływem materiału literackiego i z ochotą (i za pozwoleniem) pożyczały egzemplarze z mojej biblioteki. Jane Austen, Virginia Woolf i *Alicja w Krainie Czarów* z pewnością pozwalały mi wypełnić czas i dotrzymywały mi towarzystwa w głowie, jednak w prawdziwym życiu byłam bardzo samotna. Ostrożnie próbowałam nawiązać przyjaźnie, ale tak jak wszystko w więzieniu, i to okazało się trudne. W bardzo wielu miejscach taka nowicjuszka jak ja mogła popełnić błąd. Na przykład na stołówce.

Stołówka więzienna przypominała tę szkolną, która raczej nikomu nie kojarzy się dobrze. Wielka podłoga z linoleum, zastawiona stołami – każdy z czterema przytwierdzonymi obrótownymi krzesłami (żeby nie można było nimi rzucać?). Okna po obu stronach wychodziły na główne wejście do Obozu, gdzie znajdowały się parking, rampa dla niepełnosprawnych i zapomniane, nieużywane boisko do kosza. Śniadanie było wręcz kameralne, uczestniczyła w nim tylko część więźniarek, w większości starszych, które lubiły ten niemal medytacyjny rytuał o szóstej trzydzieści rano. Nigdy nie trzeba było czekać przy śniadaniu –

brało się tacę i plastikowe sztucce, i podchodziło się do lady kuchennej, gdzie jedzenie wydawały inne więźniarki – niektóre z kamienną twarzą, niektóre gadatliwe. Zazwyczaj zimne płatki lub owsianka, a w naprawdę dobre dni – jajka na twardo. Zazwyczaj każdy dostawał też jakiś owoc: jabłko albo banana lub czasami twardą jak kamień brzoskwinie. Wielkie kadzie wodnistej kawy stały obok automatów z napojami, wypełnionych wodą i rozcieńczonym Kool-Aidem.

Natychmiast wyrobiłam w sobie nawyk chodzenia na śniadanie, gdzie mogłam siedzieć sama w spokoju, nie pijąc tej okropnej kawy i obserwując, jak inne więźniarki przychodzą i wychodzą, i patrzeć przez wychodzące na wschód okna na budzące się słońce.

Lunch i obiad były zupełnie inne: kolejka kobiet czekających na jedzenie rozciągała się wzdłuż ściany pod oknami, a czasem nawet za drzwiami; hałas był niemiłosierny. Te posiłki działały mi na nerwy i ostrożnie poruszałam się po sali z moją tacką, próbując znaleźć puste krzesło blisko kogoś mi znanego lub najlepiej zupełnie pusty stół. Siedzenie z kimś, kogo się nie znało, było ryzykowne. Można było trafić na pełne pogardy spojrzenie i wymowne milczenie lub na krótkie: „To krzesło jest zajęte”. Ale można też było trafić na kogoś gadatliwego lub wścibskiego. Po takich spotkaniach często zaczęła mnie Annette, mówiąc:

– Piper, nie chcesz się z nią zadawać. Zanim się obejrzyysz, będzie chciała, żebyś jej robiła zakupy.

Annette miała głęboko zakodowany instynkt macierzyński, który pomógł mi zorientować się w obowiązujących zasadach, jak pamiętanie o zliczaniu i numerach PAC, oraz którego dnia miałam prawo zanieść swoje ubrania do pralni. Jednak była niezwykle podejrzliwa wobec wszystkich innych więźniarek, które nie były białe i z klasy średniej. Jak się później dowiedziałam, Annette została oszukana przez młodą dziewczynę, która naciągała ją na kupno różnych rzeczy z więziennego sklepiku – ze współczucia. Dziewczyna była znana z oszukiwania nowych wię-

źniów, więc Annette się sparzyła i jej ostrożność była przesadna. Zapraszała mnie na niekończące się sesje remika z jej Włoszkami, które, narzekając, tolerowały jakoś moją beznadziejną grę. Czarne dziewczyny grały obok hałaśliwie w piki; Włoszki uważały, że wszystkie oszukują.

Annette przedstawiła mnie Ninie, również Włoszce, która była w moim wieku i siedziała kilka pokoiów dalej; ona także wzięła mnie pod swoje skrzydła. Nina wróciła właśnie po miesiącu izolatki (odmówiła udziału w odśnieżaniu) i czekała na umieszczenie w jednym z dormitoriów. Annette bała się chyba wszystkich innych więźniarek, jednak nie Niny, którą cechowało cwaniactwo w stylu dziewczyny z Brooklynu. Była równie ostrożna wobec innych jak Annette.

– Wszystkie to wariatki. Chce mi się rzygać na samą myśl o nich – mawiała.

Miała ciężkie życie, wiedziała dużo o więzieniu, była niezwykle zabawna i zaskakująco tolerancyjna wobec mojej naiwności – chodziłam za nią jak szczeniak. Słuchałam jej rad, jak nie dać się oszukać. Bardzo chciałam umieć rozpoznawać niewariatki.

Nieźle też układało mi się z kilkoma kobietami z mojej grupy PiO (a co więcej, mogłam spamiętać ich imiona): wytatuowaną Latynoską z mojego pokoju, która odsiadywała sześć miesięcy, bo złapali ją z sześcioma kilogramami kokainy w wozie (nie miało to dla mnie żadnego sensu) i kwaśnym rudzielcem, która powtarzała ciągle, jak to lepiej jest w Zachodniej Wirginii i w porównaniu do Danbury, „choć tutaj jest więcej nas, dziewczyn z północy, jeśli wiesz, o czym mówię”. Do tego dochodziła mała Janet z Brooklynu, która powoli się do mnie przekonywała, chociaż nadal uważała, że jestem dziwna z tą moją całą przyjacielskością. Miała zaledwie dwadzieścia lat: dziewczyna z college’u, którą wsadzili za bycie tragarzem. Siedziała w karaibskim więzieniu przez cały okropny rok, zanim przyjechali po nią federalni. Teraz odsiadywała sześćdziesiąt miesięcy – więcej niż połowa z jej życia między dwudziestym a trzydziestym rokiem minie jej za kratkami.

Pewnego dnia w czasie lunchu przyłączyła się do mnie inna Janet, która była w okolicy pięćdziesiątki: wysoka, ładna i charakterystyczna. Patrzyłam na nią i zastanawiałam się, jaka historia się w niej kryje – przypominała mi moją ciotkę. Janet była, jak ja, narkotykowym przestępcą z klasy średniej. Odsiadywała dwa lata za marihuanę. Gdy rozmawialiśmy, była przyjacielska, ale nigdy nie naciskała, respektując przestrzeń osobistą innych ludzi. Dowiedziałam się, że podróżowała po świecie – klasyczna ekointelektualistka, walcząca o pokój fanatyczka fitnessu i specjalistka od jogi. A do tego praktykująca buddystka z ciętym poczuciem humoru – takich właśnie cech szukasz w towarzyszce w więzieniu.

Jedzenie za kratami wymagało podejścia w stylu Zen. Lunch w stołówce był czasem ciepły, czasem nie, a najbardziej popularne posiłki składały się z hamburgerów jak z McDonalda lub też lunchu ostatecznego – rzadkiej kanapki z głęboko smażonym kurczakiem. Ludzie szaleli za kurczakiem, niezależnie w jakiej był formie. Znacznie częściej trafiała się mortadela i gumowaty pomarańczowy ser na białym chlebie oraz niekończące się ilości taniej i tłustej skrobi w formie ryżu, kartofli i obrzydliwej, mrożonej pizzy. Desery były różne, czasami składały się z dobrych, pieczonych na miejscu ciast i ciasteczek, a czasami z galaretki lub misek puddingu, przed którym zostałam szybko ostrzeżona: „Pochodzi z puszek oznaczonych PUSTYNNA BURZA i jeśli na gorze jest pleśń, to po prostu ją zdrapują i podają resztę”. Nielicznym wegetariankom podawali mięso sojowe. Było obrzydliwe i składało się z sojowego proszku, który ktoś w kuchni próbował bez rezultatu uczynić jadalnym. Zazwyczaj wyglądało to jak robaki. Czasami, jeśli dodali cebuli, dało się to zjeść. Biedna Janet-Joginka była wegetarianką i po prostu jadła tylko tyle, żeby przetrwać.

Bar sałatkowy dostępny był zarówno w czasie lunchu, jak i kolacji. Zazwyczaj do wyboru była sałata lodowa, krojone ogórki i surowy kalafior. Tylko niektóre kobiety, jak Joginka Janet, korzystały z baru sałatkowego regularnie. Mówiłam im zawsze

nieśmiało „cześć” – moim siostróm w błonniku. Czasami w barze pojawiały się też inne warzywa – brokuły, kiełki fasoli z puszek, seler, marchewki i bardzo rzadko surowy szpinak. Te szybko znikwały ze stołówki, zabierane na potrzeby więziarskich projektów kuchennych, które pełną parą realizowały się z użyciem dwóch mikrofalówek ustawionych koło dormitoriów. Miałyśmy dostęp tylko do jedzenia ze stołówki i do tego, co więźniarki dały radę kupić w sklepie.

Stałym widokiem w stołówce była Pop – swego czasu współlokatorka Włoszki Niny – która była postawną żoną rosyjskiego gangstera i rządziła kuchnią twardą ręką. Pewnego wieczoru siedziałam z Niną, gdy powoli kończyła się godzina kolacji i przysiadła się do nas Pop, w swoim specjalnie zaprojektowanym kuchennym fartuchu ozdobionym napisem POP nad sercem, wyszytym białą nitką w stylu Laverne albo Shirley. A ja, nie mając o niczym pojęcia, zaczęłam narzekać na jedzenie. Jeszcze wtedy nie mogłam uwierzyć, że ktokolwiek mógłby być dumny ze swojej więziennej roboty – Pop była. Kiedy zażartowałam o strajku głodowym, miarka się przebrała.

Pop spojrzała na mnie groźnie i wskazała palcem.

– Słuchaj złotko, wiem, że dopiero tu przyjechałaś, więc nie rozumiesz jeszcze co i jak. I ten jeden raz cię oświecę. Jest tutaj coś takiego, co nazywamy „wzywaniem do buntu” i to gównó, o którym opowiadasz, strajki głodowe, to jest właśnie wzywanie do buntu. Możesz przez to wpaść w poważne kłopoty: ani się obejrzyś, a będziesz wyziębiała sobie dupę w izolatce. Mnie to wszystko nie obchodzi, ale ty nie znasz tych ludzi, złotko. Niewłaściwa osoba usłyszysz, co gadasz, idzie i powtarza OD, i będziesz zdziwiona, jak szybko przyjdzie tutaj porucznik i cię zamknie. Posłuchaj więc mojej rady i uważaj, co gadasz.

Po tej tyradzie wstała i poszła. Nina patrzyła na mnie w milczeniu, przekazując komunikat: „Ty dupku”. Od tego momentu starałam się nie wchodzić Pop w drogę, schylając głowę, by uniknąć jej wzroku w kolejce.

Luty to miesiąc czarnej historii i ktoś obwiesił stołówkę portretami Martina Luthera Kinga, George'a Washingtona Carvera i Rosy Parks.

– Nikt nic, kurwa, nie powiesił na Dzień Kolumba – narzekała kobieta nazwiskiem Lombardi, która stała za mną w kolejce tego dnia. Czy naprawdę przeszkadzał jej Martin Luther King? Trzymałam głębę na kłódkę. Więzienie o obniżonym rygorze Danbury mieściło około 200 kobiet, jednak czasami liczba ta wzrastała do przerażająco ciasno upakowanych 250. Około połowa z nich była Latynoskami (Puerto Rico, Dominikana, Kolumbia), było też około 24 procent białych, 24 procent Afroamerykanek i Jamajek, a reszta to losowe zbiorowisko: jedna Hinduska, kilka kobiet z Bliskiego Wschodu, trochę Indianek, jedna malutka Chinka koło sześćdziesiątki. Zawsze zastanawiałam się, jak to jest: być tutaj bez swojego plemienia. Musiało to wyglądać w stylu *West Side Story* – trzymaj się swoich, Marial

Ten rasowy podział był całkiem jawny. Trzy główne dormitoria były zorganizowane (podobno przez kuratorów, którzy przydzielali miejsca) w ścisły system. Dormitorium A było znane jako „Przedmieście”, Dormitorium B jako „Getto”, a Dormitorium C to „Hiszpański Harlem”. Pokoje, gdzie najpierw trafiali nowi, były dziwną mieszanką. Butorsky zonglował przydziałem spania jak bronią, więc jeśli zalazłaś mu za skórę, to zostawałaś w pokojach. Najbardziej chore kobiety w Obozie lub te, które były w ciąży (jak ta, którą widziałam na początku) dostawały dolne łóżka. Na górnych spały nowe lub sprawiające problemy (a tych nigdy nie brakowało). Pokój szósty, gdzie mieszkałam, służył raczej jako izba chorych, a nie karniak – miałam szczęście. W nocy leżałam w ciemnościach na moim łóżku ponad chrapiącą Polką, słuchając mruczenia aparatury do oddychania Annette i patrząc ponad innymi łózkami przez okna, które były na poziomie mojego materaca. Kiedy świecił księżyc, mogłam zobaczyć czubki jodeł i białe wzgórza w odległej dolinie.

Spędzałam tyle godzin, ile mogłam, stojąc w chłodzie i patrząc na wschód ponad ogromną doliną Connecticut. Obóz stał

na szczycie jednego z najwyższych wzgórz w okolicy i można było oglądać wzgórza, farmy i miasteczka w dolinie, odległe nawet o wiele kilometrów. W lutym oglądałam wschód słońca każdego dnia. Szłam oblodzonymi schodami, które prowadziły do polowej siłowni i zamrożonego boiska Obozu, gdzie spacerowałam po zmarzniętej ziemi, otulona w mój obrzydliwy brązowy płaszcz i szczypiącą czapkę w kolorze wojskowej zieleni, ciepły szal i rękawiczki. Następnie szłam do wyźębionej siłowni, gdzie podnosiłam ciężary, niemal zawsze (dzięki Bogu) sama. Pisałam listy i czytałam książki. Ale czas był potworem. Wielkim, okropnym i nieporuszalnym potworem, którego nie obchodziły moje wysiłki i próby, by biegł szybciej.

Bywały dni, gdy praktycznie się nie odzywałam, po prostu obserwując i nic nie mówiąc. Bałam się nie tyle przemocy fizycznej (nie widziałam żadnych jej śladów), co raczej publicznej kompromitacji za spieprzenie czegoś – albo złamanie reguły więzienia, albo reguły więźniarek. Znajdziesz się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie, usiądziesz na „czyimś” miejscu, wejdiesz gdzieś, gdzie nie jesteś mile widziana, zadasz niewłaściwe pytanie, a zostaniesz natychmiast wyzwana i zbesztana przez przerażającą strażniczkę albo przez przerażającą więźniarkę (czasem po hiszpańsku). Poza zadawaniem pytań Ninie, teoretyzowaniem i wymienianiem się notkami z innymi PiO na temat tego, co jest czym, starałam się nie odzywać.

Jednak inne więźniarki tak naprawdę o mnie dbały. Rosemarie każdego dnia przynosiła mi swój „Wall Street Journal” i sprawdzała, jak się mam. Joginka Janet siedziała ze mną w czasie posiłków i gadałyśmy o Himalajach, Nowym Jorku i polityce. Była oburzona, gdy w czasie rozdawania poczty pojawiła się moja prenumerata „The New Republic”.

– Równie dobrze możesz czytać „The American Standard”!
– powiedziała z niesmakiem.

Pewnego dnia zakupów – przypadały dwa razy w tygodniu, wieczorami, pół Obozu w poniedziałki, a drugie pół we wtorki –

Nina pojawiła się w drzwiach pokoju numer sześć. Nadal nie miałam pieniędzy na moim więziennym koncie, więc myłam się pożyczonym mydłem i bardzo zazdrościłam innym więźniarkom wycieczek na zakupy.

– Hej, Piper, co powiesz na piwo korzenne z lodami? – spytała Nina.

– Co? – Byłam osłupiała i głodna. Na obiad była pieczona wołowina o przedziwnej metalicznozielonej powłoce. Zjadłam więc ryż i ogórki.

– Idę kupić sobie lody. Możemy zrobić z nich sobie napoje z piwem korzennym.

Popadłam w euforię, jednak zaraz mój entuzjazm przygasł.

– Nie mogę robić zakupów, Nina. Moje konto jeszcze nie działa.

– Zamkniesz się wreszcie? Chodź ze mną.

W sklepie można było dostać tanie lody – waniliowe, czekoladowe lub truskawkowe. Musiałas je zjeść od razu, bo oczywiście nie było tam żadnej lodówki, tylko wielka maszyna do lodu dla więźniarek. Biada tej, która włożyłaby lody do maszyny i została złapana przez inną więźniarkę! Co ciekawe, opieprz dostałabyś od razu, za bycie obrzydliwie niehigieniczną. Tego, tak jak wielu innych rzeczy, po prostu się nie robiło.

Nina przyniosła waniliowe lody i dwie puszki korzennego piwa. Ciekła mi ślinka, gdy przygotowywała nasze napoje w plastikowych kubkach od kawy – pianka była tak wspaniale brązowa! Podała mi jeden i wzięłam mały łyk, po którym zostały mi wąsy z piany. Byłam tak szczęśliwa, że do oczu napłynęły mi łzy.

– Dziękuję ci, Nina. Bardzo, bardzo dziękuję.

W czasie rozdawania poczty nadal dostawałam lawinę listów i cieszyłam się każdym z nich. Niektóre były od bardzo bliskich mi przyjaciół, niektóre od rodziny, a niektóre od ludzi, których nigdy nie spotkałam, przyjaciół moich przyjaciół, którzy usłyszeli o mnie i poświęcili swój czas, by pocieszyć listem kompletnie obcą im osobę. Larry powiedział mi, że jedna z naszych przyja-

ciółek powiedziała swoim rodzicom o mnie i jej ojciec zdecydował się przeczytać każdą książkę na mojej liście życzeń z Amazonu. Wkrótce zgromadziłam przez pocztę: piękne kartki i listy pisane na specjalnym, ozdobnym papierze, które były skarbem w tym okropnie brzydkim więzieniu, siedem wydrukowanych kartek z dowcipami Stevena Wrighta, małą książeczkę o kawie, własnoręcznie zilustrowaną przez mojego przyjaciela Petera i dużo, dużo fotografii kotów innych ludzi. Były to moje bogactwa i tak naprawdę moja jedyna własność w więzieniu.

Mój wujek, Winthrop Allen III, napisał:

Pipes,

Twoja strona internetowa spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem, przesłałem ją kilku moim przyjaciołom i znajomym, więc nie bądź zdziwiona, jeśli zaczniesz dostawać paczki starych książek z nieznanymi źródłami.

W paczce znajdziesz *Słownik japońskiego slangu*. Nigdy nie wiadomo, kiedy może ci się przydać właściwa obelga. *Joe Orton* nie wymaga przedstawienia, ale jeśli już go potrzebujesz, to jest jedno na okładce. *Parkinson* był całkiem zabawnym fajtlapą, twórcą prawa Parkinsona, które jakoś wyleciało mi z głowy. Nie, teraz już pamiętam, to o tym, że zadania powiększają się, by wypełnić dostępny czas. Kiedy więc uporasz się już z Twoją terapią grupową, wykładami o bezpiecznym seksie i 12-stopniowymi kazaniem, możesz wypróbować tę hipotezę.

Książę – Machio jest moim ulubionym autorem. Tak jak Ty, i ja jest ciągle oczerniany.

Tęcza Grawitacji – wszyscy moi uczeni przyjaciele uważają ją za najlepszą książkę od czasu *Pod Wulkanem*. Cóż, nie dałem rady skończyć obu.

Dołączam też kilka plakatów, żebyś mogła zabrać się za dekorowanie chaty, zanim pojawi się *Marta* z jej całym cyrkiem durnostojków.

Na najlepszego,
Winthrop
Najgorszy Wu j

Zacząłam dostawać listy od człowieka nazwiskiem Joe Loya, pisarza i przyjaciela przyjaciółki z San Francisco. Joe tłumaczył, że odsiedział siedem lat w więzieniu federalnym za napad na bank, że wie, przez co przechodzę, i że ma nadzieję, że mu odpiszę. Powiedział, że pisanie uratowało mu życie, gdy musiał przesiedzieć dwa lata w izolatce. Byłam zadziwiona intymnością jego listów, lecz także wzruszona; dużym wsparciem była świadomość, że jest tam ktoś, kto rozumie coś z tego surrealistycznego świata, w którym się znalazłam.

Więcej listów niż ja dostawała tylko siostra zakonna. Mojego pierwszego dnia w Obozie ktoś mi powiedział, że żyje tutaj siostra zakonna – w moim początkowym zdziwieniu założyłam, że chodzi o siostrę zakonną, która zdecydowała się żyć wśród więźniarek. W pewnym sensie miałam rację. Siostra Ardeth Platte była więźniem politycznym, jedną z kilku sióstr zakonnych, które były aktywistkami pokojowymi i odsiadywały długie wyroki za wejście na niedozwolony teren w czasie pokojowego protestu w silosie nuklearnym Minuteman II w Kolorado. Każdy darzył sympatią Siostrę (tak ją wszyscy nazywali), która miała sześćdziesiąt dziewięć lat i była twardą sztuką, ale też wspaniałą, niemal czarodziejską i promieniującą dobrocią oraz czarem osobą. Jak się można było spodziewać, Siostra dzieliła łóżko z Joginką Janet – lubiła, gdy Janet kładła ją każdej nocy do łóżka, z przytuleniem i buziakiem na jej miękkim, pomarszczonym czole. Włoszki były najbardziej oburzone jej sytuacją. „Pieprzeni federalni nie mają nic lepszego do roboty, tylko zamykać siostry zakonne?” – wypluwały z siebie z wyrazem obrzydzenia. Siostra dostawała duże ilości poczty od pacyfistów z całego świata.

Pewnego dnia dostałam list od mojej najlepszej przyjaciółki Kristen, którą spotkałam już w pierwszym tygodniu studiów w Smith. W kopercie była krótka notka, skreślona w samolocie,

i wycinek z gazety. Rozłożyłam go i zobaczyłam felieton Billa Cunninghama z serii „Na ulicy” z niedzielnego wydania „New York Timesa” z 8 lutego. Pół strony zajmowało około tuzin fotografii kobiet w każdym wieku, różnej rasy, kształtu i wielkości, ale wszystkie wyróżniał ostry, pomarańczowy strój. „Oranżada gotowa” – głosił nagłówek. Kristen dopisała na niebieskiej karteczce: „Njorczycy noszą się na pomarańczowo w solidarności z losem Piper! Buziaki, K”. Ostrożnie włożyłam wycinek w drzwi mojego schowka i za każdym razem, gdy go otwierałam, witała mnie notka mojej przyjaciółki i uśmiechnięte twarze kobiet w pomarańczowych płaszczach, czapkach, szalikach, a nawet z pomarańczowymi wózkami dla dzieci. Najwyraźniej pomarańczowy był teraz w modzie.

Rozdział 5

W głąb króliczej nory

Po dwóch tygodniach byłam coraz lepsza w sprzątaniu, gdyż inspekcje miałyśmy dwa razy w miesiącu i dało się odczuć społeczną presję, żeby nie spieprzyć sprawy – zwycięzcy inspekcji jedli pierwsi, a niektóre szczególnie czyste „honorowe klity” były pierwsze pośród pierwszych. To zadziwiające, do ilu rzeczy można użyć podpaski – naszego podstawowego narzędzia do czyszczenia.

W pokoju numer sześć atmosfera była lekko ciężkawa w kwestii tego, kto sprząta, a kto nie. Miss Luz, której wiek mieścił się w okolicach siedemdziesiątki, chora na raka, nie musiała sprzątać. Kobieta z Puerto Rico, która zajmowała jedno z górnych łóżek, nie mówiła po angielsku, ale w milczeniu pomagała mnie i Annette odkurzać i szorować. Polska bigotka, która zajmowała łóżko pode mną, odmawiała sprzątania, ku wściekłości Annette. Moja wytatuowana koleżanka z PiO pomagała bez entuzjazmu, dopóki nie odkryła, że jest w ciąży i nie została przeniesiona na dolne łóżko w innym pokoju. Biuro Więzień nie lubi wszak pozwów.

Nowa dziewczyna, która zajęła jej miejsce w pokoju numer sześć była dużą Hiszpanką. Na początku używałam politycznie poprawnego terminu „Latynoska”, jak nauczyłam się robić w Smith, ale każdy, niezależnie od rasy czy koloru, patrzył na mnie jak na wariatkę. Wreszcie zostałam stanowczo poprawiona przez kobietę z Puerto Rico:

– Mówimy na siebie: Hiszpanki, złotko. Hiszpańskie *mamis*.

Nowa, młoda hiszpańska *mami* usiadła nago na materacu górnego łóżka i wyglądała na zdziwioną. Nadszedł czas, żebym to ja pomogła się komuś innemu zorientować.

– Jak masz na imię?

– Maria Carbon.

– Skąd jesteś?

– Z Lowell.

– W Massachusetts? Też jestem stamtąd, wychowałam się w Bostonie. Ile czasu cię czeka? – Spojrzała na mnie pustym wzrokiem. – To znaczy: jak długi jest twój wyrok?

– Nie wiem.

To mnie zmroziło. Jak można nie znać swojego wyroku? Nie uważałam, żeby to był problem językowy – jej angielski był bez akcentu. Spojrzała na mnie, jakby była w szoku.

– Słuchaj, Maria, wszystko będzie OK. Pomogę ci. Musisz odwalić swoją robotę papierkową i dziewczyny zaraz dadzą ci rzeczy, których potrzebujesz. Kto jest twoim kuratorem?

Maria spojrzała na mnie bezradnie i w końcu wycofałam się, żeby zatrudnić jedną z innych hiszpańskich *mamis*, by pomogły mi z nową.

Pewnego wieczoru przez głośniki huknęło „Kerman!” i pobiegłam do biura Butorsky’ego.

– Przenosimy cię do Dormitorium B! – warknął. – Boks osiemnasty. Będiesz dzielić łóżko z panną Malcolm!

Nigdy wcześniej nie byłam w dormitoriach (które były „poza zasięgiem” PiO). W mojej wyobraźni były ciemnymi jaskiniami, zamieszkanymi przez twardych skazańców.

– Lubi cię – powiedziała Nina, moja ekspertka we wszystkim, co dotyczyło więzienia i która nadal czekała na powrót do Dormitorium A, razem z Pop. – Dlatego posadził cię z panną Malcolm. Siedzi już od dawna. No i zawsze będziecie honorową klitą.

Nie miałam pojęcia, kim jest panna Malcolm, ale wiedziałam już, że w więzieniu tytuł „panna” przysługiwał tylko starszym lub tym, które cieszyły się wielkim szacunkiem.

Zebrałam moje nieliczne rzeczy i cała w nerwach udałam się na schody do Dormitorium B, znanego także jako „Getto”, ścis-

kając moją poduszkę i torbę wypchaną uniformami. Swoje książki, jedyne rzeczy, które miały jakąś wartość, musiałam zabrać za drugim zamachem. Dormitoria okazały się dużymi, częściowo podziemnymi pokojami w piwnicy, które tworzyły labirynt klitek. W każdej mieszkały dwie więźniarki, na wyposażeniu było piętrowe łóżko, dwa metalowe schowki i drabina. Boks osiemnasty okazał się znajdować obok łazienki, tuż przy murze z oknami. Panna Malcolm czekała tam na mnie – była małą, ciemnoskórą kobietą w średnim wieku, o mocnym, karaibskim akcencie. Od razu przeszła do rzeczy.

– To twój schowek – pokazała na pustą szafkę – a to są twoje wieszaki. Te wieszaki są moje i tak zostanie. – Jej ubrania wisiały równiutko, a wraz z nimi jej kraciaste spodnie kucharki i fartuch bordo. Pracowała w kuchni. – Nie obchodzi mnie, czy jesteś homo, czy co, ale nie chcę żadnych głupot w łóżku. Sprzątam w niedzielę wieczorem. Musisz pomagać w sprzątaniu.

– Oczywiście, panno Malcolm – przytaknęłam.

– Mów mi: Natalie. Pościelę ci łóżko.

Nagle nad murem boksu wychynęła blond czupryna.

– Hej, sąsiadko! – Była to wysoka, biała dziewczyna o twarzy dziecka, która zmywała naczynia w stołówce. – Jestem Colleen!

– Colleen spojrzała ostrożnie na moją nową towarzyszkę. – Jak się miewamy, panno Natalie?

– Cześć, Colleen – ton Natalie wskazywał na tolerancję dla wygłupiających się dziewczyn, ale tolerancję, która ma swoje granice. Nie było w tym nic nieprzyjemnego lub złośliwego, po prostu była dość stanowcza.

– Jak masz na imię, sąsiadko?

Przedstawiłam się, a ona przeskoczyła z najwyższego łóżka do boks, który dzieliłam teraz z panną Malcolm. Zostałam zasypana pytaniami na temat mojego niesamowitego, dziwnego imienia oraz tego, ile czasu mam i skąd jestem. Próbowałam odpowiedzieć na nie pojedynczo. Colleen była więzienną artystką, specjalizującą się w kwiatkach, księżniczkach z bajek i dziwacznej kaligrafii.

– O kurde, sąsiadko, muszę zrobić ci plakietkę z imieniem! Zanotuj mi, jak się to pisze – powiedziała.

Colleen projektowała kobiecym krojem pisma odbłaskowe plakietki z imionami dla wszystkich nowych w Dormitorium B, poza tymi, które odsiedziały już trochę poniżej wzgórza w więzieniu federalnym; one miały już swoje własne, oficjalnie wyglądające – czarne, plastikowe plakietki z białymi literami. Natalie też taką miała.

Wygrałam klitkową loterię. Natalie, kobieta, która dobiegała już końca swojego ośmioletniego wyroku, była skarbnicą cichej godności i dobrych rad. Z powodu jej mocnego akcentu, żeby ją zrozumieć, musiałam się bardzo dobrze wsłuchiwać we wszystko, co mówiła. Nigdy nie mówiła rzeczy niepotrzebnych. Była głównym piekarzem w kuchni. Wstawała o czwartej nad ranem, by zacząć swoją zmianę i trzymała się raczej sama, poza kilkoma przyjaciółkami spośród kobiet z Karaibów i jej współpracownic w kuchni. W ciszy czytała, chodziła po boisku i pisała listy. Do łóżka chodziła wcześniej, o ósmej. Rozmawiałyśmy niewiele o naszym życiu poza więzieniem, ale mogła mi odpowiedzieć na niemal każde pytanie o życie tutaj, w Danbury. Nigdy nie powiedziała, dlaczego się tu znalazła, a ja nigdy nie pytałam.

Jak to możliwe, że Natalie była w stanie zasnąć o ósmej wieczorem? Było to dla mnie zupełną tajemnicą – w Dormitorium B było GŁOŚNO. Pierwszego wieczoru leżałam cicho jak myszka w swoim górnym łóżku, próbując zrozumieć coś z krzyków i hałasu, który wypełniał cały ten wielki pokój, zaludniony kobietami. Martwiłam się, że w ogóle nie dam rady spać i zwaniam się w tej kakofonii. Jednak kiedy zgasty główne światła, wszystko uspokoiło się dość szybko i mogłam odpłynąć, kołyszana oddechami czterdziestu siedmiu innych kobiet.

Następnego ranka coś obudziło mnie przed świtem. Oszołomiona i zagubiona usiadłam na łóżku. W dormitorium było jeszcze ciemno, wszystko pogrążone było w sennej ciszy. Coś jednak się działo. Wydawało mi się, jakbym kogoś słyszała, nie tyle krzyczącego, co zdenerwowanego. Spojrzałam w dół – Na-

Jednak ilość wysiłku, która była potrzebna do skonstruowania niektórych kartek, pieczętowlowicie wykonanych z wycinków gazetowych i innych zbieranych materiałów, sugerowała prawdziwe uczucie.

Od samego początku zdecydowałam, że nie ujawnię nic z mojej lesbijskiej przeszłości żadnej z więźniarek. Gdybym powiedziała tylko jednej osobie, wkrótce wiedziałyby o tym cały Obóz, a z tego nie mogło wynikać nic dobrego. Opowiadałam więc dużo o moim kochanym narzeczonym Larrym i w Obozie wiadano, że nie jestem „z tych”, jednak wcale nie szokowały mnie kobiety, które „z tych” były. Mówiąc szczerze, większość z nich nie była nawet w moim mniemaniu „prawdziwymi lesbijkami”. Były, jakby to ujął oficer Scott, kobietami o „zmienionej orientacji na czas pobytu”, więziennymi odpowiednikami „lesbijki do absolutorium”.

Trudno było sobie wyobrazić, jak ktoś może znajdować się w intymnym związku w tak zatłoczonym środowisku, a co dopiero w związku nielegalnym. Z praktycznego punktu widzenia, jak, na litość boską, mogłabyś być sama w Obozie bez groźby przyłapania? Wiele z romantycznych związków, które obserwowałam, przypominało raczej szkolne romanse i rzadko kiedy para była ze sobą dłużej niż miesiąc lub dwa. Łatwo było rozpoznać różnicę między kobietami, które były samotne i potrzebowały pomocy, uwagi i romansu a prawdziwymi lesbijkami. Tych było bardzo mało. Były inne przeszkody dla długoterminowych kochanek: wyroki o zupełnie innej długości, łóżka w różnych dormitoriach lub zadurzenie się w kimś, kto nie był tak naprawdę lesbijką.

Colleen i jej współlokatorka dostały dużo walentynek od innych więźniarek. Ja nie dostałam żadnej, ale wieczorna poczta dała mi wiele dowodów na to, że jestem kochana. Najlepszym z nich była mała książeczka z wierszami Nerudy od Larry’ego. *Dwadzieścia wierszy o miłości i pieśń rozpacz*. Postanowiłam czytać jeden wiersz każdego dnia.

Myśmy nawet ten zmierzch stracili.

Nikt nas nie widział z rękami złączonymi tego wieczora,

kiedy noc błękitna zapadała nad światem.

*Widziałem z mojego okna
uroczystość zachodu na dalekich wzgórzach.*

*Jak moneta czasem
w moich rękach zapalał się kawałeczek słońca.*

*Ze ściśniętym sercem cię wspominałem
od tego smutku, z którego mnie znasz.*

*Gdzie byłeś w tej chwili?
Wśród jakich ludzi?
Jakie mówiłeś słowa?*

*Czemu cała miłość przychodzi nagle wtedy,
kiedy czuje się smutny i czuje, że daleko jesteś?*

*Upadła książka, którą zawsze się bierze o zmierzchu,
i jak raniomy pies u moich stóp włókł się mój płaszcz.*

*Zawsze, zawsze się oddalasz, kiedy zapada wieczór,
w tę stronę, gdzie biegnie mrok zacierając pomniki.**

Wreszcie 17 lutego mogłam zrobić zakupy, podczas których kupiłam:

Portki w rozmiarze XL, dane mi przez pomyłkę i których nie mogłam zwrócić – 24,70 dolara

Kostkę masła kakaowego – 4,30 dolara

Puszki tuńczyka, sardynek i makreli, każda po jakieś 1 dolara

Chińską zupkę – 0,25 dolara

* Tłum. Jan Zych.

Ser w tubce – 2,80 dolara

Piklowane papryczki jalapeño – 1,90 dolara

Ostry sos – 1,40 dolara

Notatniki, długopisy, koperty i znaczki – bezcenne.

Bardzo chciałam kupić tanie i małe przenośne radio na słuchawki za 42,90 dolara. W normalnych warunkach kosztowałoby jakieś 7 dolarów. Przy standardowej płacy w więzieniach federalnych (czyli około 14 centów za godzinę) radio to odpowiadało ponad trzystu godzinom pracy. Potrzebowałam go, by wysłuchać weekendowego filmu lub dowolnego programu w telewizji, i do użytku w siłowni, ale oficer, który prowadził sklep powiedział, że radia się skończyły. *No mas*, Kerman.

Na szczęście, ponieważ mogłam liczyć na pieniądze spoza więzienia, mogłam kupić coś każdej osobie, która pomogła mi po przyjeździe – mydło, pastę do zębów, szampon, klapki, paczki kawy rozpuszczalnej. Niektóre kobiety nie chciały nawet o tym słyszeć – „Nie zaprzataj sobie głowy, Kerman”, jednak nalegałam.

Zapomnij o tym – powiedziała Annette, która pożyczyła mi tyle rzeczy w pierwszych kilku tygodniach. – Jesteś dla mnie jak córka! A przy okazji, dostałaś dziś jakieś nowe książki?

Książek przybywało przy każdym rozdawaniu poczty. W pewnym momencie było mi nawet trochę wstyd i powoli zaczynałam się już martwić. Oznaczało to wszak, że „miałam tak dobrze” na zewnątrz i że służyła mi cała sieć ludzi, którzy martwili się o mnie i mieli czas oraz pieniądze, żeby kupować mi książki. Jak na razie nikt nie zagroził mi niczym poważniejszym niż warknięcie lub ostre słowo i żadna inna więźniarka niczego ode mnie nie chciała. A jednak byłam coraz ostrożniejsza i uważniejsza, żeby nie zostać wykorzystaną i nie znaleźć się u nikogo na celowniku. Wiedziałam, że wiele kobiet ma bardzo mało albo w ogóle nie ma środków z zewnątrz, by uczynić życie w więzieniu znośnym, ale też wiele moich współtowarzyszek było wytrawnymi naciągaczkami.

Pewnego dnia, wkrótce po tym, jak przeniosłam się do Dormitorium B, kobieta, której nie znałam, pojawiła się w drzwiach mojego boksu. Panny Natalie nie było, a ja wkładałam nowe książki do mojego małego schowka, który groził rozpadnięciem się od ich ilości. Spojrzałam na kobietę – czarną, w średnim wieku, zwykłą, lecz nieznaną. Natychmiast postawiłam się na baczność.

– Hej, nowa. Gdzie jest panna Natalie?

– Yyy, w kuchni... Tak mi się wydaje...

– Jak masz na imię? Ja jestem Rochelle.

– Piper. Kerman.

– Na imię?

– Możesz mi mówić Piper. – Czego ode mnie chciała? Czułam się uwięziona w boksie. Byłam pewna, że rozpoznaje grunt.

– A, jesteś tą z książkami... masz tyle książek! – Rzeczywiście miałam książkę w rękę i cały ich stos w moim schowku. W tym momencie byłam już przestraszona tym, czego ta kobieta ode mnie chce i co ma zamiar mi zrobić.

– Hm, chcesz książkę? – Zawsze chętnie pożyczałam książki, ale tylko kilka osób, jak Annette, robiło to regularnie, sprawdzając nową dostawę przy każdym rozdawaniu poczty.

– OK, co masz?

Przyjrzałam się moim zbiorom. Dzieła zebrane Jane Austen. Biografia Johna Adamsa. *Middlesex. Też gra grawitacji*. Nie chciałam zakładać, że nie będzie chciała tych książek, ale jak mogłam wiedzieć, co lubi?

– Jakie książki lubisz? Mogę pożyczyć ci dowolną, wybierz coś sobie.

Przeglądała niepewnie tytuły. Była to długa, powolna i świadująca chwila dla nas obu.

– Co powiesz na tę? Jest naprawdę, naprawdę świetna! – Chwyciłam kopię *Ich oczy oglądały Boga* Zory Neale Hurston. Czułam się strasznie rasistowsko, wybierając ze stosu dla Rochelle „czarną książkę”, ale była szansa, że będzie się jej po-

dobała, weźmie ją i zostawi mnie w spokoju, przynajmniej na razie.

– Wygląda dobrze, wygląda dobrze... Dzięki, Piper! – i zniknęła.

Jakiś tydzień później Rochelle wróciła. By oddać książkę.

– Wyglądała na dobrą, ale jakoś mnie nie chwyciła – powiedziała. – Masz *Najzimniejszą zimę*? Siostra Souljah?

Nie miałam i poszła sobie. Kiedy uświadomiłam sobie, jak bardzo byłam przerażona samą Rochelle i kto był tego powodem, poczułam się jak kompletny dupek. Chodziłam do szkoły, żyłam, umawiałam się na randki i pracowałam z czarnymi ludźmi z klasy średniej całe swoje życie, ale kiedy stanęłam twarzą w twarz z czarną kobietą, która nie „była tam gdzie ja”, poczułam się zagrożona. Mało tego, absolutnie pewna, że coś mi zabierze. W rzeczywistości Rochelle była jedną z najmiłszych i najlepiej zachowujących się osób w okolicy. Kochała Kościół i kiepskie powieści. Zawstydzona, postanowiłam już nigdy więcej nie być takim durniem.

Spotykałam tych wszystkich nowych ludzi w moim życiu, jednak nadal starałam się przebywać trochę z Annette. Kiedy przenieśli mnie do Dormitorium B, westchnęła, zrezygnowana:

– Teraz już nie będę mogła cię widywać...

– Annette, nie bądź śmieszna. Jestem kilka metrów od ciebie.

– Już to widziałam... gdy dziewczyny zostają przeniesione do dormitoriów, nie mają już dla mnie czasu.

Annette musiała siedzieć w pokoju z powodu jej kłopotów ze zdrowiem, więc starałam się zachodzić do niej często, by się przywitać i pograć w karty w świetlicy. Jednak byłam już znudzona remikiem i miałam znacznie mniej ochoty niż kiedyś na spędzanie czasu z grupką lekko stukniętych, białych kobiet w średnim wieku. Może nauczę się grać w piki. Wyglądało na to, że gracze w piki mają znacznie lepszą zabawę.

Natalie była szanowana przez wszystkich w Dormitorium B; ponieważ nie zapowiadało się, żebym przysporzyła jej kłopotów,

wydawało mi się, że mnie lubi. Pomimo jej dyskrecji i rezerwy, miała dość suche, acz żywe poczucie humoru i raczyła mnie swoimi zdystansowanymi, a jednocześnie ostrymi obserwacjami z naszego codziennego życia w Dormitorium B.

– Siedzisz teraz w Getcie, koleżanko!

Ginger Solomon, jej najlepsza przyjaciółka, która także była z Jamajki, była niczym yang do Natalie, ying: wybuchowa, głośna i wygłupiająca się. Panna Solomon była także wspaniałą kucharką. Kiedy ona i Natalie uznały, że jestem w porządku, robiły dla mnie specjalną porcję ich sobotniej kolacji – zazwyczaj obłędne curry przygotowane z kuchennej kontrabandy. Na specjalne okazje Natalie wyczarowywała dla mnie roti.

Ponadprogramowe gotowanie w więzieniu odbywało się głównie w dwóch wspólnych mikrofalówkach, które znajdowały się w aneksach kuchennych pomiędzy dormitoriami; ich użytkowanie było przywilejem, który znajdował się pod ciągłą groźbą odwołania przez personel więzienia (i groźbą tą straszono nas z wielką przyjemnością). Niesamowite mikstury powstawały w tych mikrofalówkach, w szczególności te przyrządzane przez tęskniące za domem Hiszpanki i dziewczyny z Karaibów. Byłam pod wielkim wrażeniem tego gotowania, szczególnie biorąc pod uwagę ograniczone zasoby, jakimi dysponowały kucharki: śmieciowe jedzenie i pakowany kurczak, puszki makreli lub tuńczyka i jakiegokolwiek świeżego warzywa udało ukraść się z kuchni. Chipsy kukurydziane można było przekształcić z użyciem wody w papkę, z której przyrządzało się wspaniałe *chilaquiles*, moje ulubione więzienne danie. Cebule z kontrabandy były wyjątkowym rarytasem i kucharki musiały bardzo uważać na wyostrzony wdech strażników. Cokolwiek by gotowały, pachniało jak jedzenie przyrządzane z miłością i troską.

Niestety, panna Solomon gotowała tylko w soboty. W ciągu miesiąca dzięki więziennej diecie straciłam pięć kilo – tyle fasoli, wątróbki i sałaty lodowej, ile tylko chcesz! W dniu, w którym zgłosiłam się do więzienia, wyglądałam najgorzej ze wszystkich swoich trzydziestu czterech lat. W miesiącach poprzedzających

moje zgłoszenie się topiłam swoje smutki w winie i nowojorskim żarciu; teraz najlepszym pocieszycielem dla mnie był czas, który spędzałam sama ze sobą na lodowatym boisku lub podnosząc ciężary w siłowni. Były to jedyne miejsca w Obozie, gdzie wolność i kontrola wydawały się w zasięgu ręki.

Jednym z plusów życia w Dormitorium B była możliwość wyboru między dwiema łazienkami. W obu było sześć pryszniców, pięć umywalk i sześć ubikacji. I tu kończyły się podobieństwa. Natalie i ja mieszkaliśmy blisko łazienki, którą zwałyśmy Wrotami Piekieł. Płytki i glazura były w różnych odcieniach szarości, rurki od zasłon prysznicowych zardzewiały, a same zasłony był praktycznie w strzępach i nie wszystkie drzwi od toalet działały. Jednak to nie przez to łazienka Dormitorium B była Wrotami Piekieł. Robactwo czyniło ją niezdatną do niczego poza szybkim sikaniem lub myciem zębów. W cieplejszych miesiącach, gdy ziemia nie była zamrznięta, małe czarne robaki co jakiś czas pojawiały się w okolicy pryszniców, wijąc się po kafelkach. Nic nie mogło ich przegonić, a sprzątający łazienkę nie dysponowali zbyt dużym arsenałem – środki czystości były wydzielane bardzo skąpo. W końcu robaki przekształcały się w obrzydliwe małe muszki. Były one znakiem, że łazienka została zbudowana dokładnie nad bramami piekieł.

Prysznic brałam więc w łazience po drugiej stronie Dormitorium B, która łączyła się z Dormitorium A. Przypominała ona spa w porównaniu z tą drugą i była niedawno wyremontowana, z kafelkami w odcieniach beżu. Spoiny były nowe. Światło było lepsze i ogólnie cały wygląd – weselszy, pomimo tego, że zasłony od prysznic były tak samo postrzępione.

Prysznic był skomplikowanym rytuałem. Trzeba było targać ze sobą do łazienki wszystkie swoje akcesoria – szampon, mydło, maszynkę, ręczniki i cokolwiek jeszcze mogło być potrzebne. Wymagało to albo wielkiego minimalizmu, albo czegoś w rodzaju stojaka prysznicowego. Niektóre kobiety miały nielegalne dziergane torby do noszenia tych rzeczy; inne miały siatkowe

torby z nylonu, kupione w więziennym sklepie; a jedna z więźniarek miała duży, różowy, plastikowy stojak prysznicowy. Nie miałam zamiaru o niego pytać, wiedząc, że albo pochodził z kontrabandy, albo z asortymentu więziennego sklepu, dziś już niesprowadzanego. Ranek i wieczór były prysznicowymi godzinami szczytu, z coraz bardziej zmniejszającymi się zapasami ciepłej wody. Jeśli brało się prysznic po południu lub wczesnym wieczorem, to konkurencja była mniejsza. Nie wolno nam było brać pryszniców po zgaszeniu światła o dziesiątej wieczorem – zalecenie to miało zniechęcać do pieprzenia się w nich.

Wiele kobiet czekało w długich kolejkach aż „ich” prysznic będzie wolny. W dobrej łazience był jeden prysznic, który bez dwóch zdań miał najlepsze ciśnienie wody. Grube ryby, jak Pop, wysyłały kogoś, by sprawdził, czy prysznic jest wolny albo przynajmniej zajęły im miejsce w kolejce. Jeśli zakłóciło się rytuał prysznicowy rannych ptaszków przez zajęcie ich prysznicą, czekało cię lodowate spojrzenie po wyjściu z kąpieli.

Kiedy już zajęło się swoją kabinę, nadchodziła chwila prawdy. Niektóre kobiety, z przyzwoitości, znikwały za plastikową zasłonką w pełni ubrane w ich nocne koszule; inne zrzucały z siebie ciuchy na oczach wszystkich – wchodziły i wychodziły niewzruszone. Kilka z nich brało prysznic, nie zasłaniając się i pokazując wszystkim, co tylko dało się pokazać.

Na początku zaliczałam się do tych pierwszych, jednak woda była zawsze zimna na początku, więc krzyczałam, gdy lała się na moją nagą skórę.

– Co się tam dzieje, Kerman? – Ktoś musiał w końcu zażartować. – Piper, jak słyhać, nie próżnuje!

Po jakimś czasie doszłam do wniosku, że scena gwałtu Lindy Blair z *Born Innocent* nigdy nie wydarzy się w Obozie, więc odkręcałam swój prysznic przed wejściem, sprawdzając, czy jest przynajmniej letni, zanim zdjęłam swoją koszulę nocną i wskoczyłam do środka. Zdobyło mi to grupkę fanów, między innymi moją sąsiadkę Delicious, która krzyczała z zaskoczenia:

– Pi-piper! Masz niezłe cycki! Masz takie cycki, jak w telewizji! Są takie podniesione i sterczące, i w ogóle... kurde!

– Yyy, dzięki, Delicious.

W zachowaniu Delicious nie było absolutnie nic groźnego. Mówiąc szczerze, jej uwaga nawet mi trochę schlebiała.

Wszelkie sprzątanie w Obozie wiązało się ze szczególnymi rytuałami, w tym niedzielne nocne sprzątanie naszych boksów, czyli „wszyscy na pokład”. Jednego dnia tygodnia odbywało się pranie w Dormitorium B (pranie było więzienną robotą, praczkami dowodziła starsza kobieta, którą wszyscy nazywali Babcia). I tak jeszcze w nocy przed tym wpychałam wszystkie moje przepocone skarpetki i paczkę mydła do prania do torby. Natalie budziła mnie o piątej piętnaście, zanim otwarto pralnię, żebym mogła wrzucić moją torbę przed wszystkimi. Inaczej musiałabym uczestniczyć w zwyczajowej pogoni rozspanych kobiet w ciągle jeszcze ciemnym korytarzu, próbujących oddać swoje torby z praniem. Dlaczego taki pośpiech? Nie wiem. Czy może chciałam dostać swoje pranie z powrotem wczesnym popołudniem, a nie wieczorem? Nie. Odkryłam, że uczestniczę w pozbawionych znaczenia więziennych rytuałach unikania pralniczej godziny szczytu, ponieważ więzienie polegało z grubsza na staniu w kolejce. Jak zauważyłam, dla wielu kobiet nie było to nic nowego. Jeśli miało się to nieszczęście, że rząd był zaangażowany w jakiś sposób w twoje życie, czy to przez mieszkania komunalne, czy przez pomoc medyczną lub kartki na żywność, to i tak spędzało się większość swojego życia w kolejce.

Dwukrotnie odbyłam pielgrzymkę do magazynu, by pobrać swoje osiem paczek mydła w proszku do prania od wiecznie poważnej więźniarki, która zajmowała się ich wydawaniem. Dni mydła do prania były raz w miesiącu – tego jednego dnia wszystkie „parzyste” udawały się do magazynu w czasie lunchu, by pobrać należne im osiem paczek; następnego dnia szły „nieparzyste”. Więźniarki, które pracowały w magazynie (trzymająca się ze sobą grupka), odnosiły się do całego tego procederu bardzo poważnie. Traktowały dni mydła jak inwazję na ich teren.

Wówczas to stały lub siedziały w milczeniu, w czasie gdy inne więźniarki kłębiły się w kolejce, by otrzymać jedyny gratis, który przysługiwał osadzonemu.

Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego mydło do prania było jedną z rzeczy, które przysługiwały nam za darmo (poza racjami papieru toaletowego, wydawanymi raz w tygodniu, oraz podpaszkami i tamponami, które składowano w łazience). Mydło do prania było sprzedawane w więziennym sklepie; niektóre kobiety kupowały tam lepszy proszek i oddawały swoje osiem paczek innym, które nie miały nic. Dlaczego nie dawano nam mydła do ciała? Dlaczego nie było pasty do zębów? Dla kogoś głęboko zanurzonego w meandrach biurokracji Federalnego Biura Więzień – może miało to jakiś sens.

Dokładnie przyglądałam się długo odsiadującym więźniarkom, jak Natalie. Jak dała sobie radę? Jak zdołała odsiedzieć osiem lat w tym zgniłym miejscu, zachowując wdzięk, godność i zdrowie psychiczne? Z czego czerpała dalsze siły, wiedząc, że zostało jej tylko dziewięć miesięcy do wyjścia? Rada, którą otrzymywałam wielokrotnie, brzmiała: „Rządź czasem, nie daj czasowi rządzić tobą”. Jak każdy w więzieniu, musiałam uczyć się od mistrzów.

Popadłam w rytuały, które niezwykle poprawiły jakość mojego życia. Jednym z pierwszych był rytuał robienia kawy i jej picia. W dniu mojego przyjazdu dostałam od pretensjonalnej byłej makler plastikową torebkę rozpuszczalnej kawy i puszkę śmietanki w proszku. Larry, niewyobrazalny snob kawowy, miał bzika na punkcie sposobów parzenia i preferował francuską kafeterię tłokową. Zastanawiałam się, co by zrobił na moim miejscu – przestał pić kawę czy przerzucił się na Nescafé? Zaparałam sobie kubek każdego ranka (w dość grymaśnym automacie do ciepłej wody) i zabierałam go ze sobą do stołówki na śniadanie.

Po naszej późnej kolacji przychodziła Nina i pytała, czy chcę „iść na kawę”. Zawsze chciałam. Przygotowywałyśmy kubki

i siadałyśmy tam, gdzie pozwalała na to pogoda, czasami za Dormitorium A, patrząc na południe w stronę Nowego Jorku. Rozmawiałyśmy o Brooklynie, jej dzieciach, Larrym i książkach; plotkowałyśmy o innych więźniarkach; zadawałam jej niekończące się pytania o to, co robić z czasem. Niekiedy Nina nie miała ochoty na kawę. Jestem pewna, że moje ciągłe włóczenie się za nią w którymś momencie ją nudziło, ale kiedy tylko potrzebowałam jej mądrych rad, zawsze tam dla mnie była.

Przekopywałam się przez każdą książkę, którą dostałam, trzymałam się z dala od pokoiw telewizyjnych i z zazdrością patrzyłam na więźniarki, które miały „więzienne zatrudnienie”. Jest bowiem skończona liczba sposobów, na który można poprzekładać rzeczy w schowku. Podejrzywałam zatem, że praca pozwoliłaby mi zabić czas. Próbowałam ustalić, kto co robił i dlaczego niektóre z kobiet ubrane były w szykowne kombinezony w kolorze wojskowej zieleni. Niektóre więźniarki pracowały w kuchni Obozu; inne jako sprzątaczk: zmywały podłogi, czyściły łazienki i wspólne pomieszczenia. Plusem pracy jako sprzątaczk było to, że pracowało się tylko kilka godzin dziennie, zazwyczaj w pojedynkę. Kilko osadzonych pracowało jako trenerki dla psów-przewodników, z którymi żyły dwadzieścia cztery godziny na dobę, realizując program tragicznie nazwany „Szczeniaki za kratami”. Inne pracowały w Służbach Konstrukcyjno-Remontowych, każdego ranka wyjeżdżając autobusem, by wykonywać takie prace jak hydraulika czy strzyżenie trawników. Elitarna ekipa pracowała w magazynie, który uważano za bramę, przez którą wszystko musiało przejść – cokolwiek wchodziło lub wychodziło z więzienia – i gdzie nie brakowało okazji do kontrabandy.

Niektóre osadzone pracowały w Unicor, więziennej spółce przemysłowej, która funkcjonowała w ramach federalnego systemu więzień. Unicor produkował szeroką gamę artykułów, które następnie sprzedawano w ramach rządowej maszyny za setki milionów dolarów. W Danbury FCI produkowało części do syste-

mów radiowych dla armii. Unicolor płacił znacznie więcej niż przy innych więziennych robotach – ponad dolara za godzinę w porównaniu do standardowej stawki 14 centów za godzinę. Pracownicy Unicoloru byli zawsze ubrani w wyprasowane, czyste uniformy i znikali w wielkim magazynie, przed którym ciągle stały zaparkowane ciężarówki. Niektóre dziewczyny milcząco flirtowały z kierowcami, którzy byli wówczas lekko poddenerwowani, ale też wyraźnie zaintrygowani.

Rosemarie załatwiła sobie robotę w programie szczeniaków, który znajdował się w Dormitorium A. Oznaczało to, że mieszkała z labradorem, którego trenowano na psa dla niewidomych lub wężyciela materiałów wybuchowych. Psy były piękne, a małe szczeniaczki po prostu urocze. Ciepły, wiercący się złoty maluch na kolanach, liżący, gryzący i ot tak radosny, przeganiał desperację i depresję, nieważne jak bardzo było się załamanym.

Nie kwalifikowałam się do „Szczeniaków za kratami” – mój piętnastomiesięczny wyrok był za krótki. Na początku byłam rozczarowana, ale po zastanowieniu doszłam do wniosku, że to wcale nie tak źle. Program przyciągał niektóre z najbardziej obsesyjno-kompulsywnych kobiet w Obozie i ich ZOK kwitł, gdy trenowały psy, tworząc silne związki ze swymi psimi towarzyszami i kłócąc się z sąsiadkami. Rosemarie szybko wytworzyła sobie obsesję na punkcie swojego psa, Amber. Nie przeszkadzało mi to, bo pozwalała mi nadal bawić się ze szczeniakiem, na co niektóre trenerki raczej źle patrzyły.

Nestorką projektu szczeniaków była Pani Jones, jedyna osoba w Obozie, która cieszyła się tytułem „pani”. Pani Jones była w więzieniu od dawna i wydawało się to oczywiste. Twarda, siwa Irlandka z ogromnym biustem siedziała już od piętnastu lat, skazana za narkotyki. Podobno jej mąż bił ją strasznie i zmarł w więzieniu. Cóż, z pewnością nikt po nim nie płakał. Pani Jones była lekko stuknięta, ale zarówno strażniczki, jak i inne więźniarki dawały jej większy kredyt zaufania niż innym – w końcu po piętnastu latach każdemu trochę by odbiło.

– No i ten jej okropny mąż też trochę jej klepki poprzesta-
wiał – mówiła Pop.

Ludzie co jakiś czas lubili przeciągnąć ją przez język, odspie-
wując parę wersów *Me and Mrs. Jones*. Niektóre młodsze dziew-
czyny z ulicy zwykły nazywać ją PG, Pierwszym Gangsterem,
i ona to uwielbiała.

– To ja... PG! Jestem kompletnie stuknięta! – charczała i ude-
rzała się w czoło. Wydawało mi się, że mnie lubi, chociaż nie
miała żadnych hamulców i często mówiła dokładnie to, co myś-
lała w danym momencie. Chociaż kontakty z Panią Jones wyma-
gały cierpliwości, lubiłam i ją, i jej sposób zachowania.

Nie mogłam być trenerem psów, ale z pewnością znalazłaby
się dla mnie jakaś robota. Danbury miało bardzo jasną hierar-
chię pracy i ja znajdowałam się na samym jej dole. PiO musiały
często sprzątać łazienki lub odśnieżać, dopóki nie dostały per-
manentnej pracy. Zdecydowałam, że chciałabym uczyć w pro-
gramie GED, który znajdował się pod opieką zatrudnionego
nauczyciela, wspomaganego przez więźniarki będące „tuto-
rami”.

Grupka wykształconych więźniarek z klasy średniej, z któ-
rymi często jadałam posiłki, ostrzegła mnie przed programem.
Chociaż nauczycielka, która go prowadziła, była dość lubiana, to
połączenie kiepskiego programu z osadzonymi i często trudnymi
do opanowania uczniami tworzyło w sumie raczej beznadziejne
warunki pracy. „Niezbyt przyjemne doświadczenie”, „Kopanie
się z koniem”, „Odpadłam po miesiącu”. Wyglądało to jak ro-
bota mojego przyjaciela Eda w publicznym liceum w Nowym
Jorku. Mimo tego poprosiłam o przydział do tej pracy i Butor-
sky, który przydzielał wakaty, powiedział, że nie powinno być
z tym problemu. Jak się okazało, nie dotrzymał słowa.

Rozdział 6

Wysokie napięcie

Pewnego ranka znalazła mnie moja koleżanka z PiO, Mała Janet, i powiedziała:

– Mamy robotę!

Zostałyśmy przydzielone do Służb Budowlanych i Usługowych. Byłam rozczarowana. Co z nauczaniem – karmieniem głodnych, uciśnionych umysłów, które dosłownie chciały się wyrwać na wolność?

Obowiązkowy program GED został tymczasowo zamknięty. Dwie sale zajęciowe opanowała nadaktywna toksyczna pleśń, która dostała się do podręczników, oblaźła ściany i meble; wielu ludzi zachorowało. Nauczycielki-więźniarki podobno wyniosły próbki pleśni z więzienia, przekazały je przyjaznej osobie do analizy i złożyły skargę. Zatrudniona nauczycielka wzięła stronę więźniarek, oczywiście ku oburzeniu dyrekcji. Uczennice były zachwycone zamknięciem, większość z nich w ogóle nie chciała się tam znaleźć. I tak zostałam elektrykiem.

Następnego ranka Mała Janet i ja udałyśmy się w marcowym chłodzie razem z innymi pracownikami SBU, do dużego białego autobusu zaparkowanego przed stołówką. Po miesiącu zamknięcia w murach Obozu przejażdżka autobusem była nawet ekscytująca. Jechaliśmy dookoła więzienia federalnego i wysadzono nas wśród zbiorowiska niskich budynków. Znajdowały się tu warsztaty SBU – samochodowy, hydrauliczny, budowlany, ciesielski, gruntowniczy i elektryczny, każdy w oddzielnym budynku.

Janet i ja weszłyśmy do warsztatu elektrycznego, przystosowując oczy do panującego wewnątrz półmroku. Pomieszczenie

miało cementową podłogę, w połowie wypełnioną krzesłami; wiele z nich było zdemolowanych. Było tu też biurko z telewizorem i tablica, na której ktoś prowadził duży, ręcznie narysowany kalendarz, wykreślając kolejne dni. Były też lodówka i mikrofalówka z dość kiepsko wyglądającą roślinką na górze. Jedna część była oddzielona i jasno oświetlona; znajdowało się tam dość narzędzi, by wypełnić nimi mały sklep. Obok znajdowało się biuro, którego drzwi ozdobiły naklejki *union*. Moje współtowarzyszki zajęły wszystkie krzesła, których dało się użyć. Usiadłam więc na biurku koło telewizora.

Drzwi otworzyły się i do biura wszedł wysoki, brodaty mężczyzna z wyłupiastymi oczyma i w czapce bejsbolowej.

– Dzień dobry.

– To pan DeSimon – powiedziała Joyce, która dobrze знаła się z Janet.

Jakieś dziesięć minut później DeSimon sprawdził obecność. Taksował każdą z nas wzrokiem, gdy wyczytywał nasze nazwiska.

– Urzędnik wytłumaczy wam zasady obowiązujące w pomieszczeniu z narzędziami – powiedział. – Złamcie zasady, a lądujecie w izolatce – dodał i wrócił do biura.

– Będziemy coś robić? – spojrzałyśmy na Joyce.

– Czasami tak, czasami nie. Zależy, w jakim jest humorze – wzruszyła ramionami.

– Kerman!

Podsłoczyłam i spojrzałam na Joyce.

– No, idź tam! – wyszczała i oczy jej się rozszerzyły.

Ostrożnie podeszłam do drzwi biura.

– Umiesz czytać, Kerman?

– Tak, panie DeSimon, umiem czytać.

– Gratulacje. Przeczytaj to – rzucił podręcznikiem o biurko. – A potem daj to do przeczytania twoim skazanym koleżankom, które są tutaj nowe. Przetestuję was z tego.

Wysłałam z biura. Podręcznik był podstawowym kursem elektryki: wytwarzanie mocy, prąd elektryczny i podstawowe wiadomości o obwodach. Przez moment pomyślałam o regułach

bezpieczeństwa przy tej robocie i przyjrzałam się swoim współpracownikom z pewnym niepokojem. Było tu trochę doświadczonych, jak Joyce, która była sarkastyczną do bólu Filipinką. Wszystkie inne były nowe jak ja: poza Małą Janet była jeszcze Shirley, bardzo nerwowa Włoszka, której wydawało się, że zaraz ktoś ją przeleci, Yvette, słodka kobieta z Puerto Rico, w połowie czternastoletniego wyroku, a która jednak nadal władała (co najwyżej) siedemnastoma słowami po angielsku. I Levy, francusko-marokańska Żydówka, która twierdziła, że skończyła Sorbonę.

Przy całym jej przechwalaniu się edukacją rodem z Sorbony, Levy była kompletnie bezużyteczna przy naszych studiach elektrycznych. Spędziłyśmy (no dobra, kilka z nas spędziło) dobrych parę tygodni nad tymi podręcznikami, a następnie musiałyśmy przejść test. Każda oszukiwała, dzieląc się odpowiedziami. Byłam pewna, że nie będzie żadnych konsekwencji za zawalenie testu lub za ściąganie. Wszystko to wydawało mi się absurdalne – nikt nie mógł zostać wyrzucony za niekompetencję. Jednak czysty instynkt samozachowawczy wymagał, żebym przeczytała i zapamiętała informacje, jak kontrolować prąd bez konieczności usmażenia się. Nie bardzo chciałam skończyć w poliestrowym kombinezonie khaki, leżąc martwa na linoleum i z pasem narzędziowym wciąż przypiętym do ciała.

Pewnego śnieżnego dnia, zaledwie w tydzień później, zgłosiłyśmy się do warsztatu elektrycznego. Przywitał nas DeSimon, bawiąc się kluczami do dużego białego vana, który należał do warsztatu.

– Kerman... Riales... Levy. Do samochodu.

Wtoczyłyśmy się za nim do vana. Pojechaliśmy w dół wzgórza, obok budynku, w którym znajdowała się świetlica dla dzieci OD i przez osiedle koło tuzina małych, białych, rządowych domków, gdzie mieszkali niektórzy OD. Często nasz roboczy dzień polegał na wymienianiu zewnętrznych żarówek lub na sprawdzaniu instalacji elektrycznych w tych domach, ale tym

razem DeSimon się nie zatrzymał. Zamiast tego wyjechaliśmy z obszaru więzienia i wjechaliśmy na główną drogę, która otaczała kompleks. Mała Janet, Levy i ja spojrzaliśmy na siebie ze zdumieniem. Gdzie on nas, do diabła, zabiera?

Około ćwierć mili od więzienia van zatrzymał się obok małego betonowego budynku na osiedlu. Podeszliśmy z DeSimonem pod same drzwi, które otworzył. Ze środka dobiegał łomot maszynerii.

– Co to za miejsce, panie DeSimon? – spytała Levy.

– Pompownia. Kontroluje dopływ wody do kompleksu – odpowiedział. Rozejrzał się po wnętrzu, a następnie zamknął drzwi.

– Zostańcie tu – powiedział, wsiał do vana i odjechał.

Mała Janet, Levy i ja stałyśmy tak przed budynkiem z rozdziawionymi gębami. Czy ja miałam halucynacje? Czy on teraz naprawdę zostawił nas tutaj, na zewnątrz, i odjechał? Trójka więźniarek w uniformach na wolności – czy to był jakiś test? Mała Janet, która przed Danbury była osadzona na dwa lata w nieludzkich warunkach, teraz była niemal w szoku.

– Co on sobie myśli? Co, jeśli ludzie nas zobaczą? Będą wiedzieli, że jesteśmy z więzienia! – Levy była zdenerwowana.

– To musi być wbrew zasadom – powiedziałam.

– Będziemy miały kłopoty! – zawodziła Mała Janet.

Zastanawiałam się, co się stanie, jeśli sobie po prostu pójdziemy. Oczywiście wpadniemy w okropne kłopoty, wyślą nas do izolatki i najprawdopodobniej dostaniemy nowe zarzuty spod paragrafu „ucieczka”, ale ile czasu im zajmie, zanim nas złapią?!

– Patrzenie na te domy! O, mój Boże... Szkolny autobus! Och... Brakuje mi dziecka! – Levy zaczęła płakać.

Współczułam każdemu, kto musi być oddzielony od swoich dzieci z powodu więzienia, ale wiedziałam też, że dzieciaki Levy żyły niedaleko, a ona nie pozwalała im na odwiedziny, bo nie chciała, by oglądały matkę w takim miejscu. Uważałam, że to jednak niewłaściwa decyzja, bo dla dzieciaków nieprzyjemne więzienne środowisko byłoby niczym w obliczu możliwości prze-

konania się na własne oczy, że ich matce nic się nie dzieje. Jednak, co najważniejsze, chciałam, żeby Levy przestała płakać.

– Rozejrzyjmy się – powiedziałam.

– Nie! – Mała Janet prawie krzyknęła. – Piper, wpadniemy w okropne kłopoty! Nie waż się nawet ruszyć! – Wyglądała na tak zestresowaną, że się powstrzymałam.

Stałyśmy tam jak idiotki. Nic się nie działo. W tej podmiejskiej okolicy było bardzo cicho. Co parę minut przejeżdżał samochód. Nikt nie pokazywał nas palcem i nie zatrzymywał samochodu z piskiem opon na widok trolejki skazanych na wolności. W końcu nieopodal przeszedł facet ze strasznie włochatym psem.

– Nie mogę rozpoznać, czy to owczarek pirenejski, czy wodołaz... niezłe wygląda, nie? – podniosłam się i przyglądałam uważnie.

– Nie wierzę, ty... ty patrzysz na psa? – z wyrzutem zapytała Mała Janet.

Facet zaczął się nam przyglądać.

– Widzi nas!

– Oczywiście, że nas widzi, Levy. Jesteśmy trolejką kobiet w więziennych uniformach, stojących na rogu ulicy. Jak mógłby nas przegapić?

Mężczyzna podniósł rękę i wesoło nam pomachał.

Po czterdziestu pięciu minutach DeSimon wrócił z miotłami i kazał nam posprzątać pompownię. W następnym tygodniu musiałyśmy uporządkować ziemiankę, długą, niską stodołę na terenie więzienia. Znajdowały się tam wszelkiego rodzaju narzędzia ze wszystkich warsztatów. W ciemności znalazłyśmy wielkie, zrzucone skóry węży, które wystraszyły nas nie na żarty, a DeSimon rechotał jak oszałały. Zbliżała się zewnętrzna inspekcja; dyrekcja więzienia chciała być na nią gotowa i musiałyśmy doprowadzić wszystko do porządku.

W stodole było dużo zwyczajnych śmieci, które trzeba było usunąć – ciężka i brudna robota. Spędzałyśmy całe dni, wynosząc wielkie, metalowe rury, zapasy części, chemikalia i narzędzia, pakując to wszystko do wielkich kubłów. Szły tam też

ceramiczne wanny i zlewy, nadal w pudełkach, nowe elementy systemu ogrzewania i nieotwarte dwudziestopięciokilogramowe opakowania gwoździ.

– I na to idą nasze podatki – narzekaliśmy pod nosem. Nigdy w życiu nie pracowałam tak ciężko fizycznie. Gdy skończyłyśmy, stodoła była pusta, czysta i gotowa na inspekcję.

Szybko uczyłam się, że nawet zasady w więzieniu mogą być łamane zarówno przez osadzonych, jak i personel; w warsztacie elektrycznym obowiązywała jednak pewna żelazna reguła, której przestrzegaliśmy z należnym respektem. W dużej „klatce” z narzędziami siedział pracownik warsztatu, a w środku znajdowało się wszystko – od pił do wiertel Hilti, setek rodzajów specjalnych śrubokrętów, kombinerek, przecinaków i pasów wypakowanych kompletnymi zestawami podstawowych narzędzi – całe pomieszczenie wypełnione było potencjalnie zabójczymi przedmiotami. Miałyśmy system wydawania tych narzędzi: każdej więźniarce przydzielono numer i zestaw metalowych znaczników, które wyglądały jak psie odznaki. Kiedy wychodziłyśmy wykonać robotę, wypożyczałyśmy narzędzia, używając znaczników, i byłyśmy odpowiedzialne za ich zwrot. Na koniec każdego dnia DeSimon robił inspekcję klatki narzędziowej. Dał jasno do zrozumienia, że jeżeli będzie brakować jakiegoś narzędzia, to ta, której znacznik znajdował się na jego miejscu, idzie do izolatki. Była to jedyna zasada, którą się przejmował. Pewnego dnia przepadło gdzieś wiertło i dosłownie rozłożyłyśmy warsztat i ciężarówkę na części, w czasie, kiedy on cierpliwie czekał, przyglądając się naszej nerwowej krzątaninie. Pracownica warsztatu prawie płakała, ale wreszcie znalazłyśmy ten głupi kawałek metalu, walający się pod pokrywką jednej ze skrzynek narzędziowych.

DeSimon nieustannie przeszkadzał reszcie personelu więzienia, który przezywał go „Bagiennym Jankesem” (a czasem nawet gorzej). Mógł być nielubiany, ale był też szefem lokalnego przedstawicielstwa związków i dyrekcja musiała mu pozwalać na wszystko.

– DeSimon to drań – powiedział mi szczerze jeden z szefów warsztatów. – Dlatego go wybraliśmy.

Pod kierownictwem nieczułego Drania nauczyłam się podstaw elektryki.

Grupa kompletnie niedoświadczonych kobiet, pracująca z wysokim napięciem i praktycznie bez opieki – nie obyło się bez kilku śmiesznych sytuacji, ale i drobnych wypadków. Praca w więzieniu dała mi (poza pasem narzędziowym) jakieś poczucie normalności, jakiś sposób na odliczanie czasu i na ludzi, z którymi miałam coś wspólnego. Co najlepsze, zostałam wysłana do warsztatu samochodowego, żeby dostać więzienne prawo jazdy – skarb, który pozwalał mi jeździć samochodami SBU. I chociaż nie znosiłam DeSimona, to cieszyłam się, że zapewniał mi zajęcia przez pięć dni w tygodniu. Byłam też zachwycona możliwościami poruszania się, ponieważ jeździłam vanem warsztatowym po obszarze więzienia.

W piątki, gdy wracałyśmy z pracy do Obozu, Big Boo Clemmons z Dormitorium B witała autobus SBU.

– Winna wszystkich zarzutów! – raportowała z wielką ekscytacją.

W środku wszystkie pokoje telewizyjne były wypakowane, ponieważ rada przysięgłych uznała Marthę Stewart za winną zarzutów obstrukcji wymiaru sprawiedliwości i kłamstwa przed prokuratorem w kwestii dobrze zaplanowanej sprzedaży akcji. Pierwsza dama stylu miała zacząć odsiadkę w federalnym więzieniu. Jej sprawa była skrupulatnie śledzona w Danbury – większość osadzonych miała Marthę Stewart na celowniku, ponieważ była sławną kobietą.

– Facetom wszystko uchodzi na sucho. Cały czas.

Pewnego popołudnia Levy, nasza nerwowa koleżanka Shirley i ja, wyposażone w pasy z narzędziami, jeździłyśmy po osiedlu dla personelu, naprawiałyśmy elektrykę i sprawdzałyśmy korki. DeSimon eskortował nas z domu do domu i ucinał sobie pogawędki z mieszkańcami, w czasie gdy my wykonywałyśmy swoją robotę. Było to dziwne doświadczenie – wchodziłyśmy do

domu naszych strażników i oglądałyśmy ich kolekcje aniołków, zdjęcia rodzinne, zwierzaki, rozwieszane pranie i zagracone piwnice.

– Nie mają stylu – narzekała Levy. Nie lubiłam strażników, ale ona była już nie do zniesienia.

Kiedy wróciłyśmy do warsztatu, DeSimona już nie było, więc musiałyśmy same posprzątać ciężarówkę i oddać narzędzia do klatki. Wtedy zorientowałam się, że mam dodatkowy śrubokręt w pasie narzędziowym.

– Levy, Shirley, chyba mam jeden z waszych śrubokrętów. – Obie sprawdziły swoje pasy. Nie, one miały tylko swoje. Skonfundowana, trzymałam w rękach dwa śrubokręty. – Ale jeśli wy macie swoje, wtedy... – byłam zadziwiona – ...musiałam zabrać ten śrubokręt z jednego z domów?

Oczy zrobiły mi się okrągłe jak pięć złotych, spojrzałam na Levy i Nerwową Shirley.

– I co teraz zrobimy? – wysyczała Shirley.

Poczułam, jak robi mi się słabo. Zaczęłam się pocić. Wyobraziłam sobie siebie w izolatce, bez odwiedzin Larry'ego i z następnym zarzutem za kradzież potencjalnie zabójczego śrubokręta z domu OD. I jeszcze na dodatek byłam w tym wszystkim z tymi dwoma głupkami – najgorszym z możliwych materiałów na współników.

– Nie wiem, co z tym zrobię, ale nic o tym, kurwa, nie wiecie, jasne? – odwarczałam.

Wróciły do warsztatu, a ja stałam na zewnątrz, rozglądając się jak głupia. Co ja, do kurwy nędzy, zrobiłam z tym śrubokrętem? Byłam przerażona, ponieważ wiedziałam, że może zostać uznany za broń. Jak mogłam się go pozbyć? Jeśli znajdę kryjówkę, co się stanie, jeśli ktoś ją odszuka? Jak zniszczyć śrubokręt?

Mój wzrok cały czas wodził w kierunku śmietnika SBU. Był duży, wszystkie warsztaty wyrzucały do niego swoje śmieci i opróżniano go dość często. Z mojego punktu widzenia odpady wywożono na Marsa. Wzięłam zatem śmieci z warsztatu i spacerkiem podeszłam do kontenera. Majstrowałam przy torbie

i w tym samym czasie próbowałam jak szalona wytrzeć śrubokręt, żeby pozbyć się odcisków palców. Wrzuciłam wszystko do śmietnika, niestety, odgłos jaki dał się w tym momencie słyszeć, dowodził, że był dość pusty. Stało się. Z walącym sercem wróciłam do warsztatu i odłożyłam swój pas z narzędziami. Nawet nie spojrzałam na Nerwową Shirley i Levy.

Całą noc myślałam o tym przeklętym śrubokręcie. Co, jeśli OD zauważył, że go brakuje, i pamiętał, kto był u niego w domu? Podniesie alarm i co wtedy? Śledztwo, przesłuchania, a wtedy Levy i Nerwowa Shirley wydadzą mnie w mgnieniu oka. Zamknęłam oczy. Miałam przerażane. Byłam załatwiona.

Następnego ranka w warsztacie odezwała się przerażająca syrena. Niemal zwymiotowałam, Shirley wyglądała, jakby było jej słabo, ale Levy trzymała fason i udawała, że niczym się nie martwi. Zazwyczaj syrena była używana do „odwołań” – odsyłania nas z powrotem do naszych bloków mieszkalnych z powodu nagłego wypadku lub specjalnych ponownych zliczeń. Jednak tym razem nic się nie stało; alarm trwał kilka dobrych minut i nagle się skończył. Shirley wyszła na zewnątrz zapalić papierosa drżącymi rękoma.

W czasie lunchu znalazłam Ninę i, wyjątkowo poruszona, powiedziała jej, co się stało.

– Jezu Chryste, Piper – wyróciła oczyma. – Poszukamy go po lunchu. Po prostu oddasz go DeSimonowi i wytłumaczysz wszystko. Nic ci nie zrobią.

Jednak śmietnik był pusty. Nina zmarszczyła czoło i spojrzała na mnie.

– Nina, nie sądzisz, że ta syrena rano...? – Chciało mi się płakać.

Chociaż była zmartwiona, to uznała te moje dociekania za przeżabawne.

– Nie, Piper, nie sądzę, żeby syrena dzisiaj rano była z twojego powodu. Myślę, że wywieźli śmietnik, śrubokrętu już nie ma i dowodów też już nie ma – niczego udowodnić nie mogą. Najprawdopodobniej nic się nie stanie, a jeśli nawet, to twoje słowo

będzie przeciwko Levy i Shirley, a powiedzmy sobie szczerze, to są wariatki, kto im uwierzy?

Pewnego popołudnia wróciłam do Dormitorium B i znalazłam swoją sąsiadkę, Colleen – wielce podekscytowaną.

– Moje dziewczyny, Jae i Bobbie, właśnie przyjechały z Brooklynu. Pipestar, masz może dodatkową pastę do zębów, którą mogłabym im dać, i może jeszcze coś innego? – Colleen wytłumaczyła mi, że zanim została przydzielona do Danbury spędziła trochę czasu z jej dwiema przyjaciółkami w Brooklyńskim Metropolitalnym Ośrodku Poprawczym, czyli więzieniu federalnym. A teraz jej kumpele przyjechały najnowszym transportem. – Obie są świetne, Piper, polubisz je.

W drodze na siłownię spotkałam czarną i białą kobietę, które stały przed budynkiem Obozu we wczesnowiosennej mżawce i spoglądały na chmury. Nie rozpoznałam ich; doszłam do wniosku, że to właśnie są przyjaciółki Colleen.

– Hej, jestem Piper. Jesteście przyjaciółkami Colleen? Mieszkam koło niej. Dajcie mi znać, jeśli czegoś potrzebujecie.

Przestały patrzeć w niebo i spojrzały na mnie. Czarna kobieta była około trzydziestki, ładna i dobrze zbudowana, z wydatnymi kośćmi policzkowymi. Wyglądała jak wyrzeźbiona z niesamowicie gładkiego drewna. Biała kobieta była mniejsza i starsza, może około czterdziestu pięciu lat, i miała porowatą skórę, jak rafa koralowa, z oczami w wielu odcieniach niebieskiego, jak ocean. Teraz wyglądały na akwamarynowe.

– Dzięki – powiedziała. – Mam na imię Bobbie, a to jest Jae. Masz jakieś papierosy? – Miała mocny nowojorski akcent, co sugerowało wiele nieprzespanych nocy i wiele papierosów.

– Hej, Jae. Nie, sorry, niestety, nie palę. Mam za to kosmetyki, jeśli czegoś potrzebujecie. – Zaczynałam moknąć i marznąć. Jednak byłam ciekawa tych dwóch. – Trochę beznadziejna pogoda tutaj.

Spojrzały po sobie.

– Nie czułyśmy deszczu od dwóch lat – powiedziała Jae.

– Co?

– W Brooklynie jest mały spaceriak, na który nas wypuszczali, ale był przykryty i odgradzony drutem kolczastym i podobnym gównem, nie dało się zobaczyć nieba – wytłumaczyła. – Deszcz nam więc nie przeszkadza. Jest świetny – powiedziała i odchyliła głowę, by być tak blisko nieba, jak tylko mogła.

W warsztacie elektrycznym sprawy się zmieniały. Vera, kobieta z największym doświadczeniem, wyjechała do jedynego obozu przejściowego dla kobiet w Teksasie. Ten obóz (program wcześniejszego zwolnienia, z którego niebawem zrezygnowano) polegał na sześciu ciężkich miesiącach w teksańskim upale, gdzie podobno mieszkało się w ogromnych namiotach i trzeba było golić intymne owłosienie, by łatwiej znaleźć insekty.

Wyjazd Very do Teksasu oznaczał, że przywództwo w warsztacie przeszło z niej na Joyce. Joyce – było to dość dobre zastępstwo – nauczyła się od Very, jak radzić sobie z codziennymi zadaniami z elektryką – wymianą ośmiostopowych świetlówek, wymianą stateczników w lampach, instalowaniu nowych oznaczeń wyjścia i sprawdzaniu przewodów.

Levy szybko stała się punktem jednoczącym wszystkich w warsztacie – otóż wszyscy sprzysięgli się przeciw niej. Była nie do zniesienia, płakała codziennie, głośno i ciągle narzekała na swój mały, sześciomiesięczny wyrok. Zadawała nieodpowiednie, osobiste pytania, próbowała przestawiać wszystkich, a także robiła głośne i okropne komentarze odnośnie do wyglądu, wykształcenia (zwłaszcza jego braku), wysublimowania i, jak to nazywała, „klasy” innych więźniarek. Wiele dziewczyn trzeba było odwozić od pobicia jej, ciągle wbijając im do głowy, że za taki czyn czeka je wycieczka do izolatki. Levy przez większość czasu była nerwowa, na krawędzi hysterii, co objawiało się widocznymi fizycznymi symptomami: niezwykle opuchlizną, przez którą wyglądała jak Człowiek Słoń, i ciągle spoconymi rękami, przez które była kompletnie nieprzydatna do pracy przy elektryce.

DeSimon trzymał w warsztacie telewizor. Regularnie wychodził ze swojego biura, rzucał nam kasetę wideo i mamrotał:

– Obejrzyjcie to.

I zostawiał nas na kilka godzin. Te filmy instruktażowe tłumaczyły podstawy pracy z prądem i bardzo elementarne zasady okablowania. Nie byliśmy zainteresowane tego rodzaju telewizją, ale moje koleżanki prędko znalazły sposób na zamontowanie nielegalnej, zrobionej na szybko anteny. Dzięki temu mogliśmy oglądać Jerry'ego Springera; jedna z nas stała na czujce przy oknie, żeby sprawdzać, czy nie idzie OD.

Próbowałam nauczyć się trochę hiszpańskiego od mojej koleżanki Yvette, która bardzo cierpliwie starała się edukować mnie w tej materii, ale jedyne, co zdołałam opanować, dotyczyło jedzenia, seksu lub przekleństw. Yvette była zdecydowanie najbardziej kompetentną ze wszystkich dziewczyn i często pracowałyśmy razem przy elektrycznych robotach, wymagających użycia narzędzi. Te okazjonalne rozmowy były często przerywane, bo pilnowałyśmy się wzajemnie i ostrzegałyśmy – żadna z nas nie chciała być porażona. Przekonałam się już, jak to wygląda – twoja głowa odskakiwała do tyłu, jakby ktoś kopnął cię w podbródek.

Jae, moja sąsiadka i koleżanka Colleen, szybko została przydzielona do warsztatu elektrycznego – miała zezwolenie na pracę jeszcze z Brooklynu, więc dotycząca jej robota papierkowa nie zajęła dużo czasu. Dostała pracę za biurkiem.

– Dopóki nie muszę dotykać kabli i tego całego gówna, nie ma problemu – powiedziała.

Z założenia trzymała się ze mną – byłam kumpelką Małej Janet, a Mała Janet była jedyną poza nią czarną dziewczyną w elektryce. Do Nowej Anglii przyszła powoli wiosna i nasza trójka siedziała sobie na ławce przed warsztatem, paląc i przyglądając się innym więźniarkom i temu, co robiły. Strażniczki wchodziły i wychodziły z ich luksusowej siłowni, która znajdowała się naprzeciw warsztatu elektrycznego. Przez dużą część czasu nic się nie działo i gadałyśmy o naszym okresie narkoty-

kowym (odległe wspomnienia dla mnie), o Nowym Jorku (skąd byliśmy wszystkie trzy), o facetach, o życiu.

Mała Janet potrafiła trzymać się swojego zdania, pomimo tego że była od nas o piętnaście lat młodsza, a ja potrafiłam trzymać się swojego zdania, mimo tego, że byłam biała. Mała Janet łatwo się ekscytowała, często kłóciła się o opinie, popisывała się jakimś tanecznym ruchem albo po prostu stroiła żarty. Jae była wesoła, miła i łatwo było ją rozśmieszyć. Odsiedziała dopiero dwa lata ze swojego dziesięcioletniego wyroku, ale nigdy nie była zgorzkniała, tylko zdystansowana i ostrożna. Jednak tkwił w niej jakiś cichy smutek i głęboka, spokojna część, która nie dała zniszczyć się ani okolicznościom, ani środowisku. Jej twarz jaśniała, gdy mówiła o swoich synach – nastolatku i ośmiolatku.

Podziwiałam jej humor i spokój, z jakim przyjmowała wszystko, co ją spotkało w naszym więziennym świecie – jej poczucie godności nie było tak spokojne i ciche jak u Natalie, ale było równie wspaniałe.

Joyce – z warsztatu elektrycznego – niedługo wracała do domu. Narysowała na tablicy kalendarz i odkreślała kredą każdy mijający dzień. Na około tydzień przed zwolnieniem przyszła do mnie i spytała, czy mogę ufarbować jej włosy. Szczerze okazałam swoje zdziwienie.

– Jesteś jedyną osobą, która tego nie spieprzy – wytłumaczyła w prosty i dosadny sposób.

Poszliśmy do salonu fryzjerskiego obok głównego hallu, który zajmował mniej więcej tyle miejsca, co biblioteka prawna – czyli był wielkości dużego schowka. Znajdowały się tam dwie stare, różowe umywalki do włosów z kranami do splukiwania, kilka krzeseł fryzjerskich w opłakanym stanie i kilka stacjonarnych suszarek, wyglądających jak z wczesnych lat sześćdziesiątych. Nożyczki i inne przybory do strzyżenia były zamknięte w skrzynce na ścianie – tylko OD mógł je otworzyć. Jedno z krzeseł zajmowała kobieta, którą strzygła koleżanka. Pracowałam nad pasmami prostych, błyszczących włosów Joyce,

dokładnie stosując się do instrukcji na pudełku, i byłam dumna, że poprosiła właśnie mnie. Czułam się też troszkę normalniej, bardziej kobieco, wykonując zabiegi pielęgnacji w tym kameralnym towarzystwie innych kobiet. Kiedy przez przypadek z mojej winy kran obryzgał nas wodą, ku mojemu zdziwieniu wszyscy się śmiali, zamiast mnie przeklinać. Być może po trochu zaczęłam wtapiać się w tło.

Na wolności twój dom może być miejscem ucieczki od młyna pracy i zajęć. W więzieniu sprawy mają się jednak inaczej. W Dormitorium B odbywał się konkurs pierdzenia. Zaczęła go Asia, która nie mieszkała w Dormitorium B i została szybko wywalona.

– Aśka, przesadziłaś! Zabieraj zaraz stąd swoją durną dupę! – ktoś krzyknął za nią.

Radziłam sobie całkiem nieźle w „Getcie”, Dormitorium B, dzięki temu, że zostałam przydzielona do Natalie i być może z powodu mojego upartego przekonania, że jeśli poproszę o przeniesienie, to zachowam się jak mała rasistka; wpływ na ten stan rzeczy miało też to, że chodziłam na elitarny żeński uniwersytet. Życie w towarzystwie samych kobiet ma swoje ograniczenia, niezależnie, czy jest luksusowe, czy biedne i brudne. W Smith College obsesja na punkcie jedzenia wyrażała się w kolacjach przy świecach i piątkowych popołudniowych herbatkach z nauczycielami; w Danbury odbywało się to przez gotowanie w mikrofalówce i kradzieże jedzenia. Pod wieloma względami byłam lepiej przygotowana do życia wśród kobiet, niż wiele z moich współosadzonych, które mieszkanie z innymi kobietami doprowadzało do szału. Było tu mniej bulimii i więcej bójek niż za moich studenckich czasów, ale panował tu ten sam kobiecy etos – pełna empatii kamaraderia i rübaszny humor w dobre dni oraz przesadny dramatyzm połączony z rzucaniem obiegami i okrutnymi plotkami w złe.

Było to dziwne miejsce, żeńskie społeczeństwo z małą grupką dziwacznych facetów, życiem w stylu wojskowym, wszechobecnym stylem „getta” (zarówno miejskim, jak i wiejskim) przefil-

trowanym przez kobiety punkt widzenia; mieszanka kobiet w każdym wieku, od podlotków do babć, o różnym poziomie tolerancji. Szalone skupiska ludzi powodują szalone zachowania. Teraz mam już dość dystansu do sytuacji, by docenić jej surrealistyczną wyjątkowość, jednak by znaleźć się w domu z Larrym, w Nowym Jorku, poszłabym boso po tłuczonym szkłe i w burzy śnieżnej.

Butorsky, mój kurator, miał pewną praktykę, na którą wpadł sam. Raz w tygodniu wzywał każdą więźniarkę, która mu podlegała (w sumie pół Obozu) na jednodominutowe spotkanie. Trzeba było zgłosić się do biura, które dzielił z Toricellą i podpisać wielką księgę potwierdzającą obecność.

– Coś się dzieje? – pytał. Wtedy miało się szansę zadać pytanie, krótko opowiedzieć, co ci leży na wątrobie, albo się poskarżyć. Ja tylko zadawałam pytania, zazwyczaj o zgodę na odwiedzin.

Czasami miał przyplwy ciekawości.

– Jak się miewasz, Kerman?

– Czuje się OK.

– Wszystko w porządku z Panną Malcolm?

– Tak, jest świetna.

– Jest bardzo miłą kobietą. Nigdy nie mam z nią problemów. Niektóre w jej typie są kłopotliwe.

– Co ma pan na myśli?

– To wielka zmiana dla kogoś takiego jak ty, Kerman. Ale wydaje mi się, że radzisz sobie z tym całkiem dobrze.

– Coś jeszcze, panie Butorsky? Bo jeśli nie, to już bym sobie poszła...

Czasami bywał też gadatliwy.

– Już prawie z tym skończyłem, Kerman. Robię tu od prawie dwudziestu lat. Sprawy się zmieniły. Ludzie na górze mają teraz inne pomysły na to, jak radzić sobie z problemami. A to dlatego, że nie mają pojęcia, jak to wygląda tutaj, z tymi ludźmi.

– Jestem pewna, że będzie się panu podobało na emeryturze.

– Tak, myślę o czymś w rodzaju Wisconsin... gdzie jest więcej nas, ludzi z Północy, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Minetta, która jeździła do miasta i przywiozła mnie do Obozu mojego pierwszego dnia, miała zostać zwolniona w kwietniu. Gdy zbliżał się ten dzień, w Obozie gorąco dyskutowano nad tym, kto zajmie jej miejsce, gdyż ten wybraniec będzie jeździł do miasta, czyli opuszczał teren Obozu niemal codziennie. Minetta była odpowiedzialna za wykonywanie zadań dla personelu więzienia w mieście, zawożenie osadzonych i ich kuratorów na wizyty w szpitalu i odwożenie więźniarek na przystanek autobusowy po ich zwolnieniu – plus dowolne inne misje, które były jej zlecane. Nigdy, przenigdy nie wybrano na kierowcę kogoś, kto nie był „z Północy”.

Pewnego dnia poszłam do biura kuratora na moje jednodniowe spotkanie. Gdy podpisywałam księgę, Butorsky spojrzął na mnie.

– Kerman, co byś powiedziała na złożenie papierów na kierowcę? Minetta niedługo odchodzi. Potrzebujemy kogoś odpowiedzialnego do tej roboty. To ważne.

– Um... niech mi się pan da zastanowić, dobrze, panie Butorsky?

– Jasne, Kerman, pomyśl nad tym.

Z jednej strony, posada kierowcy pozwalała mi spotykać się z Larrym w łazienkach na stacjach benzynowych – tam, na zewnątrz. Z drugiej jednak strony, osoba na tym stanowisku była uważana za oficjalnego kapusia Obozu. Nie byłam kapusiem i zdecydowanie nic dobrego nie mogło wynikać ze spoufalania się z personelem, czego zdecydowanie wymagała posada kierowcy. Przywilej rasowy i subtelna pozycja kolaborantki – to już było odrobinę za dużo jak na moje możliwości. Co więcej, po całej historii ze śrubokrętem miałam raczej średnią ochotę na nielegalne przygody, nawet schadzki, niezależnie od tego, jak bardzo pragnęłam Larry’ego. Tydzień później, w biurze Butorsky’ego, odrzuciłam propozycję, ku jego zdziwieniu.

Kiedy przyjechałam do obozu, Pop – władczyni kuchni – oglądała cotygodniowe więzienne seanse filmowe wraz z Minettą i Niną, współlokatorką Pop. Siedziały na najlepszym miejscu z tyłu pokoju i kibicowały, zjadając się delikatesami z kontrabandy, załatwionymi przez Pop. Kiedy Minetta wyjechała do domu przejściowego, jej miejsce na pokazach tymczasowo zajęła wysoka, narzucająca się i raczej cicha biała dziewczyna, która była znanym w więzieniu mistrzem szydełkowania i także niedługo wyjeżdżała. Nina też przygotowywała się do wyjazdu, ale w jej wypadku niezbyt daleko – tylko w dół zbrocza na dziewięciomiesięczny program dla uzależnionych. Był to program dla więźniów z udokumentowanym uzależnieniem od alkoholu i narkotyków, którzy mieli dość szczęścia, żeby zostać do niego zapisanym przez skazującego ich sędziego. Był to jedyny poważny program rehabilitacyjny w Danbury (poza tym ze szczeniakami) i jest to nadal jedyny sposób, by w systemie federalnym znacząco skrócić wyrok. Obozowiczki udające się na program były zawsze przerażone, gdyż odbywał się on nie w Obozie, ale w „prawdziwym” więzieniu: wysoki poziom zabezpieczeń, zamknięcie i tysiąc dwieście kobiet odsiadujących poważne wyroki, czasem nawet dożywocie.

Nina przejmowała się dodatkowo znalezieniem odpowiedniego zastępstwa na seanse filmowe z Pop. Po moim początkowym *faux pas* w stołówce nie pomyślałabym nawet, że mogę być kandydatką, ale pewnej sobotniej nocy w świetlicy podeszła do mnie Nina. Ona i ta cicha dziewczyna siedziały razem z Pop.

– Piper, chodź, zjesz coś!

Jedzeniu z kontrabandy nie można było się oprzeć – nikt nie mógł przepuścić okazji zjedzenia czegoś innego niż więzienne żarcie. Dodatkowo gotowane to było z prawdziwą pasją. Byłam jednak wciąż dość zawstydzona po nieprzyjemnej rozmowie z Pop w stołówce.

Miały guacamole i chipsy. Wiedziałam, że awokado kupiły w sklepie więziennym. Zjadłam kawałek, ale nie chciałam wyglądać na zachłanną.

– To jest pyszne! Dziękuję!

Pop patrzyła na mnie z ukosa.

– Weź więcej! – powiedziała Nina.

– Dzięki, jestem już pełna, bardzo dziękuję! – Zaczęłam powoli się wycofywać.

– Daj spokój, Piper, usiądź na chwileczkę.

Zaczęłam się denerwować, ale ufałam Ninie. Przystawiłam sobie dodatkowe krzesło i przysiadłam na nim, gotowa czmychnąć na najmniejszy znak niezadowolenia ze strony Pop. Gadałam o rychłym zwolnieniu tej drugiej kobiety, jak wspaniale będzie, gdy zobaczy się ze swoim nastoletnim synem, i zastanawiałam się, czy znajdzie pracę w stowarzyszeniu stolarskim. Kiedy zaczął się film, przeprosiłam i wyszłam.

Tydzień później sytuacja się powtórzyła. Tego wieczoru zaoferowały mi hamburgery, tłuste i soczyste w porównaniu z tymi podawanymi na stołówce. Pożarłam jednego natychmiast, delektując się oregano i tymiankiem. Pop wydawała się rozbawiona moim zachwytem i nachyliła się, by wyznać:

– Używam więcej przypraw.

Dzień lub dwa później Nina zadała mi pytanie:

– Co sądzisz o oglądaniu filmów z Pop, gdy ja wyjadę na program narkotykowy? – spytała.

Co?

– Potrzebuje kogoś, kto dotrzyma jej towarzystwa, gdy mnie nie będzie i kto będzie jej przynosił napoje i lód, rozumiesz?

Czy Pop naprawdę chciała mojego towarzystwa?

– No, nie jesteś idiotką, wiesz? Dlatego jesteśmy przyjaciółkami, bo naprawdę mogę z tobą pogadać o wielu rzeczach.

To zaproszenie wyglądało jak ostateczna akceptacja... i nie można go było ot tak, odrzucić. Kiedy zobaczyłam Pop, starałam się być czarująca i może nawet mi się to udało. Nieidiotek musiało w owym czasie brakować w Obozie, bo w jakiś tydzień później Nina spytała mnie, czy chciałabym zająć jej miejsce jako współlokatorka Pop w Dormitorium A, w „Przedmieściach”.

– Ale ja jestem już w Dormitorium B, nie mogę się przenieść
– odparłam zdziwiona.

Nina przewróciła oczami.

– Piper, Pop dostaje taką współlokatorkę, jaką chce.

Byłam zadziwiona informacją, że więźniarka może dostawać to, na co ma ochotę. Oczywiście można to zrozumieć, jeśli to dzięki tej więźniarce kuchnia działa sprawnie...

– To znaczy mówisz, że mnie przeniosą?

Nina w odpowiedzi ponownie przewróciła oczami. Zmarszczyłam czoło, kompletnie zagubiona między sprzecznymi komunikatami.

Dormitorium B z pewnością zasługiwało na ksywę „Getto”, dzięki wszystkim irytującym cechom prawdziwego getta. Jedną z obecnych tam praktyk doprowadzała mnie kompletnie do szału: ludzie wieszali swoje małe słuchawki na poręczach metalowych łóżek i ustawiali głośność w swoich kieszonkowych radiach na maksa. I tak, przez te „głośniki”, ich muzyka atakowała każdego, skrzecząc i wrzaskając. Nie chodziło mi tyle o muzykę, co o okropną jakość dźwięku.

Jednak Dormitorium A wydawało się zaludnione przez nieproporcjonalnie wielką liczbę narzekających starszych pań, a do tego dochodziły psy z programu szczeniaków i ich opiekunki, które w większości były kompletnie stuknięte. I nie chciałam, by ktokolwiek pomyślał sobie, że jestem rasistką czy coś – chociaż wyglądało na to, że nikt poza mną nie miał w Obozie oporów przed wyrażaniem swoich dość solidnych rasowych generalizacji.

– Złotko – powiedziała mi raz pewna więźniarka – każdy tutaj stara się po prostu żyć wedle najgorszego wyobraźnego stereotypu kulturowego.

Jak się okazało, była to jedna z przyczyn mojego zaproszenia.

– Pop nie chce tam żadnych lesbijek – powiedziała wprost Nina. – A Ty wyglądasz na miłą, białą dziewczynę.

Z jednej strony Pop z pewnością gwarantowała korzyści jako współlokatorka, ponieważ miała wielkie wpływy w całym Obozie. Jednak z drugiej strony miałam dość silne podejrzenia, że bę-

dzie trzeba w tę relację włożyć dość dużo wysiłku – wystarczyło spojrzeć na wszystko, co Nina musiała dla niej robić.

Pomyślałam o Natalie: jak miła dla mnie była i jak łatwo mi się z nią mieszało – a miała wyjść za zaledwie dziewięć miesięcy. Jeśli ją wystawię, jaką wariatkę wsadzą do boksu osiemnastego?

– Nina, nie mogę po prostu wystawić panny Natalie – powiedziałam. – Była dla mnie bardzo dobra. Mam nadzieję, że Pop to zrozumie.

Nina wyglądała na zdziwioną.

– Cóż... pomóż mi w takim razie znaleźć kogoś innego. Co z Toni? Jest Włoszką.

Powiedziałam, że to brzmi świetnie i że będzie pasować idealnie, po czym wróciłam do Dormitorium B, mojego domu. Mojego getta.

Rozdział 7

Godziny

W Danbury było wiele okazji, by pogłębiać swoją wiarę: w piątki odbywała się msza dla katolików, czasami odprawiano ją nawet w niedzielę (zazwyczaj robił to „gorący księżulo”, młody gość, który grał na gitarze i mówił po włosku, przez co Włoszki po prostu go uwielbiały); w weekendy odbywały się nabożeństwa po hiszpańsku; była też buddyjska grupa medytacyjna i wizyty rabina w środy; do tego idiotyczna, cotygodniowa sesja „dla wszystkich” prowadzona przez ochotniczki, z gitarą akustyczną i pachnącymi świeczkami. Jednak najważniejsze było „chrześcijańskie” (znane także jako „fundamentalistyczne”) nabożeństwo w sali odwiedzin, odprawiane w każdą niedzielę po tym, gdy kończyły się wizyty.

W marcu spytałam siostrę Rafferty, niemiecką zakonnice, która była głównym kapelanem, czy w Niedzielę Wielkanocną będą jakieś nabożeństwa dla episkopalian. Spojrzała na mnie, jakbym miała trzy głowy i odparła, że jeśli chcę znaleźć pastora i umieścić go na mojej (już pełnej) liście odwiedzających, to wtedy możemy użyć kaplicy. Dziękuję za nic, siostró!

Uważałam religijne walenie czołem moich potrzęsających szabelkami, nowo narodzonych sąsiadek za męczące. Niektóre z wiernych miały nawyk głośnego powiadamiania wszystkich, jak to Bóg idzie wraz z nimi przez czas w więzieniu, jak to Jezus kochał grzeszników i tak dalej, i że będą modlić się w takiej i takiej sprawie. Osobiście uważałam, że Bogu należy dziękować nieco ciszej i być może z nieco mniejszym poziomem samozadowolenia. Można było głośno się modlić i nadal zachowywać się dość bez nadziejnie, czego liczne przykłady łatwo było znaleźć w dormitoriach.

W więzieniu nie było nowych kapeluszy na wiosnę czy sukienek, ale na tydzień przed Wielkanocą ktoś postawił dość przerażający, gigantyczny drewniany krzyż za obozem, tuż obok stołówki. Zobaczyłam go w czasie śniadania i mogłam tylko spytać panią Jones, mrukliwą królową programu szczeniactwów i jedną z grona pań w podeszłym wieku, które zawsze przychodziły na śniadanie, „Co to jest?”. Zadziwiłam się kiedyś, że pani Jones ma zaledwie pięćdziesiąt pięć lat, ale cóż, w więzieniu dziewczyna starzeje się szybko.

– Zawsze to robią – powiedziała. – Jakiś dowcipniś z SMB przyszedł i go postawił.

Kilka dni później, nad kubkiem rozpuszczalnej kawy, rozmawiałyśmy – Nina i ja – o nadchodzących świętach. Levy i druga, zdecydowanie bardziej lubiana Żydówka w Obozie, Gayle Greenman, dostały paczki macy od niemieckiej siostry z okazji Paschy, co natychmiast wzbudziło zainteresowanie innych więźniarek.

– Jak im się udało dostać te wielkie krakersy? – zapytała mnie sąsiadka z Dormitorium B, próbująca rozwikłać tajemnice wiary. – Takie krakersy byłyby pyszne z galaretką.

Nina, z wałkami we włosach, przechyliła głowę i wspominała minione święta Paschy.

– Jednego roku byłam w Rikers. Maca była jedyną rzeczą, którą dało się tam jeść – wspominała, rolując sobie papierosa między palcami. – Była pyszna z masełkiem.

W tym roku nie musiałam biegać między sederem rodziny Larry’ego a moimi własnymi tradycjami wielkanocnymi. Szkoda – całkiem lubiłam dziesięć plag.

Pop i jej ekipa postarały się na wielkanocną kolację – była odpowiednio bogata, wiosenny cud. Menu: pieczony kurczak i kapusta ze wspaniałymi pierożkami, tak gęstymi, że można ich było używać jako broni; cudowne nadziewane jajka z musztardą; prawdziwe warzywa w barze sałatkowym. Na deser miałyśmy specjalne „ptasie gniazda” Natalie: głęboko smażoną tortillę, w której znajdowała się góra puddingu pokrytego zabarwioną na

zielono „trawą” z kokosa, upstrzoną „jajkami” z galaretki i kolorowym kurczaczkiem z pianki. Najzwyczajniej patrzyłam, nie wierząc własnym oczom, jak wszyscy dokoła mnie entuzjastycznie pochłaniali swoje ogromne porcje. Nie chciałam zniszczyć tego arcydzieła. Chciałam je zabrać i zachować na zawsze.

Zaraz po Wielkanocy Nina wyjechała do więzienia leżącego u podnóża zbocza na program narkotykowy. Wiedziałam, że będzie mi jej brakować. Od kilku tygodni robiła na drutach szalik, a ja byłam jej konsultantką.

– Jak myślisz, jaki kolor teraz? – pytała, wyjmując swoją niesamowitą kolekcję włóczki, którą zgromadziła w więzieniu.

– Purpurowy! – wskazywałam. – Zielony!

Cały Obóz przygotowywał osiem kobiet, które miały wziąć udział w ścisłym dziewięciomiesięcznym programie narkotykowym. Proces ten wymagał pozbywania się kontrabandy, którą mogły mieć, zdobywania nowych rzeczy w więziennym sklepie i zaopatrywania ich w przekąski i wiadomości dla kobiet, które odsiadywały wyrok w więzieniu pod wzgórzem. Wyglądało to trochę jak wysyłanie ich na przerażający obóz letni.

Nina miała teraz mieszkać zaledwie kilkaset metrów stąd, ale równie dobrze mogłaby być tysiące mil dalej. Mogłam jej już nigdy nie zobaczyć. Miała zakończyć swój udział w programie przed moim zwolnieniem, istniała więc szansa, że pojawi się w Obozie, by powiedzieć „do widzenia”.

Razem z torbami siedmiu innych kobiet, jej bagaż zapakowano do vana. Uściskałam ją.

– Dziękuję ci, Nina, za wszystko.

– Szalik jest dla ciebie, Piper! Skończę go! – powiedziała. Popłakała.

Gdy Nina odjeżdżała do więzienia federalnego u dołu wzgórza, czułam, jakbym straciła coś ważnego. Była tutaj moją pierwszą przyjaciółką i wyglądało, że nie będę miała z nią żadnego kontaktu. W więzieniu chodzi głównie o ludzi, których brakuje ci w życiu i którzy zajmują miejsce w twojej wyobraźni.

Niektóre z tych osób były zaledwie „przez płot” – znałam pół tuzina kobiet, które miały siostry lub kuzynki w więzieniu federalnym. Pewnego dnia, gdy wracałam do pracy po lunchu, zauważyłam Ninę przez tylną bramę więzienia federalnego, po czym zaczęłam skakać i machać jak oszalała. Zobaczyła mnie i też pomachała. Ciężarówka, która patrolowała obszar więzienia, zatrzymała się między nami.

– Skończcie z tym gównem, natychmiast! – odezwał się ostro strażnik ze środka.

Pop, która spędziła wiele lat „w obozie na dole” zanim przeniesiono ją do Obozu, używała wielu „listonoszy”, którzy zanosili smakołyki przyjaciółkom będącym wciąż za kratami. Żyła w Dormitorium A, „na Przedmieściach” i miała do swojej dyspozycji ogromny schowek w boksie, dwa razy większy niż ten mój czy Natalie. Był wypchany niesamowitym zestawem jej ulubionych rzeczy – jedzeniem, które nie było już dostępne w więziennym sklepie, jak mielonka, ubraniami z dawnych czasów, których nie miał nikt inny i, co najważniejsze, perfumami. Lubiła robić własną mieszankę – trochę Białych Diamentów i trochę Opium, Eau de Pop.

– Prawie skończyłam odsiadkę – mówiła, wybierając kilka cennych, koronkowych biustonoszy z kontrabandy, by wysłać je przyjaciółce na dole. – Po co trzymać te rzeczy? Wróć do domu w styczniu i kupię sobie nowe biustonosze!

Pop była źródłem cudów, tajemnic i niespodzianek. Nie wiedziałam tego jeszcze, ale Nina poznała mnie z kobietą, która miała pomóc mi przetrwać mój wyrok w każdym jego aspekcie. Przytulała, gdy tego potrzebowałam i kazała być twardą i niezłomną, gdy nie było innego wyjścia. Na początku patrzyła na mnie sceptycznie. Jednak gdy przyniosłam jej z warsztatu SMB drewnianą deskę do włożenia pod materac, by podeprzeć plecy, jej opinia o mnie znacznie się poprawiła. Moja umiejętność pisania podań o urlop także była przydatna. Ale tak naprawdę zdobyłam jej sympatię dzięki mojemu niekończącemu się apetytowi na jej gotowanie i opowieści.

Pop na wolności prowadziła szalone życie. Przyjechała z Rosji, gdy miała zaledwie trzy lata. W wieku osiemnastu lat została wydana za mąż za rosyjskiego gangstera. Ich wspólne życie miało w sobie wszystko z szalonego splendoru disco Nowego Jorku z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. A do tego kilka lat uciekania przed federalnymi.

– Federalni próbowali nas dorwać na każdy możliwy sposób... mój mąż po prostu się śmiał. „Jeśli naprawdę chcą cię dorwać, to cię dorwą. Oni nigdy nie odpuszczają”.

Mąż Pop siedział w więzieniu gdzieś na południu, a dzieci były już dorosłe. Straciła wszystko, jednak zdołała przetrwać tuzin lat w więzieniu i nie zwariować. I wyciągnąć z tej sytuacji, co się dało. Pop była sprytna i wylewna. Była dobra, ale potrafiła też być bezwzględna. Wiedziała, jak sobie radzić z systemem i jak nie dać mu się złamać. A system próbował zawsze.

Dorosłe dzieci Pop przyjeżdżały w odwiedziny co tydzień, razem z innymi członkami rodziny, mamroczącymi po rosyjsku. Tylko w sali odwiedzin widywałam ją w jej regulaminowym uniformie khaki – wszędzie indziej zawsze ubierała się w kuchenne spodnie w kratę, fartuch w kolorze burgunda z napisem „Pop” wyszytym na piersi białą nitką i w siatce na włosy. Jednak na odwiedziny zawsze układała włosy i nakładała makijaż, żeby wyglądać jak dama, niemal kobieco.

Każdy, kto był regularnie odwiedzany, trzymał przynajmniej jeden uniform tylko na te okazje – dobrze leżący, wyprasowany i bez plam, a czasem nawet specjalnie uszyty. Jakikolwiek zmiany, które miały wniesić coś kobiecego do tych uniformów, były sprzeczne z regulaminem więzienia, ale nigdy nie udało się powstrzymać nieustannych prób więźniarek, by przełamać ten standardowy wizerunek. Niektóre kobiety wprasowywały wzorzyste plisy na plecach pudełkowatych, obszernych koszul. Każdy wiedział, które osadzone miały zdolności krawieckie i można było przehandlować rzeczy z więziennego sklepiku za lepszy krój – hiszpańskie *mamis* szczególnie lubiły nosić najciaśniejsze spodnie z możliwych. Byłam podekscytowana, gdy ktoś dał mi naj-

bardziej poszukiwaną parę płaskich z przodu spodni Dickies, które zmniejszono w talii i ściągnięto przy kostkach. Spodnie były wyświechtane po wewnętrznej stronie łydek, ale moje towarzyski i tak mlaskały i cmokały z zachwytem, gdy przygotowywałam się do odwiedzin.

– Ppi-Pipers! – wykrzykiwała z zachwytem moja sąsiadka Delicious.

– Brick House! – zgadzał się Larry, a oczy dosłownie wychodziły mu z orbit, gdy pierwszy raz zobaczył mnie w obcisłych spodniach.

Włosy były mniej ważne niż uniformy. Jako blondynka z prostymi włosami, nie miałam z nimi problemu, ale dla Murzynek i Hiszpanek włosy były nieustannym źródłem zmartwień i powodem wielu godzin przygotowań. Generalnie można było poznać po stanie włosów, która czeka na wizytę. Wielokrotnie wybuchały gorące dyskusje na temat, kto ma zająć krzesło w naszym salonie fryzjerskim, skąd rozchodził się mocny zapach płynu do mycia włosów i swąd spalonych włosów. W salonie nie było dość prądu i obwody przepalały się cały czas. Jednak niecny De-Simon odmawiał zrobienia z tym czeokolwiek.

– I tak powinni zamknąć ten cały „salon piękności” – narzekał, gdy dziewczyny w warsztacie sugerowały, że ekipa elektryczna mogłaby popracować nad kablami. – To po prostu nie idzie w parze z więzieniem!

Kiedy więźniarka zakończyła pracę nad fryzurą, przechodziła do makijażu. Około jednej rano osadzonych nosiło makijaż codziennie – z nawyku, by czuć się normalnie lub by być bardziej pociągającą dla kogoś z personelu lub dla innej osadzonej. Akcesoria do malowania kupowało się w więziennym sklepie, lub, jak w wypadku pewnej byłej maklerki, która była uzależniona od Borghese, przemycało się przez odwiedzającego. Zanim Nina wyjechała na program narkotykowy, dała mi małe puzderko w kształcie serca (takie, jakie można znaleźć w sklepach „wszystko za dolara”) i poeksperymentowałam z krzykliwymi kolorami

cieni do powiek. Duża liczba hiszpańskich kobiet miała wytatuowany eyeliner, lipliner i brwi – efekt tego był niepokojący i kojarzył mi się z transseksualistami z Meatpacking District na Manhattanie. Wytatuowane brwi nigdy nie odpowiadały tym prawdziwym, więc trzeba je było albo wrywać, albo golić, a z czasem te wytatuowane bladły, przechodząc z czarnego w niebieski.

Niemal każda z nas, która oczekiwała wizyty, prezentowała się wyprasowana, ze zrobionymi włosami i makijażem, stojąc obok płatnych telefonów, skąd mogłyśmy zobaczyć naszych ukochanych wynurzających się z parkingu, by zaraz wspiać się na szczyt wzgórza. Te, które nie spodziewały się wizyt, i tak siadały na schodach, by obserwować przychodzących i odchodzących – był to rodzaj zastępczej rozrywki. Zazwyczaj potrafiły rozpoznać stałych bywalców.

– O, to dzieciaki Rudzielca! A to rodzice Angeli – zawsze wysadza jej mamę, zanim zaparkuje, ona ma zdezelowane biodro.

Odwiedzający musieli wypełnić formularz, stwierdzający, że nie mają broni palnej lub narkotyków przy sobie. OD sprawdzał wtedy listę osadzonej, by upewnić się, że nazwisko odwiedzającego znajduje się na niej. Musiałaś mieć nadzieję, że lista jest aktualna – zależało to wyłącznie od kuratora osadzonej. Czy odważył swoją robotę papierkową? Czy chciało mu się ją oddać? Jeśli nie – cóż, życie to nie bajka. Nie miało znaczenia, kim był odwiedzający i z jak daleka przyjechał – nie było szansy na wpuszczenie. Larry opowiadał mi, jak bolesne było oglądanie każdego odwiedzającego – młodego lub starego, punka czy yuppie – który musiał przez to przejść i następnie włożył strażnikowi w dupę, w nadziei załatwienia czegoś. Za co właściwie? Nie wiadomo. Ale walka o władzę, która napędzała stosunki między więźniarkami a strażnikami, miała swoje miejsce także w pokoju wizyt.

Larry odwiedzał mnie co tydzień i żyłam dla tych wizyt – były radością mojego życia w Danbury, napełniającą nadzieją, potwierdzeniem, jak bardzo go kochałam. Moja matka jechała sześć

godzin w obie strony do momentu, gdy ubłagałam ją, by przyjeżdżała tylko co drugi tydzień. Widywałam ją w czasie moich jedenastu miesięcy w Danbury częściej niż przez wszystkie moje dorosłe lata.

Joginka Janet i siostra Platte zawsze miały dużo odwiedzających, odpowiednio – starzejących się kontrkulturowych hipsterów i podekscytowanych lewaków w utkanych w domu ciuchach z gwatemalskiej bawełny. Siostra Platte była sfrustrowana ocenzeniem jej listy odwiedzających, którą zastosowało biuro więzień – międzynarodowi aktywiści pokojowi chcieli spotkać się z siostrą, ale w czas im odmówiono.

Niektóre kobiety nie miały gości, ponieważ po prostu pożegnały się ze światem zewnętrznym. Nie miały dzieci, rodziców, rodziny – nikogo. Niektóre z nich były pół kuli ziemskiej od domu, a niektóre po prostu domu nie miały. Inne nie chciały, by ich rodziny oglądały je w takim miejscu. W sumie, im dłużej siedziałas, tym mniej i rzadziej byłaś odwiedzana. Martwiłam się o moją współlokatorkę, Natalie, która kończyła ośmioletni wyrok; rozmawiała przez telefon ze swoim synem co wieczór i dostawała dużo listów, ale przez rok naszego wspólnego mieszkania nikt jej nie odwiedził. Trzymałam się niepisanej zasady prywatności, którą wyznawałyśmy w naszym boksie, i nigdy ją o to nie spytałam.

Chociaż każdy dzień wydawał się ciągnąć w nieskończoność, to każdy tydzień zdawał się kończyć, zanim się tego spodziewałam, tempo nakręcały godziny odwiedzin. Miałam niesamowite szczęście – moi bliscy odwiedzali mnie nie tylko w czwartek i piątek, lecz także w sobotę i niedzielę. Działo się tak dzięki oddaniu Larry’ego i mojej matki, a także dużej grupie przyjaciół z Nowego Jorku, którzy byli chętni do odwiedzin. Larry zonglował moim skomplikowanym kalendarzem wizyt z opanowaniem godnym kapitana liniowca.

Mój kurator, Butorsky, nagle opuścił więzienie i obawiałam się kolejnego biurokratycznego koszmaru. Podobno wołał wcześ-

niejszą emeryturę od poddania się decyzjom naczelniczki Deboo, znacznie młodszej, nie pochodzącej z Północy kobiety, i został zastąpiony przez następnego „dożywotniaka”, Finna, który także zbliżał się już do dwudziestu lat pracy w więzieniu. Finn natychmiast narobił sobie wrogów wśród więźniarek i personelu w Obozie, bo zażyczył sobie prywatnego biura i najeżdżał na sprzątaczkę za jakość woskowania podłóg. Kiedy przeniósł się wreszcie do swojego superprywatnego biura, powiesił sobie na drzwiach brązową tabliczkę z imieniem. Oczywiście przekłete ustrojstwo zniknęło niemal natychmiast i armia OD przeszukiwała Obóz, by ją znaleźć. Nie mieli zamiaru spocząć, dopóki jej nie znajdą!

– Wpadłaś z deszczu pod rynnę, moja droga – powiedziała Natalie, która znała Finna z jej poprzednich lat w więzieniu u stóp wzgórza. – Ten facet nie jest miły. Butorsky przynajmniej odwałwał swoją papierkową robotę. Finn tego nienawidzi.

Bardzo mnie to stresowało, biorąc pod uwagę liczne zmiany w mojej liście odwiedzających. Jednak blond włosy i niebieskie oczy dawały mi niezłą przewagę, tak samo jak przy Butorskim. Finn automatycznie mnie polubił i gdy zaczęłam go z moją nową listą gości i nieśmiałą prośbą, że może dałby mi prawo do specjalnej wizyty albo poprzestawiał moją listę, jak miał w zwyczaju Butorsky, on tylko parsknął.

– Daj mi to. Nie obchodzi mnie, ilu ludzi masz na swojej liście. Wszystkich na nią wpisujemy.

– Naprawdę?

– Pewnie – Finn obrzucił mnie wzrokiem, od góry do dołu. – Co ty tu, do diabła, robisz? Nie widzujemy tu często kobiet takich jak ty.

– Przestępstwo narkotykowe sprzed dziesięciu lat, panie Finn.

– Co za strata. Dla połowy z was tu, w Obozie, ta odsiadka jest bez sensu. Większości siedzących za narkotyki nie powinno tu w ogóle być. Nie jak te szmaty spod wzgórza... siedzi tam jedna, która zabiła dwoje dzieci. Myślę, że to bzdura: utrzymywać ją przy życiu.

Nie wiedziałam, jak na to odpowiedzieć.

– Dołoży pan więc kolejnego odwiedzającego do mojej listy, panie Finn?

– Pewnie.

I tak zrobił. Moje listy odwiedzających szybko przekroczyły dwadzieścia pięć pozycji – kolejny przykład na to, że zasady więzienne nigdy nie są twarde jak gład.

Larry i matka byli moimi łącznikami ze światem zewnętrznym, ale miałam też to szczęście, że odwiedzali mnie przyjaciele. Ich wizyty były tym miłsze, że nie byli zamęczani moim poczuciem winy, przez co musieli przechodzić Larry i moja rodzina. Mogłam po prostu się zrelaksować i śmiać do rozpuku, gdy moi przyjaciele przynosili mi wieści, zadawali pytania i czynili obserwacje z ich pozycji z zewnętrznego świata.

David, mój kumpel z klubu książki w San Francisco (i były współlokator Larry'ego), był u mnie stałym bywalcem. Mieszkał teraz na Brooklynie i doczłapywał się do Connecticut raz w miesiącu pociągiem. Najfajniejsze w jego wizytach było to, że zachowywał się, jakby życie tu było normalne i obserwował to wszystko z ciekawością. Kochał automaty z jedzeniem – „Chodźmy tam i zdobądźmy trochę żarcia!”. Chciało mi się czasem płakać, widząc, jak moi przyjaciele patrzyli na mój los, jakby to było normalne życie.

David był źródłem wielkiego zainteresowania w Obozie. Być może do wszelkich komentarzy przyczyniała się mieszanka jego rudych włosów, wysublimowanego uroku i hipsterskich okularów. Albo może po prostu w okolicy nie byli przyzwyczajeni do żydowskich gejów z Nowego Jorku.

– Niezłego kumpla sobie przygruchałaś – tak po wizycie skomentował go kiedyś pewien OD.

– Powiedzmy, że mam taki stosunek do kobiet, jak ten twój koleś z pokoju odwiedzin – mrugał Finn.

Jednak inne więźniarki uwielbiały Davida, a on zawsze lubił sobie z nimi pogadać.

– Spędziłaś miło czas z twoim kolegą pedałem? – spytała mnie pewnego razu Pop po jednej z wizyt Davida. Oczywiście, że tak. – Pedały to najlepsi przyjaciele – powiedziała w filozoficznym tonie. – Są bardzo lojalni.

Mój drogi przyjaciel, Michael, pisał do mnie każdego wtorku na pięknej papeterii Louisa Vuittona. Jego listy wyglądały jak ślady po jakiejś odległej i egzotycznej kulturze. Kiedy pierwszy raz przyjechał mnie odwiedzić, miał nieszczęście przybyć w tym samym czasie, co transport nowych więźniarek i obejrzał sobie całą grupę rozczochranych kobiet w kombinezonach, wchodzącą do więzienia federalnego w kajdanach i pod strażą uzbrojoną w strzelby. Kiedy dołączyłam do niego przy stoliku, cała zadowolona, w moim czystym uniformie khaki, wyglądał na wstrząśniętego, ale ulżyło mu na mój widok.

Przyjaciele przyjeżdżali z Pittsburga, Wyoming i Kalifornii. Moja najlepsza przyjaciółka, Kristen, co miesiąc zostawiała swój nowo otwarty biznes w Waszyngtonie, by mnie odwiedzić, za każdym razem patrząc mi głęboko w oczy w poszukiwaniu kłopotów, które inni mogli przegapić. Stałyśmy się nierozłącznymi przyjaciółkami od pierwszego tygodnia uniwerku – dziwna z nas była para. Ona była prawdziwą dziewczyną z Południa, która dużo osiągnęła, była prostolinijna i nie chciała nikogo urazić. Ja zachowywałam się całkiem inaczej, jednak gdzieś w środku obie byłyśmy takie same – podobne rodziny, wartości, gusta. Przechodziła ciężki czas – jej małżeństwo rozpadało się, biznes dopiero rozkręcał; i żeby móc sobie porządnie pogadać ze swoją najlepszą przyjaciółką, musiała zabrać dupę do więzienia w Connecticut. Zauważyłam, że za każdym razem, gdy odwiedzała mnie Kristen, znikąd pojawiał się oficer Scott i lampił się na nią jak nastolatek.

Pewnego dnia odwiedził mnie kolega, wysoki prawnik o kręconych włosach. Miał konsultację z klientem z urzędu w pobliskim więzieniu i zdecydował się wpaść do mnie w drodze do domu. Zazwyczaj odwiedzał mnie razem z żoną. Tego cichego czwartkowego popołudnia spędziliśmy razem czas bardzo przy-

jemnie, gadając i śmiejąc się godzinami. Po tym wszystkim zaczęła mnie Pop.

– Widziałam cię w pokoju odwiedzin. Wyglądało to tak, jakbyś całkiem nieźle się bawiła. Kim jest ten facet? Czy Larry wie, że cię odwiedza?

Próbowałam się nie roześmiać, gdy zapewniałam Pop, że mój gość był starym przyjacielem Larry’ego z uniwerku i że tak, mój narzeczony wiedział o wizycie. Zastanawiałam się, czy Larry miał świadomość, ile fanek miał za kratkami...

Godziny odwiedzin dobiegały końca. Ostatnia osadzona przytuliła się, ucałowała swoją rodzinę i pożegnała się, a my siedziałyśmy same, czasami zamyślane, mając nadzieję, że OD będzie zbyt leniwa, żeby zrobić nam pełne przeszukanie. Jeśli któraś płakała, pocieszałaś ją lub kładłaś rękę na ramieniu. Jeśli ktoś się uśmiechał, pytałaś: „I jak było?”, natychmiast rozsznurowując buty. Kiedy już skończyłaś z tym kucaniem i kaszleniem, mogłaś wrócić przez podwójne drzwi do Obozu, do hallu, gdzie zawsze stał tłum gadających kobiet, czekających na telefony i obserwujących gości, którzy schodzili ze wzgórza i szli w stronę parkingu. Jeśli byłaś szybka, mogłaś jeszcze podbiec do okna i zobaczyć po raz ostatni twojego gościa. Dopiero później, gdy byłam już bezpieczna w domu, Larry powiedział mi, jak straszna to była dla niego chwila, gdy musiał się odwrócić i spojrzeć na mnie, machając mu przez szybę na do widzenia, a potem zejść ze wzgórza i pozostawić mnie samą.

Rozdział 8

Ażeby te zdziiry mnie nienawidziły

Jednym z hobby, do którego jakoś się nie przekonałam, było szydełkowanie, obsesja więźniarek w całym systemie penitencjarnym. Trzeba przyznać, że niektóre ich dzieła były godne podziwu. Więźniarka, która prowadziła pralnię, była pewną siebie, białą kobietą ze wsi o imieniu Nancy, której awersja do wszystkich, którzy nie byli „z Północy” była powszechnie znana. Jej osobowość pozostawiała wiele do życzenia, ale była prawdziwą mistrzynią szydełkowania. Pewnego dnia w Dormitorium B wpadłam na Nancy stojącą z moją sąsiadką, Allie B., i zazwyczaj smutną Sally – wszystkie trzy zanosiły się śmiechem.

– Co? – spytałam niewinnie.

– Pokaż jej, Nancy – zachichotała Allie.

Nancy otworzyła dłoń, w której znajdował się zadziwiająco realistyczny, wyszydełkowany penis. Średniej wielkości, we wzwodzie, wykonany z różowej bawełnianej włóczki, z jądrami i odrobiną łonowego owłosienia z brązowej bawełny i wytryskiem białej włóczki na czubku.

– Bardziej sentymentalne, niż funkcjonalne, co? – Był to jedyny komentarz, jaki zdołałam z siebie wydusić.

Allie B. żyła kilka boksów ode mnie w Dormitorium B i była wysoką, chudą kobietą o szerokich ramionach i mocnej szczęce; jej wizerunek oscylował między dziwnie wyglądającą a dobrze wyglądającą. Kochała batony i przypominała mi Wimpy z *Popeya*: „Oddam konia za tego batona!”. Nieźle dokazująca i napałona, była też zatwardziałą ćpunką i głośno odliczała dni do swojego powrotu do domu, gdy będzie mogła przespać się z kimś i wciągnąć kreskę lub dwie – w takiej kolejności. Była pro-

stolinijna i nie miała zamiaru się tłumaczyć z miłości do narkotyków. Najbardziej lubiła heroinę, ale była gotowa naćpać się czymkolwiek, i często groziła, że nawącha się rozpuszczalnika z warsztatu, w którym pracowała. Nie sądzę, żeby mówiła to poważnie.

Kumpelką Allie była młoda kobieta z zachodniej Pensylwanii, która z dumą mówiła o sobie, że jest redneckiem. Ja mówiłam na nią Pennsatucky. Pewnego dnia Pennsatucky i ja stałyśmy sobie w moim boksie w Dormitorium B, gdy moja sąsiadka zza ściany, Colleen i jej kumpelka, Carlotta Alvarado, wyszły z łazienki. Colleen miała na twarzy wielkiego banana, gdy spytała Carlottę:

– I co myślisz o tej małej zabaweczce, którą dałam ci w zeszłym tygodniu? Niezła, nie?

Carlotta roześmiała się donośnym, gromkim śmiechem, po czym obie odeszły. Rzuciłam okiem na Pennsatucky.

– Dildooooooooo – rzuciła w tym jej nosowym akcencie ze środka dziczy. Musiałam wyglądać na zaskoczoną, bo zaczęła tłumaczyć. – Colleen pewnie wyrzeźbiła jakieś nowe cacko z marchewki albo coś. Inaczej niż zwykle.

– A zwykle to...?

– Ołówek owinięty bandażem, a na cały interes jeden z gumowych palców z ambulatorium.

– Nie brzmi zbyt interesująco.

– Heh... Kiedy siedziałam w swoim hrabstwie, to robili wibratory z niezbędnika, dużej podpaski i palca uciętego z rękawicy ochronnej!

Och, i tak dowiedziałam się o kolejnym zastosowaniu podpasek. Pracowite hobbystki systemu penitencjarnego pracowały z czymkolwiek, co wpadło im w ręce.

– Jaka sytuacja, takie środki, co, Pennsatucky?

– Cokolwiek to znaczy.

Wkrótce po tym, gdy wysłaliśmy ośmioro więźniarek na dół na program narkotykowy, służba więzienna odwdzięczyła się nam

w naturze, przysyłając świeży zestaw więźniarek, które „zasłużyły” sobie na przeniesienie w górę. Czasami kobiety te były tuż przed zwolnieniem, czasami miały jeszcze swoje do odsiedzenia. Niezależnie od tego, na początku trzymały się razem, obserwując sytuację – no, chyba że miały przyjaciółki w Obozie, albo z ulicy, albo już z więziennych czasów.

Jedną z nowo przybyłych z federalnego była Morena, Hiszpanka, która wyglądała jak obłąkana księżniczka Majów. Obłąkana, ale nie dlatego, że była nieporządna lub dzika w jej codziennym wyglądzie. Sprawiała wrażenie kogoś, kto wie, jak radzić sobie z odsiadką – była zawsze zadbana, w „dobrych” uniformach, wyprasowanych i czystych, i zazwyczaj była dobrze ułożona. Ale Morena miała niepokojący wzrok. Potrafiła patrzeć na ciebie szalonymi, brązowymi oczami pełnymi wyrazu i za cholerę nie mogłaś odgadnąć, co miała na myśli. Cokolwiek działo się w jej głowie, dziewczyna wkładała wiele wysiłku, żeby to powstrzymać, ale jej oczy ją zdradzały. Nie tylko ja zauważyłam te oczy.

– Z tą coś jest nie teges – powiedziała Pop, stukając się w czoło. – Uważaj na nią.

Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, gdy Morena zapytała mnie, czy może mi towarzyszyć w drodze do pracy – została przydzielona do warsztatu bezpieczeństwa w SMB. Zawsze pokonywałam te pół mili sama, była to odrobina wolności, którą bardzo sobie ceniłam. Nie miałam pojęcia, o czym z nią rozmawiać. Miałam wrażenie, że była w moim wieku, ale nie byłam pewna skąd jest (po angielsku mówiła dość dobrze, ale z ciężkim akcentem) i z pewnością nie miałam zamiaru zadawać jej osobistych pytań.

– Jak ci się podoba praca w bezpieczeństwie?

– Jest OK – odburknęła. – Znam szefa jeszcze z federalnego.

Nie ma problemu. A ty skąd jesteś, *chica*?

Dałam jej standardowe minimum informacji:

– Nowy Jork, piętnaście miesięcy.

– Masz dzieci?

Nie mam dzieci. A ona?

Morena zaśmiała się, głęboko i szalenie, a ten śmiech mówił... „Och, naiwna i niewinna dziewczynko, nawet nie masz pojęcia, że jestem lesbą na wolności, i nie czuję się najlepiej w miejscu, gdzie nie ma szansy na bzykanko... i jak bardzo mam ochotę się z tobą zabawić”.

– Nie, nie mam dzieci.

Przez następny tydzień lub dwa Morena towarzyszyła mi w mojej drodze do pracy, czy tego chciałam, czy nie. Nasłuchałam się wiele o jej niskiej ocenie kobiet w Obozie.

– Są jak małe dziewczynki, myślą, że to całe gówno to tylko zabawa – stwierdziła, wywijając wargę. Byłam bardzo miła i nie zajmowałam stanowiska, bo panna Szalone Oczy powodowała, że się denerwowałam. Poza tymi rozmowami w drodze do pracy, także nasze kontakty w Obozie nabrały tempa. Morena pojawiała się znikąd w wejściu do mojego boksu i zagadywała w przedziwny sposób.

– Heeeeeej, mała!

Kiedy przeniosłam się do Dormitorium B, w gruncie rzeczy przyjąłam zasadę, że nie chcę żadnych odwiedzin w moim boksie; miejsca było tu mało, a i tak dzieliłam je z Natalie; to było najwięcej prywatności, na którą mogłam liczyć. Jeśli chciałam udzielać się towarzysko – wychodziłam. Jeśli byłam w moim boksie, to albo czytałam, albo pisałam listy, albo spałam. Inne kobiety, w szczególności te młodsze, uwielbiały mieć gości, którzy siedzieli na ich łózkach i stołkach lub włóczyli się dookoła i gędzili; to jednak nie było dla mnie.

– Wygląda na to, że masz nową przyjaciółkę, kochana – zauważyła sucho Natalie.

Wreszcie, pewnego dnia, gdy szliśmy do pracy, panna Szalone Oczy odkryła karty. Jeszcze raz zaczęła narzekać na niedojrzałość i głupotę kobiet w Obozie.

– Zachowują się, jakby były tu na wakacjach albo coś w tym stylu, biegając w kółko i zachowując się jak idiotki. Muszą zachowywać się jak kobiety.

Powiedziałam ostrożnie, że większość kobiet jest bardzo znużona i być może nie dość wyedukowana, i musi jakoś zabić czas, nawet przez robienie głupotek.

Ta obserwacja spowodowała nagłą i pełną pasji deklarację ze strony Szalonych Oczu.

– Piper, one są jak dzieci, a ja szukam prawdziwej kobiety! Nie mogę zajmować się tymi bzdurami z tymi głupiutkimi dziewczynami! Tam, na ulicy, jestem poważną dilerką narkotyków! Zajmuję się poważnymi sprawami, dużymi sprawami! Moje życie jest poważne! Nawet tutaj nie mogę marnować życia na te głupie suki – potrzebuję prawdziwej kobiety!

Otworzyłam usta, a potem je zamknęłam. Poczulałam się, jakby ktoś przeniósł mnie do jakiejś telenoweli. Piers Moreny falowała pod jej więziennym khaki uniformem. Hej, mogłam zrozumieć, co miała na myśli. Jej życie było poważne, jej pragnienia były poważne i mogłam zrozumieć, dlaczego nie chciała zajmować się jakąś przelotną dzierlatką, która eksperymentowała z byciem lesbijką dla rozrywki w więzieniu. Ale nie ma mowy, nie licz na mnie!

Próbowałam ostrożnie dobierać słowa.

– Yyy, wiesz, Morena, jestem pewna, że znajdziesz dla siebie właściwą kobietę. Może to po prostu zajmie trochę czasu, prawda?

Spojrzała na mnie tymi niemożliwymi do odczytania, szalonymi oczami. Była wkurzona? Zraniona? Żądna zemsty? Nie mogłam odgadnąć.

Ulżyło mi, gdy dotarliśmy do pracy – ten dziesięciominutowy spacer nigdy jeszcze nie wydawał mi się tak długi. Nikomu nie mówiłam o tej rozmowie.

Morena jeszcze parę razy próbowała wyrazić swoją potrzebę prawdziwej kobiety, sądząc być może, że nie zrozumiałam, co miała na myśli, jednak moja odpowiedź pozostała taka sama – byłam pewna, że odpowiednia kobieta była tam gdzieś, w otchłaniach systemu penitencjarnego i że opatrność przywiedzie ją do Danbury jak najszybciej. Cóż, miałam nadzieję, że naprawdę szybko.

Kiedy było już jasne, że nie będę jej dziewczyną, Szalone Oczy szybko straciła wszelkie zainteresowanie mną. Skończyły się wspólne spacerunki i nagłe wizyty w boksie. Nadal witała się ze mną, ale bez większego zainteresowania. Wydawało mi się, że wyszłam z sytuacji najlepiej, jak potrafiłam i że nie czekają mnie jakieś straszne konsekwencje mojej grzecznej odmowy. Oddychało mi się jakoś łatwiej i miałam nadzieję, że Szalone Oczy rozesła wici wśród innych lesbijek, że nie jestem „w tym stylu”, chociaż w innym życiu przecież byłam.

Po raz pierwszy od wielu lat, prowadziłam życie zupełnie bez środków chemicznych – łącznie z odstawieniem pigułek antykoncepcyjnych. Moje ciało powracało do jego naturalnego, organicznego stanu. Po dwóch miesiącach przymusowego celibatu zaczynałam już odrobinę grzać się pod denkiem. Jeśli ktoś by na mnie splunął, to pewnie skóra zasyczałaby mi z gorąca.

Larry też wyraźnie odczuwał naszą separację. Jego pocałunki na dzień dobry w pokoju odwiedzin stały się mocniejsze i chciał przytulać się nogami pod stolikiem. Moje własne pragnienie było skutecznie gaszone przez strach przed strażnikami. Rozumiałam bardzo boleśnie (czego nie rozumiał on), że mogą naprawdę zakończyć wizytę i odebrać mi wszelkie przywileje odwiedzin. Larry miał okazję przekonać się, jak to działa, gdy pewnego dnia Gejowski Pornogwiazdor (znany czasami jako oficer Rotmenssen) pojawił się w sali odwiedzin. Gejowski Pornogwiazdor był zwyczajnym sadystą z fryzurą na jeża, blisko osadzonymi oczami i wąsem, który przywodził na myśl kogoś odrzuconego z tributebandu Village People. Przyszedł do sali odwiedzin, by spotkać się ze swoim małym znajomym, oficerem Jezus-Jest-Moim-Kumplem, który zastępował regularnego OD i stał otoczony przez dwóch więźniów, których robota polegała na pomocy w sali odwiedzin i dyskusji o Apokalipsie.

Kiedy weszłam do pokoju odwiedzin, pocałowałam Larry'ego na dzień dobry, a potem skradłam jeszcze jeden pocałunek, gdy usiedliśmy przy przydzielonym stole. Zobaczył to

Gejowski Pornogwiazdor, wskazał na nas palcem i zaczął krzy-
czeć przez cały pokój.

– Hej!!! Jeszcze jeden raz to zrobisz i wypad!

Wszystkie głowy odwróciły się i patrzyły na nas w milczeniu.

– Co się stało temu gościowi? – Larry był poruszony. Pró-
bował chwycić mnie za kolano pod stołem.

– Oni już tacy po prostu są, kochanie – nie dotykaj mnie! On
nie żartuje.

Okropnie się czułam, że muszę tak ucinąć zaloty Larry’ego,
gdy tak naprawdę właśnie chciałam, żeby mnie dotykał. Larry
nie rozumiał, że przekraczanie granic w więzieniu mogło mieć
poważne konsekwencje. Ci ludzie mieli władzę, by nie tylko za-
kończyć wizyty, ale także zamknąć mnie w izolatce, ot tak. Moje
słowa przeciwko ich raczej wiele by nie zdziałały.

Potem, nadal poruszona, spytałam Eleny, jedną z więźniarek,
która pracowała w sali odwiedzin, co, do diabła, się stało.

– Och, kurdupel patrzył na ciebie i zrobił się cały czerwony –
powiedziała. – Więc Rotmensen wściekł się, widząc, że jego
kumpel zawstydził się na widok waszego całusa.

W następnym tygodniu na służbie była zwyczajowa OD.

– Słyszałam, że trochę przegięłaś w zeszłym tygodniu – po-
wiedziała, sprawdzając mnie przed wizytą Larry’ego. – Będę cię
obserwować.

W tak trudnym, zepsutym i sprzecznym wewnętrznym środo-
wisku człowiek stara się zachować subtelny balans między wy-
maganiem więzienia a swoją własną delikatnością i poczuciem
człowieczeństwa. Czasami w czasie wizyt Larry’ego czułam się
przytłoczona, ogarnięta smutkiem z powodu mojego obecnego
życia. Czy nasz związek mógł przetrwać to szaleństwo? Martwiło
mnie to. Larry był twardy przez te wszystkie lata czekania na
moją odsiadkę; teraz, kiedy już tu się znalazłam, czy damy radę
przeżyć przez prawdziwy test? Nasz czas w sali odwiedzin był tak
cenny, że nigdy nie mogliśmy znieść dyskusji o czymkolwiek
trudnym lub negatywnym. Chcieliśmy, by każda sekunda w tym
pokoju była wspiana i perfekcyjna.

Różne kobiety mają różne sposoby radzenia sobie z wpływem więzienia na ich związek. Pewnego sennego popołudnia stałam przy mikrofalówce z moją przyjaciółką Rosemarie. Była w trakcie skomplikowanego projektu kulinarnego, przygotowując topiony ser i *enchiladas* z kurczaka, a ja „pomagałam”. Chociaż można było powierzyć mi krojenie cebuli (dość trudne zadanie, jeśli używa się noża do masła), to moja pomoc polegała głównie na wysłuchiowaniu jej niekończących się oracji o naszych przyszłych weselach. Rosemarie była zaręczona ze słodkim, cichym gościem, który wiernie odwiedzał ją co tydzień i miała bzika na punkcie planowania ślubu. Prenumerowała wszystkie magazyny ślubne, które formowały stosy w jej boksie, kochała marzyć o weselu i planować ten Wielki Dzień.

Akurat tego dnia Rosemarie była zajęta moim nakryciem głowy. Jeśli nie miałam mieć welonu (wielka szkoda, jak uważała), wtedy najlepszym pomysłem będzie tiara.

– Rosemarie, czy naprawdę uważasz, że założę koronę, by iść do ołtarza? – parsknęłam. Cóż, w umyśle początkującej organizatorki ślubów wszystko jest możliwe.

Gdy Rosemarie wypełniała tortille i argumentowała z pasją za perłami, pojawiła się Carlotta Alvarado: chciała wiedzieć, kto jest w kolejce do mikrofalówki. Było to strategiczne pytanie. Carlotta, mistrzyni obsługi systemu, oceniała, kto pozwoli jej wskoczyć bez kolejki i Rosemarie z pewnością była dobrą kandydatką. Obie pracowały razem, trenując psy. I chociaż wydawało się, że Carlotta, zwyczajna dziewczyna z Bronksu i Rosemarie, nerd z Nowej Anglii, nie mają za wiele wspólnego, to dogadywały się całkiem dobrze. Rosemarie zgodziła się poczekać z *enchiladas*, żeby Carlotta mogła usmażyć trochę cebuli z Sazón, południowoamerykańską przyprawą, która zamieniała wszystko na pomarańczowe, słone i ostre.

– Carlotta też jest zaręczona – powiedziała Rosemarie, gdy cebule się smażyły.

Zaręczyny były dość rzadkie w Obozie.

– Super, Carlotta. Jak się nazywa twój facet?

– Rick – Carlotta promieniała z dumy. – Moje kochanie przyjeżdża mnie odwiedzać cały czas. Tak, wychodzę za mąż i już nie mogę się doczekać.

– To takie wspaniałe! – powiedziała Rosemarie. I zaczęła się szczerzyć. – Powiedz jej co mi powiedziałaś, Carlotta.

– Tak, nie mogę się doczekać ślubu. Wiesz dlaczego? – Carlotta uśmiechnęła się tryumfalnie.

Nie wiedziałam.

Carlotta zrobiła krok do tyłu, by lepiej wyrazić prawdę, która sprawiała, że jej serce biło szybciej, gdy myślała o swoim świętym związku. Wyciągnęła dłoń w moją stronę i wysunęła środkowy palec w górę dla podkreślenia swojego oświadczenia.

– Żeby te zdziry mogły mnie nienawidzić!

Yyy... zdziry?

– Dokładnie. Wracam na swoją dzielnię i wyjdę za mąż, a to pokaże tym wszystkim sukcom, które mnie obgadują. Będę miała faceta, a wiesz co one będą miały? Nic. Gromadkę dzieciaków zrobioną przez całe stado facetów. Nie mogę się doczekać ślubu, żeby te suki mogły mnie po prostu znienawidzić do reszty.

Przyglądałam się Carlocie, jej pięknej twarzy ożywionej wizją jej przyszłości – przyszłości, w której był jej facet, kilka zdzir i pierścionek na palcu. Byłam niemal pewna, że dostanie to, czego chce. Ze wszystkich kobiet w Obozie była tą, która zawsze potrafiła znaleźć sposób. Miała świetną robotę w więzieniu, trenując psy, dostawała tyle cebuli z kontrabandy, ile chciała, dorbiała na boku jako pedikiurzystka, a plotka głosiła, że miała nawet gdzieś ukrytą komórkę i mogła dzwonić do swojego faceta bez czekania w kolejce i płacenia potwornych więziennych stawek. Była całkiem sprytna i potrafiła chłodno patrzeć na świat. Doszłam do wniosku, że Rick miał szczęście.

Ja natomiast byłam zamknięta między światem, w którym żyłam teraz, a światem, do którego chciałam powrócić. Zauważyłam, że te, które nie potrafiły pogodzić się ze swoim uwięzieniem, miały duże problemy z personelem więzienia i innymi osadzonymi.

Były w stanie permanentnego konfliktu, ponieważ nie mogły pogodzić się ze współwięźniarkami. Widziałam młode kobiety, które z jednej strony większość swojego życia spędziły w okropnej biedzie, buntując się przeciwko władzy, a z drugiej – kobiety w średnim wieku i z klasy średniej, przerażone wizją życia z kobietami, które uważały za gorsze od siebie. Uważałam, że są nieszczęśliwe bez potrzeby. Nienawidziłam kontroli, jaką miało nade mną więzienie, ale wiedziałam, że jedynym sposobem na przetrwanie była walka w mojej własnej głowie. I wiedziałam, że nie byłam lepsza od innych kobiet tu zamkniętych, nawet od tych, których nie lubiałam.

Jednakże niektórym w więzieniu było chyba za dobrze, za bardzo przyzwyczały się do życia za kratami. Wydawało się, że zapomniały już o świecie, który istniał na zewnątrz. Starsz się dostosować i zaaklimatyzować, ale musisz być każdego dnia gotowa na powrót do domu. Nie jest to łatwe. Prawda jest taka, że więzienie i jego mieszkańcy wypełniają twoje myśli i trudno przypomnieć sobie, jak to jest być wolnym, nawet po kilku krótkich miesiącach. Spędzasz dużo czasu, myśląc o tym, jak okropne jest więzienie, zamiast planować swoją przyszłość. Nic w codziennym funkcjonowaniu systemu więziennictwa nie skupia się na tym, jak będzie wyglądało życie z powrotem na wolności, jak to jest: być wolnym obywatelem. Życie instytucji dominuje nad wszystkim. Jest to jedna z okropnych i bolesnych prawd życia za kratami – horror i walka, przejmowanie się codziennym życiem w więzieniu wyrzuca „prawdziwy świat” z twojej głowy. I dla wielu więźniów czyni powrót do wolności bardzo trudnym.

Wpadłam więc w obsesję na punkcie niemal codziennych odjazdów i zorientowałam się, że sama sobie zadaję pytanie: kto dziś wyjeżdża? W głowie miałam rejestr tych osób i jeśli lubiałam wyjeżdżającego, to udawałam się do głównych drzwi pokoju wizyt i machałam jej na pożegnanie, rytuał, w którym za każdym razem brała udział spora grupka więźniarek. Uczucie pożegnania było słodko-gorzkie, ponieważ dałabym wszystko, żeby być na ich miejscu. Ludzie planowali swój ubiór na dzień wyjścia na

wolność; ktoś z zewnątrz przynosił im wymarzone ciuchy do więzienia; przyjaciółki przygotowywały specjalny posiłek; i wreszcie zaczynały rozdawać swoje rzeczy – ubrania ze sklepiku, „dobre” mundury i koce, i inne rzeczy o jakiegokolwiek wartości, które zgromadziły przez cały czas odsiadki. Czasem fantazjowałam o tym, jak to będzie, gdy ja będę rozdawać mój dobytek.

Oglądanie nowo przybyłych było mniej przyjemne, ale równie ciekawe. Z pewnością było mi ich szkoda, ale moja troska była nieco zatruta poczuciem wyższości, ponieważ ja przynajmniej wiedziałam więcej o sposobie funkcjonowania więzienia niż one, i dzięki temu miałam jakąś przewagę. Często było tak, że ktoś wracał do Danbury po przekroczeniu warunków zwolnienia warunkowego – wtedy zazwyczaj maszerował wprost do biura kuratora i prosił o swoją dawną współlokatorkę, a nawet dawną robotę. Wiedziałam, że dwie trzecie wszystkich wypuszczonych więźniów wracało do więzienia po przekroczeniu warunków zwolnienia warunkowego. Fakt ten początkowo mnie zadziwiał – nie było sposobu, żeby zamknęli mnie tutaj ponownie. Nigdy. A jednak... nikogo nie dziwiły znajome twarze powracające do Danbury.

Kobiety zgłaszające się bez przymusu były zwykle łatwe do zauważenia. Zazwyczaj były białe i z klasy średniej, wyglądały na przytłoczone sytuacją i przerażone. Pytałam samą siebie: czy ja wyglądałam na tak przerażoną? I potem szłam po dodatkowe klapki i pastę do zębów, które trzymałam w swoim schowku na takie okazje.

Jednak większość nowo przybyłych siedziała już wcześniej albo od momentu aresztowania, jeśli nie przyznano im wyjścia za kaucją lub nie było ich na nią stać, i przybywały z więzień w hrabstwach bądź z więzień federalnych, zwanych MCP lub MA – Metropolitanne Centra Penitencjarne lub Metropolitanne Areszty. Więzienia w hrabstwach były zawsze opisywane jako okropne, pełne pijaków, prostytutek i ćpunek – nie na nasze, „federalne”, standardy. Nic więc dziwnego, że kobiety, które przyjeżdżały do Danbury z aresztów w hrabstwach wyglądały zazwyczaj na wy-

kończone. Były zadowolone, że trafiły do Danbury, bo tutaj panowały lepsze warunki – bardzo mnie to dołowało.

Intrygujące były też kobiety takie jak Morena, które „zasłużyły” sobie na znalezienie się na szczycie wzgórza i przeniesienie z więzienia federalnego do Obozu o obniżonym rygorze – w teorii były one groźnymi i notorycznymi kryminalistkami. Zawsze były bardzo zadbane pod względem wyglądu – ułożone włosy i wyprasowane uniformy, nazwisko i numer miały wybite na kieszeni na piersi (obozowiczki nie musiały tego robić). Nigdy nie wyglądały na przestraszone. Jednak często im odbijało, bo nie były przyzwyczajone do takiej dozy „wolności”, jaka tutaj panowała i mówiły, że pod względem programów i rekreacji w Obozie było znacznie mniej do roboty. W rzeczywistości większość z nich czuła się tutaj źle i chciała wrócić do normalnego więzienia. Jedna kobieta, Coco, wparowała do biura kuratora i wytłumaczyła, że nie może znieść tej wolności i żeby odesłali ją z powrotem na dół, ponieważ nie chciała sobie narobić kłopotów próbą ucieczki. Jednak słyszałam, że powód jej zachowania był całkiem inny – nie mogła znieść rozłąki ze swoją dziewczyną, która nadal siedziała w federalnym. Coco odesłali następnego dnia.

Do wzgórz Connecticut powoli zbliżała się wiosna i przyzwyczajaliśmy się, że to już koniec zimy. Tak długi czas z wieloma „stukniętymi” powoli zaczynał wpływać na mój światopogląd i bałam się, że wrócę do świata także lekko stuknięta. Jednak uczyłam się czegoś nowego każdego dnia, rozwiązując kolejne tajemnice lub subtelności dzięki obserwacji lub dobrym radom.

Tor obok siłowni był teraz w większości kupą błota, jednak z determinacją nadal po nim biegałam, zachęcona tym, że robiłam się coraz chudsza i chudsza, a każdy odwiedzający mówił ze zdziwieniem: „Wyglądasz fantastycznie!”. Wykonywałam te błotniste kółka w ciszy, bo w więziennym sklepie nadal brakowało tych durnych, beznadziejnych radyjek za 42 dolce. Każdego

tygodnia wpisywałam radio na moją listę zakupów i zawsze dostawałam taką samą odpowiedź: radia brak. OD w sklepie, który był chamem publicznie i niezłym gościem prywatnie, na pytanie kiedy będą je mieli, warczał tylko: „Radia brak!”. Wszystkie inne nowo przybyłe były w tej samej sytuacji i bardzo narzekaliśmy. W czasie wieczorków filmowych musiałam czytać z ruchu warg, a w czasie sesji na torze lub w siłowni myśli odbijały się w mojej głowie. Musiałam mieć to radio!

Lionnel, *consigliere* w magazynie, była jedną z moich najbliższych sąsiadek w naszych zatłoczonych kwaterach. Jej współlokatořka była celem protestacyjnych sików w wykonaniu Lili Cabrales w czasie mojego pierwszego poranka w Dormitorium B i to Lionnel wytarła kałuzę. Miała czarną tabliczkę z nazwiskiem, tak jak Natalie, co wskazywało na jej pobyt u dołu wzgórza w federalnym i prawdopodobnie długi wyrok. Była groźna, ale nadal przyjazna, nie lubiła bzdur, jeśli chodziło o odsiadkę. Była też wesoła, wierzącą chrześcijanką, która miała cięte i celne spostrzeżenia. Lionnel miała szczególnego bzika na punkcie „problemów społecznych” – niekradnięcia, „zachowywania się prawidłowo” w czasie zliczania, traktowania innych więźniarek z szacunkiem. Nie miała zamiaru zaprzyjaźnić się, ot tak, z pierwszą z brzegu białą dziewczyną jak ja, ale nadal witała się i czasami nawet uśmiechała w obliczu moich nieśmiałych prób żartowania, gdy znalazłyśmy się obok siebie przy umywalkach w łazience.

Pewnego cichego popołudnia, gdy naprawiałam światła w Dormitorium B, Lionnel nagle pojawiła się koło boksu. Było to dość niezwykajne, bo normalnie o tej porze była w pracy w magazynie. Postanowiłam skorzystać z okazji i zapytać o te tajemnicze radia.

– Lionnel, nie chciałabym ci przeszkadzać, ale mam pytanie – szybko wytłumaczyłam mój problem z odbiornikami. – Dostaję szafę bez muzyki. I po prostu nie mogę zmusić OD, żeby mi powiedział, kiedy będą. Co o tym sądzisz?

Lionnel przechyliła głowę i spojrzała na mnie sceptycznie z ukosa.

– Wiesz, że nie powinnaś pytać ludzi z magazynu o takie rzeczy? Nie mamy prawa rozmawiać o przedmiotach w magazynie.

– Nie, Lionnel, nie wiedziałam o tym – cofnęłam się. – Nie chciałam stawiać cię w niekomfortowej sytuacji. Sorry.

– Nie ma problemu.

Za tydzień miał już być maj. Było coraz więcej słońca i błoto powoli wysychało. Na drzewach pojawiły się liście, w powietrzu ptaki wracające z ciepłych krajów, a na torze dosłownie tony małych króliczków. Peonie zaczynały kwitnąć na klombie koło sklepu. Zdałam sobie sprawę, że słuchanie własnych myśli nie było takie złe, gdy dookoła było tyle do oglądania. Odsiedziałam już trzy miesiące, prawie jedną czwartą wyroku. Jeśli miałam oglądać nieme filmy przez następnych dziesięć – niech tak będzie. Prawie zapomniałam wpisać radio na moją listę zakupów w tym tygodniu; ktoś, kto zrobił to przede mną, powiedział, że nadal ich nie ma. Patrzyłam więc na nie jak głupia, gdy nowy zestaw wylądował na szczycie moich sprawunków.

– Coś z tobą nie tak, Kerman? – krzyknął OD. – To prawda, co mówią o blondynkach, co?

Wychyliłam się zza niego w stronę przeszkolonego magazynu i zauważyłam Lionnel. Nie podchwyciła mojego spojrzenia, jednak uśmiechnęłam się do siebie, podpisałam rachunek i oddałam go OD. To zabawne, jak się tutaj sprawy miały, jak inne osadzone mogły zmieniać stan rzeczy. Nie byłam pewna, co zrobiłam dobrze, ale czy miało to jakieś znaczenie?

Tego tygodnia wszyscy mieszkańcy Obozu zostali wezwani do głównego hallu na nagłe spotkanie z personelem – bandą białych facetów, którzy wyglądali na śmiertelnie znudzonych. Powiedziano nam:

1. Są braki w higienie! Będzie więcej inspekcji!
2. Nie wolno palić pod oknem kierownika jednostki! Zostałyście ostrzeżone!
3. „Nie” dla seksu w Obozie! Bez wyjątków! Zero tolerancji!

Cóż, jakoś nas to nie ruszyło. Wszystkie wiedziałyśmy, że Finn, starszy kurator, był zbyt leniwy, żeby robić inspekcje dormitoriów poza niezbędnym minimum i nie obchodziło go wdrażanie większości zakazów i nakazów. Jediną rzeczą, która obchodziła Finna, była hierarchia (jak pokazało fiasko sprawy z tabliczką). A kierownik jednostki administracyjnej miał głęboko w dupie wszystko, co dotyczyło Obozu.

Jednak zgodnie z zarzutami personelu skierowanymi przeciwko nam, ilość „wypadków” między paniami od czasu odejścia Butorsky’ego gwałtownie wzrosła, co doprowadziło do dosyć zabawnych połączeń. Big Mama była wesołym lewiatanem, który żył sobie w Dormitorium A – szybka w ripoście, ogólnie jednak łagodna i dość przy kości. Brakowało jej jednak troszkę wstydu, na co wskazywała jej seria numerków ze znacznie młodszymi i chudszyimi dziewczynami w jej otwartym boksie. Lubiłam Big Mamę i byłam zafascynowana jej romantycznym sukcesem. Jak ona to robiła? Na czym polegał trik? Czy był to ten sam, który stosowali grubi faceci w średnim wieku, by nakłonić młode, pojętne laski? Dziewczyny nie odwracały się potem plecami i nie pogardały nią, więc co – były nią zafascynowane? Byłam ciekawa, ale nie dość odważna, by zapytać.

Osadzone i personel toczyli ze sobą ciągłą wojnę w kwestii zasad. Wraz z przybyciem nowej zmiany oficerów, w Obozie gra zaczynała się od zera. Ulżyło mi, gdy zniknął Gejowski Pornogwiazdor i życie w Obozie zrobiło się trochę bardziej znośne.

Na jego miejsce dostałyśmy pana Maple, który wydawał się dokładnym przeciwieństwem swego poprzednika. Pan Maple był młody, niedawno wrócił ze służby wojskowej w Afganistanie, grzeczny i przyjazny aż do przesady. Zyskał sobie natychmiastową popularność wśród kobiet w Obozie. Nadal uznawałam OD za wrogów z zasady, ale zaczynałam powoli rozumieć, dlaczego niektóre więźniarki patrzyły na nich bardziej przychylnie. Pomimo tego całego bycia lesbijkami na czas odsiadki, większość osadzonych kobiet jest heteroseksualna i brak im męskiego towarzystwa, męskiej perspektywy i męskiej uwagi. Fortunna mniej-

szość miała męża lub chłopaka, który regularnie ich odwiedzał, ale większość nie miała dość szczęścia. Jedynymi facetami, z którymi miały styczność, byli strażnicy i jeśli OD był chociaż w połowie porządnym człowiekiem, wnet stawał się obiektem westchnień. Jeśli na dodatek był przystojnym draniem – tym bardziej.

Trudno wyobrazić sobie bardziej nierówną relację między dwiema dorosłymi osobami we współczesnej Ameryce, niż ta między więźniem a strażnikiem. Formalna relacja, wymuszona przez instytucję, polega na tym, że słowo jednej osoby znaczy wszystko, a słowo drugiej – nie znaczy prawie nic. Ta pierwsza może kazać drugiej zrobić niemal cokolwiek, a odmowa może skończyć się fizycznym unieruchomieniem. Sam ten fakt jest jak uderzenie w twarz. Nawet w stosunku do ludzi, którzy mają władzę w zewnętrznym świecie – glin, wybranych w wyborach przedstawicieli, żołnierzy – mamy jakieś prawa w naszych wzajemnych kontaktach. Mamy prawo jakoś się przeciwstawić, chociaż możemy z niego nie skorzystać. Jednak kiedy przekroczymy bramy więzienia jako osadzone tracimy ten przywilej. Wyparowuje i jest to przerażające. Nie dziwi więc, gdy ta nierówność w codziennych relacjach między więźniami i ich strażnikami prowadzi w naturalny sposób do nadużyć różnych rodzajów, od małych upokorzeń do okropnych przestępstw. Co roku strażnicy w Danbury i innych kobiecych więzieniach w kraju są przyłapywani na seksualnym wykorzystywaniu osadzonych. W kilka lat po moim powrocie do domu jeden ze strażników w Danbury – weteran, po siedemnastoletniej służbie w więziennictwie – był jednym z takich. Został skazany i spędził jeden miesiąc w więzieniu.

Kiedy Maple miał służbę wieczorem, ciągle patrolował dormitoria. Było coś niepokojącego w tym, że OD widział mnie w samej nocnej koszuli, jakkolwiek obszerna była. To było nawet bardziej niepokojące, niż gdy widziałam strażników, przebierając się po siłowni, w szortach i sportowym biustonoszu. Nie chodziło tylko o to, że widzieli moje ciało, chociaż sama myśl o tym

była dla mnie przerażająca. Chodziło bardziej o fakt, że moje najbardziej prywatne momenty – przebieranie się, leżenie w łóżku, czytanie, płkanie – były w rzeczywistości publiczne, dostępne dla tych obcych mężczyzn.

W czasie jednego z pierwszych dni służby Maple obsługiwał wydawanie poczty.

– Platte! Platt! Rivera! Montgomery! Plat! Esposito! Piper!

Podeszłam, dał mi moją pocztę i wróciłam do tłumu. Niektóre z kobiet szeptały i plotkowały. Stałam koło Annette i spojrzałam na nią pytająco.

– Nazwał cię: Piper!

Inne osadzone patrzyły na mnie z ciekawością. A to jeszcze nie był koniec. Poczułam się zawstydzona i spłoszyłam na twarzy, co spowodowało jeszcze większą szeptaninę.

– Po prostu nie wie. Myśli, że to moje nazwisko – tłumaczyłam, broniąc się. Następnego dnia, gdy wydawał pocztę, zrobił to samo.

– To jej imię – powiedziała jakaś mądrała, a ja znów się zarumieniłam.

– Tak? – spytał. – To dziwne.

A jednak nadal zwracał się do mnie Piper.

Rozdział 9

Dzień Matki

Dzień Matki w Obozie był szaleństwem. Od momentu, gdy wstałam, każda kobieta życzyła mi „Szczęśliwego Dnia Matki”... i tak w kółko. Szybko zrezygnowałam z tłumaczenia, że nie mam dzieci i po prostu odpowiadałam: „I nawzajem!”. Około osiemdziesiąt procent kobiet w amerykańskich więzieniach ma dzieci, więc miałam dużą szansę, by dobrze trafić.

Wiele kobiet wyszydełkowało długie, czerwone róże dla ich „więziennych mam” lub przyjaciółek. Niektóre kobiety organizowały się w mniej lub bardziej sformalizowane relacje „rodzinne” z innymi więźniarkami, najczęściej w pary matek i córek. W Danbury było wiele takich małych klanów. Młodsze kobiety polegały na radach, uwadze, jedzeniu, pożyczkach, uczuciu, przewodnictwie, a nawet dyscyplinowaniu przez swoje „mamy”. Jeśli jedna z młodszych źle się zachowywała, mogła zostać przywołana do porządku przez inną, poirytowaną więźniarkę: „Idź, porozmawiaj ze swoją mamą i doprowadź się do porządku!”. A jeśli dzieciak był zupełnie nie do zniesienia z gadaniem albo z radiem, albo z czymkolwiek innym, nawet mama mogła zostać skarcona: „Musisz pogadać z twoją córką, bo jeśli nie zacznie się zachowywać normalnie, to dam jej popalić!”.

Moja więzienna rodzina obracała się dookoła Pop. Była przykładem tego, w jak skomplikowane kształty wyrastały więzienne drzewa genealogiczne – jak krzaki kształtowane w przedziwne formy. Moim bezpośrednim „rodzeństwem” była Toni, nowy kierowca, która zastąpiła Ninę jako współlokatorka Pop. Automatycznie więc Rosemarie, najlepsza przyjaciółka Toni, była moją „siostrą” – mówiłam o nich „włoskie bliźniaki”. Jednak

Pop miała wiele innych „dzieci”, w tym olbrzymkę Big Boo Clemmons, a nawet jeszcze większą Angelinę Lewis i Yvonne, która pracowała z Pop w kuchni. Szczególnie lubiłam Yvonne; mówiłyśmy na siebie „siostra, której nigdy nie chciałam”. Wszystkie czarne „córki” Pop mówiły na nią „Mama”. Wszystkie białe mówiły na nią „Pop”. Nie miała żadnych hiszpańskich córek, chociaż w swojej grupie przyjaciół miała parę Hiszpanek.

Matkowanie w więzieniu było cenione, ale także bardzo skomplikowane z powodu rozdzielenia, winy i wstydu. Na moje oko, moje współwięźniarki były w większości zwykłymi, biednymi lub pochodzącymi z klasy średniej mamami, babciami, a nawet prababkami, jednak niektóre z nich odsiadywały bardzo długie wyroki – pięć lat, siedem, dwanaście, piętnaście. Wiedziałam, że skoro siedzą w Obozie, który miał obniżony rygor, najprawdopodobniej nie popełniły brutalnych przestępstw. Gdy patrzyłam na moje sąsiadki, kobiety, którym brakowało nawet edukacji z poziomu szkoły średniej, witające się z ich dziećmi w sali odwiedzin, zadawałam sobie wciąż to samo pytanie: *Co też takiego mogła zrobić, żeby zasłużyć sobie na tak długą odsiadkę?* Z pewnością nie były one geniuszami zbrodni.

W czasie trzech miesięcy od przyjazdu do Danbury widziałam kilka ciężarnych kobiet, które zostały matkami; pierwszą z nich była Doris. Nigdy wcześniej nie przebywałam na co dzień z kobietą w ciąży. Zahipnotyzowana i przerażona jednocześnie obserwowałam momenty, w których ciało i dziecko Doris przejmowały kontrolę, niezależnie od okoliczności. Ku mojemu zdziwieniu, mieszkańcy Obozu stanęli na baczność i ruszyli do pomocy na tyle, na ile potrafili – miała jakieś pół tuzina zastępczych położnych, zajmujących się nią w każdym momencie, sprawdzających, czego potrzebuje, pouczających ją, co ma robić, by mogła czuć się bardziej komfortowo, ale też raportujących jej postępy zgromadzonej publiczności więźniarek. Personel raczej nie przejmował się tym, co się działo; więzienne ciążę nie były dla nich jakimś wielkim wydarzeniem.

Było to pierwsze dziecko Doris i najchętniej całą ciążę spę-

dziłaby, leżąc skulona na materacu – co nie było najlepszym pomysłem ani dla niej, ani dla próbującego narodzić się dziecka. Starsze kobiety kolejno zabierały ją na spacerów przez długi główny hall, rozmawiały z nią uspokajająco, opowiadając historie i dowcipy. Współlokatorka Doris, także w zaawansowanej ciąży i z perspektywą rychłego porodu, obserwowała całą sytuację bardzo dokładnie. Obie bowiem wyglądały na przerażone.

Pewnego ranka, gdy skurcze zaczęły robić się coraz częstsze, Doris, w kajdankach, zabrano do szpitala. W wielu miejscach w Stanach Zjednoczonych kobiety rodzą w kajdanach; na szczęście ta brutalna i barbarzyńska praktyka ominęła biedną Doris. Po wielu godzinach porodu wydała na świat – w szpitalu Danbury – dziewięcioletniego chłopca. Natychmiast przewieziono ją z powrotem do więzienia, błądą, wycieńczoną i smutną. Jej matka zabrała noworodka ze sobą do wioski, gdzie żyła, osiem godzin drogi stąd. Nowo narodzony nie miał za dużych szans, by niebawem zobaczyć swojego ojca – Doris powiedziała mi, że tatuś został właśnie zgarnięty pod trzema zarzutami. Na szczęście Doris wychodziła na wolność za rok.

W Danbury nie zobaczyłam niczego, co mogłoby ukoić mój strach przed porodem, ale po raz pierwszy mogłam spojrzeć na relację między matką a dzieckiem. Najprostszą metodą wywołania uśmiechu na twarzy innej osadzonej było zapytanie ją o dzieci. Patrząc na moje koleżanki z więzienia, zaczęłam rozumieć, że nie ma silniejszego emocjonalnego związku niż ten między matką a dzieckiem – nieważne, czy niemowlakiem, czy dorosłym człowiekiem. W sali odwiedzin zawsze można było spotkać rodziny; była to jednocześnie najlepsza i najgorsza część czasu, który tam spędzałam. Małe dzieci dorastały, podczas gdy ich matki odsiadywały wyroki. Matki próbowały podtrzymywać relacje przez piętnastominutowe rozmowy telefoniczne i krótkie godziny odwiedzin. Nigdy nie widziałam tych kobiet szczęśliwszych niż wtedy, gdy były z dziećmi, bawiąc się z nimi plastikowymi zabawkami w kącie i dzieląc się czipsami i słodyczkami z automatu. Kiedy kończyły się godziny odwiedzin, serce pękało

na widok ich pożegnania. W ciągu roku dziecko potrafiło zmienić się z wrzeszczącego niemowlaka w odważnego i gadatliwego malucha. Matki obserwowały z odległości futbolowe mistrzostwa, studniówki, absolutoria, wesela i pogrzeby.

Jakkolwiek trudno było więźniarkom znieść wizyty ich dzieci, to równie ciężkie było dla nich patrzenie, jak ich potomstwo trafia za kratki. Było wśród nas tak wiele młodych dziewczyn, osiemnasto- i dziewiętnastoletnich. Niektóre z tych dzieciaków już od dłuższego czasu zmierzały do miejsca takiego jak Danbury, wystarczyła jedna zła decyzja, aby sprawić, że młoda kobieta lądowała w łapach bezwzględnego i okrutnego systemu. Brak wcześniejszych przewinień i generalnie dobre zachowanie w ogóle się nie liczyły – federalne zasady minimalnych wyroków dyktowały reguły i jeśli przyznawałaś się do winy (jak robiła większość z nas), to jedyną osobą, która mogła jakoś skrócić twój wyrok, był prokurator, a nie ława przysięgłych. W konsekwencji było tam wielu smutnych rodziców odwiedzających swoje dzieci – jednak nie moi. Moja matka była promykiem słońca w tym pokoju.

Na cotygodniowe wizyty mama zawsze ubierała się nienaganie w miękkie, wesołe kolory, układała blond włosy w idealną fryzurę, nakładała perfekcyjny makijaż i miała na sobie biżuterię, którą dałam jej na jakieś dawno minione święta czy urodziny. Gadałyśmy godzinami o moim bracie, jej studentach, moich wujkach i ciotkach, o psie. Opowiadałam jej o każdej nowej umiejętności, którą nabyłam jako elektryk w poprzedzającym wizytę tygodniu. Zawsze wyglądała na wyluzowaną w sali odwiedzin i za każdym razem, gdy mnie odwiedzała, inne więźniarki miały w zwyczaju mówić:

– Twoja mama jest taka miła, masz szczęście, dziewczyno.

Albo:

– To jest twoja matka? Nie ma mowy! Myślałam, że to twoja siostra!

Słyszałam to przez większość swojego dorosłego życia. Ludzie mówili to także i jej, i chociaż słyszała ten komplement

wcześniej już ze trzy tysiące razy, zawsze ją to cieszyło. W przeszłości takie komentarze strasznie mnie wkurzały. „Czy ja wyglądam, jakbym miała czterdzieści czy pięćdziesiąt lat?“, pytałam. Jednak teraz lubiłam patrzeć, jak się cieszy, gdy ludzie nas ze sobą porównywali. Nawet przy tej całej tragedii, w którą nas wciągnęłam, nadal była dumna z bycia moją matką. Zdałam sobie sprawę, że nigdy nie widziałam mojej matki pokonanej, nawet, gdy życie było pełne trudności i rozczarowań. Miałam nadzieję, że jesteśmy do siebie podobne nie tylko ze względu na błękit naszych oczu.

Mój ojciec, który był teraz ponad tysiąc mil stąd, mógł mnie odwiedzić dopiero wówczas, gdy skończy się rok akademicki. Można było wyczuć jego ulgę, gdy mnie zobaczył. Zawsze byłam córeczką tatusia i mogłam poznać, jak bardzo bolał go widok teźże córeczki (nawet jeśli ona była już po trzydziestce) w miejscu takim jak to. Nadal jednak spędzaliśmy ze sobą wspaniały czas, jedząc orzeszki M&M's, a ja opowiadałam mu o wszystkich intrygach, które tu się odbywały. Różnica między naszymi cotygodniowymi rozmowami przez telefon a prawdziwą rozmową twarzą w twarz była taka, jak między sms-ami a weekendową wizytą. Jeśli w całym tym cyrku była jedna dobra rzecz, to była to wspaniałość mojej rodziny.

Odwiedziny mojej mamy w Dniu Matki były niezapomniane – chociaż w sali odwiedzin wszystko było w stanie chaosu. Nigdy jeszcze nie widziałam tylu rodzin w tym miejscu. Wiele z nich nie miało środków, by przyjeżdżać tu w odwiedziny zbyt często, chociaż znaczna część mieszkała w Nowym Jorku. Zmęczone babcie i ciocie, zajmujące się dziećmi siostry lub córki w czasie ich odsiadki miały nie lada problem z zabraniami niemowlaków i nastolatków na wyprawę autobusami, pociągami i taksówkami do Danbury – podróż z miasta mogła zająć nawet cztery godziny w każdą stronę i kosztować dużo pieniędzy. Jednak Dzień Matki był specjalny i dzieci w każdym wieku przybywały do więzienia, a w sali odwiedzin unosiła się kakofonia rozmów prowadzonych w różnych językach i z różnymi akcentami. W środku tego

wszystkiego była moja matka, uśmiechająca się radośnie w tym chaosie na mój widok.

Ku mojemu przerażeniu, w czasie rozdawania poczty dostałam dwie kopie „New Yorkera”. Ktoś wykupił dla mnie drugą prenumeratę. Panna Esposito z Dormitorium C już i tak była na mnie wściekła, kiedy w marcu pojawiła się pierwsza prenumerata – uważała, że to strata pieniędzy, żebyśmy obie abonowały to samo pismo. Pieprzone gazety zaczynały walczyć się po całym więzieniu.

Esposito była dziwna. Wielka, solidna kobieta koło pięćdziesiątki, nosiła zadziwiającego boba na głowie. Zawsze była częścią komitetu powitalnego każdej nowo przybyłej, niezależnie od jej rasy – sama była Amerykanką włoskiego pochodzenia, ale z hiszpańskim nazwiskiem po mężu. Twierdziła, że była szefową gangu „Hiszpańskich Królów”. Na początku byłam sceptyczna – dlaczego „Hiszpańscy Królowie” mieliby mieć włoską królową? Jednak, jak się okazało, była to prawda.

W latach sześćdziesiątych była radykalną intelektualistką, która zaangażowała się w działalność gangów na dość wysokim szczeblu. Esposito miała bardzo długi wyrok.

Szybko zauważyłam, że chociaż Esposito była osobą w ciągłej potrzebie, to nigdy nie chciała ode mnie niczego, czego sama nie byłam gotowa jej dać i z radością dziękowała mi za moje gazety i książki. Pewnego dnia przysłała do mnie z wiatrakiem w rękę. Był to średniej wielkości plastikowy wiatrak do postawienia na stole, taki, jaki można kupić w Woolworthsie. Wyglądał mniej więcej jak ten, który miała Natalie.

– Moja droga, będziesz za to wdzięczna, gdy przyjdzie lato – powiedziała. – Nie da się ich już dostać, przestali je sprzedawać w więziennym sklepie.

Sklep sprzedawał znacznie mniejszy wiatraczek, strasznie gówniany, który kosztował 21,80 dolara. Te stare były bardzo cennie, szczególnie przez starsze panie, które najbardziej odczuwały fale ciepła latem.

Wiatrak Esposito był zepsuty. Nie było jeszcze gorąco, ale ona już była zestresowana.

– Może mogłabyś zająć się tym w warsztacie elektrycznym? Zrobię wszystko, żeby to naprawić.

Nie obiecałam niczego, ale pewnie, zobaczę, co da się zrobić. Następnego dnia, jadąc autobusem do pracy, zabrałam go ze sobą i rozłożyłam na części pod czujnym okiem moich współpracownic. Okazało się, że to prosta sprawa i byłam bardzo zadowolona, że mój dostęp do narzędzi może okazać się przydatny innej więźniarce. Po powrocie, gdy tryumfalnie podłączyłam wiatrak do prądu, a on ruszył z cichym mrukiem, Esposito prawie zemdląła z radości. Odmówiłam jakiegokolwiek płatności w formie materialnej, ale Esposito odwdzięczyła mi się, budując moją reputację.

Niemal natychmiast pojawiła się następna weteranka z nadzieją na deskę pod materac dla ulżenia bólom w plecach. Było kilka starszych pań odsiadujących długie wyroki – Pop, Esposito, pani Jones – i jeśli wyświadczyłam jednej z nich przysługę, z pewnością pochwaliła się innym. Wkrótce zostałam obłożona przez kobiety przynoszące zepsute radia, wiatraki i proszące o naprawę innych niedziałających rzeczy w ich boksach – wieszaków na ubrania, luźnych przewodów, zepsutych stojaków na buty... całe mnóstwo różności.

Mała Janet uważała, że to przesada.

– Te rzeczy to nie nasza robota. To nie elektryka, więc czemu mamy to naprawiać?

– Nikt inny tego nie robi, moja droga. Federalnych na tym zadupiu nikt nie obchodzi. Musimy sobie pomagać.

Mogła zaakceptować takie rozumowanie, ale w tym momencie miała też inne sprawy na głowie. Mała Janet miała od niedawna wielbicielkę – małą, białą dziewczynę o imieniu Amy, która była niezwykle gadatliwa. Amy była świeżym nabytkiem w zawsze obecnej grupie więźniarek, które nazywałam Eminemkami – białe dziewczyny ze złych rodzin, które dużo gadały i miały bardzo silne poglądy, i nikogo nie miały zamiaru słuchać

(poza facetami ich życia). Miały małe, wyskubane brwi, fryzurę z drobnych warkoczyków, słownictwo rodem z hip-hopu, nieślubne dzieci i pewność, że Paris Hilton jest szczytem kobiecego piękna. Amy była najmniejsza i najgorsza z całego nowego sortu Eminemek i była kompletnie zauroczona Małą Janet, która pomimo dwuletniej odsiadki nie potrafiła sobie poradzić z tym licealnym zauroczeniem. Mała Janet nie latała za dziewczynami, więc Amy zalecała się do niewłaściwej osoby. Fakt faktem, Mała Janet nie była wredna i nie zgasiła Amy z miejsca; tolerowała jej szczeniackie podrywy.

Kiedy Amy została przydzielona do warsztatu elektrycznego, Janet musiała wyłożyć kawę na ławę. Jeśli Amy nie przestanie pisać do niej miłosnych liścików i zachowywać się jak zauroczone ciele, Mała Janet przestanie się do niej odzywać. Amy wyglądała na przybitą i zrezygnowaną. Moim zdaniem nie była lesbijką i było to po prostu takie szkolne zauroczenie. Postanowiłam zająć się nią i zabrałam Amy ze sobą na jedną z moich wypraw naprawczych. Nie odmawiałam prośbom o pomoc, nawet ze strony tych, których nie lubiłam. Musiałyśmy powiesić chyba ze sto dodatkowych wieszaków, które robiłyśmy z zacisków w kształcie litery C, modelowanych młotkiem – Amy parskała i klęła cały czas.

Pomimo jej okropnego języka i częstych tyrad, znalazłam w sobie niezwykle pokłady cierpliwości wobec Amy i trakto- wałam ją łagodnie, choć stanowczo. Była taka słodko-kwaśna. Nikt inny nie okazywał jej pozytywnej uwagi. Amy zareagowała na to dożywotnią lojalnością, nazywając mnie na przemian jej mamą i żoną – na oba reagowałam parsknięciem w udawanym gniewie.

– Amy, nie jestem dość stara, by być twoją matką, a jeśli chodzi o to drugie, to nie jesteś w moim typie.

Bycie pomocnym uczyniło nas bardzo popularnymi i w Obozie spotykało mnie teraz znacznie więcej uśmiechów i akceptacji, dzięki czemu przestałam się tak krępować. Po czterech miesiącach w więzieniu byłam nadal ostrożna, bardzo ostrożna,

i wciąż trzymałam ludzi na dystans. Wiele razy musiałam zmierzyć się z pytaniami: „Co też taka typowa amerykańska dziewczyna robi w takim miejscu?”. Każdy myślał, że odsiaduję wyrok za jakieś finansowe przestępstwo, ale w rzeczywistości byłam przecież jak większość kobiet tutaj: za przestępstwo narkotykowe bez użycia przemocy. Nie robiłam z tego tajemnicy, bo wiedziałam, że nie jestem jedyna. W samym systemie federalnym (zaledwie części amerykańskiego systemu więziennego) było 90 tysięcy osadzonych za przestępstwa narkotykowe, w porównaniu z 40 tysiącami za przestępstwa z użyciem przemocy. Utrzymanie więźnia federalnego kosztuje 30 tysięcy dolarów rocznie, a kobiety – nawet więcej.

Większość kobiet w Obozie była biedna, kiepsko wykształcona i pochodziła z obszarów, gdzie nie było za wiele okazji na normalną pracę i prawie każda widziała szansę na zatrudnienie tylko w handlu narkotykami. Większość przewinień polegała na byciu niskiego szczebla dilerką, udostępnianiu mieszkania do handlu narkotykami, byciu kurierką i przekazywaniu wiadomości – wszystko to za małe pieniądze. Tego typu zaangażowanie w handel narkotykami mogło zapewnić ci wiele lat w więzieniu, szczególnie jeśli miałas kiepskiego, wyznaczonego przez sąd prawnika. Nawet jeśli miałas dobrego adwokata z Legal Aid, ona czy on z pewnością mieli mnóstwo innych spraw i niewielkie zasoby na prowadzenie twojej obrony. Trudno mi było uwierzyć, że istota mojego przestępstwa różniła się tak bardzo od sytuacji moich towarzyszek, że dostałam tylko piętnaście miesięcy, a one znacznie więcej. Miałam świetnego prywatnego prawnika i... kostium pasujący do mojej uroczej blond fryzurki na pazia.

W porównaniu z przestępcami narkotykowymi, „białe kołnierzyki” często okazywały znacznie więcej chciwości, chociaż ich przestępstwa rzadko były efektywne – oszustwo bankowe, oszustwo ubezpieczeniowe, przekrety na kartach kredytowych i czekach. Jedna blondynka koło pięćdziesiątki, o szorstkim głosie, siedziała za przekrety na giełdzie (lubiła opowiadać mi o wypadkach jej dzieci w szkole z internatem); była bankierka inwesty-

cyjna defraudowała pieniądze, by starczyło jej na hazard; a ogarnięta obsesją małżeństwa Rosemarie dostała pięćdziesiąt cztery miesiące za oszustwa podczas aukcji internetowej.

Zbierałam te informacje o przestępstwach innych ludzi albo dlatego, że sami mi powiedzieli, albo opowiedziała mi o nich inna więźniarka. Niektórzy ludzie po prostu sami lubili opowiadać o swoich przestępstwach, jak Esposito czy Rosemarie; inni nie pisnęli nawet słówkiem, dlaczego wylądowali w Danbury. Nadal nie miałam pojęcia, dlaczego Natalie skazano na osiem lat więzienia. Dobrze się dogadywałyśmy i niektóre wieczory bardzo miło spędzałyśmy razem w naszym boksie. Siedziałam na moim materacu, czytając albo pisząc listy, a na dole Natalie słuchała radia. Ogłaszała:

– Hej, koleżanko, idę do łóżka, posłuchaj mojej muzyki i zrelaksuj się!

Każdej niedzieli razem sprzątałyśmy boks – używałyśmy jej niezastąpionej plastikowej miski wypełnionej mydłem do prania. Ona czyściła podłogę jedną z jej specjalnych szmat z kuchni, podczas gdy do mnie należały ściany i sufit; wykorzystywałam do tego celu podpaski z pudełka w łazience, wycierałam też cały kurz i brud z ukośnych metalowych rurek i z systemu przeciwpożarowego, który biegł nad moim łóżkiem. Potem razem ścieliłyśmy moje łóżko. Nikt, kto siedział dłuższy czas, nie pozwalał młodszej współlokatorce ścielić łóżka – nauczyłam się tego już pierwszego dnia.

Bardzo szybko przywiązałam się do Natalie – była dla mnie bardzo miła. Wiedziałam też, że bycie jej współlokatorką dawało mi niezwykłą wiarygodność wśród innych więźniarek. Ale pomimo, a może właśnie dlatego, że żyłyśmy tak blisko, właściwie nic o niej nie wiedziałam – tylko to, że pochodziła z Jamajki i że miała dwójkę dzieci, córkę i młodego syna. To wszystko. Kiedy zapytałam Natalie, czy zaczynała swoją odsiadkę u podnóża w federalnym, potrząsnęła głową:

– Nie, koleżanko, w moich czasach sprawy wyglądały trochę inaczej. Fakt, trafiłam tam na trochę, ale uwierz mi, nie było to nic miłego.

To wszystko, czego mogłam się dowiedzieć. Było jasne, że jeśli chodziło o Natalie, rozmowy na tematy osobiste były wykluczone i musiałam to respektować.

Jednak w świecie kobiet skazanych na życie tak blisko siebie, soczyste historie i tajemnice zawsze znalazły jakiś sposób, żeby wyciec – albo dlatego, że więźniarka dopuściła do tajemnicy jakąś gadułę, albo to sam personel się wygadał. Oczywiście obsługa z założenia nie mogła rozmawiać o informacjach personalnych z innymi osadzonymi, ale w rzeczywistości działo się to cały czas. Pewne historie były szczególnie popularne. Francesca LaRue z Dormitorium B, okropna i szalona kobieta, stuknięta na punkcie Jezusa, została oszpecona ekstremalną operacją plastyczną. Wyglądała przedziwnie, z balonowymi piersiami, wielkimi ustami. Implanty miała nawet w tyłku. Podobno przeprowadzała nielegalne operacje plastyczne i „wstrzykiwała ludziom olej napędowy” na pozbycie się cellulitu. Uważałam, że w rzeczywistości chodzi o zwyczajne oszustwo medyczne. Sprytna i manipulująca ludźmi blondynka w średnim wieku miała ukraść dziesiątki milionów dolarów w bardzo skomplikowanym przekręcie finansowym. Jedna starsza pani ledwo co przekroczyła drzwi ze swoim chodzikiem, a w Obozie już szerzyła się wieść, że ukradła pieniądze ze swojej synagogi. Większość patrzyła na to nieprzychylnie („Nie wolno okradać kościoła!”).

Każdą historię, którą usłyszało się od innej więźniarki, trzeba było dzielić na pół. Pomyśl o tym tak: przyskrzyń tyle kobiet w zamkniętej przestrzeni i daj im niewiele do roboty z mnóstwem czasu jednocześnie – czego innego można się tu było spodziewać? Jednak, prawdziwe czy nie, plotki pomagały jakoś zająć czas. Pop zawsze miała najlepsze historyjki, dużo się w nich działo i dużo można było się z nich dowiedzieć. Od niej usłyszałam, dlaczego Natalie została wiele lat temu wysłana do federalnego: wylała wrzącą wodę na inną więźniarkę w kuchni. Trudno było w to uwierzyć.

– Zdzira z nią zadarła, a czego nie wiesz, Piper, twoja współlokatorka ma charakterek!

Było mi trudno pogodzić tego typu złość i agresję z moją cichą i pełną godności współlokatorką, która tak dobrze mnie traktowała. Jednak, jak to mówiła Pop:

– Z Natalie nie ma żartów!

Widząc, jak zdziwiona i wybita z rytmu byłam odkryciem tego nowego wymiaru Natalie, Pop próbowała naświetlić mi trochę realne życie w więzieniu.

– Słuchaj, Piper, teraz dookoła jest dość spokojnie, ale nie zawsze tak było. Czasami ktoś wrzuci granat do szamba. A tam, na dole – zapomnij o tym. Niektóre z tych zdzir to zwierzęta. A do tego są tam też dożywotnie. Ty masz swój mały rok do odsiedzenia i wiem, że wydaje ci się to ciężkie, ale kiedy odsiadujesz poważny wyrok albo dożywocie, sprawy zaczynają wyglądać inaczej. Nie możesz dawać sobie w kaszę dmuchać, bo to jest twoje życie i jeśli pokażesz, że jesteś miękka, to już zawsze będziesz miała problemy.

U podnóża, w federalnym, była pewna osadzona, którą znałam – mała kobietka, bardzo cicha, trzymała się sama, nikomu nie przeszkadzała. Odsiadywała dożywocie. Wykonywała swoją pracę, chodziła na spacer, wcześniej szła spać, to wszystko. Wtedy pojawiła się tam pewna młoda dziewczyna – same kłopoty. Zaczęła wkurzać tamtą spokojną kobietę, w kółko ją dręczyła i nagabywała, zachowywała się jak pieprzona idiotka. I ta mała kobietka włożyła dwa metalowe zamki do skarpetki i dała do zrozumienia tamtej dziewczynie, kto tu rządzi. Nigdy nie widziałam czegoś takiego, to była rzeźnia, wszędzie krew, laska była załatwiona na dobre. Ale wiesz co, Piper? W takim żyjemy miejscu. I nie wszystkie jedziemy na jednym wózku. Pamiętaj o tym.

Kiedy Pop opowiadała mi takie historie, wsłuchiwałam się w każde słowo. Nie miałam żadnej możliwości sprawdzenia, czy to prawda, czy nie – jak z większością rzeczy w więzieniu – ale rozumiałam, że te opowieści miały swoją własną prawdę. Opisywały nasz świat takim, jakim był i jakim go doświadczyliśmy. Morały z tych historii zawsze były bezcenne i nieprzemijalne.

Moja najbliższa styczność z konfliktem na szczęście nie zaliczała się do przemocy fizycznej, ale ostrej wymiany słów. Kiedykolwiek w barze sałatkowym pojawiała się cokolwiek innego niż kalafior i sałata lodowa, natychmiast się na to rzucałam. Pewnego dnia w barze pojawił się szpinak wymieszany z sałatą lodową i zaczęłam ostrożnie wybierać ciemnozielone liście na mój obiad. Pod nosem nuciłam sobie melodie, by jakoś rozjaśnić posępność stołówki. Jednak, gdy tak sobie wybierałam szpinak, unikając sałaty, usłyszałam, jak ktoś mówi mi nad uchem, przedzierając się przez harmider stołówki.

– Hej! Hej! Hej, ty! Przestań wybierać! Przestań natychmiast!

Obejrzałam się, żeby zobaczyć, kto krzyczał i do kogo te krzyki były skierowane. Ku mojemu zdziwieniu, solidnie zbudowana młoda dziewczyna w siatce na włosach gapiła się na mnie. Rozejrzałam się, po czym szczypcami do sałaty wskazałam na siebie.

– Do mnie mówisz?

– Tak, do diabła! Nie możesz tak sobie wybierać. Nałóż sobie porcję i zasuważ dalej!

Spojrzałam na swoją przeciwniczkę za barem sałatkowym i zaczęłam się zastanawiać, kim ona, do diabła, była. Wydawało mi się, że to jedna z nowych, podobno dużo było z nią kłopotów w pokojach. Poprzedniego dnia Annette, która nadal tam siedziała, skarżyła się na brak szacunku ze strony osiemnastoletniego dzieciaka. Wiedziałam od Pop, że bar sałatkowy należał do najmniej pożądanых zadań w kuchni, ponieważ wiązał się ze zmywaniem i krojeniem w czasie przygotowań. Zazwyczaj więc robotę tę wykonywała dziewczyna nisko postawiona w hierarchii kuchennego plemienia.

Byłam wściekła, bo odważyła się mi przeciwstawić. W tym czasie miałam już swoją wyrobioną opinię w ekosystemie Obozu. Nie zarywałam z innymi, byłam przyjacielska, ale odnosiłam się do ludzi z szacunkiem i w zamian otrzymywałam to samo. Byłam więc wściekła, że jakiś dzieciak zwymyślał mnie w stołówce. Nie tylko to – na dodatek łamała kardynalną zasadę wśród

więźniów: *Nie mów mi, co mam robić – po swoim nazwisku masz osiem numerków, tak samo jak i ja.* Publiczna bitwa z czarną kobietą była poważną sprawą, ale nie miałam zamiaru ustąpić na centymetr tej punkowie.

Otworzyłam usta, wściekła, jakbym miała splunąć, i niemal wrzasnęłam:

– Nie jem sałaty lodowej!

Nagle zdałam sobie sprawę, że dookoła zrobiło się cicho i że w zazwyczaj głośnej stołówce nagle wszyscy w skupieniu przyglądali się konfliktowi. Każde starcie między więźniarkami było sportowym wydarzeniem, ale dla mnie było to z lekka przerażające. Przeniosłam się nagle w czasie do gimnazjalnego parkingu, gdy Tanya Cateris rzuciła mi wyzwanie i mogłam albo walczyć, albo okazać się tchórzem. W podmiejskim Massachusetts zdecydowałam się na rolę tchórza; tutaj nie było takiej opcji.

Jednak zanim zdążyłam nabrać oddechu, by pokazać swoją wyższość nad Mądralą i podbić stawkę, u mojego boku zmateriałizowała się Jae, moja przyjaciółka z pracy z Dormitorium B. Jej zazwyczaj uśmiechnięta twarz była stanowcza. Spojrzała na Mądralę, nawet się nie odzywając. I ot, tak, nagle Mądrala odwróciła się i wycofała.

– Wszystko OK, Piper? – zapytała Jae.

– Absolutnie OK, Jae! – odparłam, groźnie wodząc wzrokiem za Mądralą. Wszyscy wrócili do swojego jedzenia, rozczarowani tak rychłym końcem przedstawienia i poziom hałasu wrócił do normy. Wiedziałam, że Jae właśnie uratowała mi dupę.

Teraz, kiedy miałam swoje radio, nie mogłam uwierzyć, jak można było w tak prosty sposób mieć trochę radości z dnia. Ubrana w parę białych tenisówek, kupionych w więziennym sklepie, biegałam codziennie dookoła toru. Mogłam wyłączyć pandemonium Dormitorium B, posłuchać wiadomości na NPR i biegać znacznie więcej na ćwierćmilowym torze, kiedy miałam w uszach muzykę.

Rosemarie poleciła mi WXCI, 91.7, radiostację Uniwersytetu Zachodniego Connecticut. Zapomniałam o przyjemności, jaką daje studencka radiostacja, wspaniałą losowość w dobrze piosenek, dwudziestominutowe gędzenie dziewiętnastolatków, uderzenia muzyki, której nigdy wcześniej nie słyszałam, we wnętrzu mojego mózgu. Byłam w siódmym niebie, gdy tak biegałam w kółko po torze, śmiejąc się sama do siebie, łowiąc monologi o Dicku Cheneyu i słuchając nowych zespołów, jak Kings of Leon, o których czytałam w „SPIN”, ale nigdy wcześniej nie mogłam posłuchać w ciągle powtarzającym się cyklu klasycznego rocka, hip hopu i hiszpańskiego radia, które wyznaczało ścieżkę dźwiękową codziennego życia w więzieniu.

Najlepszy ze wszystkich był regularny show „Kaseta lat dziewięćdziesiątych”, w którym puszczała kompilację najlepszych piosenek z każdego roku tych właśnie lat – każdego tygodnia jeden rok. Top 1991 składał się z Pavement, N.W.A, Naughty by Nature, Teenage Fanclub, Blur, Metalliki, Nirvany i LL Cool J. Słuchając tych piosenek, myślałam o Larrym i o szukającej kłopotów dziewczynie, którą byłam, gdy wypuszczano je na rynek. Biegając dookoła toru, cieszyłam się z każdej piosenki, która leciała w tle, w czasie gdy ja właśnie pędziłam dookoła świata, nieostrożna i głupia dziewczyna, wpakowująca się w kłopoty, które skończyły się na tym więziennym żwirze w trzynaste lat później. Nieważne jak głupia, bezsensowna i bolesna była moja obecna sytuacja, gdy słuchałam co tydzień „Kasety”, nie mogłam zanegować uczucia miłości, jakie miałam do tej szalonej, brawurowej idiotki, którą nadal byłam, nawet jeśli ten obraz trwał tylko w mojej głowie.

17 maja obchodziliśmy z Larrym naszą rocznicę. Nie dało się zignorować tego, że byliśmy rozdzieleni i to z mojego powodu, ale kiedy znalazłam właściwą kartkę z darmowej kolekcji rozdawanej przez kaplicę, poczułam się odrobinę lepiej.

*To ty kochanie,
taki wspaniały czarny chłopiec,
który wie kim jest
i wie na czym stoi.
Który nie ma czasu
na żadne gierki,
który zdobył mój szacunek
i daje mi go w zamian.
Który daje siebie,
by zbudować zaufanie
i który poświęca swoje serce
dla wielkich naszych marzeń.
Który potrafi mnie rozgrzać
i ukoić mnie miłością,
a w jego ramionach
cała moja radość.*

A w środku

*To ty kochanie,
taki wspaniały czarny chłopiec.
To ja kocham ciebie
tak mocno jak tylko potrafię.*

Żarty na bok – święta prawda.

Spędziłam cały wieczór na moim materacu, zastanawiając się, co napiszę na kartce. Była to nasza ósma rocznica. Napisałam mu, jak szybko zleciał czas: jedna czwarta naszego życia spędzona razem. Jak wszystkie nasze ryzykowne wybory okazały się prawdziwe i jak nie mogłam się doczekać powrotu do domu, do niego, jedyne go mężczyzny dla mnie. Obiecałam liczyć wschody słońca do czasu, gdy będę mogła być wraz z nim, gdziekolwiek to będzie.

Pewnego dnia, kiedy poszliśmy do pracy, DeSimon wyszedł ze swojego biura i zamknął drzwi.

– Dziś będziemy ćwiczyć z windą – oświadczył. Co do diabła miał na myśli?

Okazało się, że chodzi o mechaniczną windę hydrauliczną. Próbowałam się domyślić, do czego można jej używać – wszystkie budynki były raczej niskie, a więzienie federalne miało tylko kilka pięter. DeSimon rozjaśnił nieco sytuację. Było kilka lamp na terenie więzienia, które znajdowały się ze sto stóp nad ziemią. Windy używało się, gdy trzeba było wymienić żarówkę lub izolację w jednej z nich.

– Nie, do cholery! – powiedziała Jae, która starała się o przeniesienie do magazynu. – Nie ma, kurwa, szansy, żebyście mnie wpakowały na to coś.

Reszta ekipy się z nią zgadzała.

Jednak i tak musiałyśmy przejść przez skomplikowany proces ustawiania windy – była to, z grubsza rzecz biorąc, metalowa platforma, kilka stóp kwadratowych powierzchni, z wysięgnikiem, który wystrzeliwał prosto w niebo po naciśnięciu guzika. Jeśli zawaliło się jedną z procedur bezpieczeństwa, łatwo było sobie wyobrazić upadek na beton.

Kiedy wreszcie zrobiliśmy to prawidłowo, DeSimon spytał:

– No, to która chce się przejechać?

Kilka odważnych – Amy, Mała Janet, Levy – wdrapało się na platformę i wcisnęło guzik. Każda z nich znieruchomiła na długo zanim winda osiągnęła maksymalną wysokość, zaraz wracając na dół.

– Przeróżający!

– Chcę spróbować – powiedziałam i wdrapałam się na platformę, a DeSimon podał mi konsolę kontrolną. W górę, w górę, w górę – serce biło mi coraz szybciej, gdy w dole znikał beton, twarze sześciu kobiet i jednego mężczyzny, wszystkie zwrócone w moją stronę. Wyżej i wyżej. Mogłam widzieć wszystko, wiele mil ponad to, co wyobrażałam sobie zza krat. Cała platforma kołysała się na wietrze, gdy trzymałam palce na wciśniętym guziku. Chciałam dotrzeć do maksymalnej wysokości, chociaż trzy-

małam się kurczowo barierki zbielełymi palcami, a w uszach słyszałam walenie serca.

Na największej wysokości winda zatrzymała się z szarpnięciem, co jeszcze bardziej mnie przestraszyło. Z dołu, ze strony moich koleżanek, które osłaniały oczy, żeby mnie zobaczyć, dało się słyszeć niemrawe wiwaty. Z innych warsztatów poprzychodziły kobiety, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Szalona! – powiedział ktoś z podziwem.

Wyrzałam zza tak kurczowo trzymanej barierki, cała uśmiechnięta. DeSimon próbował chyba ukryć uśmiech gdzieś w zakamarkach swojej brody.

– Schodź Kerman, nikt nie chce cię zdrapywać z betonu!

Prawie go polubiłam tego dnia.

Obóz się wyludniał. Na początku miesiąca miałyśmy przyплыw nowych twarzy, wliczając w to całą klikę, która przesznuowała do Obozu marihuanę przez „ekspres tyłkowy” (wygląda na to, że kucanie i kaszenie da się jednak oszukać), co trochę poruszyło całe więzienie. Potem przyплыw więźniów skończył się, jak ręką odjął. Plotka głosiła, że służby penitencjarne „zamknęły” Obóz, przyjmując tylko więźniarki, które już odsiadywały wyroki w innych więzieniach, ponieważ nie chciano, by Marthę Stewart przydzielono do Danbury. Nie do końca było wiadomo, czy to dlatego, że Danbury było kiepskiej jakości dziurą, czy też z jakiegoś bardziej tajemniczego powodu. Moratorium na przyjmowanie nowych więźniów wydawało się rzeczywiście działać, bo przyплыw nowych twarzy do więzienia zamienił się w mały strumyk. Jednak ludzie nadal wychodzili na wolność.

Chciałam już wyjść. Przyплыw adrenaliny z początkowego „Czy dam sobie radę?” okresu skończył się definitywnie i przede mną rozpościerała się reszta mojej odsiadki w Danbury. Larry i ja spędziliśmy mnóstwo czasu i energii, mając nadzieję, że da się skrócić mój wyrok do roku, sądząc, że będzie to wielkie zwycięstwo. Teraz, kiedy byłam w samym środku tego wszystkiego, miesiąc dłużyły się, jakby nigdy nie miały się skończyć.

Jednak niespodzianki życia towarzyskiego w więzieniu nadal mogły mnie zaskoczyć. Jae, jak wielu spośród moich bratnich dusz, była Bykiem, o czym dowiedziałam się, gdy Big Boo Clemmons podeszła do mnie w Dormitorium B i zaprosiła na przyjęcie urodzinowe Jae. Boo Clemmons była wielką lesbijką. Kiedy mówię „wielką”, to mam na myśli sto pięćdziesiąt kilogramów żywej wagi. Miała skórę aksamitną jak mydło Dove i była najbardziej atrakcyjną stu pięćdziesięciokilogramową dziewczyną, jaką znałam. Używała swej masy, by robić na innych wrażenie. Jednak tusza była mniej porażająca od jej umysłu. W sposób mistrzowski potrafiła posługiwać się słowami – umiała rymować na zawołanie, a jej charyzma i czar były niezwykle. Jej dziewczyna, Trina, ważyła jakieś sto kilo i była ładna, ale wredna; więźniarki nazywały ją najczęściej „Ciastoliną” – ale tylko za jej plecami. Uwielbiała się kłócić i była tak nieprzyjemna, jak Boo lubiana.

Boo powiedziała mi, kiedy i gdzie odbędzie się przyjęcie i że mogę przynieść sernik.

– Gdzie będzie ta impreza? – zapytałam i byłam zaskoczona, gdy odpowiedziała:

– Tutaj, w Dormitorium B.

Imprezy więzienne odbywały się zazwyczaj w świetlicach; inaczej ryzykowało się problemy ze strony strażników.

Kiedy nadeszły urodziny Jae, zastanawiałam się, jak się czuje. Musiały to być jej drugie lub trzecie urodziny w więzieniu, a przed sobą miała jeszcze siedem, które były jak płatki ustawione w bardzo długim wyścigu. Pojawiłam się na imprezie zaraz po obiedzie, z sernikiem w ręku (było to jedyne więzienne jedzenie, które potrafiłam przygotować). Goście zebrali się w środkowym korytarzu Dormitorium B przed boksem Jae, który dzieliła ze swoją współlokatorką Sheeną. Mieszkanki Dormitorium B stanowiły większość gości i przyniosłyśmy składane krzesła oraz stołki z naszych pokojów.

Moja schizofreniczna sąsiadka Colleen też tam była, tak samo jak koleżanka Jae, Bobbie – motocyklowa mamuśka z Brooklynu

MCC, a także Mała Janet, Amy i Lili Cabrales, którą widziałam w akcji mojej pierwszej nocy w Dormitorium B. Lili doprowadzała mnie do szału ciągłym wołaniem przez całą salę:

– Pookie, co robisz? Pookie, chodź tu! Pookie, masz jakąś chińską zupkę? Jestem głodna!

Cicha Pookie była jej najlepszą przyjaciółką, mieszkała dwa boksy ode mnie. Siedziałam na swoim materacu i pytałam sama siebie (a czasem też Natalie): „Czy ona nigdy się nie zamknie?”

Lili była głośną Portorykanką z Bronksu, lesbijką na czas pobytu i brała siebie na bardzo poważnie. Jednak, co zabawne, po tym, jak Pookie wyszła na wolność i Lili uciszyła się trochę, dziewczyna zbliżyła się do mnie. Ja chyba też ją polubiłam i w którymś momencie ona mówiła na mnie „Delfin”, co brało się od mojego tatuażu, a ja mogłam rozśmieszyć ją nawet drobnym żartem.

Była tam też Delicious – grywała w piki z Jae. Delicious wyglądała, jakby była sobowtórem mojej dobrej przyjaciółki, Candance. Może się to wydawać zaskakujące, bo Candance pochodziła z Północnej Karoliny, była biała i skończyła Dartmouth – spec od PR-u na zachodnim wybrzeżu, matka jedynaka i fanka clownów. Delicious zaś była czarną mieszkanką Dystryktu Kolumbia, z lekkim wąsem, mnóstwem tatuaży i strasznie długimi paznokciami. W więzieniu pracowała na zmywaku, jednocześnie ćwicząc swój doskonały głos i cięty dowcip. Jednak miały podobne włosy, podobną posturę, taki sam mały i okrągły nos i identyczny sposób patrzenia na świat: łagodny, z delikatnym odcieniem ekscytacji. Dostawałam od tego gęsiej skórki. Delicious śpiewała cały czas. Cały. Czas. Wołała śpiewać niż mówić. Gdy tylko przeniosłam się do Dormitorium B, spytała:

– Masz jakieś gangsta książki?

Kiedy opowiedziałam jej o mojej przyjaciółce Candace na wolności i jak bardzo były do siebie podobne, Delicious spojrziała na mnie, jakbym była najdziwniejszą osobą na świecie.

Boo przygotowała dla nas małą grę. Na początek rymowany wierszyk-zagadkę o każdej zaproszonej, a naszym zadaniem było

odgadnąć jej tożsamość. Była to wspianiała nowość i wkrótce zaśmiewaliśmy się szczerze z każdej z nas, mimo że Boo powstrzymała się od naprawdę wrednych komentarzy.

*Żyje sobie właśnie tu
W tym właśnie inkubatorze
A kiedy widzisz ją wśród drutu
Przed oczami staje morze*

Kiedy Boo przeczytała ten wierszyk, musiałam przygryźć wargę, by się nie roześmiać i rozejrzałam się szybko. Większość była zagubiona, ale niektórzy uśmiechali się pod nosem, zadowoleni z siebie, że zgadli od razu.

– Kto to? – spytała Boo. Wiele dziewczyn wzruszyło ramionami, co trochę ją poirytowało.

– To Piper! – krzyknęły Sheena i Amy razem.

– Nie rozumiem tego – powiedziała Trina do swojej dziewczyny. – To nie ma sensu.

Boo była lekko wściekła.

– Żyje w tym inkubatorze, to znaczy w Dormitorium B. A gdy ją widzisz, to widzisz morze, jej tatuaż. Rozumiesz? Tatuaż, morze? Ryba!

– Aaa – uśmiechnęła się Lili Cabrales. – To mój Delfin!

Rozdział 10

Szkoła gangsterów

Dużo się nauczyłam przez te pięć miesięcy pobytu w więzieniu: jak wyczyścić każde pomieszczenie, używając podpasek, jak okablować izolację w świetlówce, jak rozpoznać, czy jakiś duet to kochanki, czy tylko najlepsze przyjaciółki, jak skłąć kogoś po hiszpańsku, jaka jest różnica między „czuję to” (dobrze) a „coś czuję” (źle); poznałam też najszybszą metodę na obliczenie czyjegoś czasu, ale też nauczyłam się rozpoznawać okazję w sklepie na kilometr i wyczuć, z którymi strażnikami można było pogadać, a którzy byli wredni. Udało mi się nawet opanować przepis na najważniejszy element kulinarnego kanonu w więzieniu: sernik.

Pierwszy raz spróbowałam przygotować go na czyjąś imprezę pożegnalną, piekąc sernik według hiszpańsko-angielskich instrukcji i wspomagającej gestykulacji mojej koleżanki z pracy, Yvette. W przeciwieństwie do większości więziennych specjałów, wiele ze składników można było kupić w tutejszym sklepiu.

Więzienny sernik

1. Przygotuj spód z pokruszonych grahamkowych krakersów wymieszanych z czterema kawałkami margaryny ukradzionej ze stołówki. Piecz w plastikowej misce w mikrofalówce przez około minutę, następnie pozostaw do ostygnięcia i stężenia.
2. Weź jeden ser topiony, rozdrobnij widelcem i wymieszaj z jednym opakowaniem waniliowego puddingu, aż miksztura będzie gładka. Po trochu dosypuj i wmixszaj całe opa-

kowanie śmietanki do kawy, nawet jeśli wydaje ci się to obrzydliwe. Mieszaj energicznie, aż masa będzie gładka. Dodaj sok z cytryny z butelki, aż mikstura zacznie się zsiadać. Uwaga: zużyjesz niemal całą butelkę.

3. Wylej miksturę na spód, nasyp lodu w wiadro do zmywania podłogi twojej współlokatorki, włóż tam ciasto i schładzaj, aż będzie gotowe do zjedzenia.

Za pierwszym razem wyszedł mi trochę za luźny. Powinnam była użyć więcej soku z cytryny. Ale i tak był to wielki sukces. Yvette uniosła brwi, gdy go smakowała.

– *Buena!* – oświadczyła. Byłam bardzo dumna.

Więzienna kuchnia i techniki przetrwania były bardzo dobre, ale nadszedł czas, by nauczyć się czegoś bardziej produktywnego. Regularnie dostawałam przyjacielskie, lecz uparte zaproszenia od Joginki Janet, by przyłączyć się do jej klasy i kiedy naciągnęłam sobie plecy, przykładała mi na nie lód, w czasie, gdy ja leżałam na materacu.

– Naprawdę powinnaś zacząć uczyć się z nami jogi – powiedziała delikatnie. – Bieganie zbyt mocno nadwyręża ciało.

Nie miałam zamiaru porzucić biegania, ale zaczęłam też kilka razy w tygodniu chodzić do małej siłowni na lekcje jogi. Larry śmiał się, gdy mu o tym powiedziałam. Od łąt próbował namówić mnie na jogę w snobistycznym studio w centrum i teraz był jednocześnie rozbawiony i trochę poirytowany, że potrzeba było więzienia, aby przekonać mnie do pozycji lotosu.

Siłownia miała gumową podłogę. Na początku używałyśmy za małych dla nas mat z niebieskiej pianki, ale wielkim wysiłkiem i wytrwałością Janet niczym magik sprawiła, że ktoś z zewnątrz podarował dla Obozu prawdziwe, pomarańczowe maty do jogi. Wysoka, spokojna i z dystansem do siebie, Janet zdołała wytworzyć poczucie, że uczyła nas czegoś bardzo ważnego, a jednocześnie nie brała tego wszystkiego na śmiertelnie poważnie.

Camila z Dormitorium B była stałym gościem. Pośród tylu wyrzutków z Danbury, Camilę dało się zauważyć od razu. Mój

przyjaciel Eric wyłowił ją w sali odwiedzin i ogłosił, że jest „najseksowniejszą kobietą w amerykańskim systemie penitencjarnym – bez urazy Pipes”. Pośród zalewu kiepskiego zdrowia i złych manier Camila była okazem zdrowia i jaśniała urodą; wysoka, chuda, z błyszczącymi, czarnymi włosami, ciemnobrązową skórą, wystającym podbródkiem i wielkimi czarnymi oczyma, zawsze się śmiała, i to bardzo głośno. Bardzo lubiłam ten jej śmiech, ale z tego właśnie powodu wiele białych kobiet za nią nie przepadało.

– Te Portorykanki zachowują się, jakby nawet nie wiedziały, że są w więzieniu – ciągle się śmieją i tańczą jak idiotki – narzekała wysoka i brzydka Sally, która chciała, żeby każdy był tak samo zdołowany jak ona. I tak samo głupi – Camila była z Kolumbii, a nie z Porto Rico. Miała wyjątkowy talent do jogi, łatwo przychodziły jej postawy wojownika czy wyginanie pleców. Chichrałyśmy się strasznie, próbując utrzymać równowagę na jednej nodze, jednocześnie owijając drugą dookoła niej.

Na macie obok Camili ćwiczyła Ghada. Ghada była jedną z nielicznych muzułmanek, które spotkałam w więzieniu. Było trudno odgadnąć jej wiek – miała wiele zmarszczek na twarzy, ale biła z niej niezwykła energia – mogła być koło pięćdziesiątki lub sześćdziesiątki. Włosy miała przetykane siwizną i chowała je pod improwizowanymi chustami – czasami z poszewki, czasami ze ścierki z kontrabandy. Nigdy nie udało mi się do końca dowiedzieć, co się tam działo, ale strażnicy często konfiskowali jej chusty. Nie miałyśmy prawa ich nosić, dozwolone były tylko kupione w więziennym sklepiku czapki baseballowe lub wydawane dla wszystkich więźniarek wełniane, które powodowały cholerne swędzenie. Jednak wydawało mi się, że muszą być jakieś wyjątki dla muzułmanek. Nie udało mi się dowiedzieć, czy hijab był zakazany w więzieniach, czy też po prostu Ghada nie potrafiła zdobyć chusty akceptowalnej przez system więzienny. Nigdy nie dbała o zasady.

Ghada pochodziła z Libanu, ale żyła przez wiele lat w Południowej Ameryce i mówiła płynnie po hiszpańsku, ale jej angielski nie był najlepszy. Z powodu długiego pobytu w Połud-

niowej Ameryce, Ghada była honorową hiszpańską *mami*. Z pewnością wyszło jej to na dobre, ponieważ absolutnie nie akceptowała władzy i personelu, kompletnie olewała zasady i tylko wysiłki jej przyjaciół chroniły ją przed trafieniem do izolatki. Przyniosło jej to zarówno szacunek, jak i ciągłą irytację współwięźniarek. Nikt nie wiedział, za co siedziała Ghada, ale wszystkie zgadzałyśmy się, że była następną OD. Ghada uwielbiała Joginkę Janet, co było głównym powodem, dla którego przychodziła na zajęcia. Nie była zainteresowana prawidłowym wykonywaniem figur, ale wносиła dużo entuzjazmu w cały rytuał.

Ostatnią członkinią naszej grupy aspirujących joginek, była siostra Platte, która brała to wszystko na poważnie. Siostra miała wąskie biodra, więc skręty i postawa gołębia sprawiały jej kłopoty, a jeśli pozwoliła sobie na tłuste frytki na lunch, to wykonanie skłonów było dla niej niemal niemożliwe. Kiedy nurkowałam w głęboki skłon, malutka siostra patrzyła na mnie, zastanawiając się: „Co też robię źle?”.

Nasza piątka trzymała się razem, co czyniło te kilka godzin najfajniejszymi w całym tygodniu. Za każdym razem spotykałyśmy się, by osiągnąć spokój, który w Danbury można było odnaleźć tylko we wnętrzu własnego ciała. Każda sesja kończyła się krótkim seansem relaksacyjnym w wykonaniu Janet, kiedy mówiła nam o pracy, którą właśnie wykonałyśmy i o rzeczach, za które powinnyśmy być wdzięczne każdego dnia w więzieniu. Każdego tygodnia Ghada zasypiała w czasie sesji relaksacyjnej i któraś z nas musiała ją budzić, bo strasznie chrapała.

Pewnego wieczora panna Mahoney, niezwykle wesoła i nieco „męska” szefowa działu edukacji z więzienia federalnego, sprawiła wielu osadzonym ogromną radość. Była jedną z niewielu wśród personelu więzienia, która zdawała się być po naszej stronie. Na tyle, na ile mogłam powiedzieć, była jedną z nielicznych przyjaznych dusz w departamencie edukacji. Miała dość denerwujący zwyczaj głośnego mówienia, kiedy korzystała z więzien-

nego radia. Tego wieczoru ogłosiła, że w stołówce odbędzie się spotkanie poświęcone świadomości genderowej. Co to dokładnie oznaczało – nie miałyśmy pojęcia.

Wtedy przeszła do ważniejszych spraw.

– Niżej wymienione panie mają się zgłosić do biura OD po wyniki ich testów GED...

Po tonie jej głosu można było poznać, że były to dobre wiadomości dla wszystkich wywołanych.

– Malcolm! – wyczytywała Mahoney.

Podniosłam się z materaca. Natalie podchodziła do testu GED coś koło tuzina razy i z pewnością już dawno powinna była go zdać. Za każdym razem strasznie się stresowała i zawsze sekcja matematyczna okazywała się jej piętą achillesową. Gdzie też się podziewała Natalie?

Kiedy dostałam się do głównego hallu, dało się już słyszeć okrzyki radości, a więźniarki napływały ze wszystkich pokojów i dormitoriów. Kiedy kobieta w wieku dwudziestu pięciu, trzydziestu pięciu czy czterdziestu pięciu lat próbuje dostać dyplom szkoły średniej w więzieniu, pisząc test za testem, próbując uczyć się w fatalnie prowadzonym programie, z luzackim, studenckim podejściem, i wreszcie go zdaje, to jest to prawdziwe zwycięstwo. Niektóre z tych kobiet zostawiły szkołę trzydzieści lat temu i teraz udało im się dostać jedną z nielicznych pozytywnych rzeczy w więzieniu – jedno z tych niewielu osiągnięć, jakie ktoś może zdobyć za kratkami. Dodatkowo oznaczało to, że tym kobietom przysługiwało coś więcej niż najniższa stawka za więzienną pracę – jeśli nie miało się GED, to nie można było zarabiać więcej niż 14 centów za godzinę, co ledwo starczało na pastę do zębów i mydło. Wszystko było opłacane z naszych więziennych kont – środki higieniczne, telefony, kary. Jeśli więźniarka nie miała GED i nie dostawała pieniędzy z zewnątrz, miała przerąbane. Natalie wiele lat pracowała jako wykwalifikowany piekarz w więziennej kuchni – ceniona członkini personelu – a jednak nie mogła zarobić więcej niż 5,60 dolara za tydzień składający się z czterdziestu godzin pracy.

Gdzie też podziewała się panna Natalie? Jej nazwisko wycytano pięć minut temu, jednak nie widziałam jej w tłumie szczęśliwych, krzyczących i śmiejących się kobiet w hallu. Gdzie też była moja tajemnicza współlokatorka, tak wspaniale zazwyczaj opanowana? Wiedziałam, jak bardzo Natalie chciała dostać swój dyplom i podejrzewałam, że bolało ją, że musiała tak długo mierzyć się z sekcją matematyczną. Z zawstydzoną godnością odmówiła moim ofertom pomocy w uczeniu się. To była jej chwila! Czy może chowała się gdzieś, zbyt wstydliva, żeby dołączyć do istniejącej orgii gratulacji i nieregulaminowych uścisków, która miała miejsce w hallu?

Nie! Była na torze. Widziałam, jak wkładała trampki. Ruszyłam korytarzem, wyszłam z budynku i w dół schodów pobiegłam na tor, tak szybko, jak potrafiłam. Nawet nie wiedziałam! W połowie schodów krzyczałam do innych na torze:

– Czy moja kumpela tam jest?

Poszłam za szopę i znalazłam ją tam, była razem ze swoją stukniętą przyjaciółką, Sheila.

– Hej! Przyszły twoje wyniki GED! – wydusiłam zmęczona. Natalie uśmiechnęła się nerwowo.

– Chodź, chodź i zobacz!

– OK, OK, już idę – pełna godności do końca, Natalie nie miała zamiaru się spieszyć.

Ruszyłam w górę schodów w momencie, gdy spora grupka schodziła na dół.

– Gdzie jest Natalie? Gdzie jest panna Malcolm? O, tutaj! Chodź, Natalie!

Moja współlokatorka wyglądała na zaskoczoną, ale nadal się nie spieszyła. Miała na twarzy ten wyraz sceptycyzmu, który dowodził, że nie chciała oddać się świętowaniu, dopóki nie miała dowodu przed oczami.

Kiedy wkroczyła do Obozu, hałas w hallu był już nie do wytrzymania i ludzie nawoływali: „Gdzie jest panna Malcolm?”. Została natychmiast otoczona przez ściskających ją i gratulujących jej ludzi. Gdy tak szła powoli przez hall, wydawała się przytłoczona całą sytuacją.

Obok biura OD ktoś machał wynikami jej testu w powietrzu.

– Natalie! Udało ci się!

Nagle wydało mi się, że pęknę tam i zaczęę płakać, a nie należałam raczej do osób płaczkliwych. Przyplływ wspólnej radości w tak smutnym miejscu był dla mnie niemal nie do wytrzymania. Było to jak zimne i ciepłe powietrze zderzające się w hallu i tworzące razem tornado. Wzięłam głęboki oddech, krok do tyłu, i przyglądałam się mojej współlokatorce, otoczonej przez tłum gratulujących. Kiedy gratulowałam jej we względnie prywatnym otoczeniu naszego boks, próbowała pomniejszyć swój tryumf, ale dało się zauważyć, że była z siebie bardzo dumna.

Moi przyjaciele i rodzina byli zszokowani, jak bardzo przyzwyczaiłam się do życia w więzieniu. Nie rozumieli jednak, jak te wszystkie rytuały miały wpływ na moje przetrwanie. Jest to niezwykle okrutny paradoks długich wyroków. Kobiety odsiadujące siedem, dwanaście, dwadzieścia lat mogły poradzić sobie, tylko akceptując więzienie jako ich wszechświat. Jednak jak miały poradzić sobie na wolności? „Zinstytucjonalizowana” – to była jedna z najgorszych obelg, jakimi można było obrzucić współwięźnia. Jednak jeśli przeciwstawiałaś się systemowi kontroli, to prędko doświadczałaś też konsekwencji. Gdzie pasowałaś i na ile byłaś skłonna pogodzić się z sytuacją, zależało od długości twojego wyroku, ilości kontaktów, które miałaś z zewnętrznym światem i jakości twojego życia poza murami więzienia. Jeśli rezygnowałaś z próby odnalezienia się w więziennym społeczeństwie, to szybko stawałaś się samotna i nieszczęśliwa.

Pani Jones była w Obozie dłużej niż ktokolwiek inny, ale wychodziła na wolność w przyszłym roku. Jej boks – pojedynczy boks programu szczeniaków w kącie Dormitorium A, obok drzwi wyjściowych – był tak przytulny, że martwiłyśmy się, co się stanie, gdy ona nas opuści.

– Lubię ten boks. Mam tyle świeżego powietrza, ile potrzebuję i mogę wychodzić na spacer ze szczeniakami, kiedy chcę! – mawiała.

Za dnia lubiłam wpadać do niej, by pobawić się z Inkym, labradorem, którego szkoliła. Siedziałam na podłodze i głaskałam Inky'ego po brzuchu, a pani Jones krzątała się po boksie, pokazując mi fotografie kobiet, z którymi siedziała, czy też kolejną robótkę szydełkową (specjalizowała się w świątecznych skarpetach) i pytała, czy chciałabym to czy tamto z jej kolekcji zgromadzonej przez piętnaście lat w więzieniu.

Pani Jones spędzała dużo czasu na torze, spacerując z Inkym i była pod wrażeniem mojego biegania. Bardzo martwiła się swoją nadwagą i zdecydowała się także zacząć biegać.

– Ty i ja będziemy się ścigać! – krakała, szturchając mnie w ramię. – Zobaczymy, czy wytrzymasz!

Jednak pani Jones była niezwykle ciężka i po wykonaniu jednego okrążenia po prostu padła na ławkę, chwytając oddech. Zasugerowałam, żebyśmy spróbowały chodzenia. Z tym dawała sobie radę, oczywiście z najwyższą osiągalną dla niej prędkością, ale później przez cały ranek pufała i jęczała jak szalona.

Pewnego dnia pani Jones przyszła spotkać się ze mną w moim boksie. Pisałam właśnie listy, siedząc na materacu. Zajrzała do środka nieśmiało, jak mała dziewczynka, co wydawało mi się dziwne.

– Co się dzieje, pani Jones?

– Zajęta?

– Dla ciebie nigdy, gangsterko. Wskakuj.

Podeszła do łóżka i wyszeptwała konspiracyjnym tonem:

– Chciałam cię prosić o przysługę.

– Dajesz.

– Wiesz, że chodzę na zajęcia szkolne, tak?

Zajęcia były podstawowym kursem biznesu, prowadzonym przez dwóch profesorów, którzy przychodzili z pobliskiego college'u. Nie dawały wiele w sensie zbliżenia się do dyplomu college'u (żeby go dostać, trzeba było zapłacić za kursy korespondencyjne), ale liczyło się to do zasług „programowych”, rozliczanych przez kierownika sprawy. Osoby na tym stanowisku

miały za zadanie zarządzanie naszymi wyrokami, kalkulowały nasz „dobry czas” (miałyśmy odsiedzieć tylko osiemdziesiąt pięć procent wyznaczonych wyroków, jeśli dobrze się sprawowałyśmy), a także przydzielały nam naszą „programową” działalność, w tym obowiązkowe kursy reintegrujące. „Programy” dostępne dla obozowiczek były kiepskie i w zdecydowanie za małej ilości. Zajęcia były jedną z niewielu opcji, ale po przeczytaniu materiałów i po tym, jak pomogłam kilku kobietom z pracami domowymi, miałam poważne wątpliwości, co do ich przydatności. Dla przykładu, biznesplan Camili dla konkurencyjnej dla Victoria’s Secret firmy był zabawny, ale sytuował się w sferze hipotezy i był kompletnie niezwiązany z tym, co mogła robić po wyjściu z tego ludzkiego magazynu za pięć lat.

– No to jak tam idzie, pani Jones?

Wy tłumaczyła, że nie najlepiej. Dostała kiepską ocenę za swój biznesplan. Gangsterka była zmartwiona.

– Potrzebuję korków. Pomożesz mi? Musimy napisać esej o filmie, który oglądałyśmy. Zapłacę ci.

– Pani Jones, nie przyjmuję żadnej zapłaty. Oczywiście, że pomogę. Potrzebuję materiałów, które przerabiacie i spojrzymy na nie razem.

Kiedy zgodziłam się pomóc gangsterce, miałam w głowie typową relację student-nauczyciel: będę rozmawiała z nią o jej zadaniach, zadawała prowokujące dyskusję pytania, sprawdzała i poprawiała jej pracę. Wróciła z notesem, papierami i książką, którą położyła na moim materacu: *Zarządzanie w przyszłym społeczeństwie* Petera Druckera.

– Co to?

– Nasz podręcznik. Musisz go przeczytać.

– Nie, pani Jones, to pani musi go przeczytać.

– Boli mnie od niego głowa – spojrzała na mnie, prosząca i zmartwiona.

Pamiętałam, że poza lekkim stuknięciem z powodu zamknięcia przez dziesięć lat, miała też parę klepek przestawionych przez jej męża.

– Spójrzmy na twój esej, który musisz napisać, ten o filmie – zmarszczyłam czoło.

Spowodowało to kolejne zmartwione spojrzenie.

– Ty musisz go napisać, ja nie dam rady! Nie podobał im się mój ostatni tekst – powiedziała i wyciągnęła swój biznesplan, cała zawstydzona. Dostała kiepską ocenę, wypisaną wielkimi, czerwonymi literami.

Przejrzałam pracę. Jej pismo było trudne do rozczytania, ale zdałam sobie sprawę, że nawet jeśli jej kaligrafia byłaby perfekcyjna, to i tak tekst był w większości bez sensu. Czułam przypływ depresji – mogłam być skazanym przestępcą, ale jako córka nauczyciela nadal czułam wstręt przed oszukiwaniem na testach.

– Pani Jones, nie mogę napisać tego eseju. Jak mam napisać o czymś, czego nie widziałam?

– Robiłam notatki! – podała mi je tryumfalnie. Super. Wyglądało na to, że film opowiadał o czymś, co było związane z rewolucją przemysłową.

Co było lepsze: pozwolić pani Jones oblać czy pomóc jej oszukiwać? Wiedziałam, że nie pozwolę jej oblać.

– Gangsterko, zrobmy tak: ja będę zadawać pytania o filmie i pomogę napisać plan, a potem napiszesz esej sama.

Pani Jones potrząsnęła głową przecząco.

– Pięer, spójrz na mój biznesplan. Nie mogę go napisać. Jeśli mi nie pomożesz, Joanie z Dormitorium A powiedziała, że to zrobi, ale Ty jesteś od niej mądrzejsza.

Joan Lombardi nie była jakimś specjalnym bystrzakiem, ale wiedziałam, że z pewnością policzy sobie od pani Jones za jej „nauczanie”. A do tego dochodziła kwestia mojego ego.

– Pokaż mi swoje notatki – westchnęłam.

Po wyciągnięciu z niej kilku pozbawionych kontekstu uwag o filmie, zaczęłam pisać tak ogólny, jak to tylko możliwe, esej o rewolucji przemysłowej. Kiedy skończyłam, zaniosiłam ładnie przepisany tekst do boks gangsterki w Dormitorium A. Była zachwycona.

– Pani Jones, mam nadzieję, że przynajmniej przepisze pani ten tekst własnoręcznie?

– Nieee, przecież nie zauważą.

Zastanawiałam się, co się stanie ze mną, jeśli jej nauczyciele jednak to zauważą. Chyba nie wsadzą mnie za to do izolatki albo nie przeniosą do innego więzienia.

– Pani Jones, proszę przynajmniej przeczytać ten tekst, żeby mieć jakieś pojęcie o tym, co tam jest napisane. Obiecujesz, gangsterko?

– Przysięgam Piper, na honor.

Pani Jones dosłownie wychodziła z siebie, gdy dostała esej z powrotem.

– Piątka! Dostałyśmy piątkę! – promieniała dumą.

Dostałyśmy też piątkę ze streszczenia następnego filmu i także była tym zachwycona. Nie mogłam uwierzyć, że jej nauczyciele nie mieli żadnych wątpliwości ani pytań o różnicę między tymi tekstami, a poprzednim – wliczając w to inny charakter pisma.

– Musimy napisać końcowy esej. To pięćdziesiąt procent oceny, Piper – teraz była wyjątkowo poważna.

– Na czym polega zadanie, gangsterko?

– Musi być o... innowacji! I musi być oparty o podręcznik! I musi być dłuższy!

Westchnęłam. Bardzo chciałam uniknąć czytania książki Petera Druckera. Całą swoją edukacją i karierą kierowałam właśnie tak, by uniknąć czytania tego typu książek o biznesie, no i teraz dogoniły mnie w więzieniu. Nie potrafiłam obmyślić niczego, co pozwoliłoby mi wymigać się od czytania tej książki, bo przecież gangsterka musiała zdać.

– Innowacja to trochę szeroki temat, pani Jones. Jakies pomysły na bardziej precyzyjnie określony temat?

Patrzyła na mnie bezsilnie.

– OK, co powiesz na... samochody, które mało palą?

Pani Jones siedziała od połowy lat osiemdziesiątych. Próbo-
wałam jej zatem wytłumaczyć, co to jest samochód hybrydowy.

– Brzmi OK! – powiedziała.

Larry był zadziwiony, gdy poprosiłam go o wysłanie mi kilku podstawowych artykułów z Internetu o hybrydowych wozach. Próbowałam mu wytłumaczyć, że potrzebuję ich do napisania eseju dla koleżanki. Był kompletnie zawałony robotą, właśnie zaczął nowe zajęcie jako redaktor w magazynie dla mężczyzn. Częścią jego warunków umowy były wolne popołudnia w czwartki i piątki, żeby mógł odwiedzać swoją dziewczynę. Próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądały te rozmowy. Rzeczy, które dla mnie robił, były niesamowite. Wkrótce dostałam paczkę z potrzebnymi mi informacjami i zaczęłam przedzierać się przez *Zarządzanie w przyszłym społeczeństwie*.

Pośród więźniarek, które pojawiły się w maju, zanim Obóz „zamknięto”, by Martha Stewart trafiła do innego więzienia, były trzy nowe polityczne, pacyfistki, jak siostra Platte. Zostały aresztowane i wysłane do więzienia za protest w School of the Americas, centrum szkolenia armii amerykańskiej dla latynoskiego personelu (czytaj: tajna policja, tortury i ogólnie zbroje), które mieściło się w Georgii. Te specjalne nowo przybyłe były z grubszą hardkorowymi babkami, które były gotowe poświęcić wszystko dla ich sprawy, cierpieć dla niej i dyskutować o niej aż do mdłości. Jedna z nich wyglądała jak pan Burns z *Simpsonów*: wodniste niebieskie oczy, skrzywiona postawa, jabłko Adama i ogólna irytacja z powodu zaistniałej sytuacji. Druga była jak nowicjuszka w klasztorze: krótkie włosy i wieczne zdziwienie na twarzy; no i była też Alice, coś koło pięciu stóp wzrostu z okularami jak denka od butelek (najgrubszymi, jakie w życiu widziałam) i nastawieniem przyjaźniejszym niż pieski z programu szczeniaków, tak chętna do rozmowy, jak jej towarzyszki były ciche. Czasami przychodziły na nasze zajęcia z jogi.

Cała trójka natychmiast przylepiła się do siostry Platte i chodziły za nią krok w krok. Sądziłam, że to całkiem zabawne, że siostra Platte miała teraz małą grupkę pacyfistów w więzieniu – owszem, rząd marnował miliony dolarów z kieszeni podatników,

ścigając i zamykając pokojowych protestujących, ale tutaj, w środku, więźniowie polityczni mieli swoją małą społeczność. Siostra z pewnością cieszyła się z ich towarzystwa, godzinami omawiając z nimi w stołówce teorię i strategię działań, mających na celu zatrzymanie całej wojskowo-przemysłowej maszyny. Alice i jej koleżanki dostały robotę jako nauczycielki w programie GED, pracę, którą chciałam kiedyś dostać, ale na którą teraz nie miałam już najmniejszej ochoty.

Czułam się trochę winna, że wole robotę w SMB, ale obserwowałam nieprzyjemną ewolucję w wydziale edukacji i starałam się trzymać na dystans. Po zamknięciu całego programu GED zimą z powodu zagrożenia biologicznego, wszystkie zakazane książki i materiały zostały wyrzucone i nie zastąpiono ich nowymi. Więzienie przeniosło popularną nauczycielkę do federalnego u podnóża wzgórza – pewnie była zbyt miła dla więźniarek. Zamiast niej dostałyśmy jako szefa edukacji w Obozie wulgarnego, strzyżonego na czeskiego hokeistę gościa, na którego mówiłam Stumpy – podobno wypadł z pracy na poczcie i więzienie po prostu go przygarnęło. Był absolutnie nieadekwatną karykaturą nauczyciela, który uciekał się do (co wyraźnie lubił) gróźb i obrażania swoich uczniów. Był powszechnie znienawidzony przez wszystkie Obozowiczki, ale najbardziej przez więźniarki-nauczycielki, które dla niego pracowały. Według nich, jego podejście do uczniów było proste: „Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek nauczą się, ile to jest dwa plus dwa. Płacą mi za osiem godzin roboty”.

Pewnego dnia wróciłam z warsztatu elektrycznego i zastałam cały Obóz w stanie poruszenia. Stumpy szalał dzisiaj w klasie i bluzał bardziej niż zwykle, i Alice, pacyfistka, miała już tego dość. Chciała zostać zwolniona z obowiązku pracy jako nauczycielka. Stumpy dostał szału, krzyczał i wrzeszczał, i wreszcie zgłosił ją za nieposłuszeństwo, niewykonanie bezpośredniego polecenia czy coś takiego.

Pennsatucky, która była wtedy w klasie (i prawdopodobnie była obiektem jego ataku), powiedziała, że twarz tego durnia zro-

biła się purpurowa. Wybiegł z Obozu i poleciał do federalnego – podobno chciał, żeby Alice zamknęli w izolatce i wszyscy w Obozie byli wściekli.

Oczywiście, po kolacji i wydawaniu poczty usłyszaliśmy kroki ciężkich butów i potrząsanie łańcuchów. Potężni faceci, których buty robiły stereotypowy hałas szturmowców, wkroczyli do Obozu z całym arsenałem brzęczących na różne sposoby łańcuchów. Przeszli koło telefonów, w dół schodów i do hallu w kierunku biura OD Obozu. Każda osadzona słyszała te dźwięki, niezależnie od tego, gdzie się akurat znajdowała, więc frontowy hall szybko i cicho wypełnił się kobietami zbierającymi się, by zobaczyć, co się będzie działo. Czasami, gdy ktoś był zamykany za szczególnie niewdzięczne przewinienie albo gdy winna była powszechnie nie lubiana, wyglądało to jak odprowadzanie zdrajców na gilotynę. To jednak nie był jeden z takich przypadków.

Głośnik zaskrzeczał, gdy pan Scott wywołał skazaną: „Gerard!”. Mała Alice Gerard powędrowała w stronę biura i weszła do środka. Drzwi się zamknęły i znalazła się w środku z tymi trzema potężnymi facetami, gdy porucznik wyczytywał zgłoszenie złożone przeciwko niej.

Wśród kobiet zapanowało poruszenie.

– To jest bzdura!

– To nie jest rzecz, za którą powinno się trafiać do izolatki... to, co zrobiła, było konieczne.

Ktoś zaczął płakać.

– Nie wierzę, że te dupowłazy nie mają nic lepszego do roboty niż zamykać Alice.

Otworzyły się drzwi do biura. Wyszła przez nie Alice, a za nią trzech strażników. Byli od niej znacznie wyżsi, przez co wyglądała na kruszynkę, gdy patrzyła na zebrany tłum. Mrugając przez swoje denka od butelek, powiedziała jasno i głośno:

– Idę!

Jedno z popychadeł porucznika założyło jej kajdanki, niezbyt delikatanie, i poruszenie wśród kobiet wzmogło się. Wtedy Sheena zaczęła skandować:

– A-lice, A-lice, A-lice, A-lice, A-lice!

Skandowanie towarzyszyło małej pacyfistce, gdy ją odprowadzali. Nigdy nie widziałam równie przerażonych strażników.

Pewnego gorącego popołudnia schroniłam się pod drzewem, starając się uniknąć słońca. Przyszła pani Jones z Inkym, jej nieodłącznym towarzyszem. Skończyłam jej ostatni esej, dość prosty tekst o tym, jaką rolę mogą odgrywać samochody hybrydowe w ekonomii przyszłości. Próbowałam włączyć jakieś wielkie idee z *Zarządzania w przyszłym społeczeństwie* do mojego toku myślenia o ekonomii, globalizacji czy sposobach, w jakie demografia zmienia społeczeństwo. Jednak trudno mi było myśleć o roli, jaką miliony Amerykanów, którzy byli więźniami, mają spełniać w „przyszłym społeczeństwie” – wiedziałam z gazetki Rodzin Przeciwko Wyrokom Minimalnym (RPWM), które otrzymywało wiele więźniarek, że co roku z więzień wracało 600 tysięcy byłych osadzonych. Jedyne rynki, do których byli przyzwyczajeni, to podziemny, nielegalny obrót i nic w systemie więziennictwa nie pomagało im wybrać innej drogi niż powrót na ulicę. Mogłam policzyć na palcach jednej ręki kobiety w Danbury, które brały udział w prawdziwym programie treningowym – Pop, która dostała certyfikat pracy z żywnością od FCI, Linda Vega, która pracowała jako higienistka dentystyczna w więzieniu i kilka innych kobiet, które pracowały dla Unicoru. Jeśli chodzi o resztę, to może szorowanie podłóg albo praca jako hydraulik mogła przełożyć się na jakąś prawdziwą robotę, ale byłam raczej sceptyczna. Nie było kontynuacji między więzienną ekonomią (w tym więzienną pracą) a ekonomią na wolności.

– Hej, pani Jones! Ocenili już esej?

– Właśnie szłam z tobą o tym porozmawiać, jestem wściekła!

Usiadłam zmartwiona. Oblali ją? Może jakaś koleżanka z klasy ją wydała. Nie zdziwiłoby mnie to.

– Co się stało?

– Dostałyśmy A minus!

Zaśmiałam się, co tylko bardziej ją poirytowało.

– W czym rzecz? – zawodziła. – To był świetny esej! Przeczytałam go, tak jak obiecałam! – Była bardzo stanowcza.

– Może nie chcieli, żeby się pani uniosła dumą, pani J. Myślę, że A minus to świetna ocena.

– Ech. Nie wiem, co oni sobie myślą. Ale nieważne, chciałam ci podziękować. Jesteś miłą dziewczyną – powiedziała, pociągnęła za smycz Inky’ego i odeszła.

Kilka miesięcy później pani Jones poszła odebrać swój dyplom; wszystkie kobiety, które skończyły GED lub kursy, były honorowane w czasie ceremonii w pokoju odwiedzin. Panna Natalie, Pennsatucky, Camila i oczywiście pani Jones miały na głowie birety, podobnie jak i kilka innych kobiet. Każda absolwentka mogła zaprosić gości z zewnątrz lub z więzienia i ja również zostałam zaproszona jako gość gangsterki.

Mowę wygłaszała Bobbie, która uzyskała najwyższy wynik na egzaminie GED. Przez kilka tygodni przed ceremonią przeżywała swoje wystąpienie, wciąż i wciąż je poprawiając. Dzień był niezwykle gorący, a sala wypełniona dwoma rzędami krzeseł ustawionych naprzeciw siebie – absolwentki i goście. Kobiety weszły do środka. Wyglądały szalowo w ich biretach i togach – czarnych dla studentek GED i jasnoniebieskich dla kończących kursy. Było też i podium, z którego Bobbie miała wygłosić swoją mowę, ale najpierw miałyśmy usłyszeć kilka słów od naczelniczki Deboo. Miał to być jej łabędzi śpiew – przynosili ją do nowo zbudowanego więzienia w Kalifornii, a my miałyśmy dostać nowego naczelnika, gościa z Florydy.

Bobbie wygłosiła wspianą mowę. Wybrała temat: „Zrobiliśmy TO!”, ciągle akcentując tę frazę. Gratulowała studentkom, że zrobiły TO, przypominając wszystkim zebranym, że dostanie dyplomu nie było łatwe w takich okolicznościach, ale zrobiły TO i ogłosiła, że teraz każdy wie, że mogą TO zrobić, i że jeśli TO pozostanie w ich pamięci, to nic nie jest dla nich niemożliwe. I każda z nich miała dyplom, by udowodnić TO światu. Byłam pod wrażeniem uwagi, jaką Bobbie poświęciła

swojej mowie i jak dobrze ją wygłosiła, z niekwestionowaną mocą. Mowa była krótka i do rzeczy, ale jasno podkreślała, że to jest dzień radości dla absolwentek, a nie dla instytucji. Mówiła naturalnie i dumnie.

Potem pozwolono więźniarkom na pamiątkowe zdjęcia. Stałam z moimi koleżankami na tle namalowanego drzewa wiśni i byłam dumna, że je poznałam. Bobbie pozowała otoczona przez naszą grupkę, ubraną w uniformy khaki, podczas gdy ona wyglądała poważnie w swojej todze ze specjalnym, złotym obramowaniem prymuski. Miała ułożone i podkrecone włosy. Na następnym zdjęciu Pennsatucky i inne Eminemki uśmiechały się szeroko jak absolwentki szkoły średniej; obok nich wyglądam strasznie staro, uśmiechając się pod nosem w moim uniformie. Jednak moim ulubionym zdjęciem jest to z panią Jones: stoję za nią, cała szczęśliwa, a ona siedzi i promienieje w swojej niebieskiej todze i birecie, z dumą trzymając przed sobą dyplom. Na odwrocie fotografii, jej okropnym charakterem pisma, widnieje:

Dziękuję.

Prościej przy jaciółce. Udało mi się. Niech Bóg Cię błogosławi.

Pani Jones

Rozdział 11

Ralph Kramden i Kowboj Marlboro

Złapałam rytm i dni oraz tygodnie zaczęły jakoś szybciej upływać. Mijałam kolejne kamienie milowe mojego wyroku: jedną czwartą, jedną trzecią i więzienie zdawało się jakoś bardziej znośne. Na zewnątrz było widać naturalny upływ czasu i było to dla takiej miastowej dziewczyny jak ja całkiem nowe doświadczenie. Najpierw biegałam po lodzie, potem błocie, a teraz po trawie (koszonej przez dziewczyny). Drzewa pełne były pączków, kwitły kwiaty, w tym nawet peonie. Koło toru pojawiły się małe króliczki i na moich oczach rosły coraz większe, gdy tak biegałam i biegałam, ciągle pokonując ten sam dystans jednej czwartej mili. Dzikie indyki i jelenie biegały po rezerwacie, w którym stało więzienie. Wyrobiłam sobie głęboką nienawiść do bernikli kanadyjskich, bo swoimi odchodami barwiły mi tor na zielono.

Pewnego słonecznego popołudnia siedziałam sobie w słońcu przed warsztatem elektrycznym, próbując czytać cienki tom *Kandyda*, który dostałam od kogoś mądrego. DeSimon nie pojawił się w pracy – dobra decyzja dla wszystkich. Tego ranka miałam wyjątkowy problem z czytaniem, bowiem spokój zakłócały serie strzałów. Bardzo blisko warsztatów SMB, schowana około ćwierć mili w lesie, znajdowała się strzelnica więzienna. Strażnicy spędzali tam wolny czas ze swoimi pistoletami i strzelbami, i w dni robocze ciągły odgłos wystrzałów był nieustannym dźwiękiem w tle. Było coś wyjątkowo niepokojącego i denerwującego w przysłuchiwaniu się, jak strażnicy ćwiczą strzelanie do ciebie.

Kiedy wróciliśmy z lunchu, strzelanie ustało i znów zapano-

wał cichy dzień w wiejskim Connecticut. Nagle obok mnie zatrzymał się jeden z białych pickupów służby więziennej.

– Co ty tutaj robisz, do diabła?

Był to Thomas, szef warsztatu stolarskiego. Warsztaty budowlane i stolarskie mieściły się w jednym budynku, po lewej stronie warsztatu elektrycznego i po drugiej stronie rozwalającej się szklarni. Warsztat elektryczny nie miał łazienki, więc musieliśmy korzystać z tej w ich budynku. Łazienka była jednoosobowa, dość przestronne pomieszczenie, którego mury ktoś pomalował w ładne, niebieskie wzory. Kochałam tę łazienkę. Czasami, gdy moje współpracownice z elektrycznego szalały w warsztacie albo oglądały nielegalnie telewizję, gdy DeSimona nie było w pobliżu, uciekałam do tej łazienki na kilka błogosławionych minut prywatności i spokoju. Były to jedyne drzwi w całym więzieniu, które to ja mogłam zamknąć.

Warsztaty budowlany i stolarski były prowadzone odpowiednio przez pana Kinga i pana Thomasa. Thomas był okrągły, wybuchowy i chętny do hałasowania i żartów, coś jak współczesna wersja Jackie Gleason. King zaś był powściągliwy, spokojny i ogorzały, zawsze z papierosem w ustach. Wyglądał jak Kowboj Marlboro. Od wielu lat pracowali razem w tym warsztacie i łączyła ich bliska, choć powściągliwa, relacja. Kiedy wchodziłam do ich warsztatu, by skorzystać z łazienki, Thomas zazwyczaj witał mnie głośnym: „Witamy, kryminalistko!”.

Teraz chciał wiedzieć, co też, u diabła, robię. Moja sąsiadka z Dormitorium B, Alicia Robbins, siedziała na krześle koło niego. Alicia była Jamajką i była równie powściągliwa, co panna Natalie. Chichotała, więc mogłam być niemal pewna, że nic mi nie grozi.

– Yyy, nic?

– Nic?! Dobra, a chcesz trochę popracować?

– Yyy, pewnie?

– No to wskakuj!

Wstałam, zostawiłam za sobą na ławce Woltera i wsiadłam do pickupa. Alicia posunęła się, żeby zrobić mi miejsce. Nie

sądziłam, że mogę wpakować się w jakieś kłopoty, jeśli będę z OD. Thomas wcisnął gaz i odjechaliśmy. Minęliśmy warsztat hydrauliczny i remontowy, przejechaliśmy za więzieniem federalnym, a potem nagle skręciliśmy w stromą, żuźlową drogę. Nie miałam pojęcia, dokąd prowadzi. Niemal natychmiast zniknęły wszystkie budynki i przez otwarte okna pickupa widziałam tylko las – drzewa, głązy i czasami jakiś strumień – wszystko opadające ostro w dół.

Radio w pickupie na pełen regulator grało klasycznego rocka. Spojrzałam na Alicię, która siedziała koło mnie i nadal chichotała.

– Gdzie on nas zabiera? – spytałam.

Thomas parsknął.

– Szef jest szalony – powiedziała Alicia.

Droga biegła nieustannie w dół. Czułam się, jakbym nie była już w więzieniu, ale jak dziewczyna w wozie, jadąca na spotkanie przygody. Oparłam ramię o drzwi i wpatrywałam się w las, który mijaliśmy. Zamiast drzew widziałam rozmazaną, zielono-brązową masę.

Po kilku minutach pickup wjechał w przecinękę i zauważyłam ludzi. Przed nami był obszar przeznaczony na pikniki i niektóre z kobiet, które pracowały w warsztatach budowlanym i stolarskim, w milczeniu malowały drewniane stoły piknikowe. Jednak one nie interesowały mnie w najmniejszym stopniu, ponieważ to, co było za nimi, wypełniło mnie taką ekscytacją, że myślałam, że wybuchnę. Obszar piknikowy leżał na brzegu wielkiego jeziora i czerwcowe słońce odbijało się w leniwych falach, które uderzały o przystań dla łódek.

Otworzyłam usta ze zdumienia. Oczy mi zabłyśły i nie miałam już zamiaru przejmować się, czy wyglądam spokojnie.

Thomas zaparkował pickupa, a ja wyskoczyłam.

– To jezioro! Nie mogę uwierzyć własnym oczom! Jak tu pięknie!

Alicia śmiała się ze mnie, wyjęła narzędzia do malowania z bagażnika pickupa i zajęła się jednym ze stołów.

Odwrociłam się do Thomasa, który patrzył na jezioro.

– Mogę iść się przyjrzeć? Proszę...

Roześmiał się.

– Jasne, tylko nie wskakuj do wody, wywalą mnie za to.

Pobiegłam na brzeg, gdzie zacumowało kilka małych łodzi motorowych i pływających doków. Próbowалам ogarnąć wzrokiem wszystko na raz. Na przeciwległym brzegu widziałam domy, piękne domy z trawnikami zbiegającymi do jeziora. Samo jezioro wydawało się bardzo długie, znikalo w oddali zarówno po prawej, jak i po lewej stronie. Przykucnelam i wlozylam obie rece do chlodnej wody. Patrzylam na moje biale dlonie przez brazowy odcien wody jeziora i wyobrazalam sobie siebie, cala zanurzona w wodzie, wstrzymujaca oddech, z otwartymi oczyma i plynaca tak szybko, jak to tylko mozliwe. Moglam niemal poczuć wode dookolą mojego ciała i włosy unoszące się jak aureola dookolą mojej glowy.

Przespacerowalam się jakies dziesiec jardow po brzegu jeziora w kazda strone, myslac, ze bedzie to pierwsze lato w moim zyciu bez plywania. Zawsze lubilam wode, w ogole się jej nie balam. Teraz az mnie swedzialo, byle tylko zdjac ciuchy i wskoczyc do jeziora. Jednak nie byloby to rozsadne ani tez w porzadku wobec gościa dość milego, by mnie tu zabrac. Swiatlo odbijajace się od powierzchni mruzylo mi oczy. Patrzylam przez dlugi czas i nikt się do mnie nie odezwal. Wreszcie odwróciłam się i wspięłam z powrotem na betonowe nabrzeze.

Podeszlam do Giseli, która prowadzila autobus i pracowala dla Kinga, zeby spytac, czy zostaly jeszcze jakies pedzle.

– Jasne, zaraz ci pokaże – powiedziala i usmiechnęła się.

Spędzilam reszte popołudnia, malujac stoly w ciszy, w cieniu drzew, sluchajac łódek na jeziorze i wodnych ptaków.

Kiedy przyszedł czas odjechać, Thomas zabral nas do warsztatow. Wysiadlam i stalam po stronie pasazera z rekami na drzwiach. Patrzylam do srodka, na niego.

– To bardzo miło z pana strony, ze mnie pan tam zabral, panie Thomas. Bardzo wiele to dla mnie znaczy.

Odwrócił wzrok; wyglądał na zawstydzonego.

– No, cóż, wiem, że ten twój szef nigdy by cię tam nie zabrał. Dzięki za pomoc – powiedział i odjechał. Od tego momentu miałam obsesję na punkcie powrotu nad jezioro.

Pewnego dnia po przybyciu do pracy zobaczyliśmy, że ku naszemu zdziwieniu DeSimon zgolił brodę i wąsy, i teraz wyglądał jak jakiś zagubiony penis w poszukiwaniu swojego ciała. Moje kontakty z nim stały się ostatnio wyjątkowo nieprzyjemne. Zdałam sobie sprawę, że pracuję dla najmniej miłego, a w dodatku zboczonego szefa, który z niewiadomych powodów zaczął odczuwać perwersyjną przyjemność w traktowaniu mnie w najgorszy sposób.. Poprzedniego dnia w czasie lunchu skarżyłam się na niego głośno i nagle przerwała mi Gisela.

– Piper, dlaczego nie przeniesiesz się do budowlanców? Wychodzę we wrześnie. Pan King będzie potrzebował kogoś dobrego. Jest bardzo miły.

Nie wpadłam na pomysł, że mogę zmienić pracę. Kilka dni później postanowiłam poczekać na Kinga przed jego warsztatem. Czułam się nieco nieswojo, ale byłam też zdesperowana – nie byłam przyzwyczajona do proszenia OD o cokolwiek.

– Panie King? Wiem, że Gisela niedługo wychodzi i tak się zastanawiałam, czy może mogłabym pracować z panem w budowlanym?

Czekałam z nadzieją. Wiedziałam, że jestem dobrym pracownikiem: miałam więzienne prawo jazdy, chciałam pracować, nigdy nie „marudziłam” (nie udawałam, że jestem chora), byłam wykształcona, potrafiłam czytać instrukcję, liczyć i tym podobne. I nie odszczekiwałam się każdemu.

King spojrział na mnie, miętoląc swojego papierosa w ustach, trudno było rozpoznać, co mu tam w głowie gra.

– Jasne – moje serce aż skoczyło, ale zaraz potem podciął mi skrzydła. – Ale DeSimon musi podpisać twoje papiery wyjściowe.

Wypełniłam papiery – prosty, jednostronicowy formularz, którego oficjalny tytuł brzmiał „BP-S148.055 PROŚBA OSA-

DZONEJ DO PERSONELU”. Następnego ranka poszłam do biura DeSimona i wręczyłam mu papier. Nie chciał wziąć go do ręki. Zmęczona próbami podania mu formularza, położyłam go na biurku.

Spojrzał na niego z niesmakiem.

– Co to jest, Kermit?

– To jest formularz wyjściowy, z prośbą o przeniesienie do warsztatu budowlanego, panie DeSimon.

Nawet go nie przeczytał.

– Odpowiedź brzmi: nie, Kermit.

Spojrzałam na niego, na tę bąblowatą, świecąca, różową głowę i uśmiechnęłam się smutno. Nie byłam zdzwiona. Wyszłam z biura.

– Co powiedział? – spytała Amy. W dusznym warsztacie znajdowałyśmy się ja, moja młoda Eminemka Yvett i kilka innych kobiet.

– A jak myślisz? – odpowiedziałam.

Amy zaśmiała się tylko z mądrością ponad jej wiek.

– Piper, ten facet nie pozwoli ci się nigdzie przenieść, więc lepiej się do niego przyzwyczaj.

Byłam wściekła. Teraz, kiedy wiedziałam, że można było za kratami żyć w lepszych warunkach, że były posady, w których więźniarki nie były ciągłym obiektem obelg, byłam zdecydowana zmienić swoją pozycję. Wydostanie się z warsztatu elektrycznego i ucieczka przed DeSimonem wypełniały moje myśli.

Lato robiło się gorące i cała ekipa elektrycznego pracowała nad nowym okablowaniem dla klimatyzatorów w sali odwiedzin. Jedynie biura personelu w Obozie miały sprawną klimatyzację. Sala odwiedzin miała niezbędną maszynię, ale napięcie było zbyt niskie, więc zawsze padała. Musiałyśmy zatem powiesić i okablować nową puszkę, zagiąć i przeprowadzić kable dookoła sali odwiedzin i podłączyć nowe kontakty. Teraz byliśmy już przy samym końcu i jedyne, co pozostało, to podłączenie puszki do głównego źródła prądu, które znajdowało się piętro niżej, w ciepłowni.

Wymagało to przeciągnięcia nowych kabli z ciepłowni do puszek w sali odwiedzin – fizycznego przeciągnięcia ich przez środek budynku. Kiedy nadszedł ten wielki dzień, wszystkie wzięliśmy narzędzia, które DeSimon kazał nam zabrać i czekałyśmy w ciepłowni na rozkazy. W elektrycznym nie było żadnych dużych dziewczyn, więc zostały wezwane z hydrauliki, gdzie było ich bardzo dużo.

DeSimon zajął się kablami. Były to wielkie, grube kable przemysłowe, zupełnie inne od tych, z którymi pracowałam na co dzień. Zebrał kilka z nich, potem spiął taśmą elektryczną, owijając je dookoła, aż zgromadził ich koło stopy długości. Na końcu przywiązał linę, której koniec znajdował się w sali odwiedzin. Kobiety z hydraulicznego stały tam i czekały.

Na dole w ciepłowni stałyśmy ja, Amy, Yvette i Vasquez. Patrzyłyśmy na DeSimona.

– One będą ciągnęły, a wy będziecie pchały. Będziecie go podawać do góry. Ale brakuje nam jeszcze jednej rzeczy – potrzebujemy smarowacza.

Po sposobie, w jaki wypowiedział te słowa, wiedziałam, że jest to nieprzyjemna robota. I domyślałam się, komu przypadnie.

– Kermit, będziesz smarować. Bierz to. – Podał mi długie po łokcie, gumowe rękawice. – Teraz weź opakowanie smaru. – Wskazał na kadź przemysłowego smaru, stojącą koło jego stóp. Zaczynałam rozumieć, do czego to zmierza. Moje policzki zrobiły się czerwone. – Będziesz potrzebowała tego dużo, Kermit.

Wzięłam opakowanie. DeSimon podał mi wiązkę kabli. Były sztywne i nieelastyczne, a ja byłam sztywna od upokorzenia.

– Będzie potrzeba dużo, żeby przeszło, Kermit. Dobrze to wysmaruj.

Schyliłam się i wzięłam dwie garście tego świństwa. Wyglądało jak jasnoniebieska galaretką. Nałożyłam to na wielki, wcześniej neutralny, a teraz obrzydliwy, długi na stopę fallus.

DeSimon odrzucił głowę do tyłu i krzyknął:

– Ciągnąć!

Lina ruszyła, ale nie dość, by ruszyć kable.

– No, Kermit, rób co do ciebie należy!

Byłam wściekła, ledwo widziałam na oczy. Skoncentrowałam się, jakbym miała zamrozić krew w żyłach. Próbowałam odpłynąć w stronę sufitu, jednak sytuacja była tak obrzydliwa, że moje wypróbowane techniki nie działały. Nabrałam więcej niebieskiej galaretki i plasnęłam nią na zwinięte kable.

– Oooo, koński kutas. Lubisz tego końskiego kutasa, prawda, Kermit?

Koński kutas? Opuściłam ręce, ubrane w wielkie, śliskie rękawice. Amy patrzyła na swoje buty, a Yvette udawała, że nie rozumie po angielsku.

– Ciągnąć! – wrzeszczał dalej DeSimon i gdzieś nad nami więźniarki ciągnęły za linę. Kable ruszyły. – Ciągnąć! – Kable ruszyły znów. – Pchać!

Moje koleżanki pchały kable w górę. Widząc ich wysiłek, uklękłam i pomogłam im pchać tak mocno, jak umiałam. Kable zaczęły iść w górę i zostało już tylko ciągnięcie. Wymknęłam się z ciepłowni, zdjęłam rękawice i rzuciłam je na podłogę.

Byłam dosłownie ślepa z wściekłości. Ale jedyne, co mogłam zrobić, to wrzucić drabiny, narzędzia i ekwipunek na tył ciężarówki tak mocno, jak tylko potrafiłam. Moje koleżanki były nieporuszone. Nie rozmawiałam z nikim przez resztę popołudnia, a DeSimon już nie odezwał się do mnie ani słowem. W Obozie próbowałam zmyć z siebie całe to upokorzenie pod prysznicem. Następnie napisałam kolejną prośbę o przeniesienie, tym razem do szefa DeSimona. Brzmiało mniej więcej tak:

Jak już wspominałam przy innych okazjach, pan DeSimon, mój kierownik, czasami w trakcie pracy odzywa się do nas w sposób, który uważam za wulgarny, pozbawiony szacunku i naładowany seksualną treścią.

W czasie pracy w ciepłowni 6.23.04 nad nową instalacją elektryczną dla sali odwiedzin, pracowałyśmy nad dużymi kablami elektrycznymi, spiętymi razem taśmą elektryczną. Pan DeSimon określił te materiały, które musiałam smarować, w celu ułatwienia ich przejścia przez rury, końskimi genitaliami, co uważam za wyjątkowo obraźliwe. Nie użył słowa „genitalia” lecz określenia wulgarne.

Na formularzu nie było więcej miejsca na uzasadnienie prośby.

Nie miałam zamiaru spędzić następnych siedmiu miesięcy pod rządami tej świni. I miałam nadzieję, że koński kutas będzie moją przepustką.

Przy następnej okazji poszłam do biura szefa DeSimona. To była zupełnie inna para kaloszy – robił karierę w więziennictwie, przechodził z więzienia do więzienia i wspinał się po szczeblach korporacyjnej kariery. Pochodził z Teksasu, gdzie z pewnością wiedzą dużo o więzieniach, i był stuprocentowym profesjonalistą. Był wysoki, zawsze nosił krawat, a często kowbojskie buty. Był też niezwykle grzeczny i traktował więźniarki uczciwie, co zyskało mu szczególny podziw. Pop mówiła na niego „Mój Strażnik Teksasu” i lubiła, gdy przychodził do Obozu, by spróbować jej kuchni.

Zapukałam do jego drzwi, weszłam i wręczyłam mu formularz.

Przeczytał go w ciszy i spojrzał na mnie.

– Panno Kerman, nie jestem pewien, czy w pełni rozumiem to, co jest tutaj napisane. Czy zechce pani usiąść?

Usiadłam i zdjęłam moją białą bejsbolówkę. Czułam, że policzki robią się czerwone. Znalazłam sobie fragment jego biurka, w który się wpatrywałam, żeby nie patrzeć mu w oczy. Wtedy wytłumaczyłam mu, co oznacza moje uzasadnienie w formularzu przeniesienia, bardzo dokładnie. Kiedy wreszcie skończyłam, wzięłam głęboki oddech. Wtedy dopiero podniosłam oczy i spojrzałam na niego.

Był równie czerwony jak ja.

– Przeniosę cię natychmiast – powiedział.

Nadszedł lipiec, ale jakoś nie byliśmy tym zachwycone. Cały Obóz wdychał od niewyobrażalnego gorąca. Telefony przestały działać. Zepsuły się pralki – dosłownie tragedia. Nagle zniknęły wszystkie suszarki do włosów. Dwieście kobiet, brak telefonów, brak pralek, brak suszarek – wyglądało to jak *Władca Much* na estrogenie. Ja z pewnością nie miałam zamiaru być Prosiaczką.

By uciec jakoś od narastającego w Obozie napięcia, lubiałam przesiadywać sobie, szczególnie o zachodzie słońca, pod rzędem sosen, skąd rozpościerał się widok na tor i dolinę. Teraz, kiedy wiedziałam, jak wygląda to jezioro, wyobrażałam sobie, jak nurkuje głęboko pod wodą i odpływam prędko. Nadstawiałam ucha, żeby usłyszeć dźwięk motorówek daleko w dole. Dookoła było tak pięknie; dlaczego musieli zepsuć to wyjątkowe miejsce więzieniem? W te wieczory strasznie tęskniłam za Larrym – bardzo chciałam być razem z nim.

Codziennie sprawdzałam tablicę, żeby dowiedzieć się, czy zmienił się już mój przydział pracy. Po tygodniu dowiedziałam się, że moja próba ucieczki z warsztatu elektrycznego stanęła pod znakiem zapytania, bo ten drań DeSimon wyjechał na urlop bez słowa uprzedzenia, a Tex nie chciał mnie przenieść do budowlanych przed jego powrotem. Nie mogłam tego wszystkiego zrozumieć.

Jednak kiedy na niego naciskałam, z desperacją w głosie, wielki Teksaszczyk podnosił ręce do góry, jakby chciał powiedzieć stop.

– Proszę mi zaufać i być cierpliwa, panno Kerman. Wyciągnę panią stamtąd.

Dzięki Bogu, mój transfer z elektrycznego do budowlanego wreszcie się odbył – wiadomość pojawiła się na tablicy pod koniec lipca. Tex dotrzymał słowa. Odańczyłam mały taniec zwycięstwa w głównym hallu Obozu.

Wśród moich nowych koleżanek z pracy były moja kumpelka Allie Baranski, wesola, wysoka na sześć stóp dziewczyna z Dormitorium B, a także Pennsatucky, która była chyba najbardziej gadatliwą białą dziewczyną. Warsztat stolarski składał się głównie z hiszpańskich *mamis*, w tym Marii Carbon, dziewczyny w stanie graniczącym z katatonią, którą przywitałam w pokoju numer sześć w lutym. Odzyskała trochę równowagi w międzyczasie i różnica między przerażoną dziewczyną, a kimś w rodzaju wypełnionego brawurą macho, którym stała się teraz, była uderzająca. Wszystkie serdecznie mnie witały i nie było nawet śladu przygnębiającej beznadziei, która towarzyszyła mi w elektrycznym. Uwielbiałam to, jak warsztat pachniał drzewem, farbą i trocinami. Warsztaty budowlany i stolarski mieściły się razem i teraz pracowałam z Kingiem, nałogowo palącym Kowbojem Marlboro.

Miałam nową sąsiadkę w Dormitorium B, którą nazwałam „Pompon” – z powodu jej fryzury. Pompon była dwudziestodwulatka, która spędzała dużo czasu śpiąc i szybko zdobyła sobie reputację lenia. Najprawdopodobniej spała tyle, bo miała depresję – absolutnie normalna reakcja na więzienie. Została właśnie przydzielona do pracy u mechanika, gdzie nalewała benzynę do więziennych samochodów – i to z entuzjazmem; mnie nie wydawała się leniwa. Jeśli spojrzysz na nią z uśmiechem, to odwracała wzrok, ale w tym samym czasie odwzajemniała uśmiech, chociaż wstydliwie.

Pewnego dnia w kolejce po obiad Pompon nagle się do mnie odwróciła i zaczęła mówić. Ledwo ją znałam i założyłam, że musi mówić do kogoś innego, może do Angel, jej koleżanki z pracy, która stała u mojego boku. Ale nie, mówiła do mnie i to z werwą.

– Szef wezwał mnie dziś do biura i spytał, czy jakieś moje krewne nie siedziały w tym więzieniu. Jej szefem u mechanika był pan Senecal. – No i tak mnie pyta i wyszło na to, że pracowała dla niego moja matka.

Spojrzałam na Pompon. Teraz miałyśmy trzy zestawy sióstr zamknięte w Obozie, a tuż przed moim przybyciem pojawiła się matka innej sąsiadki. Po czasie, który spędziłam już w więzieniu, bardziej dziwiło mnie, że Pompon nie wiedziała, że jej mama pracowała w warsztacie, niż to, że była już drugim pokoleniem w tym miejscu.

– Nie wiedziałaś, że pracowała w warsztacie? – spytałam.

– Nie. Wiedziałam, że tutaj była, ciotka mi powiedziała. Ale matka nigdy nic o tym nie opowiadała.

Nagle zdałam sobie sprawę, że być może matka Pompon już zmarła.

Angel, jej koleżanka, słuchała oczywiście tego wszystkiego i delikatnie zadała pytanie:

– Gdzie jest twoja mama?

– Nie mam pojęcia – odparła Pompon.

Poczułam się nawet gorzej, ale nadal byłam ciekawa.

– Jak Senecal się dowiedział?

– Zgadł. Myślał, że to moja siostra, ale tak naprawdę to po prostu zgadł.

– Wyglądasz jak twoja mama? Zgadł, patrząc na ciebie?

– Tak sądzę... Spytał mnie: „Wysoka i chuda, prawda?” – Pompon się zaśmiała. – Powiedział, że miał przeczucie, więc mnie spytał. Potem zapytał, co tu robisz.

Zastanawiałam się, czy personel więzienia w jakiś sposób łączył swoje porażki z porażkami dzieci więźniów. Czy Mike’a Sencala martwiło, że Pompon trafiła do Danbury i czy czekał na jej dzieci? Być może, jeśli jej matka otrzymałaby konieczną w wypadku jej uzależnień (które były oczywiste) terapię, zamiast trafić do warsztatu samochodowego w Danbury, Pompon nie stałaby dziś w jego biurze.

– Co Senecal powiedział ci o twojej mamie?

– Powiedział, że nigdy nie sprawiała mu żadnych kłopotów.

Mało mnie obchodził szef Pompon, ale lubiłam wpadać do samochodowego. Co rano odbierałam stamtąd białego pickupa

budowlańców i lubiłam sobie pogadać z dziewczynami, które pracowały przy nalewaniu benzyny i naprawie ciężarówek. Toczyła się właśnie zawzięta dyskusja o to, co będzie przebojem lata.

Angel twierdziła, że będzie to wielki hit reggaetonowy z Daddy Yankee; nie wiedziałam, że tytuł to *Oye Mi Canto*, ale wszystkie potrafiłyśmy śpiewać refren:

*Boricua, Morena, Dominicano, Colombiano,
Boricua, Morena, Cubano, Mexicano
Oye Mi Canto*

– Wszystkie jesteście stuknięte – parsknęła Bonnie. – To będzie Fat Joe – powiedziała.

– Lean Back – odpowiedziałyśmy wszystkie i płynnie odrzuciłyśmy jedno ramię do tyłu.

– Nie lubię jej, ale ta piosenka Christiny Milian *Pop, Pop, Pop That Thing?* To jest dopiero przebój! – powiedziała Kenyatta.

Zachichotałam. W czasie zajęć poprzedniego dnia, Joginka Janet próbowała ułatwić nam jakoś rozluźnienie bioder.

– Dobra, słuchajcie, teraz pokręćcie biodrami. Potrząśajcie trochę. Teraz obroty, w lewo... teraz w prawo. Wyrzucicie biodra do przodu, miednica do przodu, płynnym ruchem. *Pop That Thing!*

– *Pop that thing?!* – Siostra była wyraźnie zagubiona. Camila i ja umierałyśmy ze śmiechu.

– Nie wiem, o co wam wszystkim chodzi, ale tego lata jest tylko jedna piosenka. I to jest *Locked Up*. Rozejrzyjcie się! Koniec dyskusji.

Musiłyśmy przyznać – miała rację. Całe lato, gdziekolwiek się odwróciłaś, mogłaś usłyszeć niemal upiorny, melancholijny głos Akona, senegalskiego rapera, śpiewającego o więzieniu.

*Can't wait to get out and move forward with my life,
Got a family that loves me and wants me to do right,
But instead I'm here locked up.*

Nawet jeśli ta piosenka nie była wielkim hitem na zewnątrz, to była prawdziwym hymnem w miejscu takim jak Obóz; można było usłyszeć kobiety, które nie były fankami hip-hopu, jak nucą ją niemelodyjnie pod nosem, składając pranie: „I'm locked up, they won't let me out, nooooo, they won't let me out. I'm locked up”.

Rozdział 12

Nagie prawdy

Bardzo lubiłam moją koleżankę z pracy, Allie B. Dzięki niej mogłam się śmiać niemal cały czas. Wyglądała na dość beztroską – to znaczy, gdy nie była czymś wkurzona. Miało się wrażenie, że cały czas była pobudzona. Nie można było po niej poznać, że siedzi za kratkami, mimo tego, że nie był to jej pierwszy pobyt w więzieniu – co więcej, złamała zasady przedterminowego zwolnienia. Nie było się czemu dziwić, była ćpunką. Jednak ponieważ nie zamknęli jej za przestępstwo narkotykowe, nie brała udziału w żadnej terapii jej uzależnienia.

– No daj spokój, nie ćpasz od czasu, jak tu trafiłaś, po co wracać do tego wszystkiego? – pytałam ją.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz, Piper – odpowiadała, przechylając głowę na bok, z uśmiechem. – Nie mogę się doczekać działki. Działki i jakiegoś kutasa!

To już też wiedziałyśmy – Allie kochała ćpanie i kochała seks. Każdy facet, który jej się podobał – strażnik, urzędnik w krawacie czy nawet niczego niepodejrzewający dostawca, który zjechał do więzienia – mógł liczyć na wulgarny i zabawny komentarz z jej strony.

Allie czasami nazywała mnie swoją „żoną”, na co odpowiadałam: „Chciałabyś, Allie!”. Czasami miała wybuchy udawanego (mam nadzieję) pożądania, w czasie których goniła mnie po całym Dormitorium B, wrzeszcząc obsceniczne komentarze i próbując zerwać mi moje szare szorty do biegania, a ja piszczałam. Nasze sąsiadki szybko miały dość tych wygłupów.

Z jej sposobu mówienia i pisania, pomimo fascynacji *Fear Factor*, można było poznać, że Allie była lepiej wykształcona od

większości innych więźniarek. Bez zadawania mojej kumpelce osobistych pytań, zakazanych nawet wśród przyjaciół, mogłam zgadnąć, że powodem jej wielokrotnych pobytów za kratkami było uzależnienie. Martwiłam się o Allie; z pewnością miałam nadzieję, że nigdy już nie trafi do więzienia, ale tak naprawdę obawiałam się, że jej nałóg po prostu ją zabije.

Podobnie sytuacja miała się z kumpelką Allie, Pennsatucky, która była uzależniona od cracku (co można było poznać po jej czarnych przednich zębach). Jednak w przeciwieństwie do Allie, Pennsatucky nie chciała naćpać się zaraz po wyjściu z więzienia. Chciała odzyskać córkę. Dzieciak, wyglądający jak aniołek niemowlak, mieszkał teraz z ojcem. Pennsatucky nie miała praw rodzicielskich. Była „nienormalna”, co w żargonie Obozu oznaczało kogoś, kto miał problemy psychiczne lub po prostu cierpiał na chorobę umysłową. Warunki więzienne nie ułatwiały sprawy.

Teraz, kiedy znałam już Pennsatucky od jakiegoś czasu i pracowałam z nią, wiedziałam, że była mądrzejsza niż większość myślała. Była uważna i delikatna, jednak miała wielki problem z wyrażaniem się w sposób, który nie nastawiałaby innych negatywnie do niej. Kiedy czuła, że nie okazuje się jej szacunku – a zdarzało się to często – robiła się głośna i wściekła. Tak naprawdę z Pennsatucky wszystko było w porządku – mogłaby prowadzić absolutnie szczęśliwe życie, ale wiedziałam, że przez swoje problemy łatwo jej było wpaść w narkotyki i łapy dilerów.

Jeżeli ładujesz za kratkami z powodu problemu z narkotykami, to twój detoks generalnie może w pierwszym rzędzie polegać na zwijaniu się z bólu na więziennej podłodze. I tyle. Kiedy tylko trafiasz na dłużej do więzienia, pierwsza rzecz, którą robią tutejsi lekarze, to oceniają twój stan psychiczny i... przepisują ci leki. Kolejka po pigułki w Danbury była zawsze długa i ciągnęła się z gabinetu lekarskiego aż na korytarz. Niektórym kobietom przepisane leki bardzo pomagały, jednak inne zamieniały się w zombie, były kompletnie odjechane. Byłam nimi przerażona;

co się stanie, gdy wrócą na ulicę, a skończy się dostęp do leków?

Kiedy przeszłam przez przerażające bramy więzienia federalnego siedem miesięcy temu, z pewnością nie wyglądałam jak gangsterka, ale miałam gangsterską mentalność. Gangster martwi się tylko o siebie i o swoich. Mój żal za popełnione czyny wynikał z powodu traumy, której przysporzyłam mojej rodzinie i konsekwencji, które musiałam ponieść. Nawet, gdy zabrano mi moje ubrania i zamieniono je na więzienne khaki, uważałam całą koncepcję „wojny z narkotykami” za zwykły żart. Uważałam, że rządowe ustawy antynarkotykowe były w najlepszym razie nieefektywne, a w najgorszym miały przeciwne skutki. Były skupione na podaży, a nie na popycie, losowe w swej koncepcji, nierówne i nieuczciwe w sposobie ich zastosowania – opartym o rasę i klasę społeczną, a z tego powodu intelektualnie i moralnie złe. I wszystkie te rzeczy były prawdą.

Jednak teraz, gdy patrzyłam z niepokojem na Allie, która nie mogła się doczekać powrotu do tego bagna, gdy zastanawiałam się, czy Pennsatucky da radę udowodnić, że jest matką tak dobrą, jak chciałaby być, gdy martwiłam się o wiele moich przyjaciółek z Danbury, których zdrowie było zniszczone przez żółtaczkę i HIV, i gdy widziałam w sali odwiedzin, jak uzależnienie niszczyło więzi między matkami a dziećmi – wtedy wreszcie zrozumiałam prawdziwe konsekwencje moich działań. Miałam swój udział w tych wszystkich strasznych rzeczach.

Zdałam sobie sprawę z okrucieństwa mojej własnej przeszłości nie z powodu ograniczeń narzuconych na mnie przez rząd USA ani też z powodu długu, który zaciągnęłam, by pokryć koszty prawne, ani też nie dlatego, że nie mogłam być z mężczyzną mojego życia. Przebywałam, rozmawiałam, pracowałam z kobietami, które poniekąd cierpiały z powodu tego, co zrobili ludzie tacy jak ja. Żadna z nich mnie nie potępiła – większość sama brała udział w narkotykowym biznesie. Jednak po raz pierwszy zrozumiałam, w jaki sposób moje wybory miały udział w ich cierpieniu. Byłam współwinna ich uzależnienia.

Długi wyrok, polegający na pracy społecznej z uzależnionymi na wolności, doprowadziłby mnie prawdopodobnie do tej samej prawdy i byłby o wiele bardziej produktywny dla społeczności. Jednak nasz amerykański system resocjalizacji nie zna pojęcia sprawiedliwości naprawczej, w której winny musi zmierzyć się ze szkoda, jaką wyrządził i próbuje zadośćuczynić ludziom, wobec których zawinił. (Miałam szczęście, że sama to wszystko zrozumiałam, z pomocą kobiet, które spotkałam). Zamiast tego, nasz system „naprawczy” polega na zemście i odwecie, cały czas. I potem ludzie za niego odpowiedzialni dziwią się, dlaczego ci, którzy opuszczają więzienia, są jeszcze bardziej zniszczeni, niż w chwili gdy do nich trafili.

Vanessa Robinson była transseksualistką, która zaczęła swój wyrok w federalnym u dołu wzgórze. W Danbury jej obecność była dobrze znana; OD nalegali na zwracanie się do niej per Richard – jej oryginalnym imieniem. Pewnego dnia, pod koniec maja, cały Obóz opanowało poruszenie.

– Przenoszą ją tutaj!

Wszyscy oczekiwali przybycia panny Robinson. Niektóre kobiety przysięgały, że nie będą z nią rozmawiać; inne przyznawały się do wielkiej nią fascynacji. Kobiety z Karaibów i hiszpańskie *mamis* podchodziły do całej sprawy z obrzydzeniem. Nowo nawrócone chrześcijanki głośno wyrażały swoje oburzenie, a kobiety z klasy średniej wyglądały na albo rozbawione sytuacją, albo poddenerwowane. Weteranki były raczej zblazowane.

– Och, miałyśmy tu już trochę dziewczyn, które próbowały przejść na drugą stronę. Protestowały – powiedziała pani Jones.

– Na drugą stronę? – spytałam.

– No, z dziewczyny na chłopca, zawsze narzekając na ich leki i inne gówno – powiedziała, lekceważąco machając ręką.

Wkrótce zobaczyłam Vanessę po raz pierwszy – sześć stóp, z czego cztery całe blond koafiury, skóra w kolorze kawy, cycki jak balony – prawie że kobieta modelowa. Wokół niej zebrał się tłumek podziwiających ją młodych kobiet, a ona dobrze wyko-

rzystywała ich uwagę. To nie była jakaś przypadkowa trans, którą ktoś wsadził za kratki. Vanessa była diwą pełną gębą. Wyglądało to, jakby sama Mariah Carey została nagle teleportowana do nas.

Może i była diwą, ale miała też inteligencję i dojrzałość, by poradzić sobie z tą sytuacją z pewną dozą dyskrecji. Swoją wyrok w Obozie rozpoczęła spokojnie, bez żadnych popisów. Kilka innych kobiet przybyło z federalnego razem z nią, w tym niesamowicie piękna, młoda dziewczyna nazwiskiem Wainwright, która była jej kumpelką – obie śpiewały w kościelnym chórze. Wainwright była malutka, miała zielone, kocie oczy, enigmatyczny uśmiech i skończyła college – większość innych czarnych kobiet wielbiła ją z miejsca. Były wizualnie prześmieszną parą, w teorii podobną, a w rzeczywistości tak różną od siebie.

Przez większość czasu przez kilka pierwszych tygodni w Obozie były razem. Vanessa była przyjazna, jeśli się ją zaga- dało, ale podchodziła do wszystkiego z większą rezerwą, niż mogłoby się to wydawać z jej wyglądu. Pracowała w kuchni.

– On nie umie gotować – narzekała Pop, która należała do grupy „zniesmaczonych” i nie miała najmniejszego zamiaru być miłą, chociaż było trochę racji w jej ocenie kulinarnych zdolności Vanessy. Wkrótce wybuchła słynna afera z keczupem w sosie marinara, która wstrząsnęła całym Obozem. Pop wyszeptala mi do ucha, któz był winien tej zbrodni, ale zatrzymałam tę informację dla siebie.

Lubiłam Vanessę. I dobrze, bo wprowadziła się do boksu koło mnie. Ona i Wainwright zdołaly dostać takie przydziały, jakich sobie życzyły. Wainwright mieszkała z Lionnel, *consigliere* ekipy magazynowej i głosem rozsądku/dyscypliny, gdy chodziło o niegrzeczne czarne kobiety. („Dziewczyno, albo zaczniesz się normalnie zachowywać, albo zamienię twoją głowę w pulpę!”). Vanessa zaś wprowadziła się obok, wraz z Faith, stalowowłosa babcia, która przyszła tu prosto z lasów New Hampshire i przyjechała do Obozu od federalnych razem z Vanessą i Wainwright. Dogadywały się świetnie. Przybycie Vanessy do Dormitorium B

lekką irytowała pannę Natalie, jednak była i tak bardziej tolerancyjna niż jej przyjaciółka, panna Solomon, która głośno protestowała:

– Czegoś takiego oczekujesz w łazience, panno Piper? Czegoś takiego?!

Wskazałam tylko nieśmiało, że Vanessa przeszła już operację, ale dodałam też, że nie, nie mam ochoty na taki show.

A darmowy show dopiero się zaczynał. Po tym, jak Vanessa się zadomowiła, zrobiła się bardziej odważna i chętnie prezentowała chirurgiczne osiągnięcia pod byle pretekstem. Wkrótce pół Obozu mogło powiedzieć, że widziało jej walory. Jej biust w rozmiarze miseczki D był jej dumą i radością. Biorąc pod uwagę różnicę wzrostu między nami, często była to pierwsza rzecz, jaką widziałam z rana. Z pewnością wyglądała lepiej niż większość więźniarek, które urodziły się kobietami, jednak z bliska można było zauważyć trochę męskich cech. Pod pachami miała mały las – powiedziała, że skoro nie może go usunąć na dobre, to pieprzyć to – więc w gorących i ciasnych warunkach Dormitorium B latem pachniała zdecydowanie jak spocony facet. Vanessa nie miała dostępu do hormonów w więzieniu i dlatego zachowała trochę cech męskich, które w innych okolicznościach nie byłyby tak wyraźne – w szczególności jej głos. Przez większość czasu mówiła wysokim, dziewczęcym falsetem, ale w każdej chwili mogła przełączyć się na głęboki, męski głos Richarda. Uwielbiała zakradać się i straszyć każdą za jej plecami. Była też niezwykle efektywna w uciszaniu stołówki, z jej barytonowym „Ej, zamknąć się wszystkie!”. Jednak najlepsze ze wszystkich były jej Richardowe zagrzewki na polu do softballa – była najbardziej lubianą zawodniczką. Suka potrafiła przyłożyć!

Vanessa była zabawną i miłą sąsiadką, wesołą w stylu drag-queen a także bystrą, inteligentną, wyczuloną na myśli i uczucia innych. Lubiała wyciągać swój album z wycinkami, dzielić się zdjęciami i opowieściami o facetach, którym złamała serce, i czas nam jakoś mijał („O, to jest program z konkursu na Gejowską Czarną Miss Ameryki – byłam rzeczą finalistką!”). Wszystkie ko-

biety, które urodziły się jako aspirujące diwy (większość oczywiście żyła w Dormitorium B), natychmiast spostrzegły, że mogą się od Vanessy dużo nauczyć. A ona z kolei miała bardzo dobry wpływ na młode dziewczyny, które gromadziły się wokół niej. Delikatnie je napominała, gdy źle się zachowywały i namawiała je do uczenia się, wiary w Boga i miłości bliźniego.

Miała tylko jeden rytuał, który był potwornie irytujący. Każdego wieczoru, gdy kończyła pracę w kuchni, Vanessa wracała do swojego boksu, wspinała się na łóżko i wyciągała magnetofon z kontrabandy, który w nieznanym nam sposób dostała drogą przez kaplicę. Jej ulubioną piosenką gospel był kawałek o tym, że Jezus nas kocha, wybacza i pomaga nam na każdym kroku. Pieśń płynęła ponad boksami, a wraz z nią głos Vanessy. Był to moment, gdy szczególnie wyraźnie było widać brak hormonów – Vanessa po prostu nie dawała sobie rady z wysokimi nutami. Przez pierwszych kilka nocy, gdy to robiła, uśmiechałam się do siebie, rozbawiona. Po dziesiątej chowałam już głowę pod poduszkę. Widząc, że Vanessa nie zrezygnuje z wieczornych piasów, postanowiłam zacisnąć zęby i to znieść. Jeden hymn dziennie mnie nie zabije, uznałam.

Jednym z przedmiotów z kontrabandy, który znajdował się w moim posiadaniu, był lakier do paznokci. Kiedyś sprzedawano go w więziennym sklepie, ale teraz był przedmiotem zakazanym. Joginka Janet dała mi butelkę wspaniale ostrego lakieru w kolorze magenty, który stał się marzeniem mojej pedikiurzystki, Rosy Silva. Obiecałam jej, że oddam go, gdy będę wychodzić na wolność, ale na razie trzymałam go dla siebie i dla Joginki Janet, która także kochała piękne paznokcie u stóp. Każda szanująca się dziewczyna z Nowego Jorku miała dobry pedicure, nawet za kratami.

Już od jakiegoś czasu byłam klientką Rosy. Gdy przybyłam do Danbury, jedną z nielicznych rzeczy, o których wiedziałam, była obecność pedikiurzystek w więzieniu. Wygrzebałam to jakoś w czasie moich badań przed pójściem za kraty, razem z infor-

macją, że lepiej kupić sobie własne narzędzia, jeśli chce się korzystać z ich usług. Populacja więzienna często cierpiała na liczne choroby przenoszone przez krew, jak HIV i żółtaczkę, lepiej więc było unikać wszelkich infekcji.

Gdy trafiłam do Obozu, byłam zbyt nieśmiała, by poprosić o pedicure, chociaż podziwiałam złote paznokcie u stóp Annette.

– Tylko Rose – wytłumaczyła.

W rzeczywistości poza Rose była tylko jedna opcja – Carlotta Alvarado – wśród jej klientek była między innymi Pop. Rose i Carlotta podzieliły rynek między siebie. Więzienny pedicure można dostać tylko z polecenia, więc więźniarki były bardzo lojalnymi klientkami.

Pierwszy raz zrobiłam sobie pedicure wczesną wiosną. To był prezent od Annette.

– Załatwiłam ci pedicure u Rosy Silva. Nie mogę już patrzeć na te twoje paluchy w kłapkach.

Tydzień później grzecznie zgłosiłam się w jednej z łazienek przy pokojach koło głównego hallu na spotkanie z Rose, uzbrojona w moje własne narzędzia – klamerki do skórek, pałeczki z drzewa pomarańczowego, pilnik do stóp. Rose przybyła ze swoim własnym zestawem, w tym z ręcznikami, plastikową kwadratową miską i całym wachlarzem lakierów – niektóre miały naprawdę dziwne kolory. Czułam się nieswojo, ale Rose miała dar do swojej roboty i była bardzo konkretna.

Rose i ja szybko dowiedziałyśmy się, że obie jesteśmy z Nowego Jorku – ona z Brooklynu, ja z Manhattanu. Ona była pochodzenia włosko-portorykańskiego i odsiadywała trzydzieści miesięcy za próbę przemytu dwóch kilogramów kokainy przez lotnisko w Miami. Była rzeczowa, ale lubiła się też powygłupiać. Co najważniejsze jednak, robiła wspaniałe pedicure i cholernie dobry masaż stóp. Z zasady nikt nie może cię dotykać w więzieniu, więc intymność zmysłowego masażu stóp, którego celem jest przyjemność, za pierwszym razem doprowadziła mnie niemal do ekstatycznych łez.

– Hej, złotko! Weź parę głębokich oddechów – doradziła. Za to wszystko Rose liczyła sobie pięć dolców, które realizowane były w produktach ze sklepu – dawała mi znać przed dniem zakupów, co jej potrzeba. Wzięło mnie. Zostałam klientką.

Ostatni popis Rose na moich stopach był arcydziełem. Jasnoróżowy, francuski pedicure z czerwonymi i białymi kwiatkami wiśni na dużych palcach. Nie mogłam przestać patrzeć się na moje paznokcie w klapkach – były po prostu słodkie!

Pomimo rytmu, w który wpadłam, nadal miewałam chwile poirytowania moimi współosadzonymi, które mnie czasami denerwowały. W siłowni, podczas zajęć, niemal straciłam cierpliwość dla Joginki Janet, która uparcie nalegała, że tak, jestem w stanie założyć nogę za głowę, jeśli postaram się choć odrobinę bardziej.

– Nie, nie mogę – odparłam. – Moja noga nie trafi za moją głowę. Kropka.

Przebywanie z ludźmi, którzy nie mogli lub nie chcieli ograniczać się w swoich wypowiedziach, było oświecające i zastanawiające się sporo nad kwestią samokontroli. Siedząc w więzieniu, nasłuchiwałam się strasznych opowieści o kobietach z kilkorgiem dzieci, które kochały, ale z którymi nie potrafiły sobie poradzić; o rodzinach, w których oboje rodziców trafiało za kratki na wiele lat. Myślałam o milionach dzieci, które przechodziły przez okropne doświadczenia z powodu złych wyborów ich rodziców. Do tego dochodziła beznadziejna odpowiedź rządu na problem handlu narkotykami, która podtrzymywała szkodliwy mit, że można kontrolować dostawy narkotyków, mimo tego że popyt był tak silny. Wszystko to razem powodowało niepotrzebne tragedie, jednocześnie nie przynosząc żadnego pożytku. Myślałam o moich rodzicach, o Larrym i o tym, przez co teraz przechodzą z mojego powodu. Więzienie było moją pokutą, przez jaką przechodziłam. Emocjonalnie wszystko to razem wzięte było bardzo przytłaczające i gdy widziałam w Obozie kobiety, które nadal codziennie dokonywały złych wyborów lub po prostu za-

chowowały się, jakby je w ogóle nic nie obchodziło, martwiłam się.

Starałam się być konsekwentna w rozgraniczeniu „my i oni”, co odnosiło się do personelu więzienia. Niektórzy z obsługi chyba darzyli mnie sympatią i myślę, że próbowali traktować mnie lepiej niż inne osadzone, co uważałam za obrzydliwe. Jednak gdy widziałam inne więźniarki zachowujące się w sposób, który był niezgodny z moim poczuciem przyzwoitości (z braku lepszego określenia), albo zachowujące się po prostu podle, głupio lub antyspołecznie, naprawdę miałam kłopot z przejściem nad tym do porządku dziennego. Doprowadzało mnie to do szału.

Uznałam to wszystko za znak, że jestem zbyt mocno zaangażowana w więzienne życie, że „prawdziwy świat” powoli stawał się tłem i że powinnam bardziej dokładnie czytać gazety i pisać więcej listów. Skupienie się na rzeczach pozytywnych było trudne, ale wiedziałam, że w Danbury spotkałam odpowiednie ku temu kobiety. Głos w mojej głowie przypominał mi, że mogę już nigdy nie doświadczyć podobnego środowiska i że zanurzenie się w mojej obecnej sytuacji, wykorzystanie jej i uczenie się wszystkiego, czego tylko można było się nauczyć, może być sposobem na życie – teraz i zawsze.

– Za dużo myślisz – mawiała Pop, która przetrwała w więzieniu ponad dekadę i nie zwariowała.

Ludzie, tu był dobry pedicure! Do tego były żarówki do wymiany, eseje do napisania za kogoś, torebki cukru i narzędzia do ukradzenia, szczeniaki, z którymi trzeba było się pobawić, plotki do wysłuchania i do przekazania dalej. Kiedy myślałam za dużo o moim życiu w więzieniu, zamiast myśleć o Larrym, czułam się nawet trochę winna. Jednak nadal pewne wydarzenia podkreślały boleśnie moją nieobecność w zewnętrznym świecie. W lipcu stary przyjaciel, Mike, miał mieć ślub na łące w jego pięćdziesięcioakrowym gospodarstwie w Montanie. Chciałam tam być latem (które jest tak wspaniałe w Montanie), wznosząc tequilą toast za Mike’a i jego wybrankę. Świat szedł do przodu, pomimo tego,

że ja trafiłam do innego mikrokosmosu. Chciałam, bardzo chciałam być w domu i gdy mówiłam „dom” miałam na myśli bardziej miejsce „gdziekolwiek jest Larry” niż Dolny Manhattan. Jednak przede mną nadal było następnych siedem miesięcy. Wiedziałam, że dam sobie z nimi radę, ale było zbyt wcześnie, by liczyć dni.

Martha Stewart została skazana 20 lipca na pięć miesięcy więzienia i pięć miesięcy aresztu domowego – dość typowy „dzielony wyrok” dla „białych kołnierzyków”, ale dużo poniżej maksymalnej kary przy takich przestępstwach. Niektóre więźniarki były bardzo zdziwione wysokością jej wyroku. Około dziewięćdziesięciu procent broniących się w procesach kryminalnych przyznawało się do winy. Zazwyczaj oskarżony, który doprowadza sprawę aż do sądu federalnego, dostaje mocno po głowie od sędziego – maksymalny, a nie minimalny wyrok. Wiele kobiet w Obozie spotkał właśnie taki los i odsiadywały bardzo długie wyroki. Pomimo tych zastrzeżeń, wszyscy w Obozie byli przekonani, że niedługo Martha Stewart będzie czyjaś współlokatorką i to z pewnością trochę wstrząśnie całą instytucją. Jeśli rzeczywiście mieli ją wysłać do Danbury, to byłam niemal pewna, że trafi do Dormitorium A, „Przedmieście”, razem z wszystkimi przypadkami ZOK.

O Dniu Dziecka nasłuchiwałam się od samego przyjazdu do Danbury. Raz w roku służba więzienna organizowała dzień, w który dzieciaki mogły przyjechać do więzienia i spędzić sporo czasu ze swoimi matkami. Planowane były różne zabawy, w tym sztafety, malowanie twarzy, piniaty i wspólne gotowanie. Dzieciaki mogły chodzić po Obozie razem z matkami, prawie jak normalne rodziny w czasie popołudnia w parku. Wszystkie inne osadzone musiały pozostać w swoich pokojach lub boksach przez cały dzień. Z tego powodu dziewczyny, które wiedziały, co się święci, zasugerowały, żebym zgłosiła się do pomocy przy przygotowaniach, byle tylko nie być skazaną na pobyt w swoim boksie przez bite osiem godzin potencjalnie bardzo gorącego dnia.

Potrzebowali wielu rąk do pomocy tego dnia, więc w pierwszym tygodniu sierpnia zostałam wezwana na spotkanie wolontariuszy. Miałam zajmować się malowaniem twarzy. Kiedy nadeszła sobota, było gorąco jak w piecu i cały Obóz aż szumiał od nagromadzonej energii. Pop i jej ekipa męczyła się nad przygotowaniem hot dogów i hamburgerów. Wolontariuszki albo kręciły się po Obozie, albo pomagały rozstawić stanowiska do zabaw; nad naszym stołem do malowania twarzy rozpięto rozkładany parasol; pod nim znajdował się pełen wybór kubiczków, kredek i farbek do twarzy w każdym kolorze tęczy. Byłam zdziwiona, jak bardzo się denerwowałam. Co, jeśli dzieciaki będą się źle zachowywać i nie będę potrafiła sobie z nimi poradzić? Z pewnością nie miałam zamiaru zwracać uwagi dziecku innej więźniarki – można sobie wyobrazić, jak by się to skończyło. Nerwowo wypytywałam o wszystko moją towarzyszkę, która miała się ze mną zajmować malowaniem twarzy i była weteranką tego typu spotkań.

– To proste. Po prostu pokaż im szablony i spytaj, który chcą – powiedziała, kompletnie znudzona. Przed sobą miałyśmy kartę z rysunkami tęczy, motylków i biedronek.

Wreszcie przybyły pierwsze dzieciaki. Musiały być zarejestrowane z wyprzedzeniem, a także pozostawione i odebrane z sali odwiedzin przez kogoś dorosłego – ta osoba nie mogła wejść do Obozu, dzieci mogły wchodzić jedynie same. Wiele rodzin zdołało sprowadzić dzieciaki z bardzo daleka – Maine, zachodnia Pensylwania, Baltimore, a nawet jeszcze dalej – a dla niektórych z nich mogła to być jedyna okazja zobaczenia matki w ciągu całego roku. Przejście przez salę odwiedzin musiało być dla maluchów przerażające, ale zaraz po tym mogły już wpaść w objęcia czekających matek. Po przytuleniach i całusach mogły wziąć mamy za rękę i przejść po schodach obok stołówki na tyły Obozu, na boiska i do stołów piknikowych, by tam cieszyć się całym dniem spędzonym razem.

Nasza pierwsza klientka pojawiła się przy stole razem z matką, która pracowała ze mną w warsztacie stolarskim.

– Piper, ona chce mieć pomalowaną twarz.

Dziewczynka miała jakieś pięć lat, kręcone złotobrzazowe włosy spięte w kucyki i pełne policzki.

– OK, złotko, co byś chciała? – wskazałam na kartę z szablonami. Spojrzała na mnie, ja spojrzałam na nią. Odwróciłam się do jej matki.

– Co mam jej namalować?

– Nie wiem, tęczę? – powiedziała matka, wywracając oczyma.

Tęcza na obrazku wychodziła z chmury. Wyglądało to na trudną robotę.

– Co powiesz na serce z chmurką – na niebiesko, żeby jej pasowało do sukienki?

– Super, cokolwiek.

Objęłam jej malutki podbródek jedną ręką i próbowałam utrzymać równowagę drugiej. Rezultat był bardzo duży i bardzo... niebieski. Matka spojrzała na moje dzieło, a potem na mnie, w stylu „Co to kurwa jest?”, jednak nie skomentowała.

– To śliczne, kochanie, *que Linda!* – powiedziała i odeszły. Okazało się, że malowanie twarzy jest trudniejsze, niż się wydawało.

Jednak z czasem było coraz łatwiej. Kiedy dzieci przestały być już zawstydzone obecnością tylu obcych, każde chciało mieć pomalowaną twarz. Dzieciaki zachowywały się nadzwyczaj dobrze, czekając cierpliwie w kolejce i uśmiechając się słodko, gdy wreszcie przychodziła ich kolej, by wybrać jakiś szablon. Byłyśmy zajęte godzinami, aż wreszcie dostałyśmy przerwę na lunch. Zjadłyśmy hamburgery wraz z Pop i obserwowałyśmy rodziny na trawie i przy stołach piknikowych. Maluchy bawiły się razem. Nastoletnie córki Giseli flirtowały z młodocianymi synami Triny Cox – całkiem zresztą przystojnymi. Niektóre matki wyglądały na przytłoczone całą sytuacją – nie były przyzwyczajone do opiekowania się swoimi pociechami na co dzień. Jednak wszyscy dobrze się bawili. Znowu poczułam się tak samo, jak wtedy, gdy przyszły wyniki egzaminu GED Natalie – uczucie tor-

nada gdzieś w środku. Tak mnóstwo radości w tak smutnym miejscu.

Po lunchu wróciłyśmy do malowania twarzy. Teraz pojawiło się trochę starszych dzieci.

– Możesz zrobić mi tatuaż? Z tygrysem albo z piorunem?

– Tylko jeśli twoja mama się zgodzi.

Kiedy już uzyskano potrzebne matczyne zezwolenia, zaczęłam „tatuować” pioruny, kotwice i pantery na ramionach, łydkach i rękach, ku uciechu dojrzewającego tłumku. Pokazałam też mój własny tatuaż, który wywołał całą serię ochów i achów.

Podszedł do mnie młodszy z synów Triny Cox. Miał na sobie niepokalanie białą bluzę New York Jetsów, z dobraną do niej nową czapką i zielonymi szortami.

– To moja drużyna – powiedziałam, gdy usiadł przy moim „salonie tatuazu”.

Spojrzał na mnie, cały poważny.

– Umiesz pisać gotykiem?

– Gotykiem? Chodzi ci o takie śmieszne litery?

– Tak, tak jak u raperów.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu jego matki, ale nigdzie jej nie widziałam.

– Nigdy wcześniej tego nie robiłam, ale mogę spróbować. Co mam ci napisać?

– Hm, moją ksywę, John-John.

– OK, John-John. – Usiedliśmy koło siebie i chwyciłam jego przedramię. Zgadywałam, że miał około czternastu lat.

– Chcesz pionowo czy poziomo?

Pomyślał nad tym odrobinę.

– Może powinno być po prostu: John?

– Brzmi dobrze. John. Zrobię to dużymi literami wzdłuż.

– OK.

Nie rozmawialiśmy, gdy pracowałam, pochylona nad jego ręką. Byłam bardzo ostrożna i próbowałam zrobić to najfajniej, jak potrafiłam, tak, jakby rzeczywiście miało to zostać tam na zawsze. Siedział cicho, patrząc na mnie i być może wyobrażając

sobie, jak to jest: mieć prawdziwy tatuaż. Wreszcie wyprostowałam się, zadowolona. Ale czy on był zadowolony?

Dostałam w odpowiedzi wielki uśmiech. Podziwiał swoje przedramię.

– Dziękil!

John-John był słodkim dzieciakiem. Pobiegł pokazać dzieło starszemu bratu, gwiazdzie futbolu. Po południu, niemal na koniec przewidzianych atrakcji, nadszedł czas na wykonane w więzieniu piniaty, wypchane słodkościami i małymi zabawkami. Ich otwieranie odbywało się pod czujnym okiem drania ze sklepu, który był wyjątkowo miły dla wszystkich dzieciaków. John-John, z przepaską na oczach, wałnął w piniatę, którą udekorowałam pokemonami. Szybko pękła i dobroć wysypywały się nad tłumkiem dzieci. Teraz zbliżała się chwila, którą wszystkie próbowałyśmy wyprzeć z naszych głów: koniec dnia i pożegnania. Trudno było mieć pretensje do dzieciaków, które przyjechały z bardzo daleka, najadły się słodczy i mogły spędzić jeden dzień w roku ze swoimi mamami, że płakały, nawet jeśli „były już na to za duże”. Tego dnia przy kolacji matki wyglądały na przybite i wycieńczone, jeśli w ogóle pojawiły się w stołówce. Byłam zadowolona, że przez cały dzień miałam zbyt wiele zajęć, żeby nad tym wszystkim się zastanawiać, bo potem, zwinięta w kłębek na moim materacu, płakałam, dopóki nie zasnęłam.

Pewnego ranka sprawdziłam tablicę i koło mojego nazwiska widniały litery GYN.

– Uuu, dziewczyno, coroczna wizyta u ginekologa. Możesz odmówić – skomentowała Angel, która także sprawdzała tablicę i zawsze miała coś do powiedzenia.

– Dlaczego powinnam odmówić? – spytałam.

– To facet. Niemal każda odmawia z tego powodu – wytłumaczyła Angel.

Byłam przerażona.

– Co za nedorzeczność. To najprawdopodobniej najważniejsza wizyta, jaką każda z kobiet tutaj ma w ciągu roku! Oczywiście

cie, więzienie, w którym siedzi tysiąc czterysta kobiet powinno zapewnić ginekologa kobietę, ale to niczego nie zmienia!

– Cokolwiek. Nie pozwolę tego robić facetowi – wzruszyła ramionami Angela.

– Cóż, mnie nie obchodzi, czy to facet, czy nie – oświadczyłam. – Idę na wizytę.

Zgłosiłam się do gabinetu lekarskiego w wyznaczonym terminie, zadowolona, że przynajmniej wykorzystuję system. Moje zadowolenie wyparowało niemal natychmiast, gdy tylko doktor zawołał mnie do środka. Był białym mężczyzną, który wyglądał na około osiemdziesiąt lat i drżał mu głos. Poirytowany rozkazał mi:

– Zdejmij ubrania, owiń się w papierowe prześcieradło i wejdź na stół. Stopy w strzemiona i do dołu. Zaraz wracam!

Po chwili miałam na sobie tylko mój sportowy biustonosz, było mi zimno i byłam przerażona. Papierowe prześcieradło nie było wystarczającym zakryciem dla ciała. Powinnam mieć na sobie jakiś szlafrok albo przynajmniej T-shirt. Doktor zapukał, po czym wszedł. Gapiłam się w sufit, próbując udawać, że to się nie dzieje.

– Zsuń się w dół – zawarczał, przygotowując instrumenty. – Rozluźnij się. Musisz się rozluźnić!

Ujmę to tak: to było okropne. I bolało. Kiedy wreszcie się skończyło i śmierzący stary dziad wyszedł, trzaskając drzwiami, zostałam w gabinecie, trzymając kurczowo papierowe prześcieradło, czując się dokładnie tak, jak chciał tego system więzienny: bezsilna, zraniona, samotna.

Praca w budowlanym była znacznie cięższa fizycznie niż praca elektryka. Robiłam się coraz silniejsza, podnosząc drabiny, puszkę z farbą i palety, załadowując i rozładowując pickupa. Do końca sierpnia prawie skończyliśmy pracę w domu naczelniczki, malowałyśmy drzwi garażu na ostry czerwony i sprzątałyśmy śmieci po remoncie. Był to stary dom, typowy dla Nowej Anglii, kilkakrotnie rozbudowywany, z niskimi stropami i małutkimi sypial-

niami na piętrze, ale wyglądał dość przytulnie. Miło było spędzać dzień w domu po miesiącach życia w barakach. Dom znajdował się na skraju obszaru więzienia i razem z koleżankami z roboty biegałyśmy po nim, kończąc różne prace.

Pewnego popołudnia, gdy byłam sama w łazience na piętrze, spojrzałam na siebie w lustrze ze zdziwieniem. Wyglądałam, jakbym cofnęła się w czasie o kilkanaście lat. Zdjęłam białą bejsbolówkę, rozpuściłam włosy i spojrzałam na siebie jeszcze raz. Zamknęłam drzwi od łazienki. Zdjęłam koszulę khaki i biały T-shirt, zrzuciłam spodnie. Stałam tam w samym sportowym biustonoszu, gaciach i glanach. Zdjęłam wszystko. Spojrzałam na swoje ciało w lustrze, widząc siebie pierwszy raz od siedmiu miesięcy kompletnie naga. W dormitoriach nigdy nie było ani czasu, ani miejsca, gdzie kobieta mogłaby stanąć, obejrzeć się i zobaczyć, jak wygląda.

Stojąc tam naga, w łazience naczelnika, mogłam zobaczyć, że więzienie mnie zmieniło. Większość nalotu, który zmagazynowałam przez pięć lat oczekiwania na proces, zniknęło. Poza nagromadzonymi przez dziesięć lat zmarszczkami koło oczu, teraz przypominałam bardziej niż kiedykolwiek tę dziewczynę, która kiedyś skoczyła z wodospadu.

Rozdział 13

Trzydzieści pięć lat i nadal przy życiu

Klony i kwaśnodrzewy zaczynały już zmieniać kolor liści, co oznaczało obietnicę rychłej jesieni i prędkie nadejście zimy. W Danbury nauczyłam się przyspieszać dni przez poszukiwanie w nich jakiejś rozrywki, nieważne jakiej. Niektórzy ludzie na wolności szukają minusów w każdej rozmowie, w każdym związku, w każdym posiłku; zawsze desperacko starają się oprzeć swoją egzystencję na możliwości poprawy. Czułam się jakoś bardziej wolna, pozwalając dniom mijać szybciej.

„Oby czas był moim przyjacielem” – powtarzałam sobie codziennie. Wkrótce po prostu szłam na tor i próbowałam spędzić dzień jak zwykle, biegając w kółko. Nawet w bardzo złych okolicznościach życie nadal ma swoje przyjemności, jak bieganie, czekoladowe ciasteczka Natalie i historie opowiadane przez Pop. Potrzebowałam trochę biegania po długim dniu spędzonym na malowaniu poczekalni w federalnym. Był to pierwszy dzień pracy nowego naczelnika i dla uczczenia go zrobił inspekcję w całym więzieniu – potężna i rzadka operacja, polegająca na przeszukaniu dwunastu jednostek, tysiąca dwustu kobiet i każdego z ich schowków. Byłam pewna, że to samo niedługo wydarzy się w Obozie. Federalni szukali papierosów.

Biuro więzień zarządziło, że do 2008 roku wszystkie więzienia mają być niepalące. Ustanowiono też finansowe nagrody dla więźniów, które zrobią to przed czasem. Naczelniczka Deboo pożegnała się z Danbury, wprowadzając zakaz – miał wejść w życie 1 września. Poprzedzające ten dzień miesiące były jak zabawa w kotka i myszkę. Najpierw, w lipcu, więzienny sklep próbował pozbyć się swojego zapasu papierosów. Potem w sierpniu

każda z nas miała tylko miesiąc na napalenie się na śmierć, po czym wszystkie miały nagle przestać korzystać z najbardziej uzależniającej substancji na świecie.

Mówiąc szczerze, zakaz palenia niewiele mnie obchodził. Nigdy nie przyznałabym się Larry'emu czy mojej matce w sali odwiedzin, ale od czasu do czasu miewałam „towarzyskiego” papierosa z Allie B., Małą Janet czy Jae. Kumpelka z elektrycznego nauczyła mnie, jak zrobić zapalniczkę z kawałka puszki, dwóch baterii AA, kawałków miedzianego drutu i fragmentu taśmy elektrycznej. Jednak mogłam się łatwo obejść bez palenia. Papierosy z całą pewnością zabijały „prawdziwych” palaczy i długa, formująca się dwa razy dziennie kolejka po piguły składała się nie tylko z tych potrzebujących psychotropów, lecz także kobiet, które potrzebowały swoich medykamentów na serce i cukrzycę. Według CDC, papierosy zabijają rocznie 435 tysięcy ludzi w samych Stanach Zjednoczonych. Większość z nas w Danbury siedziała za handel nielegalnymi narkotykami. Roczna liczba zgonów z powodu narkomanii, według tego samego źródła? 17 tysięcy. Rozsądźcie sami.

Kiedy nadszedł wrzesień, wiele więźniarek było w depresji. Chowały papierosy w absurdalnych miejscach, prosząc się niemal o to, żeby je złapano. Za każdym razem, gdy biegałam po torze, napotykałam nową grupę w krzakach. Wtedy na dobre zaczęły się rewizje i zaczęły się też zamknięcia w izolatkach. Jak zawsze cwanej Pop udało się wynegocjować z nadzorcą jej roboty, że będzie mogła sobie zapalić raz dziennie na koniec zmiany i będzie miała schowek na fajki w kuchni.

Populacja Obozu w dalszym ciągu się zmniejszała – było coraz więcej pustych łóżek. Zaczęło się robić cicho, co było miłe, ale brakowało mi moich głośnych przyjaciółek i sąsiadek, które wyszły: Allie B., Colleen i Lili Cabrales. Gdy tylko skończyło się „moratorium Marthy”, do Obozu zaczęły trafiać tuziny warietek, które zrujnowały nasze tymczasowo spokojne więzienne życie. Zgodnie z instrukcjami Larry'ego, oglądałam więcej telewizji, ale nie oglądałam wiadomości. Kampania prezydencka

ledwo co została odnotowana za kratkami. Razem ze wszystkimi oglądałam w sierpniu długo oczekiwane *Vide Music Awards*. Jay Z pytał „What up, B?” i sala odwiedzin wypełniała się piskami. W więzieniu każdy śpiewa.

W Danbury 16 września odbywały się doroczne targi pracy – impreza, podczas której udawano, że służba więzienna zauważyła problem społeczny, jakim jest powrót więźniarek do normalnego świata. Jak na razie nie zauważyłam żadnego wysiłku z tamtej strony, by przygotować osadzone na powrót do normalnego świata i do społeczeństwa, poza intensywnym programem leczenia uzależnień, przez który przeszło kilka kobiet. Być może targi pracy w jakiś tam sposób pomogą wszystkim?

Miałam to szczęście, że po wyjściu czekała już na mnie robota: mój szczodry przyjaciel utworzył dla mnie etat w firmie, którą sam prowadził. Za każdym razem, gdy mnie odwiedzał, mówił:

– Mogłabyś się pospieszyć i wyjść stąd wreszcie? Dział marketingu czeka na ciebie!

Prawie nikt inny w Danbury nie miał takiego farta. Trzy główne problemy, które zaprzatają głowy kobiet tutaj to: powrót do dzieci (jeśli były samotnymi matkami, to często nie miały praw rodzicielskich), mieszkanie (wielki problem dla ludzi, którzy popełnili przestępstwo) i zatrudnienie. Napisałam własnoręcznie dość więziennych curriculum vitae, by wiedzieć, że większość kobiet pracowała wyłącznie w podziemiu. Były poza głównym nurtem i nie miały pojęcia, jak się do niego dostać. Jak na razie, nic w więzieniu im w tym nie pomagało.

Łysy facet z centralnego biura więzień federalnych z Waszyngtonu, który wyglądał na poddenerwowanego, otworzył targi i przywitał nas. Rozdano programy – złożone kserówki z rysunkiem sowy na okładce. Pod sową znajdował się napis: **BAŹ MĄDRA** – Kobiety w Programie Pracy Gwarantowanej. Z tyłu znajdowały się cytaty z Andy’ego Rooneya.

Do udziału w targach zgłosiło się wiele różnych firm, wiele z nich było organizacjami non-profit. Miała odbyć się dyskusja

panelowa „Nowe oferty na rynku pracy i jak je dostać”, treningowe rozmowy o pracę z Mary Wilson; ta legendarna śpiewaczka Motown z zespołu Supremes miała mieć mowę motywacyjną. Musiałam to zobaczyć. Jednak najpierw – Profesjonalny Ubiór!

Profesjonalny Ubiór był organizowany przez Ubrania dla Sukcesu – organizację non-profit, która pomagała poszkodowanym kobietom ubrać się w ciuchy odpowiednie dla biznesu. Jowialna kobieta w średnim wieku opowiadała nam o dobrych i złych pomysłach na ubiór w trakcie rozmowy o pracę, a potem poprosiła ochotniczki. Vanessa niemal złamała nos swojej sąsiadce, machając ręką jak szalona, prowadząca nie miała więc wyboru i musiała ją wskazać. I nagle, w mgnieniu oka, znalazłam się przed wszystkimi razem z Delicious i Pomponem.

– Te wspaniałe panie pomogą nam pokazać, co należy, a czego nie należy robić – powiedziała wesoło prowadząca.

Zabrała nas do łazienki i dała ciuchy. Delicious dostała elegancki, niemal japoński z wyglądu, czarny kostium; Pompon dostała różowy kostium, w którym wyglądała, jakby wybierała się do kościoła na dalekim południu. Ja dostałam obrzydliwy i swędzący ciuch w kolorze burgunda. A Vanessa? Jedwabną sukienkę koktajlową w kolorze fuksji z aplikacją na piersi.

– Pospieszcie się, drogie panie!

Zachowywałyśmy się jak banda uczennic ubierających się na bal – chichotałyśmy i szarpałyśmy się z ciuchami, od których byliśmy odzwyczajone.

– Tak dobrze? – spytała Delicious, gdy próbowałyśmy ułożyć jakoś jej asymetryczną spódnicę. Pompon wyglądała całkiem ładnie w różowym – kto by się spodziewał?

Vanessa miała jednak kryzys.

– Piper, nie mogę tego zapiąć, pomóż mi!

Cóż, duma i radość mojej sąsiadki dosłownie rozsadzały jej zbyt małą koktajlową sukienkę. Wyglądała, jakby miała się rozpląkać, jeśli nie wejdzie w tę kieckę.

– Kurczę, Vanessa, no nie wiem... Czekaj, nie ruszaj się... No, teraz wciągnij... – posunęłam zamek trochę do przodu. – No, wciągnij! Prawie się udało! – Wypięta się do tyłu, wypuściła całe powietrze i udało mi się jakoś zapiąć sukienkę ponad jej szerokimi ramionami. – Nie oddychaj i wszystko będzie w porządku.

Spojrzałyśmy po sobie.

– P-p-p-piper, zepnij włosy. Bądź profesjonalna, kurde! – doradziła Delicious. Spięłam szybko włosy w kok. Teraz nadszedł czas się pokazać.

Każda z nas miała swoją chwilę przed publicznością, ku uciesze współwięźniarek, które gwizdały i skandowały. Publika dostała szału, gdy pojawiła się Vanessa, która robiła niezły show, zarzucając fryzurą. Potem ustawiono nas w linię i prowadząca wyjaśniła, które z nas były ubrane prawidłowo na rozmowę kwalifikacyjną, a które nie. Ubranie Delicious zostało opisane jako zbyt „formalne”; Pompon była zbyt „słodka”. Vanessa wyglądała na załamana, gdy usłyszała, że jej ubiór jest „ostatnią rzeczą, jaką możesz mieć na sobie w czasie rozmowy kwalifikacyjnej”.

– O jakiej pracy my tutaj rozmawiamy? – spytała.

Mój obrzydliwy tweedowy strój bibliotekarki został uznany za najbardziej odpowiedni do pracy.

Po przebierankach odbyła się poważna rozmowa panelowa kilku bizneswomen o sektorach gospodarki, które oferowały pracę dla niewykwalifikowanych pracowników, jak na przykład opieka nad starszymi ludźmi. Wśród publiczności dało się słyszeć nerwowy szmer. Kiedy nadeszła pora na pytania, wiele rąk wystrzeżiło w powietrze.

– Jak możemy się szkolić do tego rodzaju pracy?

– Skąd mamy wiedzieć, że ta praca na nas czeka?

– Jak mamy się dowiedzieć, czy zatrudniają kobiety karane?

Jedna z uczestniczek dyskusji próbowała odpowiedzieć na wszystkie pytania na raz.

– Polecam poświęcenie trochę czasu na poszukiwania w Internecie, szukanie informacji o tych firmach i organizacjach, przeglądanie ofert pracy i okazji do treningów. Mam nadzieję, że macie dostęp do Internetu?

Po sali przeszedł szmer.

– Nie mamy nawet komputerów!

Panelistki spojrzały po sobie, zdziwione.

– Jestem zaskoczona. Nie macie tutaj pokoju komputerowego albo jakiegoś rodzaju szkolenia komputerowego?

Zdenerwowany, łysy przedstawiciel biura więzień odezwał się:

– Oczywiście, że mają, wszystkie jednostki mają być...

To wywołało jawny sprzeciw ze strony obecnych kobiet. Rochelle z Dormitorium B wstała.

– Nie mamy żadnych komputerów w tym Obozie! Nic, proszę pana!

Widząc, że właśnie napotkał kryzys, oficjel próbował być pojednawczy.

– Nie wiem, jak to możliwe, droga pani, ale obiecuję przyrzeć się sprawie!

Mary Wilson okazała się przemiłą malutką kobietką w idealnie skrojonym brązowym spodniem. Od samego początku pochwyliła całą publikę. Nie mówiła tak naprawdę o pracy. Mówiła o życiu i kilka razy nawet coś zaśpiewała. W większości opowiadała historie prób i kłopotów, walki z przeciwnościami losu i o Dianie Ross. Jednak najbardziej dziwiło w pannie Wilson, a także w innych spośród gości tego dnia, że mówili do nas, więźniarek, z wielkim szacunkiem, tak, jakby nasze życia miały znaczenie, jakbyśmy miały przed sobą nadzieję i możliwości. Po tylu miesiącach spędzonych w Danbury była to szokująca nowość.

Umysły nas wszystkich nadal zaprzętała Martha Stewart. Na zewnątrz zapanowała histeria, wszyscy próbowali przewidzieć, gdzie też będzie odsiadywać swój wyrok i co się z nią stanie. Po-

prosiła swojego sędziego o umieszczenie w Danbury, żeby jej dziewięćdziesięcioletnia matka z Connecticut miała możliwość ją odwiedzać. Jednak jej sędzia nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie. Rządzący w Danbury (albo w Waszyngtonie) nie chcieli jej tutaj, być może dlatego, że nie życzyli sobie zainteresowania mediów jednostką. Obóz został „zamknięty” dla nowych więźniarek od czasu jej skazania, podobno dlatego, że był „pełny”, chociaż miałyśmy coraz więcej wolnych łóżek z każdym tygodniem.

W prasie napisano o nas wiele wrednych rzeczy. Nie byłam tym zdziwiona, ale kobiety wokół mnie były niezwykle dotknięte, szczególnie te z klasy średniej. W magazynie „People” ukazał się artykuł nazywający nas „zakałą Ziemi” i spekulujący na temat pobicia, którego ofiarą może stać się Martha Stewart.

Annette, po wydaniu poczty, zaczęła rozmawiać ze mną, jak tylko dostała swój numer gazety.

– Prenumeruję „People” od trzydziestu pięciu lat. I teraz jestem zakałą Ziemi? Czy jesteś zakałą Ziemi, Piper?

Powiedziałam, że raczej nie. Jednak gniew po artykule w „People” był niczym w porównaniu z szokiem, jaki spotkał Obóz 20 września. Wróciłam z toru wczesnym wieczorem i znalazłam gromadkę dziewczyn z Dormitorium B skupionych wokół Pop. Klęły i potrząsały głowami nad gazetą.

– Co się dzieje? – spytałam.

– Nie uwierzysz, Piper – powiedziała Pop. – Pamiętasz tę szaloną francuską sukę?

„Hartford Courant” opublikował 19 września artykuł na pierwszej stronie – zawsze dostawałyśmy gazety z jednodniowym opóźnieniem, co było nazywane „kontrolą przepływu informacji”. Członkini redakcji, Lynne Tuohy, opublikowała wywiad na wyłączność z niedawno wypuszczoną Obozowiczką, „Barbarą”, z którą Martha skontaktowała się, żeby dowiedzieć się trochę o życiu w Obozie Danbury. I „Barbara” miała wiele ciekawych rzeczy do opowiedzenia...

„Gdy tylko minął szok spowodowany faktem trafienia do więzienia, zaczęły się wakacje”, mówiła Barbara w jej wywiadzie po rozmowie ze Stewart. „Nie musiałam gotować. Nie musiałam sprzątać. Nie musiałam robić zakupów. Nie musiałam prowadzić. Nie musiałam kupować benzyny. Mają automat do lodu, deski do prasowania. To było jak jeden wielki hotel”.

To z pewnością była Levy. Po tym, jak wyszła, by zeznawać przeciwko jej byłemu chłopakowi, pojawiła się w Obozie na jeden krótki tydzień i potem ją zwolnili, skończył się jej sześciomiesięczny wyrok. Najwyraźniej jej pobyt był znacznie bardziej przyjemny, niż raczyła nas poinformować, gdy jeszcze mogliśmy cieszyć się jej niewątpliwie wspaniałą obecnością. W gazecie wychwalała więzienie pod niebiosa, opowiadając, jak to uczestniczyła w „szerokim wyborze dodatkowych zajęć”, a co więcej, były tu jeszcze: „dwie biblioteki z szerokim wyborem książek i magazynów, w tym »Town and Country« i »People«”. Jedzenie, według słów Barbary, było „wspaniałe”.

„To miejsce jest niezwykle”, powiedziała.

Przypomniałam sobie Levy, napuchłą od pokrzywki, wyglądającą jak Człowiek Słoń, płaczącą każdego dnia nad jej sześciomiesięcznym wyrokiem i parszczącą na widok każdego, kto w jej opinii nie miał „klasy”.

„Co tydzień chodziłam do fryzjera”, powiedziała Barbara. „W domu nie dbałam o siebie. Dbałam o swoje dzieci. Dbałam o swój dom. Tam miałam czas zająć się sobą. Kiedy wróciłam do domu, podniosłam trochę swój standard życia”.

Dodała także, że masaże „były absolutnie w porządku” i że śmieje się, gdy jej przyjaciółki pytają ją, czy była „atakowana” – molestowana seksualnie – w czasie pobytu. „Odpowiadałam: żartujesz?! Większość ludzi ma tam prawdziwą klasę!”.

Autorka wywiadu pomyliła wiele drobnych faktów, jak na przykład to, że miałyśmy tu cztery siostry zakonne i że możemy kupić odtwarzacze CD w więziennym sklepiku. Dziewczyny były urażone twierdzeniem, że możemy kupować lody Haagen-Dazs. Obóz dosłownie zwariował i dało się słyszeć głośne groźby wobec już wolnej Levy. Boo Clemmons dosłownie wychodziła z siebie.

– Haagen, kurwa, Dazs! Hotel! Radzę tej kłamliwej zdzirze, żeby tu lepiej wróciła, bo jak ją dorwę, to zamelduje się bidulka w Hotelu Piekło.

„Sądzę, że Martha zostanie przydzielona do kuchni, będzie gotować, i że będzie szczęśliwa”, kontynuowała Barbara.

Wyobraziłam sobie Marthę Stewart próbującą przejąć kuchnię Pop. To byłoby lepsze niż Godzilla kontra Mothra.

Pop była naprawdę wściekła, ale nie z powodu wizji Marthy w stołówce.

– Piper, ja po prostu nie rozumiem. Dlaczego kłamie? Masz okazję powiedzieć prawdę o tym miejscu i zamiast tego wymyślasz te wszystkie kłamstwa? Nic tu nie mamy, a ona robi z tego jakiś piknik, z tym jej pieprzonym sześciomiesięcznym wyrokiem. Niech spróbuje tu przetrwać dziesięć lat!

Myślę, że wiem, dlaczego Levy skłamała. Nie chciała przyznać sama przed sobą, a co dopiero przed zewnętrznym światem, że umieszczono ją w getcie, takim samym getcie, jakie były w okupowanej Polsce. Więzienie jest gettem w klasycznym sensie tego słowa, miejscem, gdzie rząd USA umieszcza nie tylko niebezpiecznych, ale także niewygodnych ludzi – chorych psychicznie, uzależnionych, niewykształconych i niewykształconych. Tak samo getta na wolności były więzieniami i wydostać się z nich było znacznie ciężiej, niż z samego więzienia. W rzeczywistości istnieje bezpośrednie połączenie między amerykańskimi miejskimi i wiejskimi gettami a formalnym gettem naszego systemu więziennego.

Levy i innym (w szczególności więźniarkom pochodzącym z klasy średniej) było trudno przyznać, że zostały uznane za niepotrzebne i niepożądane, skazane na więzienie wbrew ich woli i zmuszone do niewygód bez godności związanej z wyborem ograniczeń. Zamiast tego opisała Danbury jako Club Fed.

Moja sąsiadka Vanessa opowiedziała mi ze szczegółami, jak została wyrzucona z jej licealnego balu za to, że chciała mieć na sobie sukienkę (znalazła jakieś szerokie spodnie z cekinami, do tego mamuszkę z rady rodziców, która była gotowa się na nie zgodzić i tryumfalnie pojawiła się w nich na balu). Jednak nigdy nie dowiedziałam się, z jakiego powodu wylądowała za kratami i dlaczego za pierwszym razem trafiła do więzienia o podwyższonym rygorze. Byłam niemal pewna, że nie siedziała za przestępstwo narkotykowe i podejrzewałam, że uciekała federalnym, zanim tu trafiła i prawdopodobnie dlatego zaczynała odsiadkę u stóp wzgórza. Przypominała mi gejów i niektóre dziewczyny, które znałam w San Francisco i Nowym Jorku – inteligentne, chętne do riposty, dowcipne i ciekawe świata.

Historia Vanessy ciekawiła mnie bardziej niż życie innych osadzonych, zwłaszcza po pewnym niezwykle wydarzeniu w sali odwiedzin podczas któregoś weekendu. Pojawiła się w perfekcyjnie zrobionym makijażu i fryzurze, wyprasowanym uniformie, znacznie wyższa od jej gościa, malutkiej, pięknie ubranej kobiety ze śnieżnobiałymi włosami. Stały razem przy automatach z napojami, tyłem do mnie, starsza pani w niebieskim, Vanessa z jej szerokimi ramionami i wąskimi biodrami, których pozazdrościć mógł jej każdy mężczyzna.

– Przyjemna wizyta? – spytałam potem, nie kryjąc ciekawości.

– O, tak! To była moja babcia – odpowiedziała, cała zadowolona. Byłam jeszcze bardziej ciekawa, ale nie dowiedziałam się niczego.

Wiedziałam, że będę tęsknić za moją transwestytką – wychodziła na wolność za kilka tygodni. Im bliżej było do daty jej zwolnienia, tym bardziej Vanessa robiła się nerwowa, z naciskiem na

udział w ceremoniach religijnych. Wiele kobiet bardzo, bardzo się denerwuje przed wyjściem na wolność – nie wiedzą, co je tam czeka. Myślę, że Vanessa właśnie tak się czuła. Jednak jej nerwy nie przeszkodziły w entuzjastycznym planowaniu przyjęcia niespodzianki dla niej – pomysłu Lionnel i Wainwright.

To była poważna sprawa. Wiele kucharek przygotowało specjalne potrawy w mikrofali. Trochę przypominało to wszystko jakiś wiejski odpust, z całą towarzyszącą mu rywalizacją na najlepsze dania. Były chilaquiles, smażony chiński makaron i więzienny sernik – moja specjalność. Jednak najlepszy ze wszystkich był talerz nadziewanych jajek – wyjątkowo trudne danie do przygotowania z kontrabandy.

Wszystkie zebrałyśmy się w pustej klasie, czekając na Diwę.
– Ciiiiii, słyszę ją! – powiedział ktoś, gasząc światło.

Gdy wszystkie krzyknęłyśmy „niespodzianka!”, udała zdziwienie, chociaż jej świeży makijaż (dziwnym zbiegiem okoliczności) był nałożony ze szczególną uwagą. W tym momencie cały więzienny chórek, pod przewodnictwem Wainwright, zaczął śpiewać *Take Me to the Rock*. Najlepsza w śpiewaniu była Delicious – miała głos, który naprawdę mógł przyprawić cię o gęsią skórę. Musiała odwrócić się twarzą do ściany, gdy śpiewała dla Vanessy, żeby się nie rozplakać. Po śpiewaniu i jedzeniu gość honorowy wstał i podziękował każdej z nas z osobna, radośnie przypominając nam, że Jezus patrzy na nas i to dzięki niemu jesteśmy razem. Podziękowała nam z piękną szczerością za pomoc, dzięki której przeżywała w Danbury.

– Musiałam tu trafić – powiedziała, prostując się – by stać się prawdziwą kobietą.

Sobotnia noc, noc filmowa, zawsze była wyjątkowa – w starym stylu „chodźmy do kina”. Jednak ta sobota była szczególna. Dziś szczęśliwe panie z Danbury miały dostać wyjątkową niespodziankę. Więziennym filmem tego tygodnia był remake *Z podniesionym czołem*, klasycznego filmu o bohaterach. W roli głównej: Dwayne Johnson; znany także jako The Rock.

Jestem pewna, że The Rock, który był niegdyś profesjonalnym zapaśnikiem, będzie kiedyś kandydował na prezydenta Stanów Zjednoczonych i myślę, że wygra. The Rock wszystkich łączył, a nie dzielił. Gdy służba więzienna decydowała się pokazać *Z podmiesionym czołem*, ilość widzów na każdym pokazie była niezwykła. The Rock miał wpływ na kobiety, przełamując podziały rasowe, wiekowe czy kulturowe, a nawet społeczne – najszerszą barierę w Ameryce. Czarne, białe, Latynoski, młode, stare – wszystkie kobiety szalały za The Rockiem. Nawet lesbijki przyznawały, że miał genialne oczy.

Przygotowując się do wieczornego oglądania The Rocka, przechodziłyśmy przez nasze tradycyjne sobotnie rytuały. Po godzinach odwiedzin i kolacji Pop i jej ekipa skończyły sprzątać stołówkę i wydano mi nasze specjalne przekąski na film – dziś nachos, moje ulubione. Ja, jako kurier, musiałam bezpiecznie wynieść jedzenie z kuchni, niezauważona przez OD. Zazwyczaj przemykałam przez Dormitorium C, zostawiałam pojemnik mój i Pop w moim boksie, i dostarczałam jedzenie Toni i Rosemarie, naszym koleżankom filmowym.

Do zadań Rosemarie, jako woźnej, należało ustawianie krzeseł w sali odwiedzin na wieczór filmowy. Oznaczało to, że kontrolowała ustawienie specjalnych, „zarezerwowanych” krzeseł dla niektórych, w tym nas czterech, z tyłu pokoju. Obok naszych za-bookowanych miejsc znajdował się wąski, wysoki stół, który służył nam za podstawkę. Moim zadaniem było ustawienie plastikowej miski z lodem na napoje dla Pop, a następnie przyniesienie jedzenia i serwetek tuż przed filmem. Pop, która zgłaszała się do pracy w kuchni o piątej nad ranem, pracowała cały dzień, aż do wieczornego posiłku, stąd rzadko była widziana bez siatki na włosach i bez kuchennych ciuchów. Jednak w czasie nocy filmowych, tuż przed początkiem pokazu Pop wkraczała do sali świeżo po prysznicu, ubrana w jasną, męską piżamę.

Piżamy były jednym z tych przedpokowych przedmiotów, które kiedyś sprzedawano w więziennym sklepie, jednak już dawno temu zniknęły z jego asortymentu. Były to najprostsze

męskie pizamy, białe, bawełniano-poliestrowe. (Pop jakoś sobie załatwiła swoją w innym kolorze). Od początku pobytu, przez kilka miesięcy chciałam zdobyć taką pizamę. Kiedy więc dostałam od Pop skombinowany skądś zestaw, odtańczyłam w jej boksie szalony taniec radości, skacząc jak wariatka, aż walnęłam się o ramę łóżka. Od tego czasu Toni i Rosemarie lubiły mawiać „Odańcz pizamówkę, Piper!”, a ja tańczyłam wtedy w pizamie, szczęśliwa jak Snoopy w czasie tańca przed kolacją. Pizamy nie służyły do spania. Nosiłam je tylko na specjalne okazje, w weekendy, na noce filmowe, gdy chciałam wyglądać dobrze. Czulałam się w nich zabójczo.

Pop uwielbiała *Z podniesioną twarzą*. Lubiała proste historie, no, może z odrobiną romansu. Jeśli film miał tendencję do melodramatu, płakała, a ja robiłam sobie z niej żarty. Zawsze wtedy mówiła, żebym się zamknęła. Płakała na *Radio*, a ja wywracałam oczyma na widok włoskich bliźniaczek.

Po *Domu z piasku i mgły* spytała mnie:

– Podobało ci się to?

– Co? A, tak, było OK.

Najadłam się wstydu za entuzjastyczne polecenie *Między słowami*, który oglądałyśmy tego samego roku, tyle że wcześniej. Danbury jednogłośnie określiło go „najgorszym filmem wszechczasów”. Boo Clemmons śmiała się głośno, potrząsając głową.

– Tyle gadania, a Bill Murray nawet jej nie przeleciał!

Noc filmowa polegała również na jedzeniu. Pop zawsze przygotowywała specjalny sobotni posiłek filmowy, który był wytchnieniem od ciągłej skrobi podawanej w stołówce, od poczucia współzawodnictwa w barze sałatkowym, gdy czasami pojawiały się w nim brokuły lub szpinak – lub, o łasko! – krojona cebula, był miłą odmianą od ciągu ogórka i surowego kalafiora. Odmawiałam żywienia się wyłącznie kartoflami i białym ryżem. Uzbrowiona w plastikowe szczypce, uśmiechałam się do Carlotty Alvarado po drugiej stronie, gdy obie próbowałyśmy napełnić nasze miski dobrymi warzywami, jedna szybciej od drugiej. Ja, by na-

tychmiast je pożreć z oliwą i octem, ona, by przeschmuglować je w gaciach i ugotować później.

Dzień kurczaka to było pandemonium. Po pierwsze, każdy chciał dostać tak dużo kurczaka, jak tylko możliwe. Wtedy pomagała komitywa z Pop. Zasady czasów kryzysu rządziły życiem w więzieniu: nabieraj, ile się da, gdy coś jest, potem się martw, co zrobić ze zdobyczą. Jeśli miałam na talerzu więcej kurczaka, niż mogłam zjeść, pozwalałam sobie na luksus hojności – mogłam się nim podzielić, a to dawało mi chody. Czasami cały tłumek wpatrywał się w mój talerz, czekając, aż skończę.

– Będiesz jeszcze chciała?

Czasami jednak dalsze losy nadprogramowego kurczaka były już zaplanowane. Często w dniu kurczaka Rosemarie planowała gotowanie specjalnego posiłku. Prosiła wtedy Toni i mnie o wstrzymanie się od zjedzenia posiłku w stołówce i zamiast tego chciała, byśmy schowały mięso w spodniach, szmuglując je na potrzeby skomplikowanego dzieła w stylu Tex-Mex, które miało powstać wieczorem. Wymagało to plastikowej torebki albo czystej siatki do włosów, dostarczonej przez pracownicę kuchni lub woźną. Wsuwało się zarcie do przygotowanego pod stołem opakowania, a następnie całość ukrywało się z przodu spodni i wychodziło się ze stołówki tak nonszalancko, jak się tylko potrafiło, z kurczakiem podskakującym sobie na twojej miednicy.

Lista ważnych rzeczy, które więźniarka mogła stracić, była bardzo krótka: dobre sprawowanie, zezwolenie na odwiedziny, dostęp do telefonu, przydział łóżka, przydział pracy, udział w programach. I to właściwie wszystko. Jeśli złapali cię na kradzieży cebuli, naczelnik mógł odebrać jedną z rzeczy z listy albo kazać ci wykonać dodatkową robotę. Poza tym jedyną opcją była izolatka. Czyż więc naczelnik był gotów zamykać złodziei cebuli i przemytników kurczaka w izolatce?

Ujmijmy to inaczej: miejsce w izolatce jest zasobem wyczerpującym się, więc naczelnik i jego personel musieli używać go

rozważnie. Wypełnij je złodziejami kurczaków i co zrobisz, kiedy ktoś wywinie coś naprawdę poważnego?

Urodziny w więzieniu to naprawdę dziwna sprawa. Wiele dziewczyn nie chciało mówić, kiedy je świętuje – albo z powodu jakiejś paranoi, albo ponieważ nie chciały, żeby były obchodzone przez cały tłumek. Nie byłam jedną z nich i próbowałam jakoś trzymać formę przed nadchodzącymi urodzinami w Danbury. Powtarzałam sobie: „To tylko raz w więziennych warunkach” i „Przynajmniej to nie czterdziestka”.

W Obozie jest pewien dziwny zwyczaj, polegający na tym, że kumpelka jubilatki zakrada się do jej boksu i dekoruje go ręcznie zrobionymi napisami: „Wszystkiego najlepszego”, kolażami z magazynów i batonami, które przymocowuje się na zewnątrz boksu, gdy jubilatka jeszcze lub już śpi. Te nielegalne dekoracje były tolerowane przez strażników w czasie dnia, ale później musiały być zdjęte przez jubilatkę. Miałam nadzieję, że dostanę batona Dove.

Na dzień przed urodzinami robiłam rundki dookoła toru, gdy nagle pojawiła się Amy.

- Pop chce z tobą rozmawiać, Piper.
- Nie może zaczekać? – było to wyjątkowo niezwykajne.
- Mówi, że to ważne.

Zwinęłam się więc z toru i ruszyłam do kuchni.

- Nie, jest w pokoju odwiedzin.

Poszłam więc za Amy przez podwójne drzwi.

- Niespodzianka!

Byłam naprawdę zaskoczona. Stoliki były zestawione ze sobą w jeden długi stół, dokoła którego siedział cały tłum przyjaciółek. Jae, Toni, Rosemarie, Amy, Pennsatucky, Doris, Camila, Joginka Janet, Mała Janet, pani Jones, Annette. Czarne, białe, Lattynoski, młode, stare.

I oczywiście była tam też Pop, cała promieniejąca i wesoła.

- Byłaś naprawdę zaskoczona, prawda?
- Jestem zszokowana, nie zaskoczona! Dziękuję!

– Nie dziękuj mi. Toni i Rosemarie zaplanowały całe przyjęcie.

Podziękowałam więc włoskim bliźniaczkom, wychwalając wszem i wobec skuteczność ich strategii i dziękując wszystkim wylewnie. Było tam pełno plastikowych pojemników z różnymi dobrociami. Rosemarie napracowała się za trzech i przygotowała więzienny bankiet. Chilaquiles, enchiladas z kurczaka, sernik, pudding bananowy. Każda z nas zjadała i gadała, dostałam wielką kartę urodzinową na pakowym papierze ze świętującym Kubusiem Puchatkiem, który zalotnie mrugał. Jae dała mi też jej własną, ręcznie robioną kartę z wyskakującymi z wody delfinami – kuzynami tego mojego z tatuażu. To, co wypisała na karcie, wyrażało także ducha innych notek, które wszystkie dziewczyny wypisały na grupowej: „Nigdy nie sądziłam, że znajdę tutaj przyjaciółkę taką jak ty”.

Gdy impreza się skończyła, Pop wezwała mnie do swojego boksu.

– Mam coś dla ciebie. – Usiadłam na stołku i patrzyłam na nią z wyczekiwaniem. Cóż to mogło być? Pop nie kupiłaby mi niczego ze sklepiku – wiedziała, że sama mogę dostać, cokolwiek chcę. Może była to jakaś specjalność z przepasnego wnętrza jej schowka? Mielonka?

Z wielką celebracją podarowała mi prezent – piękną parę kapci, którą zamówiła u jednej z najbardziej utalentowanych mistrzyń szydełka – pewnej hiszpańskiej *mami*. Były sprytnie skonstruowane – podwójne podeszwy z kłapek pod przysznic były zszyte razem, a następnie pokryte skomplikowanym szydełkowym wzorem z różowej i białej bawełny. Trzymałam je w rękach, zbyt poruszona, by się odezwać.

– Podobają ci się? – spytała Pop. Uśmiechała się wyczekująco, jakby bała się, że podarunek może mi się nie spodobać.

– Mój Boże, Pop, są piękne! Nie mogę uwierzyć. Nie mogę nawet nosić ich na co dzień, nie chcę ich zniszczyć. Och, tak bardzo mi się podobają! – przytuliłam ją mocno i włożyłam moje nowe, ręcznie robione kapcie.

– Chciałam dać ci coś specjalnego. Rozumiesz, dlaczego nie dałam ci ich przed całą ekipą? Och, tak ładnie w nich wyglądasz. Będą pasowały do twojej pizamy. Nie pozwól, by OD cię w nich złapał!

Tej nocy, wkrótce po zgaszeniu świateł, usłyszałam szepty i ściszone głosy pod moim boksem. Amy prowadziła ekipę dekoracyjną i dwójka jej pomocnic brzmiała zupełnie jak Doris i Pennsatucky.

Jak to zwykle ona, przeklinała swoje koleżanki pod nosem.

– Nie wieszaj tu tego zdjęcia! Głupia jesteś, czy co? Wstaw je tutaj!

Trzymałam oczy zamknięte i oddychałam głęboko, udając, że śpię. To moje sny miały przyprawiać mnie o uśmiech.

Następnego ranka wyszłam z boksu, by obejrzeć owoce ich pracy. Błyszczące zdjęcia modeli i butelek gorzały zdobiły mój boks razem z wielkim napisem „Wszystkiego najlepszego, Piper!”. Do ściany przytwierdzony był mój baton Dove i więcej słodczy, niż kiedykolwiek byłabym w stanie zjeść. Czułam się wspaniale. Cały dzień dostawałam życzenia urodzinowe.

– Trzydzieści pięć lat i nadal przy życiu – powiedział mój szef w budowlanym, śmiejąc się głośno, gdy ja udawałam oburzenie.

Po południu na moim schowku znalazłam malutkie białe pudełko, ręcznie wycięte w koronkowe wzory, wraz z kartką od Małej Janet:

Piper, w Twoje urodziny chcę Ci życzyć wszystkiego, co najlepsze: zdrowia, siły, bezpieczeństwa, spokoju ducha. Jesteś niezwykle piękną osobą – tak w środku, jak i na zewnątrz i wszyscy o Tobie pamiętają w tym dniu. Jesteś tak wspaniałą przyjaciółką – nigdy nie spodziewałam się, że taką tutaj znajdę. Dziękuję Ci, szalona dziewczyno, za to, że po prostu jesteś sobą. Bądź silna i nigdy nie czuj się słaba, niedługo będziesz w domu z tymi, którzy Cię kochają i uwielbiają. Mam nadzieję, że podoba Ci się małe pudełko, które Ci podarowałam :) Zrobiłam je, myśląc o Tobie, oczywiście

to nic wielkiego, ale mam nadzieję, że się dzięki niemu uśmiechniesz,
no i jest to jednak coś innego. Będę Cię nosić w sercu teraz i za-
wsze.

Wszystkiego najlepszego, Piper – sto lat!

Z miłością,
Janet

Rozdział 14

Październikowe niespodzianki

Im więcej miałam przyjaciół, tym więcej osób chciało mnie karmić. Wyglądało to tak, jakbym miała pół tuzina żydowskich mamusí. Nie należałam do osób, które odmówiłyby drugiego obiadu, bo nigdy nie można było mieć pewności, kiedy trafi się następny porządny posiłek. Jednak pomimo mojej wysokokalorycznej diety, robiłam się coraz lepsza w uprawianiu jogi, w pracy podnosiłam czterdziestokilowe worki cementu i biegałam przynajmniej trzydzieści mil tygodniowo, więc jakoś nie tyłam. Byłam zupełnie oczyszczona, wolna od używek i alkoholu, sądziłam, że kiedy wyjdę to albo zacznę szaleć bez ograniczeń, albo zostanę stukniętą na punkcie zdrowia hipiską, jak Joginka Janet.

Niedługo miałyśmy się pożegnać z Janet. Wychodziła wkrótce na wolność i dlatego chciałam skorzystać z każdej okazji, by ćwiczyć z nią jogę, próbując uważnie słuchać jej rad. Nigdy wcześniej nie miałam mieszanych uczuć, gdy ktoś wychodził na wolność, była to szczęśliwa chwila. Jednak teraz perspektywa jej odejścia była naprawdę smutna i czułam, jakby traciła kontakt z kimś wartościowym. Nigdy nikomu się do tego nie przyznałam i bardzo się z tego powodu wstydziłam. Jednak nadal zostały przynajmniej cztery miesiące do jej wyjścia i trudno mi było wyobrazić sobie życie więzienne bez jej inspirującej i wspierającej obecności. Joginka Janet była moją skarbnicą wiedzy na temat tego, jak poradzić sobie w więzieniu i nie zgubić samej siebie. Uczyłam się od niej, jak radzić sobie w tak trudnych warunkach z wdziękiem, czarem, cierpliwością i dobrocią. Miała w sobie tyle szczodrości – miałam nadzieję, że kiedyś dogonię ją pod tym względem. Ale była też twarda – nie była frajerką.

Data „dziesięć procent”, moment, gdy więźniarka mogła udać się do domu przejściowego, nadszedł i minął dla Joginki Janet. Zaczęło jej odbijać, bo nadal nie podali jej daty zwolnienia. Każdy robił się trochę nerwowo przed wyjściem na wolność. Te liczby i daty dawały jakieś zaczepienie.

Jednak Janet dostała się wreszcie do domu przejściowego na Bronksie. Rankiem, kiedy nastął dzień jej wyjścia, poszłam do sali odwiedzin, skąd wszystkie obozowiczki wychodziły przez drzwi frontowe. Z jakiegoś powodu zwyczaj wymagał, by kierowca parkował białego minivana przed tymi drzwiami, gdzie zbierał się mały tłumek, by się pożegnać, po czym Toni odwoziła wolną kobietę pięćdziesiąt jardów w dół wzgórza. Większość kobiet przechodziła przez te drzwi jedynie z małym pudełkiem rzeczy osobistych, paczką listów i fotografii. Wszystkie przyjaciółki Janet zebrały się tam, żeby ją pożegnać – Siostra, Camila, Maria, Esposito, Ghada. Ghada płakała – zawsze dostawała szału, gdy ktoś, kogo lubiła, wychodził na wolność. „Nie, *mami*, nie!”, zawodziła, a łzy płynęły jej po twarzy. Nadal nie wiedziałam, jaki miała wyrok, ale zakładałam, że raczej dość długi.

Zazwyczaj bardzo lubiłam te pożegnania. Wyjście kogoś na wolność było sukcesem nas wszystkich. Szłam pożegnać nawet te dziewczyny, których nie znałam dobrze – po prostu czułam się z tego powodu szczęśliwa. Jednak tego ranka po raz pierwszy zrozumiałam, co czuła Ghada. Nie miałam zamiaru rzucić się na Janet i rozpłakać, chociaż gdzieś głęboko we mnie drzemała na to ochota. Staralam się skupić na radości z jej wyjścia na wolność, cieszyłam się za jej przemiłego chłopaka, za kogokolwiek, kto czeka na nią za murami. Janet ubrana była w dzierganą różową kamizelkę, którą ktoś zrobił dla niej jako prezent pożegnalny (jeszcze jedna tradycja, która kpiła sobie z zasad). Tak bardzo chciała już być wolna, że ewidentnie musiała skorzystać z najgłębszych pokładów swojej wielkiej cierpliwości, by pożegnać się z każdą z nas.

Kiedy nadeszła moja kolej, zarzuciłam jej ręce na ramiona i przytuliłam mocno, wciskając nos w jej kark.

– Dziękuję, Janet! Bardzo ci dziękuję! Tak bardzo mi pomogłaś!
Nie potrafiłam powiedzieć nic więcej i zaczęłam płakać. I już jej nie było.

Podłamana, poszłam po południu do siłowni. Był tam od-
tworzący wideo i trochę kaset, w tym kilka z jogą. Szczególnie
ważna była ta, którą lubiła Janet. „Tylko ja i Rodney”, wzdychała.
Kaseta była autorstwa popularnego jogina Rodneya Yee – „mojej
więziennej fascynacji”, jak mawiała Janet. Spojrzałam na okładkę,
na siedzącego gościa z długim kucykiem. Wyglądał znajomo.
Włączyłam kasety.

Na ekranie pojawiła się piękna hawajska plaża. Fale Pacyfiku
uderzały o brzeg, a Rodney, przystojny Chińczyk w skąpym
stroju kąpielowym, wyginał się w różnych pozycjach. Nagle coś
mi się przypomniało. To był ten sam jogin, którego show wi-
dzieliśmy z Larrym w hotelu, gdy czekałam na wyrok wraz z ro-
dziną! Uznałam to za znak, ważny znak... czegoś. Pomyślałam,
że oznacza to, bym lepiej trzymała się jogi i jeśli Rodney był dość
dobry dla Janet, to był też dobry dla mnie. Wzięłam swoją matę
i ułożyłam się w pozycji schylonego psa.

Martha Stewart rozpoczęła odsiadanie wyroku 8 paździer-
nika. Tydzień wcześniej prasa podała, że została przydzielona
do Alderson, dużego federalnego obozu w górach Zachod-
niej Wirginii. Alderson było w całości instytucją o obniżonym
rygorze dla około tysiąca kobiet i według biura więzień był
to najlepszy żeński ośrodek. Zbudowano go w 1927 roku pod
auspicjami Eleanor Roosevelt i było to pierwsze więzienie fede-
ralne dla kobiet. Panie w Danbury były raczej podłamane tą
wiadomością. Każdy miał nadzieję, że pomimo tego, co mó-
wiono, Marthę wyślą do nas – albo z tego powodu, że jej obec-
ność podniesie nas na duchu, albo dla czystej wartości rozryw-
kowej.

Gdy szliśmy do pracy tego dnia, nad Obozem latały heli-
koptery stacji telewizyjnych. Pokazywałyśmy im środkowy palec.
Nikt nie chciał być traktowany jak zwierzę w zoo. Personel też

był zirytowany. Podobno strażnicy złapali przy płocie fotografa, który jak komandos, czołgając się na brzuchu, próbował wejść na teren zakładu. Było to dość zabawne, ale generalnie wszyscy w więzieniu byli przybici – straciłyśmy okazję.

Niedługo po tym miała miejsce afera, która odwróciła naszą uwagę od tego rozczarowania. Finn, którego tak mało obchodziło egzekwowanie więziennych zasad, toczył ukrytą wojnę z oficerem Scottem i Cormorant. Gdy tylko przybyłam do Obozu, zauważyłam dosyć dziwną rzecz, która miała miejsce za każdym razem, gdy Scott miał służbę. Chuda, biała dziewczyna materializowała się w drzwiach biura OD, w którym następnie przesiadywała, chichocząc i rozmawiając przez całe godziny. Pracowała jako sprzątaczką i spędzała kilka godzin, czyszcząc ma-lutkie biuro zawsze, kiedy Scott był na służbie.

– O co chodzi? – spytałam Annette.

– Och, to jest Cormorant. Kręci ze Scottem.

– Kręci? Co dokładnie masz na myśli, Annette?

– Nie jestem pewna. Nikt nigdy niczego nie widział, poza rozmowami. Ale ona przychodzi za każdym razem, gdy on ma służbę.

Inne więźniarki skarżyły się na tę dziwną sytuację z zazdrości, rzeczywistego dyskomfortu lub ot tak, po prostu. Nawet jeśli ich relacja miała charakter czysto platoniczny, to i tak była zupełnie wbrew więziennym zasadom. Jednak Scott był powszechnie uważany za kumpla Butorsky'ego, więc nikt nic nie robił w sprawie tego przedziwnego romansu, który odbywał się na naszych oczach. Nigdy nie przyłapano ich na niczym więcej niż rozmowie, a wiercie mi, byli obserwowani na każdym kroku. Amy była współlokatorką Cormorant i donosiła, że wymieniają między sobą miłosne liściki, ale Cormorant zawsze śpi w swoim łóżku.

Cokolwiek oznaczał ten dziwny związek, Finnowi z pewnością nie przypadł on do gustu, więc robił jedyną rzecz, na którą pozwalały mu warunki więzienia: przyczepił się do Cormorant. Podobno ostrzegł ją, że jeśli przyłapie ją przy biurze oficera

Scotta, to da jej naganę za przeciwstawienie się rozkazowi. Całe lato bawili się w kotka i myszkę; kiedy Finn nie miał służby, dyżur brał Scott i Cormorant nadal pojawiała się w biurze OD. Finn nigdy nie skrytykowałby otwarcie innego członka personelu, więc gdy nie było go w okolicy, sprawy wyglądały tak jak dawniej. Aż do teraz. Nagle Cormorant – z polecenia Finna – została zabrana do izolatki.

Wszyscy byli tym zszokowani. Butorsky odszedł wiosną na emeryturę i podobno Scott i Finn nie mogli się znieść. Cormorant stała się pionkiem w grze o władzę i gdy tylko wszyscy w Obozie dowiedzieli się, że trafiła do izolatki, każdy zastanawiał się, co zrobi Scott.

Zrezygnował z pracy, co wprawiło wszystkich w osłupienie. Nikt nigdy nie zrobił czegoś takiego. Każdy musiał wyrobić dwadzieścia lat do emerytury, chociaż niektórzy pracownicy śnili na jawie o przeniesieniu do innej branży, na przykład do leśnictwa. Nikt właściwie nie wiedział, jak odnieść się do dramatycznego gestu oficera Scotta, jednak weteranki nie były zdziwione, gdy okazało się, że Cormorant nie wróci już do nas z izolatki. Zmieniono jej poziom bezpieczeństwa i na resztę swojego wyroku wracała do federalnych na dole wzgórza.

Pop powiedziała, że widziała gorsze sytuacje.

– W federalnym miałam przyjaciółkę, bardzo ładną dziewczynę, która pieprzyła się z oficerem. Pewnej nocy on był na służbie, przychodzi po nią, zabiera ją do oficerskiej łazienki, pieprzy się z nią. Coś się dzieje, musi wyjść i zamyka ją w łazience. Ona siedzi tam, wchodzi inny oficer, więc ona zaczyna krzyczeć. Zamknęli ją na wiele miesięcy w izolatce w wyniku wewnętrznego śledztwa. Nafaszerowali ją psychotropami – po prostu pękła. Kiedy wreszcie ją wypuścili, była jak zombie. Dużo czasu zajął jej powrót do siebie. Nikt tutaj się nie cacka.

Prawa więźnia są nieliczne i nikt ich nie chroni ani nie wciela w życie – jest więc grupa więźniów, która przy każdej okazji czuje nagłą potrzebę walki o nie. Czasami myślą, że bycie więziennym

„prawnikiem” pozwoli im trochę zarobić. Tak czy inaczej, w Obozie była dwójka samozwańczych ekspertów prawniczych. Jedna z nich była kompletnie niegodną zaufania idiotką, a i druga nie była zbyt bystra – obie nieźle sobie liczyły za swoje usługi. Kiedy inne więźniarki prosiły mnie o pomoc przy pisaniu prawnych dokumentów, czułam się nieswojo.

Z założenia odmawiałam pomocy przy czymkolwiek innym niż list. Nie byłam zainteresowana nauczeniem się, jak pisać wnioski czy podania albo wszelkie inne więzienne dokumenty. I nie miałam zamiaru czegokolwiek brać za moją pracę. Zazwyczaj kobiety szukające pomocy w skróceniu ich pobytu w więzieniu odsiadywały bardzo długie wyroki i ich szanse były naprawdę niewielkie bez wsparcia prawdziwego prawnika. Co więcej, historie ich starań były nieraz bardzo bolesne – pełne prześladowania, przemocy i osobistych porażek.

Kiedy Pennsatucky poprosiła mnie o pomoc w napisaniu listu do jej sędziego, byłam właściwie zadowolona. Miała dość krótki wyrok – parę lat – ale próbowała zawalczyć o jego skrócenie na podstawie jej współpracy z prokuratorem. Pennsatucky, jak większość Eminemek, zawsze szukała kłopotów, ale była po prostu zagubioną dziewczyną. Opowiadała o ojcu jej dziecka, o jej chłopaku, ale nic o swojej rodzinie. Pokazała mi zdjęcie swojej siostry, ale nigdy nie mówiła o rodzicach. Chłopak odwiedził Pennsatucky kilkakrotnie, a ojciec jej dziecka dwa razy przywiózł bobaska. Zastanawiałam się, co ją czeka na wolności. Pennsatucky doprowadzała mnie do szału bardziej niż Amy, ale też bardziej się o nią martwiłam.

Była jedyną osobą, której pobyt w więzieniu przyniósł coś wymiennie dobrego – dostała nowe zęby. Kiedy pierwszy raz pojawiła się u nas po pobycie w więzieniu w hrabstwie, jej przednie zęby wyglądały jak pokaz uzależnienia od cracku – były uszkodzone i brązowe, więc rzadko się śmiała. Jednak od niedawna, po kilku sesjach z naszą wesołą dentystką (jedyną członkinią personelu medycznego więzienia, którą lubiłam i uważałam za kompetentną) i Lindą Vegą, naszą więzienną higienistką, przeszła

niewiarygodną transformację. Ze śnieżnobiałymi przednimi zębami była naprawdę piękną dziewczyną i jej udawana Jessica Simpson była jeszcze lepsza, gdy dodała do jej wizji ogromny, niemal jak z reklamy, uśmiech.

Pennsatucky i ja spotkałyśmy się w przerobionym schowku, który służył jako obozowa biblioteka prawna i gdzie znajdowała się stara maszyna do pisania.

– Pennsatucky, powiedz mi jeszcze raz, co się musi znaleźć w liście? – spytałam.

Opowiedziała mi o współpracy z prokuratorem i zaraz dodała:

– No i dorzuć tam jeszcze coś o tym, jak to już się zredukowałam, czy jak to tam się mówi. Sama wiesz, co pisać, Piper!

Napisałam więc o kooperacji, a potem o tym jak wykorzystywała te dwa lata odsiadki, by poważnie przemyśleć konsekwencje swoich działań i jak bardzo ich żałowała; napisałam o jej miłości do córki i o marzeniu, by być dobrą matką; pisałam też o tym, jak stara się być lepszą osobą, jak kokaina zabrała jej to, co w życiu najdroższe i najlepsze – lata życia, zdrowie, rodzinę i przyjaciół; jak chciała zmienić swoje życie.

Kiedy oddałam Pennsatucky list, przeczytała go od razu, jednym tchem. Spojrzała na mnie swoimi wielkimi brązowymi oczyma, mokrymi od łez. Zdołała tylko zapytać:

– Skąd o tym wszystkim wiedziałaś?

Czekałam dwadzieścia pięć minut w kolejce tylko po to, by zadzwonić do Larry’ego i usłyszeć jego głos. Niemal zawsze podnosił słuchawkę.

– Hej, kochanie, tak się cieszę, że dzwonisz. Tęsknię! Słuchaj, moi rodzice chcieliby cię odwiedzić w ten piątek.

– Wspaniale! – powiedziałam. Jego rodzice, Carol i Lou, już raz wybrali się mnie odwiedzić, ale utknęli na autostradzie w korku spowodowanym jakimś wypadkiem i przyjechali piętnaście minut przed końcem odwiedzin – Larry dosłownie gotował się z gorąca, a oni byli wykończeni.

– Tak, chcą też gdzieś tam pojeździć po okolicy, kazałem im więc zarezerwować jakiś hotel. Nie przyjadę z nimi – mam ważne spotkanie.

Panika.

– Jak to? Dlaczego? Nie przyjedziesz z nimi?

– Nie mogę, kochanie. Zresztą, to bez znaczenia – oni chcą rozmawiać z tobą.

Niemal zaraz potem wkurzające klikanie na linii poinformowało mnie, że kończyło się już moje piętnaście minut i że system więzienny zaraz przerwie połączenie.

Poszłam zobaczyć się z włoskimi bliźniaczkami.

– Moi przyszli teściowie mnie odwiedzają... Bez Larry'ego!

– Złożą ci propozycję nie do odrzucenia! – Rozśmieszyło je to do rozpuku.

– Powinnaś się cieszyć, że cię odwiedzają – Pop nie widziała w tym nic śmiesznego. – To dobrzy ludzie. Co z wami nie tak, dziewczyny?

Uwielbiałam odwiedziny moich bliskich. Mój ojciec, moja matka – dzięki każdemu z nich, ich uspokajającej i upewniającej obecności, wiedziałam, że wszystko to się skończy i będę mogła wrócić do normalnego życia. Mój młodszy brat, artysta, pokazał się w więzieniu ubrany we włoski garnitur, który kupił w sklepie z używanymi ciuchami.

– Nie wiedziałem, w co się ubrać do więzienia, tak? – powiedział.

Kiedy moja ciotka przywiozła trójkę moich małych kuzynek i Elizabeth zarzuciła mi ręce na szyję, obejmując mnie w pasie swoimi chudziutkimi nóżkami, ugrzęzła mi klucha w gardle i myślałam, że się rozryczę. Byli moimi krewnymi, musieli mnie kochać, prawda?

Zawsze dobrze mi się układało z rodzicami Larry'ego. Jednak nadal denerwowałam się trzygodzinną wizytą w więzieniu. Byłam tak zestresowana, że dałam się namówić na przycięcie włosów w więziennym salonie – efekt był postrzępiony i nierówny. To cud, że nie skończyłam z pasemkami – więziennym przebojem.

W piątek postarałam się wyglądać tak wizytowo, jak to tylko możliwe – krok dalej znajdowały się już tylko wałki do włosów. I oto ich zobaczyłam – sami wyglądali na lekko zdenerwowanych. Kiedy usiedliśmy przy stoliku, poczułam ulgę z powodu ich obecności. Carol miała miliony pytań, a Lou musiał zostać oprowadzony po automatach z przekąskami. Myślę, że próbował ocenić własne szanse, jeśli musiałby znaleźć się na moim miejscu, a dla Lou jedynym wyznacznikiem było jedzenie. Jeśli rzeczywiście tak było, jego perspektywy wyglądały raczej średnio, gdy patrzyliśmy na anemicznie wyglądające skrzydełka kurczaka w staromodnym automacie z jedzeniem. Czas mijał i nawet nie brakowało nam Larry’ego. Carol i Lou byli radośni – tacy normalni! Czułam się niemal tak, jakbyśmy gawędzili sobie w kuchni w New Jersey. Byłam wdzięczna, że znaleźli czas, by się ze mną zobaczyć i po wizycie machałam im do czasu, aż zupełnie zniknęli mi z oczu.

Tej nocy myślałam o swojej matce. Martwiłam się o nią. Była taka pomocna, tak pozytywnie nastawiona, tak oddana – jednak stres związany z moim uwięzieniem musiał być dla niej niemal nie do wytrzymania i wiedziałam, że martwi się o mnie cały czas. Jej umiejętność zachowania honoru w obliczu katastrofy, w jaką wciągnęłam moją rodzinę, była niezwykła – powiedziała swoim współpracownikom i przyjaciołom o mojej sytuacji. Wiedziałam, że ma tam ludzi, którzy ją wspierają, ale większość ciężaru wspierania mnie w więzieniu spadało właśnie na nią. Jak to możliwe, że wyglądała na tak szczęśliwą co tydzień? Próbowałam wyczytać coś z jej twarzy przy kolejnej wizycie, ale widziałam tylko matczyne klasyki: bezwarunkową miłość.

– Jak poszła wizyta mamy? – spytała mnie potem Pop.

Opowiedziałam jej jak bardzo martwię się o stres, jakiego przysparza mamie moja sytuacja.

Pop wysłuchiwała mnie, a potem spytała:

– Twoja matka jest taka jak ty?

– Co masz na myśli, Pop?

– Czy jest otwarta, zabawna, ma przyjaciół?

- No, tak. To znaczy, dzięki niej jestem taka, a nie inna.
- Złotko, jeśli obie jesteście takie same, to nic jej nie będzie.

Gdy tylko wysłano Marthę Stewart do Zachodniej Wirginii, Obóz Danbury nagle stał się „otwarty” i pojawił się tłum nowych więźniarek, by zapełnić te wszystkie wolne łóżka. Każdy dopływ nowych oznacza problemy, bo do całej mikstury dodawane są inne osobowości, a deficyty dają się we znaki zarówno personelowi, jak i osadzonym. Oznaczało to dłuższe kolejki w stołówce i pralni, więcej hałasu, więcej spiskowania i więcej chaosu.

– Mów sobie co chcesz o Butorskym, ale przynajmniej przestrzegaj zasad – powiedziała Natalie. – Finn nie przestrzega niczego.

Przez całe lato dzienna dyscyplina w Obozie praktycznie nie istniała i reakcja niewielkiej w tym czasie populacji Obozu polegała na miłej zasadzie „Pilnuj swojego nosa i nikomu nie przeszkadzaj”. Jednak teraz, gdy cały Obóz wypełnił się „palantami”, panowała więzienna anarchia, w tle straszyla cała ta afera z kontrabandą papierosów, a Obóz dosłownie zwariował.

Problem papierosowy był szczególnie irytujący. Znacznie więcej kobiet próbowało pozyskać je z zewnątrz i czasem towarzyszyły temu komiczne sytuacje. Było tylko kilka sposobów dostania kontrabandy z zewnątrz. Mógł ją przynieść ktoś odwiedzający i, jak głosiła plotka, można było coś dostać przez magazyn. Ktoś zza murów więzienia mógł też zostawić kontrabandę na granicy obszaru zakładu, gdzie znajdowała się publiczna droga. Odbiorca, żeby dostać paczkę, musiał albo pracować w grupie wychodzącej na zewnątrz, albo mieć w niej kumpelkę. W kontrabandzie najczęściej były papierosy, narkotyki, komórki i bielizna.

Byłam zdziwiona, gdy pewnego dnia Bianca i Klucha trafiły do izolatki. Bianca była ładną, młodą dziewczyną z niebiesko-czarnymi włosami – wyglądała jak ponętna *pinup girl* z czasów drugiej wojny światowej. Nie była najbystrzejsza (o czym regu-

larnie krążyły żarty w Obozie), ale była dobrą dziewczyną, jej rodzina i chłopak odwiedzali ją co tydzień, no i każdy ją lubił. Klucha, jej przyjaciółka, była zarówno z wyglądu, jak i osobowości wcieleniem swojego przezwiska. Obie pracowały w wydziale bezpieczeństwa SMB, co oznaczało nicnierobienie.

– Nie uwierzysz, jak to usłyszysz – odezwała się Toni do mnie i Rosemarie. Zazwyczaj kierowca miał najświeższe plotki. – Te dwa głuptaski dostały od kogoś z zewnątrz paczkę. Poszły ją odebrać w czasie pracy w SMB, zabrały ją ze sobą i nagle, gdy przechodziły koło wejścia do federalnego, przypomniały sobie, że mają zrobić comiesięczną inspekcję bezpieczeństwa. Przechodzą więc przez drzwi, wyglądając jak idiotki, którymi są, i oficer Reilly z jakiegoś powodu zdecydował się je obszukać. No i oczywiście znalazł kontrabandę. Teraz uwaga: kartony papierosów i wibratory! Szmuglowały wibratory!

Zostało to powszechnie uznane za prześmieszne, ale już nigdy więcej nie zobaczyłyśmy Bianki i Kluchy. Szmuglowanie kontrabandy było poważną sprawą, złamaniem zasad bezpieczeństwa i gdy wyszły z izolatki, trafiły do federalnego.

19 października 2004

Piper Kerman

Nr 1198-424

Federalny Obóz Karny

Danbury, Connecticut 06811

Droga pani Kerman,

chciałem podziękować za pomoc udzieloną przy przygotowaniu domu naczelnika na mój przyjazd. Okazany entuzjazm dla projektu i chęć pomocy sprawiły, że mój przyjazd do Danbury był łatwy i przyjemny. Dobrze wykonaną pracę była wyraźnie widoczna i należy się za to pochwała.

Pani wysiłki są bardzo cenne.

Z wyrazami szacunku,
W.S. Willingham
Naczelnik

– Oho! Może ten będzie lepszy od innych – powiedziała Pop. – Najlepsi są ci, którzy są za osadzonymi. Ostatnia, Deboo, była po prostu politykiem. Uśmiechała się, zachowywała, jakby rozumiała co czujesz, ale nie miała najmniejszego zamiaru cze-
gokolwiek dla ciebie zrobić. Kiedy przychodzą tu z męskiego więzienia, jak Willingham, są zazwyczaj trochę lepsi. Mniej piep-
rzenia. Cóż, zobaczymy.

Siedziałam na stołku w jej boksie, gdzie przyniosłam napi-
saną na komputerze notkę od nowego naczelnika, którą do-
stałam podczas ostatniego rozdawania poczty. Pop znała już
wielu naczelników i wiedziałam, że będzie mogła mi wytłuma-
czyć, czy w tym piśmie można się dopatrywać czegoś zaska-
kującego, jak sądziłam.

– Piper?

Znałam ten ton głosu. Pop nigdy nie przychodziła na rozda-
wanie poczty, bo wtedy była jeszcze w kuchni, sprząając po obie-
dzie. Pracowała ciężiej niż ktokolwiek inny w Obozie. W więk-
szość dni zaczynała pracę w kuchni o piątej nad ranem, a oprócz
gotowania zazwyczaj także serwowała wszystkie trzy posiłki. Jej
ciało pięćdziesięciopięciolatki rozrywały bóle i regularnie wy-
syłano ją do szpitala w Danbury na zastrzyki znieczulające
w plecy. Męczyłam ją, żeby wzięła parę dni wolnego – nie mu-
siała pracować aż tyle.

– Tak, Pop? – uśmiechnęłam się ze stołka. Chciałam, żeby
spytała.

– Co powiesz na mały masaż stóp? – Nie pamiętam dokład-
nie, jak Pop namówiła mnie na zrobienie jej masażu stóp. Jednak
zrobił się z tego regularny rytuał, który miał miejsce kilka razy
w tygodniu. Siedziała po prysznicu na swoim łóżku, a ja naprze-
ciw niej, z czystym ręcznikiem na kolanach. Używałam kremu

z więziennego sklepu i mocno uciskałam stopę. Mój masaż był dość silny, więc czasami aż wyła, gdy za mocno przycisnęłam. Moje usługi były źródłem wielkiego rozbawienia w Dormitorium A – kobiety przychodziły i gawędziły sobie z Pop, gdy ja pracowałam nad jej stopami. Czasami ktoś pytał:

– Jak mogę taki dostać?

Oczywiście łamałam w ten sposób zasadę, że osadzone nie mogą się dotykać. Jednak regularny personel Obozu dawał Pop specjalne prawa. Pewnego wieczoru, gdy masowałam jej stopy, oficer, który przyszedł pomagać z federalnego, zatrzymał się jak wryty w drzwiach boksu Pop. Był dziwnym, kiepsko wyglądającym białym gościem z wąsem.

– Popowicz? – brzmiało to bardziej jak pytanie niż ostrzeżenie.

Schyliłam głowę, unikając kontaktu wzrokowego.

– Pan Ryan! Och, chodzi o moją stopę, uszkodziłam ją sobie. Ona pomaga mi wrócić do formy. Cały czas coś sobie robię, bo bez przerwy stoję na nogach. Oficer Maple pozwala na to. OK? -- Pop potrafiła być czarująca, gdy rozmawiała z OD.

– Och... Może ja już sobie pójdę. – I po chwili słysząc już było jego ciężkie kroki.

Spojrzałam na Pop.

– Może lepiej dam spokój?

– O niego ci chodzi? Znam go od lat, z federalnego. Jest w porządku. Nie przerywaj!

Mistrzostwa American League były tak emocjonujące tego roku, że ledwo byłam w stanie oglądać mecze. Napięcie, jakie wiązało się z byciem fanką Red Sox, gdy próbowali walczyć, przegrywając 0:3, powodowało, że bolał mnie żołądek, a moje otoczenie nie ułatwiało sprawy. Żartowano, że w Obozie siedzi pół Bronksu – a to oczywiście oznaczało, że wszystkie dziewczyny stamtąd były zawziętymi fankami Yankees. Jednak było tu także sporo wspierających Red Soksów – wiele białych kobiet pochodziło z Massachusetts, Maine, New Hampshire i zawsze podejrzanego (bo

leżącego blisko granicy) Connecticut. Codzienne życie w więzieniu było spokojne, ale wyraźnie widoczny rasowy podział między zwolenniczkami Yankees i Red Sox nieco mnie denerwował. Pamiętałam zamieszki na uniwerku Massachusetts w 1987 roku, gdy Metsi pokonali Red Sox w finale World Series i czarni fani Metsów zostali okropnie pobici.

Nie jestem jednak pewna czy coś podobnego byłoby tutaj w ogóle możliwe. Najbardziej hardkorowe fanki Soxów w Obozie były paniami w średnim wieku, z klasy też średniej, a ich przywódczyni miała ksywę „Króliczek”. Z jakiegoś powodu większość z nich pracowała w służbach ogrodowych SMB. W czasie mistrzostw przycinały trawniki i zbierały liście, śpiewając do siebie:

*Johnyyy Damon, jak go kocham
ma coś w sobie cudownego, mdleję,
nie wie jednak, że istnieje*

*Johnyyy Damon, jak go pragnę
jak mi słabo, gdy przechodzi obok,
odlatuje, kiedy mówi „Hej”*

*Inni proszą mnie na randki stale,
ale ja wciąż czekam tu wytrwale*

...aż przyjdzie Johnyyy Damon.

Carmen DeLeon, największa fanka Yankees, prosto z Hunts point, spojrzała na mnie ostro.

– To twoi ludzie – powiedziała.

Spojrzałam na nią, ale byłam zbyt zdenerwowana, żeby ripostować – nie tyle dlatego, że bałam się Carmen, bardziej martwiłam się, żeby nie zapeszyć sukcesu Soksów. Rok wcześniej Larry i ja zebraliśmy grupkę twardych fanów Soksów w naszym mieszkaniu na East Village, by wspólnie obejrzyć mecz. Nasze

prowadzenie w szóstej rundzie sprawiło, że poczuliśmy się dość pewni, na tyle, żeby udać się do miejscowego baru w nadziei, że będziemy świętować zwycięstwo głośno i przed nosem obrzydliwych fanów Yankees, którzy niszczyli nam życie przez... całe życie. Zamiast tego siedzieliśmy tam załamani, sącząc potwornie drogie piwo przez wszystkie kolejne dodatkowe rundy, patrząc jak Martinez z jakiegoś niezrozumiałego powodu nic nie robi, a nadzieje Red Soksów szlag trafia.

– Powiem ci coś – zaczęła Carmen, wypinając jej i tak już dość dużych rozmiarów pierś jak paw. – Jeśli Red Sox zagrają w World Series, to będę im kibicować. Obiecuję.

W przyszłym życiu... pomyślałam.

Kiedy Yankees odpadli po serii siedmiu meczów i Red Sox toczyli bój z St. Louis Cardinals w rozgrywkach World Series, tłumek w pokoju telewizyjnym trochę się przerzedził. A jednak Carmen DeLeon we własnej osobie siedziała z przodu cała uśmiechnięta, kibicując zawzięcie Soksom. Rozgrywki były łatwe – cztery mecze. Nie mogłam w to uwierzyć, po każdym zwycięstwie czułam, jak denerwuję się jeszcze bardziej. Przy końcu czwartej gry, po ostatnim aucie Cardinals, zaczęłam się trząść. Rosemarie, także wielka fanka Soksów, chwyciła mnie za kolano.

– Wszystko OK?

Carmen spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Piper płacze!

Byłam równie zdziwiona. Kochałam Red Soksów, ale moja reakcja zdziwiła nawet mnie.

Uspokoiliłam się na tyle, żeby móc obejrzeć świętowanie po grze bez dodatkowych łez, ale gdy znalazłam się sama w łazience między dormitoriami B i C, rozryczałam się znów. Wyszłam na zewnątrz, by popatrzeć na przysłonięty częściowo chmurami księżyc i płakałam w samotności – wstrząsały mną wielkie, niekontrolowalne szlochy. Nie płakałam dlatego, że nie mogłam być w domu i świętować, ale byłam zupełnie zadziwiona poziomem drzemiących we mnie emocji. Żartowałam kiedyś, że musiałam

trafić za kratki, żeby skończyła się klątwa Red Soksów i żeby wreszcie mogli wygrać – i teraz okazało się, że to prawda. Świat, który dotychczas znałam, zmienił się na moich oczach – tam, na bejsbolowym stadionie.

Rozdział 15

Przybita

Wieczorami w tygodniu dziewczyny lubiły sobie czasami posiedzieć w sali odwiedzin. Przyłączałam się do nich, otoczona całą grupką więźniarek szalejących z szydełkiem i oglądałam *Fear Factor* ze słuchawkami na uszach albo gawędziłam sobie. Pompon rysowała coś w rodzaju obrazka kolorowymi kredkami, pewnie jakąś kartkę urodzinową. Nagle do sali wpadła kobieta z szaleństwem w oczach, krzycząc:

– OD rozwała Dormitorium A!

Pobiegłyśmy za nią przez hall, gdzie już zgromadził się mały tłumek. Nowy OD był miłym, ułożonym i bardzo dużym chłopakiem. Tak jak wielu strażników służył wcześniej w wojsku. Ci chłopcy kończyli swoją służbę w armii i wciąż mieli jeszcze kilka lat do emerytury, więc pracowali w więziennictwie. Czasami opowiadali nam o swoich wojskowych karierach. Pan Maple był sanitariuszem w Afganistanie.

Natomiast ten OD przyjechał prosto z Iraku i dopiero co zaczął pracę w więzieniu. Podobno stacjonował w Faludży, gdzie przez całą wiosnę toczyły się ciężkie walki. Tego wieczoru ktoś w Dormitorium A stawiał się mu – jakaś bitwa słowna. No i coś pękło. Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, co się dzieje, OD szalał już po całym Dormitorium A, rozwalając boksy, zrywając rzeczy ze ścian, przewracając materace i rwąc pościel.

Byłyśmy przerażone – dwieście więźniarek samych ze strażnikiem, który ma atak psychozy. Ktoś wyszedł i zawołał patrol, który z kolei ściągnął pomoc z federalnego. Młody żołnierz opuścił budynek, a mieszkanki Dormitorium A zaczęły jakoś porządkować swoje boksy. Wszystkie byłyśmy bardzo poruszone.

Następnego dnia przyjechał jeden z poruczników z federalnego i przeprosił wszystkie dziewczyny z Dormitorium A, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło. Nigdy więcej nie widziałyśmy tego OD.

Odrodzona w Zen (dzięki Jogince Janet), dobrze wykarmiona przez Pop i z naręczem zdobytych umiejętności: doskonale wprawiona w sztuce mieszania betonu i z niezłą wiedzą o podstawowych pracach elektrycznych, czułam, że nie marnuję czasu w więzieniu. Jeżeli to było najgorsze, co mogli na mnie zesłać federalni, to nie ma problemu – dam radę. Wtedy, gdy zadzwoniłam do ojca z automatu więziennego, by opowiedzieć mu o całej sytuacji z Red Soksami, usłyszałam:

– Piper, twoja babcia nie jest w najlepszym stanie.

Prawdziwa kobieta z Południa, drobna, ale o silnej osobowości, babcia była stałym elementem mojego życia. Pochodziła z Zachodniej Wirginii, dorastała w czasie Wielkiego Kryzysu wraz z dwoma braćmi. Potem wychowała czterech synów, nie bardzo wiedziała, co zrobić z małą dziewczynką – jej najstarszą wnuczką – i trochę się jej bałam. Ciągle mnie zadziwiała, jednak gdy dorosłam, wytworzyłyśmy zadziwiająco dobrą więź. W cztery oczy rozmawiała ze mną otwarcie o seksie, feminizmie i władzy. Zarówno ona, jak i dziadek byli zadziwieni i przerażeni moimi kryminalnymi przygodami, jednak nigdy nie pozwolili mi zapomnieć, że mnie kochają, wspierają i martwią się o mnie. Jedną z rzeczy, których bałam się w więzieniu było to, że jedno z nich umrze, gdy ja będę za kratkami.

Rozmawiając z ojcem, próbowałam go przekonać – wszystko będzie w porządku, wydobrzeje, zobaczymy się, gdy wyjdę w styczniu. Nie kłócił się ze mną, powiedział tylko:

– Napisz do niej.

Regularnie pisywałam do dziadków – krótkie, pocieszające listy, w których zapewniałam ich, że wszystko ze mną w porządku i nie mogę się doczekać, gdy ich zobaczę po powrocie. Teraz usiadłam, by napisać do niej zupełnie inny list – taki,

w którym mogłabym przekazać, jak wiele dla mnie znaczy, jak wiele mnie nauczyła i jak bardzo chciałabym umieć naśladować jej solidność i prawomyślność, jak bardzo ją kocham i jak bardzo było mi jej brak. Nie mogłam uwierzyć, że spieprzyłam wszystko do takiego stopnia, żeby wylądować w tym miejscu, gdy mnie potrzebowała, gdy była chora i być może umierająca.

Gdy tylko napisałam list, poprosiłam sekretarkę Obozu o formularz przepustki.

– Byłaś wychowywana przez babcię? – spytała. Kiedy odpowiedziałam, że nie, powiedziała, że nie ma nawet sensu składać podania – nigdy nie dostanę przepustki z powodu babci. Odpowiedziałam ostro, że mam prawo do przepustki, więc i tak złożę podanie.

– A, rób, co chcesz – odwarknęła.

Pop delikatanie wytłumaczyła mi, że nie miałam najmniejszych szans dostania przepustki, nawet na pogrzeb, jeśli nie chodziło o moich rodziców, dziecko albo (w szczególnych przypadkach) rodzeństwo i że nie powinnam sobie robić nadziei.

– Wiem, że to nie jest w porządku, złotko. Ale tak po prostu jest.

Widziałam, jak inne osadzone cierpią w czasie choroby ich krewnych i czułam się bezsilna, widząc ich reakcje, gdy stało się najgorsze – gdy musiały zmierzyć się z żałobą, ale i z osobistą porażką – byciem w więzieniu zamiast z rodziną.

Nie byłam radosna w czasie Halloween. Czułam się przybita, jakby ktoś umieścił na moich ramionach wielki ciężar. Jednak nie mogłam uciec od świętowania, gdy wokół mnie ponad dwieście kobiet szaleje przez cały dzień. Kobiety uwielbiają święta.

Ostrzeżono mnie, że Halloween w więzieniu jest... dziwne. Czyżby coś mogło być bardziej dziwne niż „normalny” dzień w tym miejscu? Jak można było stworzyć kostium, mając tak mało rzeczy na podorędziu? Wcześniej tego samego dnia widziałam kilka idiotycznych kocich masek przygotowanych z wyciętych papierowych teczek. Nie byłam w nastroju do robienia czegokolwiek, a co dopiero do rozdawania cukierków.

W oddali słyszałam już nadchodzące „Cukierek albo psikus!”.

Zostałam na materacu, próbując skupić się na mojej książce. Wtedy w drzwiach mojego boksu pojawiła się Delicious:

– Cukierek albo psikus, p-p-Piper!

Musiałam się uśmiechnąć. Delicious przebrana była za alfonsa, cała na biało – kostium skonstruowała jakoś ze swojego kuchennego uniformu i wywróconych na lewą stronę dresów. Miała „cygaro” i gromadkę „dziwek”. Wśród nich była grupka Eminemek, ale także Fran, w kółko nawijająca włoska babcia, która miała siedemdziesiąt osiem lat i była najstarszą kobietą w Obozie. „Dziwki” próbowały wyglądać seksownie, podciągając szorty i obciągając dekolty, ale w większości bazując na makijażu, który był przesadny nawet w stosunku do więziennych standardów. Fran miała udawaną cygarniczkę, opaskę na włosy zrobioną z papieru, a także wściekło czerwony makijaż. Wyglądała jak przedziwny stary podłotek.

– No, Piper, cukierek albo psikus! – domagała się Delicious.

– Daj coś słodkiego!

Nigdy nie trzymałam słodyczy w boksie. Próbowałam uśmiechać się szeroko, by dać im do zrozumienia, że doceniam ich kreatywność.

– Chyba psikus, Delicious. Skończyły mi się słodkości.

Próbowałam nachodzić tych spośród personelu więzienia, którzy mogli mieć coś do powiedzenia w kwestii tego, czy zobaczę jeszcze kiedykolwiek moją babcie. Jednym z nich był zawsze nieobecny, tymczasowy szef jednostki, Bubba, który potrafił powiedzieć ci, żebyś spieprzała, w taki sposób, że byłaś gotowa mu podziękować. Mój kurator, Finn, następny z dożywotnich pracowników więziennictwa, którego nic nie obchodziło, robił sobie głupie żarty, potrafił wszystkich obrazić i nigdy nie odważał roboty papierkowej; jednak lubił mnie, bo byłam blondynką, miałam niebieskie oczy i „zgrabny tyłeczek”, jak to zwykł marmotać sobie pod nosem. Z łaski pozwolił mi zadzwonić do babci ze swojego biura – numer hospicjum nie znajdował się na liście

zatwierdzonej przez dyrekcję, więc nie mogłam tam zadzwonić z automatu. W jej głosie było słycać wycieńczenie i zdziwienie, że mnie słyszy. Kiedy odłożyłam słuchawkę, zaczęłam szlochać. Wybiegłam z jego biura i poszłam na tor.

Wróciłam do swoich dawnych, samotnych zwyczajów. Odcięłam się i byłam cicho, zdeterminowana, by przejść sama przez najgorszy możliwy scenariusz. Wszystko inne byłoby przyznaniem, że federalnym udało się rzucić mnie na kolana, niżej, na twarz; że nie potrafiłam przetrwać więzienia bez skazy. Jak mogłam przyznać, że Prawdziwa Amerykańska Dziewczyna nie potrafi utrzymać swojego pola stoicyzmu, polegania na sobie, wspierania innych i uśmiechu? Że to wszystko nie potrafiło wytrzymać bólu, wstydu i bezsilności na dystans?

Od bardzo wczesnego wieku uczyłam się być twarda – kamuflować emocje, ukrywać lub ignorować problemy w przekonaniu, że tylko ja mogę je rozwiązać. Kiedy więc moje przewinienia wymagały wkroczenia władzy, wiedziałam, jak to zrobić. Byłam wspaniała w blefowaniu. A kiedy codzienne przetrwanie w więzieniu wymagało bycia twardą, nie było z tym najmniejszego problemu. Moje współwięźniarki nazywały taką umiejętność „uliczną mądrością”: „Nie powiedziałaśbyś tego, patrząc na nią, ale Piper ma wiele z ulicznej mądrości”.

Nie tylko moje koleżanki chwaliły tę cechę; system więzienny popiera stoicyzm i stara się zdławić wszelkie prawdziwe emocje, ale każdy – tak samo strażnicy, jak i więźniarki – przekracza granice w jedną bądź w drugą stronę. Moja pogarda dla kobiet takich jak Levy nie wynikała tylko z tego, że stawiała się ponad innych, ale też dlatego, że była przeciwieństwem stoicyzmu. Nikt nie lubi mazgajów.

Przez następne tygodnie krążyłam po więzieniu w stanie tłumionej wściekłości i załamania. Przebywałam sama ze sobą – dla reszty na tyle w porządku, na ile wymagały tego reguły więziennego społeczeństwa, ale niechętna do pogawędek czy żartów. Współwięźniarki, nieco obrażone, sarkają, że muszę czuć się „przybita”, jakbym nie była sobą. Wtedy ktoś, kto wiedział,

o co chodzi, wyszeptał im do ucha, że moja babcia jest bardzo chora. I nagle otrzymywałam mnóstwo dobrych słów, rad, dostawałam kartki z modlitwami. Wszystkie te rzeczy rzeczywiście przypomniły mi, że nie jestem sama, że każda kobieta żyjąca w tym budynku jedzie na tym samym, zgniłym wózku.

Przypomniała mi się pewna kobieta, która, będąc w więzieniu, otrzymała wiadomość o śmierci matki – w ciszy kiwała się w przód i w tył, jej twarz była jakby zamrożona w wyrazie wycia, gdy jej przyjaciółka obejmowała ją ramionami i kiwała się wraz z nią (kolejne złamanie zakazu fizycznego kontaktu). Przypomniałam sobie także Roland, porządną kobietę z Karaibów, której stanowczość tak podziwiałam. Roland powtarzała, że więzienie uratowało jej życie.

– Skończyłabym martwa w jakimś rowie, to pewne, biorąc pod uwagę to, jak żyłam – powiedziała mi.

Odsiadywała swój wyrok niemal z gracją. Pracowała ciężko, nie mieszała się w sprawy innych, czasami się uśmiechała i nigdy nikogo o nic nie prosiła. Na krótko przed jej wyjściem umarł jej brat. Była spokojna i cicha, dostała zezwolenie na pół dnia przepustki na pogrzeb brata.

Jednak kiedy jej rodzina przyjechała do Danbury, okazało się, że mieli nieswój samochód, inny niż ten zarejestrowany w papierach. I tyle – wysłano ją z hallu z powrotem do Obozu, a jej rodzinie kazano odjechać. Kilka tygodni później została zwolniona. Bezdusznosc, małostkowość i głupota tej sytuacji, były przedmiotem rozmów w Obozie przez długi czas. Niektórzy mówili, że musisz założyć bezdusznosc federalnych, gdy tylko będą mieli ku temu okazję i że takich pomyłek można uniknąć. Jednak każdemu było jej szkoda.

Pop postanowiła ze mną pogadać.

– Słuchaj, złotko, zżerasz się bez sensu. Opowiem ci, jak to było, gdy umierał mój ojciec. Dosłownie wariowałam, więc wiem, jak się czujesz. Ale posłuchaj: te dranie nic ci nie załatwią. Myślisz, że gdybyś dostała przepustkę, to nie powiedzieliby ci już o tym? Kochana, musisz zadzwonić do swojej babci, napisać do

niej, myśleć o niej dużo. Jednak nie możesz pozwolić, by ta sytuacja uczyniła cię zgorzkniałą. Nie jesteś zgorzkniałą osobą, Piper; nie taka jest twoja natura. Nie pozwól im tego zrobić. No, chodź tu, złotko.

Pop przytuliła mnie mocno, trzymając mnie przez jakiś czas przygniecioną jej potężnym biustem.

Wiedziałam, że ma rację. Poczulałam się odrobinę lepiej.

Jednak w dalszym ciągu nawiedzałam biura administracji, które były niemal zawsze puste. (Bóg jeden wie, czym ci ludzie się zajmowali. Z pewnością nie swoją pracą). Pisałam listy do domu i siedziałam na łóżku z albumem zdjęć, wpatrując się w uśmiech babci, jej fryzurę, ten sam zestaw Babe Paley, który nosiła od lat pięćdziesiątych. Eminemki zachodziły do mnie, ale zaraz odchodziły, sfrustrowane, że nie zdołały mnie pocieszyć. Robiło się coraz chłodniej, minął Dzień Weterana i codziennie rozmawiałam przez telefon z ojcem o babci (jej stan był stabilny. Czy zdążę dostać przepustkę?). Cały czas martwiłam się, że skończą mi się minuty w telefonie. Myślałam o modlitwie, czego zazwyczaj nie robię. Na szczęście kilka dziewczyn zaoferowało, że zajmie się tym za mnie, w tym Siostra. To dawało jakieś dodatkowe bonusy, prawda?

Nie byłam skłonna do formalnej modlitwy, ale byłam mniej sceptyczna wobec wiary, niż przed trafieniem do więzienia. Pewnego dnia, pod koniec września, siedziałam przy stole piknikowym z Gisłą. Pracowała razem ze mną w warsztacie budowlanym i była też kierowcą autobusu. Jednocześnie była także najśodsza, najmilsza i najdelikatniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałam – pełną gracji i czaru, jednak bez pozy, żadnej „Pollyanny”. Nie pamiętam, by Gisela kiedykolwiek podniosła głos, a biorąc pod uwagę, że była kierowcą autobusu i najlepszą kumpelką Eleny Guzman, było to niezłe osiągnięcie. Gisela wyglądała wspaniale, jej twarz tworzyła jasnobrązowy owal, miała wielkie brązowe oczy i długie, falujące włosy. Pochodziła z Dominikany, ale żyła w Massachusetts od wielu lat – nie na terenie, który znałam, ale miałyśmy wiele wspólnego. Czekwała na nią

dwójka małych dzieciaków, obecnie pod opieką starszej pani, Noni Delgado, którą Gisela nazywała aniołem.

Tego dnia Gisela i ja rozmawiałyśmy o jej rychłym zwolnieniu. Oczywiście bardzo się denerwowała. Martwiła się o pracę, a także o to, co zrobi jej mąż, gdy ona wyjdzie – teraz był w [DR] i wyglądało na to, że ich związek był burzliwy i nieprzyjemny. Gisela powiedziała, że nie chce do niego wracać, ale z jej opowieści gość wyglądał na takiego, któremu trudno się przeciwstawić. No i mieli razem dzieci. Wiedziałam, że Gisela nie miała pieniędzy, miała natomiast wiele obowiązków i stało przed nią teraz mnóstwo nieznanymi wyzwani. Jednak pomimo tego, że szybko przyznała, że się denerwuje, okazywała wewnętrzny spokój, wspaniałe opanowanie, dzięki któremu była tą osobą, za którą wszyscy tak przepadali. I wtedy zaczęła mówić o Bogu.

W normalnych okolicznościach rozmowy o wierze i dyskusje o religii w więzieniu kończyły się z mojej strony wywracaniem oczu i szybkim opuszczeniem miejsca. Wierzyłam, że każdy powinien mieć prawo wierzyć wedle własnych preferencji i potrzeb duszy, jednak strasznie dużo „nawróconych” w więzieniu wymyślało sobie te różne wierzenia na bieżąco – jednego miesiąca nosiły serwetkę z kontrabandy na głowie jako muzułmanki, a następnego pojawiały się w buddyjskim kółku medytacyjnym – gdy tylko zdały sobie sprawę, że mogą tak uciec od pracy. Jeśli połączyć to z całkiem wysokim poziomem ignorancji wobec reszty wierzeń na świecie („No, Żydzi zabili Jezusa... każdy to wie!”), to już w ogóle nie chciałam mieć z tym nic wspólnego.

Gisela nie mówiła o religii, o kościele czy nawet Jezusie. Mówiła o Bogu. A gdy mówiła o Bogu, wyglądała na naprawdę szczęśliwą. Mówiła z taką łatwością, tak sprawnie, o tym, jak Bóg pomógł jej we wszystkich kłopotach w życiu, a szczególnie w czasie, gdy siedziała w więzieniu; jak wiedziała, że Bóg kochał ją absolutnie i opiekował się nią oraz dawał jej spokój ducha i zdrowy rozsądek, a także łatwość bycia dobrym człowiekiem, nawet w tak złym miejscu. Ufała, że Bóg jej pomoże, zsyłając anioły takie jak Noni Delgado, by opiekowały się jej dziećmi

i dobrych przyjaciół jak Elena, gdy potrzebowała ich najbardziej, by przetrwać więzienie. Dosłownie promieniała, gdy mówiła cicho i spokojnie o Bogu i o tym, jak wiele Jego miłość jej dała.

Byłam zdziwiona, że słowa Giseli tak mnie poruszyły i słuchałam w milczeniu. Niektóre z jej koncepcji nie różniły się aż tak bardzo od gadaniny, którą można było usłyszeć w Obozie od „nawróconych”, ale wszystkie te wyznania były umocowane w potrzebie zbawienia: „Jezus kocha mnie, nawet jeśli jestem złą osobą, nawet jeśli nikt inny mnie nie kocha”. Gisela już wiedziała o tej miłości. Mówiła o nieporuszonej wierze, która dawała jej prawdziwą siłę i którą miała w sobie od dawna. Nie mówiła o pokucie czy wybaczeniu, tylko o miłości. Gisela opisywała niezwykle intymną i szczęśliwą miłość. Sądzę, że był to najbardziej porywający opis wiary, jaki kiedykolwiek słyszałam. Nie miałam zamiaru pobiec i chwycić za Biblię ani też zmieniać w jakikolwiek sposób moich wyborów. Ale dało mi to trochę do myślenia.

Od dawna przyznawałam, że wiara pomaga ludziom zrozumieć ich relację ze społecznością. W najlepszych przypadkach pozwalała kobietom w Danbury skupić się na tym, co mają z siebie dać, zamiast na tym, co chcą dostać. I to było dobre. Przy całym moim narzekaniu na „świętoszki”, nie było niczego złego w tym, że wiara pozwalała komuś lepiej zrozumieć, czego inni od nich oczekują, zamiast po prostu myśleć o sobie.

W więzieniu po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, że wiara może pomóc ludziom spojrzeć poza siebie – nie w otchłań, ale na ulicę, na innych i zaoferować, co się miało z siebie najlepszego. Zrozumiałam to przebywając z takimi ludźmi, jak Siostra, Janet, Gisela czy nawet moja świętoszka-pedikiurzystka, Rose.

Rose, gawędząc ze mną w czasie jednej z sesji, powiedziała mi, czego nauczyła się dzięki swojej wierze. Potem zrozumiałam, że to najwspanialsze słowa, jakie można wypowiedzieć:

– Mogę dużo z siebie dać.

Byłam sfrustrowana, a moje metody radzenia sobie z tym stanem napotykały problemy na każdym kroku. Tor był teraz zam-

knięty po zliczaniu o czwartej po południu. Po pracy biegłam szybko do Obozu, zakładałam trampki i biegałam jak szalona aż do zliczania, wracając coraz później i później, i stresując większość mieszkańek Dormitorium B. Z drugiego końca toru widziałam Jae, machającą do mnie jak wariatka i biegłam najszybciej, jak potrafiłam po rozwalających się schodach i przez Dormitorium C do mojego boksu, słysząc po drodze posykiwania, żebym się pospieszyła.

– Pipes, spierdolisz zliczanie o czwartej, wyślą cię do izolatki! przypominała mi Delicious z drugiej strony Dormitorium B.

– No, koleżanko, troszkę późno – kręciła głową Natalie.

W najlepszym wypadku robiłam tylko sześć mil w dni powszednie. Próbowałam to nadrobić w weekendy, robiąc dziesięć mil na ćwierćmilowym torze w soboty i niedziele, ale niewiele pomagało mi to w radzeniu sobie z codziennym przyływem stresu i nerwów.

Zaczęłam więc uprawiać więcej jogi. Początkowy zapał, by utrzymać zajęcia z jogi był nawet całkiem duży, ale później kilka neofitek (w tym Amy, przeklinająca przy każdej pozie) szybko zrezygnowało. Ghala nadal się pojawiała, rozmawiając ze mną swoim fatalnym angielskim podczas rozciągania, ale z braku obecności Janet lub jakiegokolwiek innej Hiszpanki, nigdy przy mnie nie zasypiała. Camila czasami robiła ze mną ćwiczenia z kasy, ale tylko w weekendy. Nadal była świetną towarzyszką (no i umiała wygiąć się w idealny łuk), teraz jednak była zbyt zajęta – myślała ciągle o swoim przejściu na program narkotykowy w federalnym. Zostałyśmy więc tylko ja i Rodney Yee.

Wyrobiłam sobie nawyk wstawania o piątej rano, sprawdzając ostrożnie czy poranne zliczanie się skończyło – tupot ciężkich butów, błyski latarek, a czasem stukanie kluczy, jeśli OD nie chciało się ich przytrzymać. Stałam milcząca w moim boksie, w nadziei, że ich przestraszę, gdy zajrzą. Natalie była już w kuchni, żeby piec. Cieszyłam się z kompletnej ciemności Dormitorium B, słuchając polifonicznego oddechu czterdziestu ośmiu innych kobiet pogrążonych w głębokim śnie. Przygotowywałam

wtedy swoją miarkę rozpuszczalnej kawy, cukru i śmietanki w proszku. W Dormitorium B było cicho i ciepło, gdy przemykałam przez labirynt boksów do automatu z ciepłą wodą. Czasami widziałam, że ktoś inny też jest już na nogach – kiwałyśmy do siebie głowami lub chwilę szeptałyśmy. Z parującym kubkiem w ręku wymykałam się z budynku i szłam przez zimno do siłowni, by spotkać się tam z magnetowidem i Rodneyem. W zupełnej prywatności pustej siłowni moje ciało powoli budziło się i ogrzewało na zimnej, gumowej podłodze. Głowa i serce pozostawały spokojne trochę dłużej i codziennie lepiej rozumiałam wartość nauczania Joginki Janet. Strasznie było mi jej brak, ale dostałam od niej coś, co pozwalało mi radzić sobie bez niej.

W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy udało mi się osiągnąć jakiś poziom kontroli nad moim światem, jakiś rodzaj osobistej siły w ramach otoczenia, w którym nie miałam mieć żadnej. Jednak choroba mojej babci pozbawiła mnie tego poczucia i pokazała mi, jak moje decyzje sprzed dwunastu lat i ich konsekwencje oddały mnie w łapy systemu, którego celem jest zabieranie. Mogłam zdecydować się nie przywiązywać wagi do straconych udogodnień; mogłam szukać sensu w tym, co było dla mnie cenne w mojej obecnej sytuacji. Jednak nic nie mogło zastąpić mojej babci, a teraz właśnie ją traciłam.

Pewnego szarego popołudnia robiłam kółka na torze, zmuszając się do utrzymania czasu siedmiu minut na milę. Pani Jones dała mi elektroniczny zegarek, którego nigdy nie używała i mierzyłam sobie na nim swoje osiągnięcia. Pogoda była beznadziejna, zapowiadało się na deszcz. Jae pojawiła się na szczycie wzgórza, machając do mnie. Spojrzałam na zegarek – była dopiero 15:25, jeszcze trzydzieści pięć minut do zliczania. Czego mogła chcieć?

Wyjęłam słuchawki z uszu, zdenerwowana.

– Co się dzieje?! – krzyknęłam przez wiatr.

– Piper! Mała Janet chce z tobą rozmawiać! – zamachała do mnie jeszcze raz.

Jeśli Mała Janet czegoś chciała, to powinna zabrać swój młody tyłek i zejść tu na tor, żeby ze mną pogadać... chyba że coś było nie tak?

Gnana paniką, pomknęłam po schodach do Jae.

– Co się dzieje? Gdzie ona jest?

– Jest w swoim boksie, chodź. – Szłam za Jae, cała napięta. Nie wyglądała, jakby stało się coś okropnego, ale Jae była tak przyzwyczajona do katastrof, że nie miałam żadnej pewności. Szybko poszłyśmy do Dormitorium A.

Mała Janet siedziała na dolnym materacu jej współlokatorki i wyglądało na to, że wszystko z nią w porządku. Rozejrzałam się po jej boksie. Był pusty, a na podłodze stało pudło.

– Wszystko OK? – Chciałam aż nią potrząsnąć za to, że tak mnie przestraszyła.

– Piper... Wracam do domu.

Zamrugałam. O czym ona, do diabła mówi?

– O czym ty mówisz, kochanie? – Usiadłam na łóżku, odsuwając stosik papierów. Pomyślałam, że może straciła rozum czy co...

Chwyliła mnie za rękę.

Dostałam natychmiastowe zwolnienie.

– Co? – Spojrzałam na nią i bałam się uwierzyć w to, co powiedziała. Nikt nie dostawał natychmiastowego zwolnienia. Więźniowie składali wnioski, których rozpatrzenie zajmowało całe miesiące i zawsze przepadały w meandrach systemu sprawiedliwości. Natychmiastowe zwolnienie było jak wygrana w totka.

– Jesteś pewna, złotko? – Chwyliłam obie jej ręce. – Potwierdzili? Powiedzieli ci, żebyś się pakowała? – Spojrzałam na jej górę rzeczy i na Jae, która miała wielkiego banana na twarzy.

Toni pojawiła się w drzwiach teraz już zatłoczonego boksu, bawiąc się kluczami do vana.

– Gotowa, Janet? Piper, słyszałaś? Nie do uwierzenia!

Krzyknęłam – może nie tyle krzyknęłam, co wydałam wojenny okrzyk. I uściskałam Małą Janet tak mocno, jak tylko potrafiłam, cały czas się śmiejąc. Ona też się śmiała – z radości i nie-

dowierzenia. Kiedy wreszcie ją puściłam, chwyciłam głowę obie-
ma rękami, próbując jakoś się uspokoić. Byłam zszokowana, zu-
pełnie jakbym to ja sama została zwolniona. Wstałam i znów
usiadłam.

– Opowiedz mi wszystko! Byle szybko, musisz już iść! Toni,
czekają na nią na dole?

– Ta, ale musimy ją tam zawieźć przed zliczaniem albo utknie
nam tutaj.

Mała Janet nikomu nie powiedziała, że złożyła wniosek do
sądu – typowe więzienne obejście normalnej drogi. Jednak wy-
grała i jej sześćdziesięciomiesięczny wyrok został przycięty do
czasu, który już odsiedziała – dwóch lat. Jej rodzice byli już
w drodze, żeby odebrać swoją małą dziewczynkę i zabrać ją do
domu, do Nowego Jorku. Wygoniliśmy ją z boksu, a następnie
przez tylne drzwi, gdzie stał już zaparkowany van. Było już pra-
wie ciemno. Zostało nas tylko kilka, wszystko działo się tak
szybko, że mało kto wiedział, co się dzieje.

– Janet, tak się ciesz! – Wiedziałam, że zaraz rozplacę się
z radości.

Uściskała mnie, potem Jae i ucałowała jej współlokatorkę,
pannę Mimi, malutką i wiekową hiszpańską *mami*. Potem wsiadła
obok Toni i van odjechał główną drogą prowadzącą do federal-
nego. Machaliśmy jak szalone. Mała Janet odwróciła się w naszą
stronę, wołając z okna „Do zobaczenia!”, aż van skręcił w prawo
i zniknął za wzgórzem.

Patrzyłam za nim przez, jak mi się wydawało, wiele minut po
tym, jak zniknął. Potem spojrzałam na Jae, która miała przed
sobą jeszcze siedem lat z jej dziesięcioletniego wyroku. Objęła
mnie mocno.

– Wszystko OK? – spytała.

Przytaknęłam. Byłam bardziej niż OK. Potem odwróciliśmy
się i pomogliśmy panie Mimi wrócić do Obozu.

Próbowałam podzielić się nieopisywalnym cudem wolności
Małej Janet z Larrym, a on próbował pocieszyć mnie wieściami

o naszym nowym domu w Brooklynie. Larry szukał nowego miejsca, gdy mnie nie było i wiele osób na wolności było zdziwionych, że pozwałam mu wybrać nasz nowy dom, nie oglądając go wcześniej. Jednak nie tylko byłam mu wdzięczna, ale także całkowicie pewna, że wybierze dla nas wspaniałe miejsce do życia. Kupił mieszkanie we wspaniałej okolicy, pełnej drzew.

Jednak teraz obojgu nam było trochę trudno zrozumieć dobre wieści drugiej strony. Mnie samej – jak dotąd – było trudno wyobrazić sobie cokolwiek więcej niż butelkę szamponu lub jakiegokolwiek inne miejsce niż Dormitorium B i patrzyłam trochę głupkowato na plan mieszkania i próbki farb, które przyniósł ze sobą. Zapewniłam Larry’ego, że kiedy już wrócę, dzięki nabytym w więzieniu umiejętnościom będę w domu prawdziwą złotą rączką.

Wychodząc z sali, rzuciłam groźne spojrzenie strażnikowi na służbie. Był kawałem świni, który z chęcią nas wszystkie dotykał. Zanim zdążyłaś wejść do sali odwiedzin, strażnik cię obszukiwał, żeby sprawdzić, czy nie masz przy sobie czegoś, co masz przekazać gościowi. Strażnicy mogli nas przeszukiwać w każdej chwili, jeśli podejrzewali, że miałyśmy ze sobą kontrabandę. Te rewizje były wykonywane zarówno przez męski, jak i żeński personel i potrafiły być czysto formalne, ale też absolutnie za daleko posunięte i niedopuszczalne.

W większości przypadków mężczyźni strażnicy wykonywali tylko minimalną rewizję, zaledwie przebiegając opuszkami palców po rękach, nogach i tali, jakby chcieli powiedzieć „Nie dotykam! Nie dotykam! To nie jest dotykanie!”. Nie chcieli, żeby ktoś uznał ich zachowanie za niewłaściwe. Jednak część strażników jakoś nie bała się chwytać za cokolwiek chcieli. Mieli prawo dotykać dolnej krawędzi naszych biustonoszy, by sprawdzić, czy nie szmuglujemy tam niczego – ale czy mieli prawo chwytać za nasze piersi od tyłu? Czasami stawało się jak wrytym, gdy chwytał cię ktoś taki, jak na przykład miły, uczciwy i zazwyczaj godzien podziwu pan Black, prezentujący zazwyczaj profesjonalizm

w swoim zachowaniu. Inni OD byli gorsi, jak ten niski, czerwony na twarzy, młody gaduła, który pytał mnie głośno za każdym razem: „Gdzie ta broń masowego rażenia?” w czasie gdy obmacywał mi tyłek, a ja zgrzytałam zębami.

Nie było najmniejszego sensu składać skargi. Więźniarka, która skarży się na seksualny atak ze strony strażnika, zawsze jest zamykana w izolatce, gdzie jest „pod ochroną”, traci przydział łóżka, udział w programach (jeśli jakiegokolwiek miała), przydział pracy i wszystkie inne więzienne przywileje – nie mówiąc już o przyjaciółkach i całej wypracowanej przez siebie pozycji w więziennym świecie.

Strażnicy nie mieli prawa zadawać osobistych pytań, ale tę zasadę łamano cały czas. Niektórzy z nich w ogóle się z tym nie kryli. Pewnego dnia, gdy uczyłam się sztuki lutowania, jeden z weselszych hydraulików, zapytał mnie przyjaźnie:

– A ty, za co tu, u diabła, siedzisz?

Jednak dla strażników, którzy znali mnie lepiej, było to trudne pytanie i widziałam to po nich. Czasami długo się nad nim zastanawiali. Pewnego popołudnia, gdy byliśmy sami w pickupie, inny oficer z SMB zwrócił się do mnie i powiedział:

– Po prostu tego nie rozumiem, Piper. Co kobieta taka jak ty robi tutaj? To szaleństwo.

Powiedziałam mu już, że odsiadywałam wyrok za przestępstwo narkotykowe sprzed dziesięciu lat. Bardzo chciał się dowiedzieć całej historii, ale było dla mnie absolutnie jasne, że jakakolwiek zażyłość ze strażnikiem będzie miała dla mnie tragiczne konsekwencje – jak dla każdego innego więźnia. Nie było sensu dzielić się z nim moimi tajemnicami.

W weekend, gdy odbywał się maraton nowojorski, zrobiłam trzystaście mil na moim ćwierćmilowym torze – mój własny, więzienny półmaraton. W następnym weekend było niezwykle gorąco, naprawdę pięknie i oddawałam się mojemu rytuałowi. Słuchałam *Little Steven's Underground Garage*, dwugodzinnego programu poświęconego garage rockowi, prowadzonego przez Stevena Van

Zandta z E Street Band i z *Rodziny Soprano*, który emitowano w lokalnej radiostacji o ósmej rano w niedzielę.

Najlepsze ze wszystkiego było słuchanie samego Little Stevena, gdy opowiadał o filmach noir, religii, buncie rockowym czy losie legendarnego CBGB w Nowym Jorku. Nigdy nie przegapiłam programu. Czułam, jakby ta audycja pozwalała mi utrzymać mózg w jakimś stanie normy – inaczej byłby zupełnie martwy. Nawet w więzieniu trzeba pracować nad byciem non-konformistką. Byłam tu dziwadłem i wyrzutkiem, ale w *Underground Garage* zawsze miałam swoje miejsce w eterze. Z wyjątkiem dni, gdy pogoda była okropna, słuchałam, biegając dookoła toru przez pełne dwie godziny, czasami śmiejąc się w głos. Było to jak kroplówka podawana prosto do uszu.

Tylko jedna rzecz przeszkadzała mi w moim dzisiejszym rytuale i była to LaRue, ofiara chirurga plastycznego z Dormitorium B. LaRue była jedyną kobietą w Obozie, której szczerze nienawidziłam. Niezbyt dobrze ukrywałam swoją niechęć, co było uważane za dość dziwne przez moje przyjaciółki.

– Dobra, Piper, ona jest dziwadłem, ale nie większym niż inne wariatki dookoła. Dziwne, że aż tak cię wkurza.

A wkurzała mnie teraz strasznie. Chodziła dookoła toru środkiem ścieżki, słuchając czegoś, co, zakładałam, było którymś z jej fundamentalistycznych programów radiowych. Miała rozłożone ręce, niczym Chrystus i śpiewała niemelodyjnie coś o Jezusie, swoim wysokim głosem przypominającym pisk. Za każdym razem, gdy ją mijałam, stała na środku ścieżki z szeroko rozłożonymi rękami. Robiła to specjalnie, byłam tego pewna, żeby mnie wkurzyć i zmusić do zejścia ze ścieżki. Gdy mijałam ją za dziesiątym razem, oczy przysłaniała mi już czerwona mgiełka wściekłości i dosłownie się we mnie gotowało. Niszczyła mój program, psuła moją przyjemność. Rozsierdzona, aż zgrzytałam zębami.

Za jedenastym kółkiem obserwowałam ją z przeciwnej strony toru, jak wyobrażała sobie swoje własne ukrzyżowanie. Zbliżyłam się po zakręcie, wpadłam na prostą, szybko się do niej

zbliżając. Jej dziwny tyłek, gruby od implantów, zajmował nadal środek toru, ręce wciąż miała przybite do wymyślanego krzyża. Gdy ją mijałam, podniosłam rękę i walnęłam w jej dłoń.

LaRue pisnęła zdziwiona i dała nura w bok toru – spadły jej słuchawki. Gdy biegłam dalej, ciągnęła się za mną cała seria hiszpańskich inwektyw. Ucieszyłam się jak głupia, a zaraz potem załamalam – co ja, do diabła, robię? Do czego doprowadziło mnie to miejsce? Nie mogłam uwierzyć, że podniosłam rękę na inną osadzoną, a już w szczególności na tę mizerną wariatkę. Ogarnęło mnie uczucie wstydu. Przestałam biec, czując, że mi niedobrze.

Kiedy doszłam na drugą stronę toru, LaRue była przy siłowni, razem z jedną z hiszpańskich *mamis*, którą znałam z pracy. Przeprosiłam ją nieśmiało.

– Francesca, przepraszam. Bardzo mi przykro, nie chciałam cię przestraszyć. Wszystko OK?

W odpowiedzi dostałam wiązanekę po hiszpańsku. Zrozumiałam przekaz.

– Francesca, daj spokój, przecież przeprosiła – doradzała moja znajoma z pracy. – Nic jej nie jest, biegaj dalej, Piper.

Jeśli jesteś dość małą kobietą i wrzeszczy na ciebie wściekły facet dwa razy większy od ciebie, a na dodatek ty jesteś w więziennym uniformie, a on ma kajdanki przy pasie, to nie obchodzi mnie za jakiego twardziela się uważasz – ale będziesz cholernie przerażona.

Wrzaski odstawiał jeden z poruczników, z poważnym wyrazem twarzy pod przyciętym wąsem i z jeżem na głowie. Nie miało to nic wspólnego z moim uderzeniem wymyślanego stygmatów LaRue na torze. Zostałam złapana na samowolce w Dormitorium A, gdy w środku nocy pojawił się Finn, który nie miał wtedy być na służbie, i napisał na mnie i siedmioro innych kobiet donos, ustawiając nas najpierw w linii przed swoim biurem. To z kolei zapewniło nam prywatną sesję ze starszym oficerem, który chciał wiedzieć, czy nie zgadzałam się z zarzutem

postawionym wedle paragrafu 316 w więziennym regulaminie. Powiedziałam po cichu, że nie i powiedziałam, że nie mam żadnego usprawiedliwienia na swoje zachowanie.

Nie wyglądał na zadowolonego z tej odpowiedzi.

– Czy ciebie to bawi, Kerman? – ryknął.

Siedziałam bez ruchu, poważna. Nie, nie sądziłam, żeby to było śmieszne. Nie byłam też zainteresowana więzienną ironią. Gdzieś z tyłu głowy miałam przeczucie, że on mi gównem może zrobić. Nie wsadzi mnie do izolatki, nie tknie mnie nawet palcem i nie stracę mojej szansy na zwolnienie za dobre sprawowanie. Wszystko to wymagałoby zbyt wiele papierkowej roboty, a im się po prostu nie chciało jej odwalać. On wiedział, że ja wiem. Dlatego na mnie krzyczał i próbował mnie przestraszyć, mimo że wiedział, że jest to zupełnie bez sensu. Nie, nie sądziłam, żeby to było śmieszne.

Moja samowolka na terenie więzienia była niewielkim wykroczeniem, jedną z „trzysetek”: razem z odmową wykonania bezpośredniego polecenia, udziałem w nieautoryzowanym spotkaniu lub zgromadzeniu, niepojawieniem się na zliczaniu, podarowaniem lub otrzymaniem od innego więźnia czegoś wartościowego, posiadaniem niestanowiącej zagrożenia kontrabandy i nieprzyzwoitym zachowaniem. Jeszcze niżej na liście znajdowały się „czterysetki”: udawanie choroby, tatuaż lub samookaleczenie, prowadzenie interesów lub nieautoryzowany kontakt fizyczny (na przykład przytulanie, gdy ktoś płakał).

Bardziej poważne były wykroczenia „dwusetki”: bójki, szantaż, wymuszanie protekcji, noszenie przebrania, udział lub nakłanianie do grupowej demonstracji, zatrzymywanie pracy, przekupstwo, kradzież, protestowanie, ćwiczenie lub stosowanie sztuk walki, boks, musztra wojskowa i najbardziej znane z „dwusetek”, 205: udział w czynnościach seksualnych.

Najgorsze ze wszystkich były „setki”, można było za nie dostać następne zarzuty: morderstwo, napaść, ucieczka, posiadanie broni, nakłanianie do buntu, posiadanie narkotyków i paragraf, pod który podpadało wszystko: „zachowanie, które zakłóca lub

przeszkadza w normalnym funkcjonowaniu instytucji lub biura więzień”.

Wreszcie porucznik przestał na mnie wrzeszczeć i odwrócił się do łysego faceta siedzącego w rogu pokoju.

– Czy chciałby pan coś dodać, panie Richards?

Niektórzy strażnicy lubują się we władzy i kontroli, jaką rozciągają nad innymi ludźmi. Dosłownie emanują tą władzą. Wierzą, że to ich prawo, przywilej i obowiązek, by uczynić więzienie tak okropnym miejscem, jak to tylko możliwe, poprzez groźby, ograniczenia i złe traktowanie na każdym kroku. Z mojego doświadczenia wynikało, że te kreatury nigdy nie atakowały więźniarek seksualnie. Nigdy nie zbliżyliby się do tak niskich w ich mniemaniu stworzeń jak my, a najgorsze inwektywy zachowywali dla swoich kolegów, którzy traktowali nas po ludzku.

Richards, także potężny facet, był zawsze różowy na twarzy i zawsze dokładnie golił głowę. Wyglądał jak zły bliźniak Mr. Cleana.

– Owszem, chciałbym – Richards pochylił się nieco. – Nie wiem, co tam się dzieje, ale ostatnio Obóz jest jak spuszczonej z łańcucha. Wracaj tam i powiedz swoim koleżankom, że w przyszłym kwartale tam przychodzę i że bardzo dużo się zmieni. Nie zapomnij im tego przekazać – powiedział i oparł się z powrotem o swoje krzesło, cały zadowolony.

Cała nasza ósemka usłyszała ten sam tekst – oczywiście porównaliśmy, co do nas powiedzieli. Jako karę dostałam dziesięć dodatkowych godzin pracy.

Szybko zgłosiłam się do pracy w specjalnej nocnej kuchni, która miała przygotować kolację z okazji Święta Dziękczynienia. W ten sposób miałam szansę wyrobić całe dziesięć godzin za jednym zamachem. Pop i pracownik więzienia, któremu podlegała (powszechnie lubiany gość, którego biuro było pełne roślin), traktowali świąteczne posiłki bardzo poważnie. Wyjątkowo duża ekipa kobiet przygotowywała indyka, bataty, kapustę, purée z kartofli i nadzienie. Do tego Natalie w niewyobrażalnych ilościach

przygotowywała paszteciki. Ja pilnowałam garów, ubrana w gumowy fartuch, wielkie gumowe rękawice i siatkę na włosy. Słuchałyśmy radia, mogłam w trakcie popróbować potraw i wszystko poszło bez problemu, pomimo nerwów Pop (robiła to od zaledwie dziesięciu lat z rzędu).

Pracowałyśmy całą noc, aż do wschodu słońca, i czułam się wykończona, choć było to przyjemne uczucie. Był to najlepszy sposób odpracowywania win – włożenie wysiłku we wspólny posiłek, który niedługo wszystkie będziemy dzielić, nawet jeśli większość z nas wołałaby teraz być gdzieś indziej. W Święto Dziękczynienia spałam, odwiedził mnie Larry i nasz przyjaciel Boyer, a potem zjadłam swój posiłek z Toni i Rosemarie – najlepszą kolację roku. Ucztę zepsuła trochę cicha hiszpańska *mami*, która siedziała koło mnie i rozplakała się w połowie kolacji. Nie udało się jej pocieszyć.

Zawsze sądziłam, że jestem episkopalianką. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale wychowano mnie w duchu stoicyzmu – grecko-rzymskiej odpowiedzi na Zen. Wielu ludzi (szczególnie mężczyzn) na zewnątrz podziwiało mój stoicyzm, gdy szłam do więzienia. Według Bertranda Russella, dobry stoik to taki, którego wola jest w zgodzie z naturalnym porządkiem. Tak opisał tę podstawową ideę:

„W życiu pojedynczego człowieka cnota jest jedynym dobrem; takie elementy jak zdrowie, szczęście, rzeczy materialne nie mają znaczenia. A ponieważ cnota znajduje się w woli, wszystko, co naprawdę dobre lub złe w życiu człowieka, zależy wyłącznie od niego. Może być biedny, ale jakie ma to znaczenie? Nadal może być cnotliwy. Tyran może zamknąć go w więzieniu, ale on nadal może żyć w zgodzie z naturą. Może zostać skazany na śmierć, ale umrzeć szlachetnie, jak Sokrates. I tak oto każdy człowiek ma absolutną wolność, jeśli tylko wyzwoli się z przyziemnych pożądań”.

Stoicyzm bardzo się przydaje, gdy zabierają ci gacie. Jednak jak pogodzić go z niezaspokojoną potrzebą innych ludzi? Z pewnością moje pragnienie kontaktu, intymności, dotyku, nie było „przyziemne”. Najgorszą obok śmierci karą, jaką możemy sobie obmyślić, jest odseparowanie od innych ludzi – dziura, odosobnienie, izolatka.

Prawda jest taka, że miałam kłopoty z byciem dobrym stoikiem. Nie potrafiłam oprzeć się emocjom codziennego pulsu życia czy też niedoskonałym ludziom, którzy byli dla mnie tak ważni. Cały czas rzucałam się w prąd życia, chociaż kiedy to robiłam, potrafiłam przynajmniej zachować spokój i utrzymać głowę ponad wodą.

Jednak nadal zastanawiałam się, dlaczego moja potrzeba łamania zasad zabrała mnie tak daleko, aż do więzienia? Być może przyczyną była niewiedza, moja niemożność zrozumienia tych rzeczy z dystansu, ale należałam na to, żeby się sparzyć, stanąć twarzą do ognia. Czy musisz odnaleźć zło w sobie, by rozpoznać je w otaczającym cię świecie? Najgorszą rzeczą, jaką odnalazłam w sobie i w systemie więziennym, była nieczułość na ludzkie cierpienie. I kiedy zrozumiałam, jak byłam zgniła w środku, zaczęłam się zastanawiać, co mam ze sobą zrobić, teraz, kiedy okazałam się „występna” nie tylko prywatnie, ale i publicznie, w sądzie?

Jeśli w Obozie nauczyłam się czegokolwiek, to tego, że byłam tak naprawdę dobra. Nie w sensie przestrzegania durnych zasad więziennych – chodziło o moją pomoc innym ludziom. Chętnie dzieliłam się tym, co miałam – jak się okazało, było tego więcej, niż zdawałam sobie sprawę. Osądzanie innych jakoś mnie teraz nie bawiło, a kiedy to robiłam, miałam wyrzuty sumienia. Co najlepsze, w więzieniu spotkałam kobiety, które mogły nauczyć mnie, jak być lepszą. Wydawało mi się, że mojej porażce w byciu dobrą dziewczynką dorównywała teraz potrzeba bycia dobrą osobą. Miałam nadzieję, że mojej babci by się to podobało i może mogłaby mi wybaczyć, że nie ma mnie z nią teraz, gdy mnie potrzebuje.

Babcia zmarła dzień po Święcie Dziękczynienia. Opłakiwałam ją w ciszy i otoczona współczuciem przyjaciółek. Czułam się okropnie, przez wiele godzin wpatrywałam się w dolinę, pograżona we wspomnieniach. Na torze, zamiast biegać, zwalniałam do spacerowego kroku. Nigdy nie dostałam odpowiedzi na moją prośbę o przepustkę. Tak jak powiedziała Pop – nie było najmniejszej szansy.

W jakiś rok później, gdy byłam już w domu, dostałam list z Danbury. Był trochę sztuczny w tonie, formalny – od Rosemarie. W środku były złożone na pół dwa zdjęcia mojej babci. Moja kuzynka przesłała mi je do więzienia i patrzyłam na nie setki razy, gdy chciałam się uśmiechnąć. Na pierwszym z nich babcia właśnie otwierała ozdobnie zapakowany prezent – za dużą czarną koszulkę Harleya-Davidsona. Jej twarz miała wyraz nieskrywanego przerażenia. Na drugim, prezent leży jej na kolanach, a ona cała promienieje przed aparatem, oczy aż jej się świecą od śmiechu. Rosemarie pisała, że ma nadzieję, że na wolności radzę sobie dobrze i że znalazła te zdjęcia w książce w bibliotece i rozpoznała, kto na nich jest. Napisała też, że wie, jak bardzo kochałam swoją babcię i że o mnie myśli.

Rozdział 16

Dobre sprawowanie

Wyjście na wolność zbliżało się coraz szybciej. Pomimo całego tego incydentu w listopadzie, wszystko wskazywało na to, że odsiedzę tylko trzynaście miesięcy z mojego piętnastomiesięcznego wyroku i że zostanę wypuszczona w marcu za „dobre sprawowanie”. Była to standardowa redukcja wyroku w takich sytuacjach. Od 1 stycznia miałam prawo przenieść się do domu przejściowego głęboko w Brooklynie, na Myrtle Avenue (zwanej w Obozie „Morderczą Alejką”). Plota głosiła, że gdy tylko przeszło się kilka testów na narkotyki i znalazło pracę, goście w domu przejściowym odsyłali cię do domu – jeśli tylko mogli zaopiekować się twoją wypłatą.

Natalie miała czekać na mnie w Morderczej Alejce. Pożegnaliśmy się w pierwszym tygodniu grudnia. Noc przed jej odjazdem dosłownie wychodziłam ze skóry, zadając jej pytania, z głową zwieszoną z mojego górnego materaca, by popatrzeć na nią ten ostatni raz. Natalie wydawała się absolutnie spokojna. Następnego ranka, gdy żegnała się z zebranych tłumkiem, skakałam dookoła drzwi wejściowych jak mały dzieciak. Chciałam być ostatnia. Próbowałam być spokojna, nawet bardziej, niż gdy wyjeżdżała Mała Janet.

– Natalie, nie wiem, co bym tu zrobiła bez ciebie. Kocham cię! – Była to chyba jedyna rzecz, którą powiedziałam wprost do tej dumnej kobiety, z którą żyłam tak blisko przez ostatnie dziewięć miesięcy. Wiedziałam, że zaraz się rozplaczę. W ostatnim miesiącu zostałam prawdziwą płaksą.

Natalie przytuliła mnie delikatnie.

– OK, wszystko OK. Niedługo się zobaczymy. Będę na ciebie czekać w Brooklynie.

– Prawda, prawda, Natalie. Zaczekaj tam na mnie.

Uśmiechnęła się i przeszła wyprostowana przez więzienne drzwi ostatni raz.

Pop także miała trafić do domu przejściowego w styczniu. Jednym z powodów, dla których tak zbliżyłyśmy się do siebie, była wspólna data wyjścia na wolność. Dla Pop, tak samo jak dla Natalie, wyjście do domu oznaczało coś zupełnie innego niż dla mnie. Pop siedziała już od dwunastu lat, od początku lat dziewięćdziesiątych. Pamiętała świat bez komórek, bez Internetu i bez kuratora, do którego trzeba się zgłaszać. Niesamowicie się denerwowała. Spędziłyśmy wiele godzin, rozmawiając o tym, jak to będzie, gdy ją wypuszczą, najpierw do domu przejściowego na sześć miesięcy, a potem do prawdziwego domu, który miała dzielić ze swoją rodziną. Jej mąż siedział w więzieniu na południu i miał wyjść za trzy lata. Planowała pracować w restauracji i zwierzyła mi się, że pewnego dnia będzie prowadzić własny wózek z hot-dogami. Martwiła się komputerami, domem przejściowym, jej dziećmi i opuszczeniem miejsca, które, na lepsze lub gorsze, było jej domem przez ponad dekadę.

Też się denerwowałam, ale nie powrotem do domu. W drugim tygodniu grudnia dostałam list od Pata Cottera z Chicago, mojego prawnika, który poinformował mnie, że jeden z współoskarżonych w mojej sprawie, facet imieniem Jonathan Bibby, miał mieć niedługo proces i że mogę zostać wezwana na świadka. Przypomniał mi, że wedle zasad mojej ugody z prokuraturą, muszę złożyć kompletne i zgodne z prawdą zeznania, jeśli zostanę wezwana przez rząd. Pat poinformował mnie, że federalni mogą przenieść mnie do Chicago, bym pojawiła się w sądzie. Co więcej, uważał, że już to planują. Pisał:

„Oczywiście, chciałbym znów cię zobaczyć, ale z wypowiedzi moich poprzednich klientów wiem, że usługi turystyczne świadczone przez służbę więzienną należą do wyjątkowo nieprzyjemnych i męczących doświadczeń dla więźniarki, która z nich

korzysta. Chciałbym, jeśli to możliwe, oszczędzić ci tego doświadczenia”.

Byłam przerażona. Nie miałam pojęcia, kim jest Jonathan Bibby. Nie chciałam jechać do Chicago, a z pewnością nie miałam ochoty być rządowym świadkiem – kapusiem. Chciałam zostać w Obozie, ćwiczyć jogę i oglądać filmy z Pop. Zadzwoiłam do mojego prawnika i wytłumaczyłam mu, że nigdy nie spotkałam Jonathana Bibby’ego i że nie potrafiłabym go rozpoznać, nawet gdyby mi go pokazali. Jeśli zostałabym przeniesiona do Chicago na jego proces, mogłabym przegapić datę przeprowadzki do domu przejściowego w styczniu. Czy mógłby zadzwonić w moim imieniu do biura prokuratora i wytłumaczyć mu, że nie miałam żadnej styczności z oskarżonym i że nie mogę być wartościowym świadkiem?

– Oczywiście – powiedział.

Wyczułam, że nie mogę raczej liczyć na zostanie w Danbury.

O całej sprawie nie mówiłam nikomu, poza Pop.

– Och, złotko... – powiedziała. – Lot – mówiła o federalnym systemie transportowym, Con Air – lot to nic miłego.

Po odjeździe Natalie przez kilka dni mieszkałam w boksie sama. Widok jej pustego materaca sprawiał, że czułam się jeszcze bardziej samotna. Żyłam tu już dość długo, żeby wiedzieć, że czekanie aż więzienni decydenci przydzielą mi wspaniałą nową współlokatorkę, było kiepskim pomysłem. Faith, moja sąsiadka, była dobrą partią, więc zaaranżowałyśmy zamianę boksów i dostałam zezwolenie na przeniesienie się do boksu obok. Spałam teraz na materacu, który kiedyś zajmowała Vanessa, a przed nią Colleen. Faith była zupełnie inna niż Natalie, chociaż na szczęście nie była bardziej gadatliwa. Cieszyła się, że zostałam jej współlokatorką i w czasie, gdy robiła na drutach (a miała na to specjalne pozwolenie), opowiadała mi o swojej pięknej nastoletniej córce w New Hampshire.

Faith odsiadywała długi wyrok narkotykowy i z tego, co zrozumiałam, oberwało się jej za kogoś innego. Ciągle martwiła się o swoją córkę, której nie widziała od roku. Robiła jej na święta zielony sweter. W więziennym sklepie nigdy nie było więcej niż trzy lub cztery rodzaje akrylowej włóczki – szara, biała, burgund i zielona – a burgund i zielony kończyły się niezwykle szybko, ku powszechnej frustracji hobbystek. Jae szydełkowała zabawki na święta dla jej dzieciaków – zaczęła miesiąc wcześniej. Według mnie, najgorszą możliwą rzeczą w więzieniu było bycie matką, szczególnie podczas świąt.

Dostałam list od Pompon, która pracowała wcześniej w warsztacie samochodowym, a teraz wróciła do domu, do Trenton.

Droga Piper,

Właśnie o Ciebie pytałam. Tak bardzo się ucieszyłam, gdy dostałam od Ciebie list i kilka zdjęć. Moja siostra powiedziała, że byłam grubsza, kiedy przebywałam w Danbury. Powiedziałam jej, że to przez ciuchy. Nie mogłam uwierzyć, że dostałaś paragraf! Amy pisała, że jej współlokatorka trafiła do izolatki, ale nie mówiła, że dostałaś paragraf! Całe to miejsce chyba już zwariowało.

Pompon, której matka też siedziała w Danbury, martwiła się bardzo, co się stanie, kiedy ją wypuszczą. Miała krewnych, którzy niechętnie zgodzili się, by z nimi mieszkała, chociaż rozważała też pójście od razu do schroniska dla bezdomnych.

Teraz wyszła na wolność i spotkała się z chłodnym przyjęciem. Jej mieszkanie znajdowało się w okolicy, gdzie codziennie słyszało się strzały – znacznie bardziej przerażające niż te ze strzelnicy w Danbury. W szafkach nie było niczego i musiała wydać tę niewielką sumę pieniędzy, która miała, na wyposażenie domu w podstawowe środki – jedzenie, szampon, papier toaletowy. Spała na podłodze.

Boże, jak mi Ciebie brakuje! Przykro to przyznać, ale brakuje mi więzienia, bo tutaj to jest istne szaleństwo... Niby cała ta wolność, a czuję się, jakbym była nadal zamknięta. Naprawdę mogę powiedzieć, że wszyscy byliście dla mnie jak rodzina. Miałam teraz urodziny i co dostałam? Nic i musiałam zebrać o kolację na Święto Dziękczynienia. Teraz już wiesz, dlaczego tak bałam się wrócić do domu.

W Obozie zrobiłybyśmy jej wspaniałe przyjęcie urodzinowe. Jednak Pompon mimo tego wszystkiego nadal miała wspaniałe poczucie humoru, które pozwoliło jej przetrwać dotychczasowe życie. Wysłała mi listę ludzi, których miałam od niej pozdrowić – jej współlokatorkę Jae, dziewczyny z warsztatu samochodowego – a także krótki tekst o tym, jak mam przetrwać do mojego wyjścia na wolność. List podpisała „Zawsze kochająca, Pompon”.

Było to bardzo dziwne uczucie, ale strasznie chciałam, żeby Pompon wróciła do nas, do więzienia. Bałam się o jej los, tam, na wolności. Przynajmniej w tym więziennym getcie w broń uzbrojeni byli tylko strażnicy i nigdy nie wysiadali ze swoich ciężarówek.

– Piper? – Przez drzwi mojego boksu zajrzała Amy. Zazwyczaj nie pozwalałam na odwiedziny w moim boksie, wolałam udzielać się towarzysko w obszarach wspólnych.

– Co jest, Potworku? – Zaczęłam nazywać Amy „Potworkiem” od czasu, gdy pracowałyśmy razem w elektrycznym. Zasłużyła sobie na to przezwisko, bo klęła jak szewc, zachowywała się też raczej niezbyt miło i nikogo ani niczego nie szanowała. Jednak, wbrew sobie, kochałam Amy i bawiła mnie niezwykle. Chciała być taka twarda i w pewnym sensie była jak uliczny urwis, ale ja myślałam o niej jak o syczącym i rzucającym się kociaku, którego można trzymać za kark w odpowiedniej odległości. Kociaki jednak nadal mają pazury i zęby.

Amy usiadła z boku mojego łóżka na stołku. Można było zauważyć, że jest zdenerwowana. Miała wrócić do domu przede

mną, gdzieś w prowincjonalne regiony stanu Nowy Jork. Wiedziałam, że na wolności sprawy i dla niej wyglądały trochę niepewnie, chociaż nie aż tak źle, jak sytuacja Pompon. Przez kilka tygodni próbowała jakoś rozwiązać kwestię mieszkania i pracy przez telefon, czym była wyraźnie zestresowana. Desperacko próbowała skontaktować się z ojcem i miała kłopoty z systemem telefonicznym. Gdy tak tłumaczyła swoją sytuację, mówiła coraz to szybciej i szybciej, aż zaczęła się dławić, cała w czkawce.

– Chodź no tu, Amy. – Zrobiłam jej trochę miejsca na materacu i dziewczyna wspięła się obok mnie. – Przykro mi, że sprawy wyglądają teraz tak niepewnie. Wszystko będzie dobrze, niedługo będziesz w domu. – Objęłam ją, a ona się rozplakała.

– Chcę do taty! – zawodziła z głową na moich kolanach.

Uciszałam ją i gładziłam po blond lokach, z których była taka dumna. W środku byłam zaś wściekła, że ten szalony system najpierw zamyka te dzieciaki za kratami, a potem wysyła je do dzielnic bardziej niebezpiecznych i okropnych niż same więzienia.

Na tablicy zauważyłam, że miałam spędzić całe popołudnie na, obowiązkowych przed wyjściem na wolność, wykładach o sytuacji mieszkaniowej i natychmiast skoczyło mi ciśnienie. Wszyscy więźniowie federalni musieli uczęszczać na te obowiązkowe zajęcia, zanim pozwalano im wrócić do społeczeństwa. Było to jak najbardziej słuszne działanie – wiele kobiet w Danbury było zamkniętych w więzieniu od lat i pomimo okrucieństwa, jakie towarzyszyło trafieniu za kratki, całe to doświadczenie przyczyniało się także do ich zdziecinnienia. Sama koncepcja, że dadzą sobie radę z codziennym życiem na wolności z marszu, była śmieszna.

Byłam dość ciekawa, cóż to takiego przekażą nam w czasie zajęć. Pierwsze, które musiałam zaliczyć, dotyczyły zdrowia. Pojawiłam się w sali odwiedzin o wyznaczonym czasie; ustawiono krzesła dla dwudziestu kobiet, a całość prowadził OD z federal-

nego, ze służb żywieniowych. Pochyliłam się do Sheeny, która siedziała koło mnie, i spytałam, dlaczego akurat on nas edukował.

– Kiedyś grał zawodowo w baseball – odpowiedziała, jakby to miało cokolwiek wytłumaczyć.

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę, tak jakby w ogóle miało to jakiś sens.

– Ale dlaczego to personel więzienia prowadzi te zajęcia, dlaczego nie ktoś ze służby zdrowia? – spytałam, a Sheena tylko zamrugała oczami. – Czy wszystkie zajęcia prowadzone są przez pracowników z wewnątrz? Nie pracują na zewnątrz, z byłymi skazanymi. Spędzają cały czas tutaj. Co oni wiedzą o powrocie do społeczeństwa?

– Pipes, szukasz logiki tam, gdzie jej nie ma.

Gość z żywienia był dosyć miły i zabawny. Bardzo go lubiliśmy. Opowiadał o tym, że trzeba się dobrze odżywiać, ćwiczyć i traktować ciało jak świątynię. Ale nie powiedział nam, jak uzyskać dostęp do służby zdrowia, na którą większość nie mogła sobie pozwolić. Nie powiedział, jak szybko uzyskać dostęp do antykoncepcji i ginekologa. Nie zarekomendował nam żadnych rozwiązań na nasze problemy psychiczne i behawioralne, a z pewnością niektóre z obecnych potrzebowały takich porad. Nie powiedział też, jakie metody mogą zastosować ludzie, którzy musieli zmierzyć się z uzależnieniami, czasami trwającymi od kilkunastu lat, gdy dorwą ich demony przeszłości.

Następne zajęcia miały tytuł „Pozytywne podejście” i prowadziła je była sekretarka naczelnika. Nie lubiliśmy jej i traktowała nas z góry. Wykład składał się głównie z opisu jej wielkiej walki, by zmieścić się w sukienkę na jakąś tam wakacyjną imprezę. O zgrozo, nie zdołała schudnąć dość, by zmieścić się w tę kiecę, ale i tak bawiła się doskonale, ponieważ udało się jej zachować pozytywne podejście. Rozejrzałam się po pokoju, nie wierząc własnym uszom. Były tu kobiety, które straciły prawa rodzicielskie i czekała je walka o ponowne spotkanie swoich

własnych dzieci; kobiety, które nie miały gdzie pójść i z pewnością trafią do schronisk dla bezdomnych; kobiety, które nigdy nie pracowały i muszą znaleźć normalną robotę albo trafią z powrotem do więzienia. Mnie te problemy nie dotyczyły, ponieważ miałam znacznie więcej szczęścia niż inne. Czułam jednak, że traktuje się nas bez szacunku, urządzając tak trywialne pogawędki. Następną przygotowała kwaśna niemiecka zakonnica, która prowadziła kaplicę. Jej wykład był tak ogólny, że trudno mi sobie przypomnieć, o czym mówiła, ale niejasno pamiętam, że dotyczyło to „osobistego rozwoju”.

Potem słuchałyśmy o mieszkaniach. Mieszkanie, zatrudnienie, zdrowie, rodzina – oto czynniki, od których w gruncie rzeczy zależy, czy osoba wracająca z więzienia poradzi sobie, czy też poniesie klęskę jako obywatel. Znałam faceta, który prowadził tę sesję. Był z SMB, nawet dość fajny gość. Opowiadał o tym, na czym się znał – ocieplaniu, sidingu i rodzajach dachu, jaki można położyć. Opowiadał też o urządzaniu wnętrz. Byłam tak znużona całą tą farsą, że po prostu zamknęłam oczy i czekałam, aż to się skończy.

Jedna z kobiet podniosła rękę.

– Panie Green, to wszystko jest bardzo ciekawe i w ogóle, ale my musimy znaleźć mieszkanie do wynajęcia. Czy może pan powiedzieć coś o tym, jak znaleźć mieszkanie i czy są jakieś programy, w których możemy wziąć udział? Wie pan, tanie mieszkania i takie tam? Ktoś mi mówił, że możemy iść do schroniska dla bezdomnych...

Green wyglądał nie tyle na poirytowanego, co na zagubionego.

– Tak, no, cóż... Nie znam się na tym za dobrze. Najlepszym sposobem znalezienia mieszkania jest poszukanie ogłoszeń w gazecie. Albo w Internecie – teraz są od tego specjalne strony.

Zastanawiałam się, ile pieniędzy więziennictwo przeznacza na ten cały program.

Wpatrywałam się w Larry'ego, siedzącego po drugiej stronie stołu. Wyglądał na wykończonego, miał podkrążone oczy. Pamiętam, jak Joginka Janet powiedziała mi coś o naszych chłopakach:

– Oni przechodzą przez odsiadkę razem z nami.

Teraz rozmowy w trakcie każdych odwiedzin dotyczyły tego samego tematu: mojego powrotu do domu. Nieważne, czy przyjeżdżał Larry, moja matka, mój brat czy przyjaciele. Wśród moich bliskich panowało zbiorowe uczucie ulgi, wrażenie, że jesteśmy prawie u kresu. Nie chciałam niszczyć ich nadziei, więc starałam się nie pisać ani słówka o możliwej wycieczce do Chicago.

Wyglądało na to, że połowa więźniarek w sali odwiedzin wybierała się niedługo do domu – Pop, Delicious, Doris, Sheena. Boo Clemmons wyszła dzień po Święcie Dziękczynienia i jej dziewczyna, Trina, zajęła jej łóżko na tydzień.

Camila też miała opuścić Obóz, ale nie wychodziła na wolność. Grupa więźniarek miała udać się do federalnych na program narkotykowy i Camila była jedną z nich. Nina miała wrócić w styczniu, po zakończeniu programu, tuż przed wyjściem na wolność. Miałam nadzieję, że ją zobaczę.

Siedziałam w boksie Camili, przyglądając się, jak przebierała swoje rzeczy. Właśnie dała mi parę wielkich butów roboczych. Program narkotykowy był niezwykle surowy, musiała pozbyć się całej kontrabandy przed przeniesieniem i oddać nadmiar odzieży. Camila była w dobrym humorze. Program narkotykowy skracał jej wyrok o rok, z siedmiu do sześciu lat. Martwiłam się o jej odżywki – bardziej niż reszta kobiet w więzieniu Camila lubiła odszczekiwać strażnikom, jeśli ją wkurzali. Miała charakterek. Program był surowy i cały czas kogoś z niego wyrzucano.

– Będzie mi ciebie brakować. Z kim będę ćwiczyć jogę?

– Wracasz do domu! Praktycznie za kilka dni! – Uśmiechnęła się.

– Camila, musisz mi obiecać, że ugryziesz się w język, jak będziesz tam siedzieć. Nie żartuję.

– Ugryzę się w język? – Spojrzała na mnie zdziwiona. – Dlaczego miałabym to zrobić?

– Ugryźć się w język. To taki zwrot. Chodzi mi o to, żebyś nie odszczekiwała strażnikom. Nawet, jeśli będą się zachowywać jak Welch, albo ten dupek, Richards.

Zgodnie z obietnicą, oficer Richards starał się zamienić życie wszystkich w Obozie w piekło. Jeśli DeSimon przypominał mi z wyglądu penisa, to Richards wyglądał podobnie – jak wściekły penis. Był notorycznie wkurzony, zawsze miało się wrażenie, że jego błyszcząca różowa głowa może eksplodować w każdym momencie. Był podły, odmawiał wydawania więźniarkom listów, jeśli nie były obecne przy rozdawaniu poczty. Przestrzegał też sztywno godzin oglądania telewizji, ku wielkiemu rozczarowaniu dziewczyn cierpiących na bezsenność. Nie obchodziło mnie to jego potrząsanie szabelką, chociaż Pop było ciężko pogodzić się z tym, że masaż stóp mogła mieć tylko wtedy, gdy Richardsa akurat nie było na służbie.

Miał jednak jeden zwyczaj, który wyprowadzał mnie z równowagi do takiego stopnia, że miałam nadzieję, że szlag go trafi. Wrzeszczał do mikrofonu. Cały czas. Radio wewnętrzne było podpięte w całym budynku, z wieloma głośnikami w dormitoriach. Wisiały zaledwie kilka stóp od łóżek niektórych kobiet. On zaś brał mikrofon i wyzywał nas, cały wieczór, wrzeszcząc jak szalony. Biedna Jae miała łóżko tuż pod głośnikiem.

– Pipes, pracowałaś w elektrycznym, możesz coś z tym zrobić?

Niestety, nie czułam się na siłach majstrować przy tym bez groźby porażenia. Zresztą nawet, gdybym umiała, to nie sądzę, żeby udało mi się uniknąć trafienia za to do izolatki. Musiałyśmy więc słuchać jego tyrad, a słowo „tortury” nabrało nowego znaczenia.

Zbliżały się święta i Larry przyniósł mi złe wieści od mojego prawnika: zostanę wezwana do Chicago jako świadek. Zrobiło mi się niedobrze. Co, jeśli przegapię datę przeniesienia do domu

przejściowego? Niemal na pewno przegapię datę. I tak oto moja przeszłość przeszkodzi mi w wydostaniu się na wolność. A co, jeśli spotkam Norę? Jeśli wezwali mnie, z pewnością wezwą i ją.

Byłam zdenerwowana, ale nikt w Obozie tego nie zauważył – panował właśnie szczyt świątecznego szaleństwa. Narastało ono od Święta Dziękczynienia, ale teraz osiągnęło swoje *crescendo*, gdy grupa więźniów zabrała się za przygotowywanie do udziału w dorocznym konkursie na świąteczne dekoracje. Każdy oddział w więzieniu partycypował – w federalnym na dole było dwanaście oddziałów, a Obóz był traktowany jako jeden. Dekoracje, które zostały z zeszłego roku, wisiały już w całym Obozie: wielkie znaki z napisami ŚWIĘTA i POKÓJ wykonane z czerwonej i białej bibuły. Jednak w 2004 roku ekipa dekoratorek miała w rękawie uniformu nowego asa. Pracowały w tajemnicy, godzinami w pokoju telewizyjnym, który im oficjalnie przydzielono. Wszystko, co zdołałyśmy zobaczyć, to dziwne stworki z papier-mâché, które przygotowywały.

– Spójrz na mojego elfa! – powiedziała radośnie jedna z członkiń zespołu, pokazując mi dziwnego, małego człowieczka.

Na dzień przed świętami ujawniono efekty pracy całej ekipy. Mówiąc szczerze, było to coś niesamowitego. Udało im się zamienić beznadziejny, beżowy pokój telewizyjny o szarych podłogach z linoleum w niezwykłą świąteczną wioskę w zimową noc. Sufit z płyty wiórowej przykryto granatowym, usianym gwiazdami niebem. Wioska wyglądała jak ukryta w górskiej dolinie, a warsztaty, bar, a nawet karuzela zaludnione były elfami o podejrzanej orientacji seksualnej. Szalały w śniegu, który pokrywał linoleum. Wszystko się świeciło. Byłyśmy dosłownie zszokowane i podziwiałymy wspaniałą jakość rzemiosła całej ekipy. Nadal nie mam pojęcia, jak tego dokonały.

Czekałyśmy nerwowo przez całe popołudnie, aż przyjdzie ekipa sędziowska. Gdy ogłoszono wynik, okazało się, że po raz pierwszy w historii Obóz zwyciężył! Strażnicy zapewnili nas, że konkurencja była ostra – u federalnych mieścił się zespół

programu dla szczeniaków, w jednostce dziewiątej, która obejmowała także mieściła oddział psychiatryczny. Przygotowali poroże dla wszystkich labradorów i stworzyli stado reniferów. Stado reniferów!

Odbył się specjalny pokaz *Elfa*, z darmowym popcornem, który był nagrodą dla całego Obozu. Faith, moja współlokatorka, zdziwiła mnie, gdy przyszedłam do naszego boksu.

– Piper, chcesz obejrzeć ze mną film?

Zakładając, że sprawy ułożą się tak, jak zwykle, miałam oglądać film razem z Pop albo z Włoskimi Bliźniaczkami. Jednak wydawało mi się, że było to strasznie ważne dla Faith.

– Jasne. Nie ma sprawy.

Film wyświetlano w innym pokoju niż zwykle i odbywało się kilka seansów. Faith i ja wzięłyśmy nasz popcorn, znalazłyśmy dwa dobre miejsca i obejrzałyśmy razem film. Nie piekłyśmy świątecznych ciasteczek, nie wybierałyśmy choinki do udekorowania i nie całowałyśmy ukochanych pod jemiolą. Jednak Faith miała szczególnie miejsce w moim życiu, a ja w jej, wyjątkowe podczas świąt. I cóż, było super.

Niedzielny „New York Times” przyszedł pocztą 27 grudnia. Podczepiłam się do Lombardi i spytałam:

– Mogę dostać „Styl życia”?

Umościłam się na materacu z gazetą. Larry miał w tym wydaniu artykuł i to nie było jakiś artykuł. Był to felieton pod tytułem „Współczesna miłość”, cotygodniowy osobisty esej o miłości i związkach. Pracował nad nim od dłuższego czasu i wiedziałam, że dotyczył naszej ciągle odkładanej decyzji, żeby się pobrać. Poza tym nie wiedziałam nic więcej i miałam być równie zaskoczona, co czytelnicy „New York Timesa”.

Opisywał, że wspomniałbym poczuciem humoru, nasze przedziwne zaloty i dlaczego żadne z nas nie uważało za wyjątkowo ważne, aby się pobrać, chociaż byliśmy razem na dwudziestu siedmiu weselach. Jednak niektóre rzeczy się zmieniły.

„Nigdy nie nastąpił moment przełomowy, eureka, gdy nagle zdałbym sobie sprawę, że podjęcie decyzji o powrocie do tradycyjnego rozwiązania było dobrym pomysłem. Niektórzy faceci mówią, że od razu wiedzą, że Ona jest Tą Jedyną. Ja nie. Niezależnie, czy chodzi o sweter, czy o oprogramowanie, zawsze potrzebuję trochę czasu, by podjąć decyzję, czy chcę coś zatrzymać, czy nie – jeden z powodów, dla których zachowuję wszystkie paragony. Nie miałem nigdy wcześniej takiej chwili, gdy spojrziałbym w jasnoniebieskie oczy dziewczyny, którą spotkałem nad potrawką z peklowanej wołowiny w kawiarni w San Francisco, i pomyślałbym „to jest to”. Teraz, po ośmiu latach, jestem pewien.

Kiedy się zorientowałem? Czy przez sposób, w jaki pomogła mi poradzić sobie ze śmiercią mojego dziadka? Czy dzięki uldze, jaką poczułem, gdy wreszcie odebrała telefon 11 września? Po wspaniałej wycieczce do Point Reyes? Ponieważ płakała z radości, gdy Soksom wreszcie udało się wygrać? Czy dzięki temu, że moi kuzyni traktują ją jak gwiazdę rocka, gdy tylko pojawi się w pobliżu?

Być może powinienem wiedzieć od samego początku, od tego ranka w czasie naszej wyprawy przez cały kraj, gdy zażyczyła sobie ostatniego przystanku w Kansas City, w knajpie Arthur Bryant, na pół porcji żeberka na śniadanie (i po tym, jak dziesięć minut po rozpoczęciu uczyt powiedziałła, «Hej, kochanie, otworzyłbyś może piwko?»).

A może tak naprawdę jednak nie wiedziałem, aż do momentu, gdy siedem lat później zostaliśmy rozdzieleni wbrew naszej woli na ponad rok? Kto wie? To dzięki tym wielkim chwilom, prawda. Ale to też dzięki tym małym. Może nawet bardziej”.

Oczywiście mogłam sobie przypomnieć każdą z tych sytuacji, ze szczegółami, łącznie z tym, jak lekko gumowate były te żeberka i jak bardzo smakowało mi to piwo.

„Powoli jak zawsze, ale z absolutną pewnością, zdałem sobie sprawę: ona chce ślubu. A jeśli to prawda, to ja też go chcę. Jest to być może najmniej oryginalny pomysł, jaki miałem od bardzo dawna, ale musiałem do tego dojrzeć sam, na własnych zasadach. I po tych wszystkich latach okazało się, że jednak jestem zaskoczony.

Pomyślałem więc, do diabła, zróbmy to. Nadal uważam, że małżeństwo nie jest jedyną drogą do szczęścia lub spełnienia, ale sądzę, że to dobra rzecz dla nas. Oświadczyłem się więc. Lub raczej, precyzyjniej mówiąc, siedząc koło niej na tej durnej wyspie, w scenerii prosto z jakiegoś magazynu dla przyszłych nowożeńców, gadałem coś o miłości i oddaniu, o tym, że zostanę i tu, masz te pierścionki, które przygotowałem, i jeśli chcesz, to możemy to ogłosić, fajnie, jeśli nie chcesz, też fajnie. I jeśli chcesz mieć wesele, super, jeśli nie chcesz, to po diabła nam ono. Do teraz nie jest pewna, o co mi tak naprawdę chodziło, ale kiedy skończyła się śmiać, powiedziała «tak». A potem zrzuciła z siebie ubrania i skoczyła do wody.

Moi przyjaciele żartują, że byłem już na dwudziestu siedmiu weselach, czas więc na pogrzeb – mojego kawalerstwa. To smutne, jak każdy pogrzeb, ale ta śmierć to nie jest tragiczny wypadek. Patrzę na to bardziej jak na eutanazję, której dokonuję sam na sobie, akt miłosierdzia.

Jestem gotowy, kochanie. Odłącz mnie”.

Nawet tam, bez niego, nie potrafiłam wyobrazić sobie wspanialszego prezentu świątecznego.

Zawsze uważałam Sylwestra za strasznie nudną okazję, gdy byłam na wolności. W więzieniu byłam znacznie bardziej zainteresowana, bardzo szczęśliwa i wdzięczna, że będzie to mój jedyny Sylwester w Danbury. Wydawało się logiczne, że zmiana kalendarza przyniesie każdemu więźniowi odrobinę optymizmu. Oglądanie tej wskazówki, zbliżającej się do północy, oznaczało jakiś postęp.

Tym razem, bardziej niż przy jakimkolwiek innym Nowym Roku, nawet tym milenijnym, miałam poczucie, że coś się definitywnie kończy. Pop płakała, gdy odliczyliśmy sekundy do północy – był to jej trzynasty i ostatni Nowy Rok w więzieniu. Gdy na nią patrzyłam, próbowałam wyobrazić sobie ten sprzeczny wewnętrznie przyływ emocji, poczucia przetrwania, żalu, wytrwałości i straconego czasu.

Wyglądało na to, że pól Obozu postawiło sobie za cel doprowadzić Pop do domu w jednym kawałku. Miała skończyć już pracę w stołówce – jakkolwiek dziwnie to brzmi, więźniarki dostają i zbierają sobie dni urlopu w więzieniu – ale Pop nie opuściła nawet jednego dnia. Złapałam ją znów w kuchni i powiedziałam jej, żeby dała sobie spokój. Jednak w odpowiedzi usłyszałam, że mam się pieprzyć. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić, gdy nie pracowała. Zabawna, czasem ostra, wspaniała Wielka Matka, która pomogła mi przejść przez to wszystko, była teraz kłębkim nerwów – za dwa tygodnie miała wyjechać do domu przejściowego.

Poczułam się więc okropnie, gdy 3 stycznia wezwano mnie i poinformowano:

– Kerman, pakujesz się!

Pakowanie się oznaczało, że masz zabrać swoje manatki, bo gdzieś cię przenoszą. Więźniarce przydziela się wtedy tymczasowo wojskowe torby, które mają pomieścić jej rzeczy. Zdecydowałam się rozdać większość moich skarbów: różowy lakier do paznokci z kontrabandy, moją tak cenioną białą męską piżamę, którą dostałam od Pop, kurtkę w kolorze wojskowej zieleni, a nawet moje cenne radio. Wszystkie moje książki oddałam do więziennej biblioteki. W związku z tym, że trzymałam to wszystko w tajemnicy aż do tego momentu, moje współwięźniarki były zadziwione tym odjazdem. Niektóre myślały, że zostałam zwolniona, ale te, które wiedziały, że skorzystam z usług Con Air, prześcigały się w ciekawości, zamartwianiu i dobrych radach.

– Noś podpaszkę. Nie zawsze pozwolą ci iść do łazienki. Postaraj się nic nie pić!

– Wiem, że jesteś wybredna, jeżeli chodzi o jedzenie, Piper, ale jedz, cokolwiek się da, bo to może być twój ostatni przyzwoity posiłek na długo.

– Kiedy będą cię skuwać, spróbuj powyginać nadgarstki, żeby zdobyć trochę więcej miejsca i jeśli uda ci się złapać wzrok szeryfa, kiedy będzie nakładał kajdanki, to może skuje cię tak, że będziesz jeszcze miała jakieś krążenie. Acha, i noś podwójne skarpetki, żeby kajdany nie pokrwawiły ci kostek.

– Módl się, żeby nie wysłali cię tam przez Georgię. Zamkną cię w więzieniu hrabstwa, a to najgorsze miejsce, w jakim w życiu byłam.

– W służbie lotniczej jest pełno przystojnych facetów. Będą cię uwielbiać!

Poszłam pogadać z Kowbojem Marlboro.

– Panie King, wywożą mnie z rozkazu sądu do Chicago – udało mi się go zaskoczyć.

– Terapia dieslem – zaśmiał się.

– Co?

– Nazywamy tutaj przewóz samolotem terapią dieslem.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi.

– Cóż, uważaj na siebie.

– Panie King, czy jeśli wrócę jeszcze przed zwolnieniem, to mogę dostać moją starą robotę?

– Jasne.

Jak się okazało, czekałam na transport jeszcze dwa dni. Zadzwoniłam ostatni raz do Larry'ego – inne więźniarki uprzedziły mnie, żebym nic nie mówiła o szczegółach mojej podróży przez telefon.

– Słuchają i jeśli podasz jakieś szczegóły, to czasami mogą uznać, że planujesz ucieczkę.

Larry był zupełnie zaskoczony i miałam wrażenie, że nie do końca rozumiał, co się dzieje, mimo tego, że powiedziałam mu, że nie będzie mógł ze mną rozmawiać przez dłuższy czas.

Pożegnałam się z Pop.

– Moja kochana Piper, moja Piper! Nie miałaś wyjeżdżać przede mną!

Uściskałam ją, powiedziałam jej, że poradzi sobie w domu przejściowym i że ją kocham.

A potem zesłam ze wzgórza i rozpoczęło się moje kolejne nieszczęście.

Rozdział 17

Terapia dieslem

Jak większość podróży lotniczych w owych czasach, lot Con Airem wiązał się z duszeniem się we własnym sosie. Dokładnie w jedenaście miesięcy od czasu, gdy wylądowałam pierwszy raz w hallu więzienia, znalazłam się tutaj ponownie i czekałam. Strażnicy przyprowadzali coraz to nowe kobiety, by czekały wraz ze mną. Chudą, białą dziewczynę o rozmarzonym wzroku. Dwie siostry z Jamajki. Nieprzyjemną babę z Obozu, z którą pracowałam w SMB i którą wywozili do zachodniej Pensylwanii na jakąś sprawę sądową. Wielką, wyglądającą na lesbijkę czarną kobietę, która miała okropną bliznę, zaczynającą się gdzieś za uchem, biegnącą dookoła jej karku i znikającą pod kołnierzykiem jej T-shirtu. Raczej nie rozmawialiśmy.

Wreszcie pojawiła się strażniczka, którą znałam z Obozu. Panna Welch pracowała w żywieniu i znała się bardzo dobrze z Pop. Poczułam trochę ulgi, że to ona będzie się zajmować naszym odjazdem – było to znacznie lepsze rozwiązanie niż strażnik, który powitał mnie w Danbury. Wydała nam nowe uniformy, takie same szpitalne koszule khaki i beznadziejne płócienne buty, gorsze niż te, które dostałam. Było mi żal oddawać moje wzmocnione robocze buty, mimo tego, że pękały już im podeszwy. Po tym zaczęła nas zakuwać, jedną po drugiej – łańcuch w pasie, kajdanki, które były przypięte do tego łańcucha, kajdanki na kostki z łańcuchem pomiędzy, długim na jakąś stopę. Nigdy w życiu, poza sypialnią, nie byłam skuta. Myślałam o tym, że nie mam żadnego wpływu na to, co się dzieje. Zostanę w kajdanach, niezależnie od tego, czy będę współpracować, stawiać się, czy leżeć bezbronię na podłodze, przytrzy-

mywana czyimś kolanem na karku lub butem na klatce piersiowej.

Spojrzałam na pannę Welch, gdy podeszła, by mnie zakuć.

– Jak się masz, Kerman? – spytała. Wyglądała na naprawdę zmartwioną i pomyślałam o tym, że personel traktował nas jako „swoich” wysyłanych gdzieś tam, w nieznanne. Wiedziała, co mnie czeka przez najbliższe kilka godzin, ale poza tym – wiedziała pewnie tyle co ja.

– OK – odparłam wyjątkowo słabym głosem. Byłam przerażona, ale nie nią.

Zaczęła mnie skuwać, gadając o głupotach – czułam się niemal jak u dentystki, która wie, że robi coś nieprzyjemnego.

– Jak teraz – nie za ciasno?

– Trochę za ciasno w nadgarstkach. – Nienawidziłam wdzięczności w moim głosie, ale była ona szczerą.

Byłyśmy spakowane – wszystkie nasze rzeczy osobiste zostały zabrane przez strażnika (w moim wypadku przez tego samego sarkastycznego kurdupla, którego spotkałam pierwszego dnia) i zmagazynowane. Jedyną rzeczą, którą mogłaś mieć ze sobą w czasie transportu lotniczego, była pojedyncza kartka papieru z listą twoich rzeczy. Z tyłu tej kartki zapisałam wszystkie ważne informacje – numer telefonu mojego prawnika i adresy mojej rodziny oraz przyjaciół. Na papierze, różnym pismem, były też zapisane dane kontaktowe moich przyjaciół w Obozie – jeśli miały rychło wyjść na wolność, to adresy, jeśli miały jeszcze długo siedzieć, to ich więzienny numer rejestracyjny. Samo patrzeć na tę listę bolało. Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś zobaczę którąkolwiek z tych kobiet. Trzymałam ten papier wraz z moim dowodem tożsamości w kieszeni na piersi.

Zostałyśmy ustawione w linię i powoli, brzdękając łańcuchami, zaczęłyśmy wychodzić z budynku w stronę nieoznakowanego busa, którego używano do transportu więźniów. Kiedy twoje nogi są skute, musisz iść małymi kroczkami. Gdy czekałyśmy w jednym z odgradzonych łańcuchami obszarów mię-

dzy więzieniem a busem, podjechał van, z którego wyskoczyła Jae z torbami.

Wielka czarna lesbijka wyprostowała się.

– Cuz?

Jae zamrugęła, zdziwiona.

– Slice? Co tu się, u diabła, dzieje?

– Nie mam, kurwa, pojęcia.

Wszystkie zostałyśmy zabrane do federalnego, żeby mogli spakować Jae i ją skuć – miała dołączyć do naszej małej ekipy i bardzo się cieszyłam, że w czasie tej podróży będzie mi towarzyszyć przyjaciółka.

Wreszcie, obserwowane przez uzbrojonych strażników, zostałyśmy wpakowane do busa i wysłane w świat. Byłam zupełnie zdezorientowana, gdy oglądałam podmiejskie regiony Connecticut, które ustąpiły wkrótce miejsca autostradzie. Nie wiedziałam, gdzie zmierzamy, ale mówiło się, że do Oklahoma City, gdzie znajdowała się centrala federalnego transportu więziennego. Jae gadała w busie ze Slice, jej kuzynką. Żadna z nich nie wiedziała, dlaczego były przenoszone, ale najprawdopodobniej były współoskarżonymi, bo strażnik nalegał na dodatkowe ograniczenia.

– O, nie, nie, my kuzynki – kochamy się! – protestowały.

Strażnik powiedział też, że wiozą je do Orlando, co nie było dobrą wiadomością.

– Piper, pojęcia nie mam o Orlando, jestem z Bronksu, byłam w Milwaukee i tyle – oświadczyła Jae. – Nie mam najmniejszej ochoty jechać do cholernego Orlando, chyba że chcęmnie zabrać do Disneylandu.

Wreszcie dojechałyśmy do czegoś, co przypominało opuszczoną fabrykę. Bus się zatrzymał i siedziałyśmy tam godzinami. Jeśli sądzisz, że nie da się spać w kajdanach, to się mylisz. Dali nam kanapki z kurczakiem i musiałam pomóc dziewczynie z Pensylwanii jeść – strażniczka nie była dla niej tak łaskawa, jak dla mnie i założyła jej specjalne „czarne pudełko”, które blokowało jej kciuki – a to niby dla ochrony jej współoskarżonej, z którą

teraz ostro plotkowała. Wreszcie bus ruszył i wjechał na wielki pas. Miałyśmy towarzystwo – było tam przynajmniej z pół tuzina innych samochodów, jeszcze jeden bus, kilka nieoznaczonych vanów i sedanów, wszystkie stojące w zimnym zmierzchu. Nagle na pasie wylądował wielki 747, chwilę kołował i zaparkował wśród pojazdów. Przez chwilę poczułam się, jakbym była w jakimś kiczowatym thrillerze, gdy gliny z pistoletami maszynowymi i strzelbami zaludniły pas. A ja byłam jednym z „tych złych”.

Najpierw z samolotu wysiadło z tuzin więźniów, facetów o różnych kształtach, różnej wielkości, różnego koloru i wyglądu. Niektórzy z nich wyglądali, jakby byli bardzo cienko ubrani – nie był to najlepszy pomysł w lodowatym, styczniowym wietrze. Nieuporządkowani i zmarznięci, wyglądali na dość zainteresowanych naszą małą grupką, skupioną wokół busa z Danbury. Po chwili uzbrojeni strażnicy krzyczeli już do nas przez wiatr, byśmy się ustawiły w linię, w dużych odstępach. Próbowałyśmy poruszać się najszybciej, jak potrafiłyśmy, mimo kajdan. Po mało przyjemnym przeszukaniu strażniczka sprawdziła moje włosy i usta, czy nie mam tam schowanej broni, i ruszyłyśmy na pokład samolotu.

Na pokładzie powitało nas jeszcze więcej strażników – wielkich facetów – i grupka wyglądających na zmęczone kobiet, które ubrane były w granatowe mundury. Gdy tak brzdękałyśmy kajdanami, przechodząc przez przedział dla pasażerów, powitała nas fala testosteronu. Samolot był wypchany więźniami i chyba wszyscy byli mężczyznami. Większość z nich bardzo, ale to bardzo cieszyła się na nasz widok. Niektórzy z nich robili dużo hałasu, ogłaszając wszem i wobec, coś to takiego by chcieli, żebyśmy zrobiły i wyrażali się głośno na nasz temat, gdy przechodziłyśmy przez korytarz, kierowane przez strażników.

– Nawet nie ważcie się na nich spojrzeć! – krzyknął na nas strażnik. Najwyraźniej wykoncypował, że łatwiej kontrolować zachowanie małej grupki kobiet niż dwustu mężczyzn.

– Czego się boisz, Blondyneczko? Nic ci nie zrobię! – krzy-
czeli więźniowie. – Tutaj, Blondyneczko!

Jak się okazało, strażnicy jednak mogli coś zrobić – w czasie lotu jakiś wielki facet wstał z siedzenia i głośno domagał się pój-
ścia do łazienki. Strażnicy natychmiast powalili go paralizatorem. Podrygiwał na podłodze jak ryba.

Con Air jest jak przekrój przez więzienne społeczeństwo. Każdy rodzaj więźnia jest tutaj jakoś reprezentowany; smutni, biali mężczyźni z klasy średniej, w średnim wieku, w ich czasami pogiętych, a czasami i potłuczonych okularach w cienkich oprawkach; dumnie wyglądający *cholos*, o twarzach Majów, cali pokryci tatuażami gangów; białe kobiety z utlenionymi włosami i uzębieniem w bardzo złym stanie; skini z wytatuowanymi swastykami na twarzach; młodzi czarni mężczyźni z włosami w nieładzie, bo musieli rozpleść warkoczyki; chudy ojciec i chudy syn – jeden wyglądający jak kopia drugiego; wysoki czarny mężczyzna w specjalnych, ciężkich kajdanach, który był chyba najpotężniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałam; no i oczywiście ja. Kiedy zostałam odeskortowana do łazienki (gdzie mogłam się przekonać, jak trudnym zadaniem może być taka wizyta, jeśli nadgarstki są przykute do pasa), poza wulgarnymi propozycjami i groźbami, usłyszałam jeszcze:

– Co ty TUTAJ robisz, Blondyneczko?

Byłam coraz bardziej zadowolona, że wszyscy byli skuci. Cieszyłam się, że siedzę razem z Jae, która też wychylała głowę, by wszystko zobaczyć. Jednak martwiło mnie, że ani ona, ani jej kuzynka nie wiedziały, jaki rodzaj prawnych czynności je czeka. Zgadzałyśmy się, że jeśli (Boże broń!) „złapały następną sprawę” – czyli zostały oskarżone o następne przestępstwo, to ktoś by im o tym powiedział. A może nie. Nie miały tak dobrego adwokata jak ja.

Con Air nie robi lotów bezpośrednich. Wielkie samoloty latają z miejsca na miejsce, zatrzymując się tu i tam, by zabrać skazanych, którzy są transportowani po kraju z różnych powodów – muszą pojawić się przed sądem, są przenoszeni do innych wię-

zieni, odwożeni do miejsc wskazanych po wyroku. Niektórzy więźniowie zdawali się zejść prosto z ulicy, nadal w cywilnych ciuchach. Przeprowadzili hiszpańskiego faceta, który miał długie, czarne włosy i wyglądałby zupełnie jak Jezus, gdyby nie miał tak zaciętego wyrazu twarzy; był tak przystojny, że aż bolało patrzeć. Na którymś „przystanku” wsiadło więcej kobiet. Jedna z nich zatrzymała się w korytarzu, czekając, aż strażnik pokaże jej, gdzie usiąść. Była małą, białą kobietą, o brakujących zębach, z włosami w nieokreślonym kolorze, gdzieś w okolicach szarego. Wyglądała jak zabiedzony kurczak z podwórka, jakby miała ciężkie życie. Gdy tak stała, jakiś geniusz wrzasnął:

– Crack zabija! – I pół samolotu, w którym musieli się znajdować dilerzy cracku, roześmiało się w głos. Jej twarz posmutniała. Wyglądało to jak najpodlejszy widok ze szkolnego podwórka.

Około ósmej wieczorem wylądowaliśmy w Oklahoma City. Sądzę, że Federalne Biuro Transferowe jest tuż przy krawędzi lotniska, ale nie jestem pewna, bo nigdy nie widziałam niczego na zewnątrz – samochód kołuje tuż pod więzienie i tam wypakowywany jest cały jego wytatuowany ładunek. Z założenia i z konieczności jest to więzienie o podwyższonym rygorze, które jest domem dla wielu więźniów w czasie ich przenoszenia transportem lotniczym. Dopóki nie dotrę do Chicago, to właśnie miało być moje nowe miejsce zamieszkania.

Do naszej nowej jednostki dotarliśmy kilka godzin później – około dwudziestu wycieńczonych kobiet. Wydano nam pościel, piżamy, małe paczuszki z podstawowymi produktami sanitarnymi i zabrano do trójkątnej jamy, wypełnionej dwoma rzędami cel. Było tam ciemno i pusto, bo o tej porze było już dawno po zamknięciu. OD na służbie była wysoka na sześć stóp, szorstka Indianka, która wykrzykiwała nasze przydziały cel. Nigdy wcześniej nie byłam w prawdziwej celi, a co dopiero zamkniętej. Dotarłam do przydzielonego mi miejsca: jakieś sześć na dwanaście stóp z piętrowym łóżkiem, toaletą, zlewem i biurkiem przymocowanym do ściany. Widziałam w przytłumionym fluorescenc-

cyjnym świetle, że ktoś spał na górnym materacu. Przetoczyła się na bok, spojrzała na mnie, po czym odwróciła na drugi bok i spała dalej. Wczołgałam się na materac i zasnęłam, wdzięczna, że mam bieżącą wodę i możliwość poruszania się.

Usłyszałam głucho uderzenia, krzyki i nagle moja koleżanka z celi obudziła mnie, zeskakując ze swojego materaca.

– Śniadanie! – krzyknęła przez ramię i zaraz zniknęła.

Wstałam i ostrożnie wyjrzałam z celi, ubrana w spraną piżamę o szpitalnozielonym kolorze, którą dostałam poprzedniego wieczoru. Kobiety wybiegały z numerowanych cel, by ustawić się w kolejce po drugiej stronie jednostki. Żadna nie była w piżamie. Szybko wróciłam, ubrałam się w okropne ciuchy z wczoraj i ustawiłam się w kolejce. Po tym, jak dostałam plastikowe pudełko, znalazłam Jae i Slice, które zdobyły stolik w pobliżu mojej celi. W naszych pudełkach znajdowały się płatki, opakowanie kawy rozpuszczalnej, torebka cukru i przezroczysty woreczek z mlekiem – jedna z najdziwniejszych rzeczy, jakie widziałam. Jednak kiedy wymieszało się kawę, mleko i cukier w zielonym plastikowym kubku i wrzuciło wszystko razem do mikrofalówki (był to sprzęt tak starożytny, że wyglądał jak wprost z któregoś z odcinków *Zagubionych w kosmosie*), to nawet nie smakowało to tak źle. Udawałam, że to cappuccino.

– Umrzemy z głodu – powiedziała Slice.

Jae i ja bałyśmy się, że może mieć rację. Omówiłyśmy naszą sytuację i Slice, która była kobietą czynu, w dodatku głodną, wyruszyła na misję zwiadowczą. Jae i ja wróciłyśmy do naszych cel.

Wreszcie mogłam poznać moją współlokatorkę.

– Jak ci na imię? – spytała.

Przedstawiłam się. Okazało się, że ona nazywa się LaKeesha, pochodzi z Atlanty i właśnie zmierza do... Danbury! Od momentu, gdy usłyszała, że pochodzę z Danbury, zaczęła zasypywać mnie tysiącami pytań, po czym wdrapała się na swój materac i zasnęła. Wkrótce okazało się, że LaKeesha spała jakieś dwadzieścia dwie godziny na dobę, wstając trzy razy dziennie na posiłki i raz, dzięki Bogu, by wziąć prysznic. Jednak i tak zawsze wyglądała

nieporządnie i gdy wychodziła z celi, jej włosy sterczały w każdym kierunku.

– Peeper, co jest nie tak z twoją nową koleżanką? Wygląda jak Celie z *Koloru Purpury!* – narzekała Slice.

Byłam kompletnie zagubiona mojego pierwszego dnia w Oklahoma City – było to zupełnie nowe otoczenie, do którego trzeba było się przyzwyczaić, z nowymi rytuałami i nowym schematem dnia. Niestety, szybko zorientowałam się, że nie ma tu absolutnie nic do roboty. Były tutaj trzy pokoje telewizyjne bez krzeseł i jedna mała półka na książki, wypełniona przedziwnym zbiorem – jakimiś chrześcijańskimi tomami, starymi wydaniem Johna D. MacDonalda, kopiami *Antoniusza i Kleopatry* Szekspira, kilkoma romansami i dwoma powieściami Dorothy L. Sayers. Dziwna konstrukcja w środku jednostki wyglądała jak biurko w recepcji i nie mieściła nic poza końcówkami ołówków i przeróżnymi ścinkami papieru. Obok trzech automatów telefonicznych znajdowała się ogrodzona przestrzeń, gdzie gnieździł się palacze i gdzie można było zobaczyć kawałek nieba nad murem otoczonym drutem kolczastym. Cała jednostka sprawiała wrażenie dworca kolejowego albo autobusowego, ale bez kiosku i kafejki. Próbowałam zadzwonić z automatu do Larry’ego i do moich rodziców, by dać im znać, że żyję, ale telefony akceptowały tylko połączenia na koszt odbiorcy, a operatorzy Larry’ego i moich rodziców nie obsługiwali takowych. Wszystko to tylko umocniło mnie w przekonaniu, że trafiłam do miejsca, które nie istniało dla reszty świata.

Kobiety przychodziły i odchodziły cicho. Całe miejsce było niesamowicie czyste. Jednostka wyglądała na pełną najwyżej w połowie – w kolejce po śniadanie stało może sześćdziesiąt kobiet. O jedenastej OD przyprrowadził duże wózki, które były niechybnym znakiem, że będzie serwowany lunch. Patrzyłam, jak z celi na górnym poziomie wyszła kobieta i zaczęła schodzić po schodach po przeciwnej stronie jednostki. Te kręcone włosy, ten kształt sylwetki... okulary. Coś mnie ukłuło w żołądku; usiadłam, wyprostowana. Co, do kurwy nędzy, robiła tutaj Nora Jansen?

Byłam niemal pewna, że „nakaz rozdzielania” obowiązywał mnie i moich współoskarżonych – najwyraźniej byłam w błędzie. Gapiłam się na nią, gdy ustawiła się w kolejce po jedzenie.

– Chodź tu, Peeper! – poganiała mnie do wzięcia lunchu Slice.

Pomimo jej oporów przed zaprzyjaźnianiem się z chudymi, białymi dziewczynami, była gotowa zaakceptować mnie jako koleżankę Jae, szczególnie dlatego, że raczej nie jadłam zbyt wiele. Posuwałam się w kolejce za moimi dwiema przyjaciółkami, jednocześnie śledząc wzrokiem kobietę, która, moim zdaniem, była Norą.

Przez ostatnich jedenaście miesięcy czasami myślałam o Norze – i nie były to dobre myśli. Chciałam być pewna, że to ona, zanim cokolwiek zrobię. Fantazjowałam o możliwości spotkania z kobietą, która sprowadziła mnie na złą drogę, kobietą, która mnie wydała. W mojej głowie zazwyczaj ta chwila miała miejsce w lesbijskim barze w San Francisco i wyobrażałam sobie scenę z rozbijaniem mnóstwa butelek kijami do bilarda i łamaniem nosów i w ogóle z mnóstwem krwi. Teraz ten moment wreszcie nadszedł. Co miałam zrobić?

Niska kobieta, zdecydowanie w średnim wieku, o kręconych włosach, odebrała swoje pudełko z lunchem i ruszyła w kierunku stołu. To była ta sama kobieta, za którą wyjechałam do Indonezji, do Zurychu, do Hotelu Congress. Gdybym nigdy wcześniej jej nie spotkała, nie siedziałabym tutaj teraz, trzymając torebkę letniego mleka, ubrana w wydane przez rząd ciuchy. Przede mną znajdowała się ta sama twarz francuskiego buldoga, co dziesięć lat temu – i wyglądało na to, że było to dziesięć długich, trudnych lat. Wyglądała okropnie. Spojrzała na mnie, przechodząc obok, i zobaczyłam wyraz przerażenia w jej oczach, gdy mnie poznała. Wstrzymałam oddech. Krew uderzyła mi do głowy.

– Jae! – wysyczałam przy stoliku. – Myślę, że to jedna z moich współoskarżonych.

Jae spojrzała na mnie, poważna. Niemał wszystkie osadzone za przestępstwa narkotykowe miały współoskarżonych (i termin

ten mógł oznaczać wiele różnych rzeczy), ale Jae wiedziała od razu z tonu swojego głosu, że nie chodziło o nic miłego.

– Co jest? – spytała Slice, wyczuwając od razu, że jest jakiś problem.

– Piper uważa, że jest tu jedna z jej współoskarżonych. I jest tym zdziwiona.

– Gdzie?

Wskazałam bez pokazywania palcem. Obie nieco się rozluźniły.

– Ta starsza pani? Eee tam, Peeper, co z ciebie za gangsterka? Spojrzałam na nie.

– Jae, podejrzewam, że ta zdzira mnie wyspała.

Nagle atmosfera zrobiła się bardzo poważna. Slice przyglądała się Norze. Jae myślała przez kilka chwil, po czym odezwała się poważnie.

– Piper, rób co masz zrobić, wiesz o czym mówię. Ale pamiętaj o jednym – skończysz w izolatce na resztę pobytu tutaj. Jeśli życie w tym miejscu jest do dupy, to wyobraź sobie, jak wygląda izolatka. I nie wiadomo, co jeszcze ci zrobią. Wracasz do domu, do faceta, o którym wiesz, że cię kocha, zabiera swój tyłek do sali odwiedzin co tydzień. Czy ta suka jest warta złapania następnej sprawy? Ja cię poprę, jasne, ale tylko do pewnego momentu. Mówię ci prosto z mostu, nie mam zamiaru trafić do izolatki, ale szanuję fakt, że musisz zrobić to, co musisz.

– Ja też nie mam zamiaru trafić do izolatki – dołączyła się Slice. – Nie dla jakiejś białej dziewczyny, której nawet nie znam. Bez urazy, Peeper. Ale zrób to, co musisz zrobić.

Nie zrobiłam nic. Jae patrzyła na mnie z niepokojem. Slice magicznym sposobem zdobyła talię kart do gry od innej więźniarki i zaczęła je tasować. Ja jednak nie mogłam tego znieść. Zrobiłam sobie przerwę i położyłam się na moim materacu, wpatrując się w ścianę z pustaków. Kobieta, przez którą tutaj trafiłam, była na wyciągnięcie ręki, a ja byłam jak sparaliżowana. Czy naprawdę nie miałam zamiaru nic z tym zrobić?

Wysłałam z celi i obeszłam jednostkę – zajęło to jakieś trzy minuty. Nigdzie nie było śladu Nory. Jae przywołała mnie do stolika.

– Chodź, Piper, zagraj z nami.

Jae i jej kuzynka bawiły się doskonale, grając w karty. Slice rzucała jak z rękawa opowieściami o życiu początkującej lesbijki w federalnym w Danbury. Pośród tych opowieści była jedna o tym, jak w środku nocy przyłapał ją strażnik, którego wszystkie znałyśmy.

– Zamarłam, ludzie, gość ma wycelowaną w nas latarkę i to nie była jedna z tych sytuacji, gdy można czemukolwiek zaprzeczać, wiecie, co mam na myśli? A on na to tylko „Dajcie mi popatrzeć”. Nooooo, i... – i zasugerowała, że wróciły do roboty. To był ten sam facet, który nakrył mnie przy robieniu zupełnie niewinnego masażu stóp Pop. Brudna świnią.

Do momentu, gdy pojawił się wózek z obiadem o czwartej po południu, śmiałyśmy się już jak szalone. Kiedy zdjęłyśmy pokrywki z plastikowych tacek, odór sprawił, że zamknęłyśmy je prawie natychmiast. Jae odezwała się po chwili.

– Będziemy musiały zabić i zjeść jedną z tych dzdir albo umrzemy z głodu.

Przechodziłam przez jednostkę, by oddać moją tacę, gdy nagle zobaczyłam, że Nora zmierza w moją stronę. Wyprostowałam się i przybrałam lodowate spojrzenie królowej zimy. Gdy się mijałyśmy, spojrzała na mnie niepewnie.

– Cześć – powiedziała niemal pod nosem.

Przeszłam obok niej.

– Co się stało? – spytała Jae, zmartwiona.

– Próbowała się ze mną przywitać. – Potrząsnęłam głową, gdy zaczęłyśmy znów grać w karty. – Wiesz, jest jedna rzecz, której nie mogę rozgryźć. Skoro ona tutaj jest, to dlaczego nie ma tu jej siostry?

– Jej siostry?

– Tak, jej siostra też jest współoskarżoną. Odsiaduje swój wyrok w Kentucky.

Następnego dnia przy śniadaniu objawiła się Hester. Tak to już było w Oklahomie – nowi ludzie pojawiali się w środku nocy, gdy my byłyśmy zamknięte w naszych celach. Nowe pojawiały się przy śniadaniu, dając temat do rozmowy przez cały dzień. Byłam świadkiem spotkania sióstr – uściskały się radośnie i odeszły w kącie, by porozmawiać. Wszystko zauważyły moje towarzyszki.

– Siostrę też musisz zabić? – spytała Slice.

– Nie, nigdy nie miałam na pieńku z Hester. Ona jest w porządku.

Czas był bardziej łaskawy dla Hester. Wyglądała mniej więcej tak samo, być może dzięki jej talizmanom z kurzych kości: długie, czerwone, kręcone włosy, rozmarzone, lecz jednocześnie fascynujące spojrzenie i niemal wiedźmowata, tajemnicza aura wokół.

Przez te tygodnie spędzone w Oklahoma City odmówiłam zwrócenia jakiegokolwiek uwagi na obecność sióstr. Całkowite zamknięcie było, poprzez swoją monotonię i brak bodźców, prawdziwą torturą. Dni i godziny mijały powoli. Samoloty przylatywały i odlatywały niemal każdego dnia, ale nigdy nie wiedziałam, czy trafisz do któregoś z nich. Był to perfekcyjny przykład limbo – opuściłam jeden plan istnienia i czekałam na przeniesienie do następnego. Oklahoma City powodowało, że tęskniłam za Obozem Danbury – a było to uczucie surrealistyczne i nieprzyjemne. Byłam przyzwyczajona do całych godzin wypełnionych aktywnością: pracą w budowlanym, bieganiem i siłownią. Tutaj mogłam wybierać tylko między pompkami, jogą w mojej celi i „obchodzeniem półpięter”, które polegało na krążeniu w kółko, aż moje bąble na nogach zaczynały krwawić. W Danbury podczas kiepskiej pogody siostra Platte używała czasem hallu jako tymczasowego toru. Bywało, że chodziłam razem z nią. Była całkiem szybka, jak na jej sześćdziesiąt dziewięć lat, i cały czas zadziwiało, mnie jej optymizm.

– Jak się dziś masz, moja droga? – pytała mnie mała zakonnica.

Miałam szczęście, że była przy mnie Jae, z którą mogłam dzielić swój stres i niepewność, a także dać upust mojej frustracji. Jej kuzynka była zabójczo zabawna – jej obecność była uspokajająca (i trochę przerażająca jednocześnie). Pewnego dnia spytałam Jae o bliźnię Slice.

– Facet się na nią rzucił i próbował zgwałcić. Potem pociął ją nożem do paczek. Sto szwów. – Pauza. – Siedzi teraz w więzieniu.

– A przezwisko?

– To jej ulubiony drink!

Łatwo było stracić rachubę czasu – nie było gazet, magazynów i poczty. Ponieważ unikałam pokoiów telewizyjnych, nie było sposobu odróżniania jednego dnia od drugiego. Ile można grać w karty? Próbowałam policzyć, kiedy będzie 12 stycznia – dzień, w którym Pop miała wyjść z Danbury. Nie mogłam porozmawiać z Larrym przez telefon i nie było tu okien, więc nie mogłam nawet śledzić słońca. Nie miałam najmniejszej ochoty zadzierać z więzienną kotką, jedną z nielicznych dostępnych tutaj rozrywek. Nauczyłam się także, co oznacza kara przez powtarzanie bez żadnej nagrody. Jak ktoś mógł odsiadywać w takich warunkach dłuższe wyroki bez groźby postradania zmysłów?

Nikt nie chciał zaprzyjaźniać się z obcymi, ale trochę kombinowania odbywało się przy papierosach. W Danbury szans na handelek było wiele. W Oklahoma City jedynymi rzeczami w obrocie były seks, leki psychotropowe innych więźniów i, co najważniejsze, nikotyna. Raz w tygodniu, gdy wydawano papierosy, czuło się napięcie gotowe rozsadzić całe więzienie. Posiadacze nowych dostaw byli albo mili i dzielili swoje papierosy w mniejsze „fajki”, którymi obdzielali z dobroci serca, albo też płacono im w lekach psychotropowych, które pozwalały przesypiać całe dnie, tak jak robiła to LaKeesha. Cała ta sytuacja była dla mnie niezwykle stresująca i bardzo cieszyłam się, że nie palę. Moje włosy zamieniały się powoli w stóg siana, z braku odżywki – wydawano nam jedynie małe paczki szamponu. Wreszcie zaczęłam używać torebek majonezu, które sprawiały, że moje kłaki

były tłuste, ale przynajmniej mogłam jakoś je uczesać, używając małego, czarnego grzebienia z plastiku, wydawanego w więzieniu.

Nagle Jae i Slice zostały wywiezione. O czwartej nad ranem zęgnęłam się z Jae przez grubego, kwadratowego wizjera mojej celi.

– Trzymaj się blisko Slice! – mówiłam. – Znajdę cię, po tym, jak wyjdę.

Jae wpatrywała się we mnie swoimi wielkimi, brązowymi i łzawymi oczami – słodkimi, smutnymi i przerażonymi jednocześnie.

– Uwważaj na siebie, Piper – powiedziała. – I pamiętaj o tej sztuczce z wazeliną, której cię nauczyłam!

– Będę pamiętać! – Pomachałam jej na do widzenia przez trzy szkła więziennej celi. Kiedy wypuścili nas na śniadanie dwie godziny później, czułam się bardzo samotna, pozostawiona sama sobie. Brakowało mi moich dziewczyn i szukałam wzrokiem Nory. Wiedziałam, że cokolwiek mnie teraz czeka, będzie związane z nią.

Kilka dni później moja towarzyszka z celi, LaKeesha, wyjechała do Danbury. Byłam zazdrosna. Gdy się ubierała, polecałam jej:

– Gdy dotrzesz do Obozu, powiedz Angeli, która będzie cię przywozić z miasta, że widziałaś Piper w Oklahoma City i że wszystko z nią w porządku, i że pozdrawia.

– OK, OK. .. czekaj, a kto to ten Piper?

Dlaczego nie byłam zdziwiona? Westchnęłam.

– Po prostu powiedz im, że spotkałaś białą dziewczynę, która ćwiczy jogę, jest z Danbury i że wszystko z nią w porządku.

– To zapamiętam!

Przez kilka dni byłam zupełnie sama w celi. Przerabiałam w kółko wszystkie moje pozy z jogi, wpatrując się w nieprzeźroczyste okno, które wpuszczało do środka trochę światła; było wysokości całego pokoju i miało jakieś sześć cali szerokości. Mogłam zachować woreczek z mlekiem ze śniadania i trzymać go w chłodzie godzinami, u podstawy okna. Mleko było jedyną pewną rzeczą nadającą się do jedzenia. Nauczyłam się też spać

twarzą do ściany, z ręką chroniącą oczy przed fluorescencyjną żarówką, która świeciła w celi przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Po raz pierwszy spałam na dolnym materacu – jak dla mnie, dziwna nowość.

Potem pojawiła się moja nowa towarzyszka, młoda Hiszpanka. Pochodziła z Teksasu i była w drodze do więzienia na Florydzie. Nigdy wcześniej nie siedziała, wszystko ją dziwiło i miała mnóstwo pytań. Odgrywałam rolę zahartowanej więźniarki i opowiadałam jej, czego może się spodziewać. Przypominała mi Marię Carbon z pokoju szóstego i z budowlanego, zrobiło mi się z tego powodu przykro.

Wreszcie, tydzień później, o czwartej nad ranem usłyszałam walenie w drzwi celi.

– Kerman, pakuj się!

Nie miałam nic do spakowania, poza moim, teraz już trochę podniszczonym, papierem z Danbury, na którym wybazgrane były wspomnienia po dziewczynach stamtąd. Wskoczyłam szybko w mój uniform khaki, gotowa na wszystko, co może mnie stąd zabrać – nieważne, czy będzie to Nora, czy ktoś inny. Zgodnie z instrukcjami Jae, wyjęłam mój cenny zapas wazeliny z kontrabandy, dotychczas ukryty w skarpecie, i upchałam trochę w ucho. W czasie długich godzin podróży samolotem będę musiała obyć się w większości bez wody. Wazelinę będę mogła nałożyć na usta, zapobiegając ich pękaniu.

Gdy wchodziłam do samochodu, znów w kajdanach, jeden z federalnych, który był też na pokładzie samolotu poprzednim razem, zaczął się we mnie wpatrywać.

– Coś nie tak, Blondyneczko?

Przybrałam kamienny wyraz twarzy.

– Lepiej zweryfikuj swoje podejście, Blondyneczko – porażił ostro.

Strażnicy posadzili mnie w samolocie koło Nory. W tym momencie mój niefort mnie już nawet nie dziwił, chociaż wewnątrz szalałam z wściekłości. Byłam zakuta, miałam wazelinę w uszach i siedziałam koło krowy, która wpakowała mnie w cały ten am-

baras. Nie miałam zamiaru na nią patrzeć. Nie odzywałyśmy się do siebie w ogóle przez cały lot. Samolot zatrzymywał się w Terre Haute, Detroit i innych pokrytych śniegiem pustkowiach środkowego zachodu. Przynajmniej siedziałam przy oknie.

Wysiadając w słonecznym i wietrznym Chicago, czułam, pomimo mojego zdenerwowania i psychicznego dyskomfortu, dreszczyk emocji. Zachowałam też dość poczucia humoru, by docenić ironię sytuacji. Oto miasto, które było osią całego tego burdelu i jakoś pasowało, żebyśmy były tutaj razem.

Pas w Chicago był pełen życia i było na nim bardzo zimno. Zamarzałam w moim cienkim uniformie. Skuci skazani byli rozdysponowywani w różnych kierunkach przez strażników, a Nora i Hester były podekscytowane widokiem białego chłopaka w oklapniętych włosach.

– To George! – wykrzyknęły.

Przyjrzałam się, gdy odwrócił się w naszą stronę i przywitał radośnie skinieniem podbródka, zanim wepchnięto go do autobusu. Jeśli to był stary przyjaciel Hester, Geroge Freud, to stracił trochę kilogramów przez ostatnie dziesięć lat. Wyglądało na to, że cały gang został sprowadzony do Wietrznego Miasta z okazji wielkiego wydarzenia, jakim był proces Jonathana Bibby'ego. Wpakowano nas do osobowego vana z grupką facetów i odwieziono do centrum przez zakorkowane miasto w kolumnie nieoznaczonych i mocno strzeżonych białych wozów.

Hester siedziała koło mnie i przez chwilę popatrzyła mi w oczy.

– Wszystko w porządku? – spytała, nawet dość wiarygodnie, ze swoim środkowozachodnim akcentem. Wymamrotałam, że wszystko OK i wyjrzałam przez okno, wytrącona z równowagi jej dobrocią.

Gdy zmierzaliśmy do więzienia, zastanawiałam się, jak poradzić sobie w Miejskim Ośrodku Poprawczym Chicago, znanym także jako więzienie federalne, gdzie zazwyczaj trzymają się ludzi, dopóki nie zostaną rozstrzygnięte ich sprawy. Chyba że, tak jak

Lil Kim, ktoś odsiadywał tam cały wyrok. Jae siedziała w Brooklyńskim więzieniu federalnym przez dwa lata, zanim trafiła do Danbury i opisywała sytuację jako znacznie lepszą niż w Oklahoma City.

– W Brooklynie były dwie jednostki, coś koło dwustu kobiet. Można mieć pracę i w ogóle, było trochę rzeczy do roboty. W federalnym w Chicago będziesz mogła trochę odpocząć, pogadać z normalnymi ludźmi albo po prostu przeczekać wszystko, może nawet dostaniesz przydział do innej jednostki lub dormitorium, niż twoje współoskarżone.

Kiedy się tam dostałyśmy, wwieziono nas do wysokiej, trójkątnej fortecy, znajdującej się w ogólnie opuszczonym dystrykcie tej dzielnicy. Wypakowali nas z vana, wepchnęli do windy i wreszcie dotarliśmy do brudnego, zdeorganizowanego i rozwalającego się biura przyjąć. Konstrukcja budynku była dezorientująca – piętra wydawały się malutkie i nawet ciaśniejsze niż w rzeczywistości, bo były strasznie zagracone. Dookoła znajdowały się cele przejściowe, zaludnione mężczyznami ubranymi na pomarańczowo, w większości o ciemnym kolorze skóry. Szybko zamknięto nas w takiej przejściowej celi – także potwornie brudnej.

W czasie następnych pięciu godzin chodziłam po celi i próbowałam ignorować obie siostry. Były bardzo miłe i niewiele mówiły, jakby w poszanowaniu mojej buzującej furii. Po kilku następnych godzinach leżałam na jednej z twardych, wąskich ławek, nie robiąc nic. Nora odchrząknęła.

– Piper?

– Co?

– Czy ty w ogóle znasz Jonathana Bibby’ego?

– NIE.

Kilka chwil minęło w ciszy.

– Musisz być wściekła.

– No raczej.

Strażniczka wydała nam niepasujące, pomarańczowe, męskie kombinezony. Mój zapinał się z przodu, miał krótkie rękawy

i bardzo dziwnie skrojone nogawki – coś jak spodnie trzy czwarte. Niemal cały rok udawało mi się uniknąć popadnięcia w stereotypy – teraz prezentowałam się tak stereotypowo, jak to tylko możliwe. Wreszcie wyglądało na to, że odeskortują nas gdzieś, gdzie będziemy mogły odpocząć przez noc. Byłam tak cholernie zmęczona, że jakiegokolwiek inne miejsce byłoby lepsze od tej brudnej, niekomfortowej celi, w szczególności, jeśli będzie ono z dala od Nory.

Nasza trójka jechała windą w ciszy na dwunaste piętro. Przeszliśmy przez kilka dobrze zabezpieczonych drzwi, aż za ostatnimi z nich pojawił się oddział kobiecy.

Oddział psychiatryczny. Takie było moje pierwsze wrażenie. W malutkim pokoju mieściły się dwa telewizory, które toczyły ze sobą walkę po jego dwóch stronach. W pokoiku unosiła się kakofonia głosów. Siedzące tam kobiety były nieporządne i zadziwione – na nasz widok mrugały jak krety. Pomimo tego, że nie było w tym miejscu nic zabawnego, całość miała w sobie coś z atmosfery przedszkola. Gdy weszliśmy, wszystko się zatrzymało i ludzie odwrócili się w naszym kierunku. Strażnik, w źle dobranym mundurze, który wyglądał jak chodząca definicja niekompetencji, zdawał się zaskoczony naszym przybyciem. Podszedł do nas, a ja odwróciłam się do Nory i Hester, po czym zaczęłam się śmiać, śmiechem pełnym niedowierzania i desperacji. W tym momencie lody między nami stopniały.

– O nie, do diabła!

Zrozumiały i one też zaczęły się śmiać, z ulgą, a w ich oczach zobaczyłam ten sam wyraz niedowierzania, pomieszany z niesmakiem i wyczerpaniem. Jechałyśmy na tym samym wózku. I w tym momencie nagle zdałam sobie sprawę, że obie siostry były wszystkim, co teraz miałam.

Większość zmian w postrzeganiu świata zachodzi stopniowo: powoli zaczynamy nienawidzić lub kochać jakiś pomysł, osobę, miejsce – potrzeba na to czasu. Z pewnością od wielu lat hodo wałam w sobie nienawiść do Nory Jansen, winiąc ją za sytuację, w której się znalazłam. Jednak tym razem nie był to przypadek

takiego typu. Czasami, bardzo rzadko, zmiana sposobu postrzegania pewnych rzeczy jest kwestią pewnej alchemii. Moje emocje zmieniły się nagle – poczułam, ile mam wspólnego z tymi dwiema kobietami, nie było możliwości zastanowienia się nad tym, co się działo. Nasze wspólne i trudne dzieje zostały nagle zastąpione przez to samo, obecne doświadczenie: więźniarek po wycieńczającej podróży.

Stałyśmy razem przez chwilę, gdy dookoła szalał chaos i nagle zorientowałam się, że najprawdopodobniej nie mają one pojęcia o ostatnich dziesięciu latach mojego życia – w tym także o tym, że siedziałam w więzieniu. Obie trafiły za kratki przede mną.

I tak zaczęłyśmy rozmawiać.

– Czy w Kentucky też to tak wygląda? – spytałam Hester.

– Co ty.

– Dublin?

– Absolutnie nie. Gdzie siedziałaś?

– W Danbury. I w niczym nie przypominało to tego cyrku.

Pojawił się oficer, razem z naszymi przydziałami łóżek. Zostałyśmy zabrane do cel i zamknięte. Moja nowa współlokatorka miała na imię Virginia i ważyła ze sto dwadzieścia kilogramów. Nigdy w życiu nie słyszałam takiego chrapania. Brzmiało to, jakby na materacu pode mną znajdowało się jakieś dzikie, wściekłe zwierzę. Gdy przewracałam się z boku na bok na plastikowym pościeliu, próbując przykryć głowę poduszką, zdałam sobie sprawę, że właśnie to Pop miała na myśli, mówiąc „prawdziwe więzienie”.

– Wy, dziewczyny, nie macie pojęcia, jak wygląda prawdziwe więzienie.

Przypomniałam sobie profesora z uniwerku, który powiedział mi, że brak snu albo często przerywany sen kończy się halucynacjami.

Virginia była astrolożką-amatorką, która rzadko brała prysznic. Powiedziała mi, że ma zamiar sama bronić się w sądzie. Kiedy odmówiłam podania jej mojej daty urodzin, żeby mogła „postawić mi horoskop”, była bardzo obrażona. Pomyślałam

o pannie Pat i pannie Philly, dwójce najmniej stabilnych psychicznie kobiet w Danbury, i przypomniałam sobie, że z szaleńcami trzeba postępować niezwykle ostrożnie. Następnego dnia moje pierwsze wrażenie o całej jednostce zostało potwierdzone, gdy zorientowałam się, że większość mieszkających tu kobiet znajdowała się pod obserwacją psychiatryczną z nakazu sądu. Było w tym trochę czarnego humoru – więźniarki w Chicago miały bardzo mało albo w ogóle nie miały kontaktu z personelem więzienia lub kuratorami jakiegokolwiek typu – wyglądało to tak, jakby osadzone same prowadziły ten szpital psychiatryczny.

Zauważyłam także, że prawie wszystkie kobiety w Chicago oczekiwały dopiero na proces – ich sprawy nie zostały jeszcze osądzone, ale one nie wyszły albo nie mogły wyjść za kaucją. Musiały więc siedzieć tutaj, a sprawiedliwość toczyła się swoim powolnym torem. Niektóre z nich były tu już od miesięcy, wciąż czekając na zarzuty. Czyniło to ich życie zupełnie nieprzewidywalnym na każdym poziomie – te z nich, które jeszcze nie były szalone, zaczynały zachowywać się jak wariatki, wyprowadzone z umysłowej równowagi przez wściekłość i niestabilność. Zostałam wrzucona do gniazda węży. Virginia mnie ostrzegła.

– Widzisz Connie, tę, która tam siedzi? – Wskazała na kobietę, która wyglądała jak w śpiączce. – Poprosi cię o brzytwę. Obiecuj mi, że jej nie dasz! Nie martw się, jest groźna tylko dla samej siebie.

Obiecałam.

Żadna z zasad więziennego życia, które już znałam, nie miała tutaj zastosowania. Nie było komitetu powitalnego z butami i szczoteczką do zębów; nie było zrozumienia w obliczu nieprawidłowych lub zakazanych pytań; nie było poczucia wspólnoty i uznania dla ratujących psychiczną równowagę rutyny, porządku lub poszanowania samej siebie. Nie można było nawet polegać na systemie plemiennym – białe kobiety były nic niewarte. Większość z nich była naćpana lekami, które miały powstrzymać je przed samobójstwem (lub, co grosza, próbą zabicia sąsiadek).

Moim plemieniem były Nora i Hester (która teraz funkcjonowała pod swoim prawdziwym imieniem: Anna). Przynajmniej rozumiały oficjalne i nieoficjalne zasady kiblowania. Pełna ostrożności, usiadłam wraz z nimi i powoli próbowałam rozeznaczyć się w sytuacji: co kto z nas wiedział o nadchodzącym procesie i dlaczego to miejsce było tak obrzydliwe. One też były zszokowane tym, jak okropne było więzienie w Chicago. Zgodziłyśmy się, że trudno uwierzyć, że jest to federalna instytucja. Miałyśmy dużo do obgadania o więzieniu, ale nie o to mi tak naprawdę chodziło. Chciałam, żeby Nora przyznała się, że mnie wsypała i żeby wyjaśniła mi, dlaczego to zrobiła.

Wreszcie spotkałyśmy to, co tutaj uchodziło za komitet powitalny – Crystal. Crystal była wysoką, chudą, czarną kobietą około pięćdziesiątki, która tak naprawdę była przywódcą oddziału kobiecego. Wyglądało na to, że była zdrowa na umyśle i że zajmowała się wydawaniem uniformów i podstawowych akcesoriów nowo przybyłym. Zabrała nas do zagraconego schowka, gdzie spośród pudełek wygrzebała parę pomarańczowych uniformów i kilka ręczników. Brakowało im majtek, dała mi więc tylko dwie pary. Spojrzałam na nie.

– Crystal... one... są brudne.

– Przykro mi złotko, tylko to mamy. Wrzuć je do prania, które będzie jutro. Niemal na pewno wrócą.

Nie było dla nas piżam, szamponu, nawet sztućców. Ulżyło mi, gdy usłyszałam, że możemy robić zakupy w więziennym sklepie raz na tydzień, ale, oczywiście, wszystko zależało od tego, czy ktoś w tym budynku odwali swoją robotę i zajmie się moją listą. A to było marzenie ściętej głowy.

Ucieszyłam się niezwykle, gdy usłyszałam, że mają tu dwie pojedyncze kabiny prysznicowe. Niestety, gdy je zobaczyłam, opanowało mnie obrzydzenie. Przed zgłoszeniem się do więzienia, byłam wielokrotnie ostrzegana, by nigdy, absolutnie nigdy nie wchodzić pod prysznic bez kłapek. Moje stopy nie dotknęły kafelek od niemal roku, ale teraz nie miałam kłapek. Zabiłabym

za prysznic. Odkręciłam wodę i ostrożnie zdjęłam moje płócienne kaptcie, po czym weszłam do obrzydliwej kabiny, ściskając w rękę małą kostkę mydła. Moja skóra aż się jeżyła, gdy lodowata woda lała mi się po plecach, a ja próbowałam się jakoś doczyścić.

Nora była w mojej obecności bardzo ostrożna. Była też wdzięczna, że zmieniałam moje wrogie nastawienie do niej. Z pewnością miałam prawo być wredna; kiedy byłam, przyjmowała to ze spokojem. Anna/Hester była tym zadziwiona, ale się nie wtrącała. Myślę, że uważała swoją dużą siostrę za zdolną do samodzielnej obrony. Może też uważała, że się jej należy. Dowiedziałam się, że Nora uczyła w programie praktyk w Dublinie. Hester/Anna brała udział w programie ze szczeniakami w Lexington. Zanim ją zamknęli, otrzeźwiała, wyszła za męża i przyjęła Jezusa jako swojego osobistego zbawcę. Nora była cały czas taka sama, jak ją pamiętałam – zabawna, kombinująca, ciekawska i czasami tak skupiona na sobie, że aż prosiła się o walnięcie z liścia w twarz.

Wreszcie przestałam owijać w bawełnę.

– No, to powiedz mi, co się działo od naszego rozstania w 1993?

Według Nory przez wiele miesięcy po moim zniknięciu z jej życia, próbowała znaleźć kogoś i odejść z interesów z Alajim. On jednak poinformował ją wprost, żeby nie próbowała żadnych sztuczek i ostrzegł przed konsekwencjami próby odejścia. „Zawsze będę wiedział, gdzie jest twoja siostra”, zagroził. Trochę później para kurierów wpadła w dwóch miejscach jednocześnie, w San Francisco i w Chicago. Sprawy przybrały zły obrót i, oczywiście, całą operację szlag trafił.

Za pieniądze z narkotyków Nora zbudowała swój wymarzony dom w Vermoncie. Długo się nim nie nacieszyła – wkrótce wpadli z wizytą agenci SWAT, którzy zabrali ją do aresztu. Twierdziła, że gdy federalni ją wsadzili, to wiedzieli już wszystko o całym przedsięwzięciu. Ktoś – zapewne jej podejrzany partner biznesowy, Jack – wszystko wyśpiewał.

– Mieli moje nazwisko? – spytałam.

– Tak, wiedzieli doskonale, kim jesteś. Ale na początku powiedziała im, że byłaś tylko moją dziewczyną i że nic nie wiedziałaś.

W tym momencie trudno mi było zdecydować, w co wierzyć. Włożyłam dużo energii i czasu w nienawiść do Nory i planowanie zemsty. Jej historia brzmiała całkiem prawdopodobnie, ale mogła też być zupełnym kłamstwem. Wierzyłam, że czuła się źle z błędami, jakie popełniła w życiu i gdy patrzyła na drugą stronę stołu na swoją młodszą siostrę lub gdy opowiadała o jej, starych już, rodzicach (którzy mieli nie jedną, ale dwie córki w więzieniu) – wówczas było mi jej żal. W głowie kotłowało mi się od tych informacji, miałam kompletny mętlik. Mętlik, który musiałam teraz jakoś rozsypać. Poukładać sprawy.

Zaczyynałam rozumieć, co Kowboj Marlboro miał na myśli, mówiąc o „terapii dieslem”.

Rozdział 18

Zawsze może być gorzej

Każdy dzień w Chicago zaczynał się dokładnie w ten sam sposób. O szóstej rano więźniowie (mężczyźni mogli mieć robotę) przyprowadzali wózki z jedzeniem na kobiecy oddział przez potężne, zabezpieczone drzwi. Wtedy jedyny OD na służbie obchodził całą jednostkę i otwierał drzwi do cel więźniarek. Kiedy klikały zamki, każda z nas wytaczała się z łóżka i biegła zająć miejsce w kolejce po śniadanie, która była raczej smutnym miejscem. Nikt ze sobą nie rozmawiał, twarze były smutne, zawzięte lub po prostu bez wyrazu. Do jedzenia dostawałyśmy zazwyczaj zimne płatki i pół litra mleka, czasami trochę pomarszczonych jabłek, wydawanych przez więźniarkę o imieniu Princess. Z rzadka pojawiały się gotowane jajka. Szybko zorientowałam się, dlaczego każdy zawsze wstawał na śniadanie: podobnie jak w Oklahoma City, był to jedyny jadalny posiłek w ciągu dnia.

Pokój pustoszał równie szybko, jak się zapełniał. Niemal każda z nas wracała zaraz do łóżka. Czasami śniadanie zjadało się od razu, czasami odkładało na później w pojemniku wypełnionym lodem, który udało się skądś wytrzasnąć. Cały oddział zagrożony był w ciszy przez następnych kilka godzin. Potem zaczynał się ruch, włączano telewizory i tak mijał kolejny beznadziejny dzień w tej wysokiej fortecy.

Każdy, kto mnie kochał, chciał, żebym była niewinna – wrobiona, oszukana, nieświadoma. Niestety, tak nie było. Wiele lat wcześniej chciałam przeżyć przygodę, mieć jakieś nielegalne doświadczenie – co czyniło je tym bardziej ekscytującym. Owszem,

Nora mogła mnie wtedy wykorzystać, ale byłam gotowa na to przystać.

Kobiety, które spotkałam w Danbury, pomogły mi zmierzyć się z moimi błędami, a także ze wszystkimi złymi rzeczami, które zrobiłam. Nie chodziło jedynie o mój wybór zrobienia czegoś złego i nielegalnego; błędy te popełniłam także z powodu mojego stylu życia samotnej wilczycy – z tego też powodu skutki moich działań były często gorsze dla tych, których kochałam, niż dla mnie. Nie myślałam już o sobie jako odbiciu opinii D.H. Lawrence'a o narodowym charakterze Amerykanów: „Dusza prawdziwego Amerykanina jest twarda, samotna, stoicka i jest duszą mordercy. Nigdy nie okazuje uczuć”.

Kobiety takie jak Allie, Pompon, Pennsatucky, Jae czy Amy, nauczyły mnie okazywać uczucia. Potrafiłam rozpoznać, do czego jestem zdolna i jak moje wybory wpływają na ludzi, których mi teraz brakowało: nie tylko na Larry'ego i moją rodzinę, lecz także koleżanki zza krat, które spotkałam przez ostatni rok spędzony w piekle. Dawno temu zrozumiałam, że muszę ponieść konsekwencje swoich czynów. Jestem zdolna do popełnienia strasznych błędów, ale także gotowa ponieść odpowiedzialność za swoje czyny.

Jednak nie można wierzyć w to, co system więzienny – personel, zasady, a nawet niektóre współwięźniarki – chce, abyś myślała o sobie: że jesteś najgorsza. Kiedy zdecydujesz się zrobić inaczej, kiedy zachowujesz się jak osoba godna szacunku, czasami i system traktuje się tak samo. Gdy ogarniały mnie wątpliwości, wstyd czy jeszcze gorsze emocje, wtedy listy, książki i odwiedziny przyjaciół, ukochanego oraz rodziny były potężnym dowodem na to, że wszystko jest ze mną w porządku. W walce z tymi okropnymi, targającymi mną emocjami były skuteczniejsze niż zaklęcia, talizmany czy pigułki.

Sytuacja w więzieniu federalnym w Chicago była trochę inna. Zostałam odcięta od wszystkich ludzi, którzy pomogli mi przetrwać odsiadkę, zarówno tych z zewnątrz, jak i z więzienia. Zostałam kompletnie wytracona z równowagi. Beznadzieja otacza-

jących mnie kobiet bardzo źle na mnie wpływała, podobnie jak bezsensowność każdego dnia spędzonego tutaj oraz zupełny brak szacunku i obojętność, z jakimi byliśmy traktowane. OD, którzy pracowali w oddziale, byli czasami nawet mili, choć jednocześnie nieprofesjonalni, ale nie mogli nic zrobić. Próba jakiegokolwiek kontaktu z więzieniem w Chicago była jak wpatrywanie się w betonowy mur. Nikt nie odpowiadał na pytania. Majtek jak nie było, tak nie było. Moje poczucie wewnętrznego spokoju znalazło się w stanie zagrożenia. Jedzenie, czasami nadające się do spożycia, było przynoszone w regularnych odstępach czasu i w tym nowym otoczeniu była to chyba jedyna rzecz, na którą można było liczyć. Moje telefony do Larry'ego i rodziców brzmiały coraz bardziej desperacko. Po raz pierwszy od momentu, gdy trafiłam do więzienia, powiedziałam:

– Musisz mnie stąd wydostać.

Zagroziłam Norze, że utopię ją w toalecie.

Żyliśmy w permanentnym stanie kontrolowanej wrogości. Kilka razy dziennie groziłam jej, że ją zabiję w czasie, gdy wspólnie grałyśmy w karty, wspominałyśmy, porównywałyśmy doświadczenia z poprzednich więzień lub po prostu narzekałyśmy. Co dziwne, czasami nadal odczuwałam przyпіływy wrogości wobec niej, czego nie potrafiłam opanować. Nie umiałam jej zaufać, ale zorientowałam się, że tak naprawdę nie ma to znaczenia. Nieważne, czy była ze mną szczerą – chciałam jej wybaczyć.

Dzięki temu mogłam się poczuć lepiej, lepiej znosić to gówniane miejsce, w którym się znalazłyśmy i, mówiąc szczerze, bardziej docenić fakt, że niedługo miałam wrócić do domu. Ona miała spędzić w więzieniu jeszcze wiele, wiele lat. Jeśli mogłam jej wybaczyć, oznaczało to, że byłam silną, dobrą osobą, która potrafi wziąć odpowiedzialność za drogę, którą dla siebie wybrała i ponieść konsekwencje, które wiązały się z tym wyborem. Miałam też z tego prostą, ale i ważną dla mnie satysfakcję – byłam dobra dla kogoś w ciężkim położeniu, co było moją zasadą przez cały czas spędzony za kratkami.

Nie jest łatwo rozstać się ze swoim gniewem, z poczuciem bycia skrzywdzoną. Nadal uprzedzałam Norę, że dziś może być dzień, w którym utonie, a ona śmiała się nerwowo w odpowiedzi na moje groźby. Czasami jej siostra deklarowała chęć pomocy przy topieniu, jeśli Nora ją także akurat denerwowała. Jednak jakoś zdołałyśmy podpisać rozejm, jak wszyscy kochankowie, którzy dużo razem przeszli, ale zdecydowali się pozostać przyjaciółmi. Rzeczy, które mi się w niej podobały ponad dziesięć lat temu – jej poczucie humoru, sposób bycia, zainteresowanie tym, co dziwne i niedozwolone – wszystko to nadal w niej było. Co więcej, lata pobytu w więzieniu o zaostrożnym rygorze w Kalifornii nawet je wyostrzyły.

Byłyśmy dla siebie nawzajem barierą przed dziwolągami, które zaludniały tą jednostkę. Oprócz samobójczo nastawionej Connie było tu trochę podpalaczek-schizofreniczek, nerwowa i gniewna włamywaczka, a także kobieta, która napisała list, w którym groziła, że zabije Johna Ashcrofta, oraz malutka, ciężarna kobieta, która potrafiła nagle usiąść koło mnie i przeczesywać mi włosy ręką, mamrocząc pod nosem. W ciągu kilku spędzonych tutaj tygodni widziałam więcej dziwaków i wariatek niż przez wiele miesięcy spędzonych w Danbury. Wszystkie te przykłady były z grubsza ignorowane przez CO. W Chicago nie było izolatki dla kobiet (nasz oddział znajdował się bezpośrednio nad izolatką dla mężczyzn), więc jedyną karą, jaką można było przeciwko nam zastosować, było wysłanie do więzienia hrabstwa Cook, największego w kraju, liczącego sobie dziesięć tysięcy osadzonych.

Nie chcesz tam trafić! – ostrzegała Crystal, miejscowy wódz, i zdawało mi się, że wie, o czym mówi.

Teraz, po kilku tygodniach pobytu w federalnym w Chicago, siostry i ja zauważyłyśmy, że było tu też kilka normalnych kobiet. Na początku nikt się do nas nie zbliżał; dopiero po jakimś czasie zrozumiwałyśmy, że niektóre z mieszanek dwunastego piętra po prostu się nas bały – mimo wszystko byłyśmy zahartowanymi skazanymi z „prawdziwych więzień”. Po jakimś czasie

jednak musiały zauważyć, że byłyśmy „normalne”, tak jak i one. Nastąpiła seria nowych powitań: para przemyłych i przyjacielskich hiszpańskich *mamis*, bardzo niska fanatyczka sportu i prześmieszna chińska lesbijka, która zaczęła znajomość od próby podrywu:

– Podoba mi się twoje ciało!

Zostałyśmy natychmiast uznane za autorytety w dziedzinie czegokolwiek, co dotyczyło federalnego więziennictwa. Kiedy próbowałyśmy tłumaczyć, że „prawdziwe więzienie” było znacznie bardziej znośne niż nasza obecna sytuacja, wszystkie kobiety były bardzo zdziwione. Chciały też od nas mnóstwa porad prawnych i cały czas musiałam powtarzać:

– Nie jestem prawnikiem. Musisz spytać swojego adwokata...

Jednak wszystkie miały obrońców z urzędu, z którymi ciężko było się skontaktować. Do ściany przytwierdzony był przedziwny, czarny Bat-telefon, który podobno dawał bezpośrednie połączenie z Legal Aid.

– Gównu nam to daje – skarżyła się jedna z podpalaczek.

Nie miałam takich problemów z prawnikami, jak moje współosadzone. Pewnego dnia zostałam wezwana „do sądu”, wyprowadzona z jednostki i wysłana na dół do biura przyjęć, gdzie siedziałam w przejściowej celi przez kilka godzin. Wreszcie zostałam przekazana mojej eskorcie, dwóm młodym agentom federalnym z wydziału celnego. Nie wiem, czego oczekiwali, ale z pewnością nie mnie. Kiedy odwróciłam się do nich plecami, żeby mnie skuli, facet, który czynił honory, ewidentnie się przestraszył.

– Jest za mała. Nawet na nią nie pasują! – odezwał się tak, jakby się zmartwił.

Jego kolega wsadził gruby paluch między kajdanki a mój nadgarstek i stwierdził, że wszystko jest w porządku.

W mniemaniu tych prostolinijnych, młodych chłopaków, nie miałam być jedną z osadzonych w tej fortecy. Najprawdopodobniej za bardzo przypominałam im ich siostrę, sąsiadkę czy żonę.

Po tak długim zamknięciu cieszyła mnie przejażdżka ulicami Chicago. Gdy dotarliśmy do budynku federalnego w South Dearbon, zostałam zabrana na górę, do niczym niewyróżniającej się sali konferencyjnej. Tam miałam czekać pod strażą mniej przejmującego się moimi kajdankami strażnika. Przez jakieś piętnaście minut siedzieliśmy naprzeciw siebie w milczeniu. Nie patrzyłam na niego, ale mogłam zauważyć, że mnie obserwuje – co, jak sądzę, było jego obowiązkiem. Wyglądało na to, że zaczynał się denerwować. Wiercił się na krześle, patrzył na zegarek, na mnie, znów się wiercił. Myślałam, że jest po prostu znudzony. Jako wprawna adeptka więziennego Zen, po prostu czekałam na dalszy rozwój wypadków. Wreszcie nie dał rady.

– Wiesz, wszyscy popełniamy błędy.

Spojrzałam na niego.

– Wiem – odparłam.

– Byłaś uzależniona?

– Nie, po prostu popełniłam błąd.

Przez chwilę milczał.

– Jesteś taka młoda.

To mnie rozbawiło. Pewnie przez jogę. Był z pewnością młodszy ode mnie.

– Moje przestępstwo ma już ponad jedenaście lat. Mam trzydzieści pięć lat.

Uniósł brwi. Nie wiedział, co zrobić z tą informacją.

Na szczęście otworzyły się drzwi i rozmowa się skończyła. Wszedł mój prawnik, Pat Cotter, w towarzystwie zastępcy prokuratora i kanapki z pieczoną wołowiną.

– Larry powiedział, że uwielbiasz pieczoną wołowinę!

Pozarałam kanapkę w najgodniejszy sposób, w jaki potrafiłam. Niemal zapomniałam o moim pomarańczowym uniformie, ale teraz przypomniałam sobie, w jakiej jestem sytuacji. Pat przyniósł mi także piwo korzenne. Oto, co można było dostać dzięki obrońcy z najwyższej półki. Bardzo się ucieszyłam na jego widok.

Pat wytłumaczył mi, że ponieważ będę świadkiem rządowym, pani prokurator, która wsadziła mnie do więzienia (no, sama się wsadziłam; ona była tylko oskarżycielem) musiała mnie przygotować. Jeszcze raz przypomniał mi, że moja ugoda zobowiązywała mnie do współpracy. Miał zostać przy naszej rozmowie, ale nie miałam ochrony prawnej jako takiej. Nie było też żadnego realnego ryzyka prawnego, jeśli tylko nie złożyłam fałszywych zeznań. Zapewniłam go, że nie mam zamiaru niczego takiego robić. Prosiłam go też, żeby wyciągnął mnie z federalnego w Chicago i przeniósł z powrotem do Danbury. Powiedział, że zobaczy, co da się zrobić; proces Jonathana Bibby'ego został już dwukrotnie przesunięty. Wiedziałam, co to oznacza – nie mam najmniejszych szans. Zastanawiałam się też, ile będzie mnie kosztować ta pyszna kanapka z pieczoną wołowiną.

Byłam bardzo zmęczona, gdy wróciłam do fortecy.

– Na was też przyjdzie czas – powiedziałam Norze i Hester/Annie. Przeniesiono nas do sześćoosobowej celi razem z trzema innymi kobietami. Teraz, poza wszystkim innym, także razem mieszkaliśmy. Poszłam spać.

Największym problemem w federalnym było to, że nie było tu nic do roboty. Było trochę beznadziejnych książek, talie kart i piekielne telewizory, zawsze włączone, zawsze nastawione na maksymalną głośność. W Oklahoma City też nie było nic do roboty, ale przynajmniej było czysto, spokojnie i było dziesięć razy więcej miejsca. Na szczęście w Chicago dostawałyśmy pocztę i wkrótce zaczęłam otrzymywać listy oraz książki. Dzieliłam się nimi z moimi współlokatorkami.

Kiedy jesteś w bardzo złej sytuacji, szukasz pomocy tych, którzy mogą cię zrozumieć. Chwyciłam więc za pióro i napisałam do jedynej osoby na wolności, która mogła zrozumieć moją sytuację – mojego listownego przyjaciela, Joe'go, byłego rabusia banków. Oczywiście, odpisał natychmiast.

Droga Piper,

Dostałem twój list. Dzięki, że przypomniałaś mi, jak bardzo nie-
nawidziłem Metropolitanego Centrum Więziennego w Los Angeles.
Śmiałem się jak wariat, gdy przeczytałem, że odmawiasz ujawnienia
swojej daty urodzin Twojej gadatliwej astrolożce-amatorce. Za-
bójczo śmieszne. Pewnie dostaje od tego szału.

Spotkałem się z Twoim chłopakiem, Larrym, gdy przejeżdżałem
przez Nowy Jork w zeszłym miesiącu. Strzeliliśmy sobie miłą kawkę
w kawiarni koło Waszego domu. To dobrze, że masz jakieś miejsce,
gdzie wylądujesz, kiedy Cię oficjalnie wypuszczą z domu przejś-
ciowego.

Mówiąc o lądowaniach, to utknąłem w Oklahoma City na dwa mie-
siące w czasie mojego transferu z Kalifornii do Pensylwanii. Ponie-
waż byłem więźniem wysokiego ryzyka, to spędziłem cały ten czas
zamknięty w izolatce. W środku lata. Cierpiałem. Jestem tak cholernie
nie szczęśliwy, że odsiedziałem już swoje. Nieźle mi to wychodziło,
ale nie mam ochoty powtarzać doświadczenia. Nie mam nic przeciwko
zmarnowaniu tego talentu.

Wspominałaś, że spotkałaś swoje koleżanki z czasów przestęp-
czych i że na początku atmosfera była raczej chłodna. To niesamowite,
jak beznadziejna sytuacja może związać ludzi ze sobą. Swego czasu
odsadywałem wyrok w Kalifornii, ale musiałem przenieść się do
więzienia w hrabstwie na jeden miesiąc, żeby odsiedzieć inny
wyrok. Nie mogłem się doczekać, kiedy wrócę do stanowego więzienia.
Chciałem wrócić do moich utartych ścieżek, do moich starych kumpli,
do moich ubrań, lepszego jedzenia. Rozumiem więc, że chcesz wrócić
do Danbury. Czuję się tak samo.

Bądź silna, Piper. To już prawie koniec, a po wszystkim możesz
w większości o tym zapomnieć. Nie do końca, ale prawie.

Do następnego razu!

Peace,
Joe Loya

Więzienie federalne wystawiło moje wytrzymałość i tolerancję na próbę. Przynajmniej miałyśmy dostęp do zapasów kobiecych środków higieny osobistej, opatrzonych imieniem Boba Barquera. Po dwóch tygodniach mogłam wreszcie kupić szampon, odżywkę, znaczki i jedzenie z więziennego sklepiku. I pęsetę. Moje brwi były w magicznym stanie, a że w federalnym nie było luster, musiałam skorzystać z pomocy sióstr Jansen. Robiłam pompki i skłony, ale nie było miejsca, w którym mogłabym ćwiczyć jogę, nie będąc jednocześnie na widoku, zwłaszcza w celi, którą zamieszkiwało sześć kobiet – nasza córka, jedna Eminemka, wesola, dwumetrowa gigantka, na którą wołali Malusia i nowa hiszpańska *mami* o imieniu Inez, która była w Chicago z nakazu sądu.

Kiedy pierwszy raz aresztowano Inez, jakaś kobieta w więzieniu hrabstwa chlusnęła jej wybielaczem w oczy i oślepiła ją. Po dziewięciu operacjach częściowo odzyskała wzrok, ale była bardzo wrażliwa na światło i dlatego miała prawo nosić wielkie, musze okulary przeciwsłoneczne. Inez obchodziła właśnie pięćdziesiąte urodziny; starałyśmy się uczynić je na tyle wesołymi, na ile było to możliwe w federalnym.

Teraz nie tylko brakowało mi Danbury, ale także Oklahoma City. Siostry Jansen zgadzały się ze mną. Rozmawiałyśmy z rozmarzeniem o tym, kiedy znów znajdziemy się na pasie startowym w kajdanach. Naszą mantrą było: „Zawsze może być gorzej”. Powtarzałyśmy to głośno każdego dnia jak jakieś zaklęcie, które miało nas uchronić przed rzeczywistym pogorszeniem naszej sytuacji.

Oddział kobiecy dostawał „przywileje” tylko raz w tygodniu. Jednym z nich był czas wolny w siłowni przypominającej salę do wufu z podstawówki z lat siedemdziesiątych. Były tam tylko sflaczałe piłki do kosza, jedna piłka lekarska i żadnych ciężarów. Innym przywilejem był dostęp do biblioteki prawnej, która poza zestawem antycznych tekstów prawniczych zawierała także trochę beznadziejnych wydań kieszonkowych. Do tych „przywilejów” byłyśmy eskortowane przez OD jak przedszkolaki. W cza-

sie tych podróży zawsze spotykałyśmy pracujących więźniów, którzy mieli znacznie więcej wolności w poruszaniu się, niż my, co doprowadzało mnie do szału. By dostać się do siłowni, musiałyśmy przejść przez kuchnię, gdzie zawsze czekało na nas kilku pełnych nadziei chłopaków.

– Panienci czegoś może potrzebują? – spytał jeden z nich pewnego dnia, gdy wprowadzali nas do windy.

– Więcej owoców! – krzyknęłam.

– Wyśle ci trochę bananów, Blondyneczko!

Ledwo mogłam usiedzieć w miejscu, gdy dowiedziałam się, że odwiedzi mnie Larry. Musiałam mocno się powstrzymać, żeby nie wspiąć się na stół i nie zacząć walić pięściami w pierś, porykując jak Tarzan. Jednak nie miałam ochoty na spotkanie z największym zagrożeniem w więzieniu – zazdrością. Trzymałam więc wszystko w tajemnicy. A dodatkowo nie wierzyłam, że sprawy się ułożą.

W sobotę, gdy miał przyjechać z Nowego Jorku, wzięłam gorący prysznic. Inna osadzona dała mi cynk, że z jakiegoś powodu nad ranem tylko przez krótki czas mamy dostęp do ciepłej wody. Moje mokre włosy zwisały na plecach – nie miałyśmy w federalnym suszarek. Poszłam do łazienki i przeglądałam się w metalowej płycie nad zlewami, która służyła mi za lustro. Może to i lepiej, że nie mogłam zobaczyć, jak wyglądam. Zauważyłam pod ścianą ścinki z ołówków – ślad po tym, jak inne więźniarki robiły eyeliner z grafitu i wazeliny. Cóż, takich zdolności jeszcze nie posiadałam.

W Chicago godziny odwiedzin były bardzo krótkie. Siedziałam i nerwowo spoglądałam na zegarek. Siostry Jansen obserwowały mnie równie nerwowo.

– Przyjedzie – zapewniały. Było to właściwie wzruszające, jak bardzo przejmowały się jego wizytą – mówiły o Larrym, jakby go znały. Było mi żal Hester/Anny, że jej mąż nie mógł odwiedzić jej w Chicago – żył niedaleko więzienia, w którym odsiadywała swój siedmioletni wyrok.

Po upływie niemal godziny czasu odwiedzin dostawałam już świra. Wiedziałam, co się dzieje. Debile, którzy prowadzili to miejsce, odesłali go z kwitkiem. Byłam tego pewna – ci ludzie byli absolutnie niekompetentni, z tego, co zdążyłam zauważyć – dlaczego miało być inaczej w przypadku odwiedzin? Byłam załamana i wściekła jednocześnie – zabójcze połączenie.

I wtedy otworzyły się drzwi, wszedł OD i zaczął rozmawiać z drugim, który miał służbę w oddziale.

– Kerman!

Pobiegłam przez pokój.

Kiedy dostałam się wreszcie do dużego, brudnego pokoju odwiedzin, zrobiłam się spokojniejsza. Było tu dużo więźniów z rodzinami i na początku nigdzie nie mogłam znaleźć Larry’ego, ale kiedy wreszcie go zauważyłam, zrobiło mi się słabo. Przytuliłam go i wydaje mi się, że i on wyglądał, jakby miał zemdleć.

– Nie wyobrażasz sobie, przez co musiałem przejść. Ci ludzie są niemożliwi! – niemal krzyczał. Usiedliśmy, gdzie nam kazano, naprzeciw siebie, na plastikowych krzesłach. Po raz pierwszy od czasu wyjazdu z Danbury jakoś się uspokoiłam.

Godzina, która nam została, zleciała bardzo szybko. Rozmawialiśmy o tym, jak wrócę do domu, o tym, co się stanie.

– Jakoś to załatwimy, kochanie – uspokajał mnie, ściskając moją rękę.

Kiedy strażnik krzyknął „Koniec!”, chciało mi się płakać. Po tym, jak ucałowałam Larry’ego na dobranoc, wyszłam z pokoju niemal tyłem, by widzieć go najdłużej, jak tylko się dało. Potem zabrano mnie z innymi więźniarkami do pokoju – wszystkie promieniały radością po wizycie i wszystkie wyglądały dzięki temu lepiej.

– Piper, miałaś gościa? – spytał ktoś.

– Tak, mój narzeczony przyjechał mnie odwiedzić – uśmiechałam się jak idiotka.

– Przyjechał aż z Nowego Jorku, żeby cię zobaczyć? Wow! – Brzmiało to tak, jakby ktoś przyleciał z księżycą.

Przytaknęłam. Nie chciałam przechwalać się tak wspaniałym facetem jak Larry.

– Musisz być wyjątkowa.

O dachu słyszałam od początku mojego pobytu w federalnym. Podobno na dachu był jakiś specjalny obszar rekreacyjny i jeśli pogoda była dobra, oficer mógł nas tam zabrać. Nie wychodziłam od tygodni. Marzyłam o torze i jeziorku w Danbury każdej nocy. Wreszcie, pewnego dnia, ogłoszono, że możemy się zapisywać na czas na dachu. Do windy wcisnęło się tyle kobiet, ile tylko się dało. Na górze leżał cały zapas nylonowych płaszczy, które mogłyśmy włożyć, po czym wyszłyśmy, wysoko, chociaż wszystko dookoła było zamknięte ogrodzeniem i drutem kolczastym. Było tu kilka koszy do koszykówki i zimno jak diabli – jakieś pięć stopni. Niemal natychmiast dostałam czkawki od różnicy tlenu i starałam się oddychać tak głęboko, jak potrafiłam. Dach był, tak jak i budynek, w kształcie trójkąta i rozciągał się z niego szeroki widok na wszystkie strony – w jedną ciągnęły się tory i zajezdnia; po drugiej był budynek ze wspaniałą statua art deco na szczycie. A na południowym wschodzie widziałam jezioro.

Przeszłam na południową stronę, która była otoczona czarnym, żelaznym ogrodzeniem. Pręty były wystarczająco daleko od siebie, żebym mogła wysunąć przez nie głowę. Patrzyłam na jezioro i przyglądałam się miastu pode mną.

– Hej, Nora, chodź tu!

– Co? – Podeszła do miejsca, w którym stałam.

Wskazałam przez pręty.

– Czy to nie jest Hotel Congress?

Patrzyła przez chwilę przez pręty, próbując znaleźć miejsce, gdzie wręczyła mi walizkę pełną pieniędzy – ponad dziesięć lat temu.

– Chyba masz rację. Masz rację! Jezu...

Nie mówiłyśmy nic przez chwilę.

– Co za dziura.

Wreszcie zaczął się proces. Jonathan Bibby, gość, który nauczył Norę, jak szmuglować narkotyki na początku jej „kariery”, twierdził, że był niewinnym marszandem, który po prostu, przez przypadek, obracał się wśród skazanych przemytników narkotyków. Jednak federalni mieli bardzo szczegółowe dowody przeciwko niemu, w tym ślady po jego podróżach do Afryki tym samym lotem, co Nora, Hester/Anna i inni. Hester/Anna została zabrana do sądu pierwsza. Znała oskarżonego od wielu lat. Wróciła zapłakana – adwokat wyciągnął z niej dosłownie wszystko.

Następna była Nora. Pamiętałam, że gdzieś w budynku znajdował się George Freud. Zorientowałam się, że nie było możliwe, żeby nie zawołali też innych współoskarżonych. Wezwano mnie do biura przyjąć 14 lutego.

– Wesołych Walentynek! – powiedziała Nora. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zbliżyło ją to do utopienia.

Tym razem moi strażnicy byli starsi, solidniejsi i bardziej pewni siebie. Byli także dociekliwi.

– Możemy coś dla ciebie zrobić, Piper?

Powaliło mnie to. Nie paliłam. Byłam niemal pewna, że nie dadzą mi szklaneczki szkockiej.

– Może kubek dobrej kawy? – spytałam niepewnie.

– Zobaczymy, co da się zrobić.

Przed wejściem do sali sądowej nigdy nie widziałam Jonathana Bibby’ego. Wkroczyłam na miejsce przeznaczone dla świadka w moim najlepszym pomarańczowym kombinezonie. Pomimo tego, że go nie znałam, spędziłam godziny, opowiadając ławie przysięgłych o moich doświadczeniach. Zastanawiałam się, co sobie wyselekcjonują z tego, co mówiłam. Wszystkie pytania obrony były związane z Norą – było jasne, że to ona była tutaj głównym świadkiem. Nienawidziłam zeznawania dla rządu, ale byłam też wściekła, że ten dupek nie miał dość przyzwoitości, by przyznać się do winy, jak trzynaścioro jego współoskarżonych – oszczędziłby nam wszystkim kłopotów i dyskomfortu.

W czasie powrotu do więzienia moja eskorta zatrzymała się koło kawiarni. Jeden z nich wyskoczył i wrócił z gorącym kubkiem kawy z Dunkin' Donuts. Rozkuł mnie.

– Jest z mlekiem i cukrem, nie wiem, jaką lubisz.

Siedzieli z przodu i palili, gdy ja cieszyłam się każdym łykiem tej kawy. Słuchałam pociągu na estakadzie nad nami i obserwowałam ludzi, którzy po prostu żyli swoim życiem. Zastanawiałam się, czy mogę jeszcze w życiu poczuć się dziwniej.

Kiedy wszystko się skończyło – ława przysięgłych uznała Bibby'ego winnym – nikt nie czuł się dobrze. Wszystko, czego chciałam, to wrócić do normalnego więzienia – czyli do Danbury. A potem wrócić do domu.

W ramach kobiecego oddziału Crystal – nasz „wódz” – próbowała zachować chociaż cień więziennego protokołu. Oczywiście oznaczało to duży wpływ Pana Boga. Crystal była prawdziwą fanatyczką i słuchała lokalnego kaznodziei w porannym programie telewizyjnym, nastawionym tak głośno, jak się tylko dało. Próbowала nawrócić każdego – nie spotkałam kogoś takiego w Danbury. Każdego tygodnia przechodziła po oddziale, gdy wzywano na spotkanie grupy modlitewnej, z Biblią w ręku.

– Wybierają się panie do kościoła?

Obie Jensenówny były do tego negatywnie nastawione. Chociaż Hester/Anna była nowo nawrócona, to nie znosiła więziennych ceremonii religijnych równie mocno, jak ja.

– Nie, dzięki, Crystal.

Nie poddawała się jednak łatwo. Doszłam do wniosku, że muszę zło złem zwyciężyć. Przy następnych zajęciach na siłowni odnalazłam Crystal.

– Idziesz do siłowni, Crystal?

Spojrzała na mnie, jakbym kompletnie postradała zmysły.

– Co? Siłownia? Nie zaciągniesz mnie do siłowni, Piper. Padłabym tam!

Następnej niedzieli wróciła, optymistyczna jak zawsze.

– Piper, idziesz do kościoła? Będzie fajnie tym razem!

– Wiesz co, Crystal? Ty idź do kościoła i się za mnie pomódl. A w tygodniu, kiedy pójdę do siłowni, to ja poćwiczę za ciebie. Umowa stoi?

Uznała, że to najzabawniejsza rzecz, jaką słyszała od miesiący. Śmiała się aż do wyjścia. Od tego momentu, gdy przychodził czas na nasze ulubione zajęcia, krzyczałyśmy do siebie:

– Piper! Poćwicz za mnie!

– Crystal! Pomódl się za mnie!

Dorwałam administratora jednostki w czasie jego cotygodniowej wizyty w oddziale kobiecym. Próbowałam być spokojna, gdy tłumaczyłam mu, że zbliżał się 4 marca, data mojego wyjścia na wolność, i że muszę wiedzieć, co się teraz stanie. Czy odwiozą mnie z powrotem do Danbury? Czy wypuszczą mnie stąd, z Chicago?

Nie miał pojęcia. Nic o tym nie wiedział. Nie obchodziło go to.

Chciałam rozwalić wszystko w biurze.

Nora i Hester/Anna patrzyły na mnie z troską, gdy wyszłam po rozmowie. Nikomu, a w szczególności im, nawet nie pisałam słówka o tym, że miałam wyjść już za tydzień. Obie miały jeszcze lata przed sobą, a co więcej, nie chciałam, żeby inne więźniarki wywinęły mi jakiś numer – typowa więzienna paranoja. Na tyle, na ile one wiedziały, to wściekałam się o Con Air – bardzo nie-zen dla mnie.

– Zróbmy obiad – powiedziała Hester/Anna. Poszłam po nasze jajka na twardo ze śniadania, które leżały w lodzie od rana. Anna ostrożnie przecięła każde na pół, a Nora wymieszała żółtka z majonezem i musztardą oraz solidną porcją ostrego sosu z więziennego sklepiku.

Posmakowałam.

– Czegoś brakuje.

– Wiem – powiedziała Nora i wyciągnęła opakowanie sosu do hot-dogów.

– Jesteś pewna? – zmarszczyłam brwi.

– Zaufaj mi – powiedziała.

Znów posmakowałam. Nadzienie było idealne. Ostrożnie wypełniłam puste białka.

Nora dodała jeszcze trochę ostrego sosu.

– Nie za dużo! – zawołała Hester/Anna.

Nadziewane jajka – miałyśmy niezłą ucztę. Inne kobiety podziwiały nasz obiad, żałując, że same nie zachowały jajek ze śniadania. Nasza tłuśniczka jakoś znalazła sobie miejsce wśród tych kilku normalnych kobiet w Chicago, ale, na Boga, było to trudne.

Pożegnałam się z siostrami, kiedy odleciał następny lot kilka dni później – z nimi na pokładzie. Były zdziwione, dlaczego nie zostałam wezwana razem z nimi, by przejść swoje w kajdanach, po pasie startowym. Pożegnały się ze mną, a w ich oczach było widać smutek i współczucie. Było mi bardzo smutno, ledwo mogłam na nie patrzeć – częściowo dlatego, że chciałam być z nimi w tym samolocie i uciec z Chicago, a częściowo dlatego, że wiedziałam, że nigdy nie zobaczymy się na wolności. Czulałam, jak wiele spraw nie zostało dopowiedzianych...

Kiedy odjechały, weszłam pod koc na moim materacu i płakałam przez wiele godzin. Nie wiedziałam, jak sobie teraz poradzic. Chociaż od wyjścia na wolność dzieliły mnie już tylko dni, nie wiedziałam, co się teraz stanie. Nie miało to żadnego sensu, ale miałam wrażenie, że więzienie nigdy mnie nie wypuści.

Jako dziecko, nastolatka i w czasach młodości wytworzyłam w sobie silną wiarę w wartość samotności – nie taki znów nowy koncept, że *de facto* jesteśmy na świecie sami. Po części opierało się to na poleganiu tylko na sobie, a po części na ochronie samej siebie. Ten koncept rysował mi czarno-białą perspektywę – zwycięzca lub ofiara, pełna odpowiedzialność albo jej zupełny brak – albo wszystko, albo nic. Doprowadzona do ekstremum, owa idea pozwalała uwierzyć, że nasze działania nie mają tak naprawdę znaczenia; przemierzamy świat w naszych własnych bańkach, czasami docierając do drugiego człowieka, ale przez większość czasu pozostając zupełnie sami.

Wydawać by się mogło, że byłam wówczas idealnie przygotowana na pobyt za kratami. Jak głosi więzienne powiedzenie: „przychodzisz sama, wychodzisz sama”, a podstawową zasadą jest zajmowanie się sobą i swoimi sprawami. Jednak w więzieniu nauczyłam się czegoś zupełnie przeciwnego – tak się nie da przetrwać odsiadki. Odkryłam, że nie jestem sama. Jakkolwiek byli dla mnie ważni ludzie na zewnątrz, którzy do mnie pisali i odwiedzali mnie każdego tygodnia, pokonywali ogromne odległości, by do mnie przyjechać i powiedzieć mi, że o mnie pamiętają, że nie jestem sama, to oni sami nie wystarczyliby, bym przetrwała bez innej pomocy.

Co najważniejsze, zrozumiałam, że nie jestem sama na świecie, ponieważ kobiety, z którymi żyłam przez ponad rok, pokazały mi, jak wiele mamy wspólnego. Razem radziłyśmy sobie z przeludnionymi dormitoriami i brakiem prywatności. Wszystkie miałyśmy osiem cyfr zamiast imion, więzienne uniformy, beznadziejne jedzenie i fatalne środki czystości. Ale – co najważniejsze – miałyśmy wielkie pokłady dobrego humoru, kreatywności w obliczu licznych przeciwności losu i wolę, by chronić i podtrzymywać własne poczucie człowieczeństwa, pomimo prób zniszczenia go przez system więzienny. Nie sądzę, aby którakolwiek z nas dała sobie radę sama; wiem, że ja bym nie dała – wszystkie potrzebowaliśmy się nawzajem.

Małe przyjemności przeżywane razem i małe akty dobroci były bardzo ważne – niezależnie, czy były dawane, czy otrzymywane, niezależnie, od kogo pochodziły. Dzięki nim zrozumiałam, że nie jestem sama na tym świecie. Dzieliłam swoją codzienność z ludźmi, którzy na pierwszy rzut oka nie mieli ze mną nic wspólnego. Mogłam nawiązać kontakt – od teraz może z każdym.

Tutaj, w moim trzecim więzieniu, znalazłam potwierdzenie przedziwnej prawdy, która obowiązywała w każdym z nich: nikt tym nie zarządzał. Oczywiście, gdzieś w tych budynkach był ktoś, kogo nazywano naczelnikiem i kto formalnie prowadził to całe miejsce. Pod nim znajdował się cały łańcuch pokarmowy kapitanów i poruczników. Jednak z praktycznego punktu widzenia,

dla więźniów, ludzi, którzy żyli tutaj na co dzień, nikt nie sterował okrętem, a żagle łopotały na wietrze. Więzienia trwały przy minimalnej obecności personelu, który był, ale niezainteresowany wykonywaniem swojej roboty. Nigdy nie było tu kogoś, kto podejmowałby jakiś dialog z ludźmi, którzy wypełniali te więzienia. Absolutnie brakowało przywództwa. Nikt, kto pracował w systemie „poprawczym”, nie zastanawiał się, dlaczego się tu znalazłyśmy – nie bardziej niż magazynier w sklepie zastanawiałby się nad znaczeniem puszki pomidorów lub próbował pomóc tym pomidorom zrozumieć, co, u diabła, robią na półce.

Wielkie instytucje mają przywódców, którzy są dumni z tego, co robią i nawiązują kontakt z każdym, kto współtworzy te instytucje i rozumie swoją rolę. Jednak ci, którzy nas więzili, byli niemal w całości anonimowi, jak kaci z kreskówek, którzy mają na głowach kaptury ukrywające ich tożsamość. Po co zamykać ludzi na lata, kiedy ma to takie małe znaczenie, nawet dla tych, którzy mają w ręku klucz? Jak więzień może zrozumieć sens swojej kary, jeśli jest traktowany tak obojętnie i protekcjonalnie?

Rozłożyłam się w twardym, plastikowym krześle, oglądając BET. Leciał właśnie teledysk do singla Jay-Z *99 problems*. Ponure, ciemne, czarno-białe widoki Brooklynu i zaludniających go ludzi w kapturach sprawiły, że zatęskniłam za miejscem, w którym nawet nigdy nie mieszkałam.

Mój ostatni tydzień w więzieniu był najtrudniejszy. Jeśli wróciłabym do Danbury, zostałabym powitana z pompą, a następnie szybko i we łzach odesłana na wolność. W Chicago czułam się okropnie samotna, oddzielona od ludzi i radosnych rytuałów związanych z powrotem do domu, które znałam z Danbury i w których miałam nadzieję kiedyś wziąć udział jako główna bohaterka. Chciałam uczcić swoją własną siłę i wytrwałość – mój rok, który przetrwałam w więzieniu – wśród ludzi, którzy mnie rozumieli. Zamiast tego czułam zdradziecki gniew, który ogarnia cię, gdy nie masz najmniejszej kontroli nad swoim życiem. Wię-

zienie federalne nadal nie potwierdziło, że zostanę zwolniona 4 marca.

Nawet biuro więzień nie może zatrzymać zegara i kiedy nadszedł ten dzień, byłam wcześniej na nogach, po prysznicu, gotowa. Wiedziałam, że Larry był w Chicago, że przyjechał po mnie. Nikt w więzieniu nie potwierdził, że wychodzę; nie dano mi żadnych papierów do wypełnienia. Miałam wielkie nadzieje i jednocześnie byłam bardzo sceptyczna co do tego, co miało się dziś wydarzyć.

Moje współwięźniarki oglądały poranne wiadomości z relacją ze zwolnienia Marthy Stewart z więzienia w Anderson i wkrótce wszystko wróciło do normy – teledyski BET walczące z *Lifetime* na drugim telewizorze. Siedziałam na jednej z twardych ławek, śledząc każdy ruch strażnika. Wreszcie o jedenastej zadzwonił telefon. Strażnik podniósł słuchawkę, posłuchał chwilę, odłożył i warknął:

– Kerman! Pakuj się!

Podskoczyłam, pobiegłam do mojego schowka, skąd zabrałam tylko małą kopertę z listami, zostawiając za sobą książki i przybory toaletowe. Zdawałam sobie sprawę, że kobiety, z którymi dzieliłam celę, były na początku ich podróży więziennej, a ja u jej kresu.

– Możecie wziąć wszystko z mojego schowka. Jadę do domu.

Strażniczka w biurze przyjęć wytłumaczyła mi, że nie mają kobiecych ubrań, więc dała mi najmniejszą parę męskich jeansów, jaką mieli, zieloną koszulkę polo, kurtkę i tanią parę sznurowanych butów ze sztucznej skóry, o plastikowych podeszwach. Dali mi także coś, co nazywali „uposażeniem”: kwotę 28,30 dolara. Byłam gotowa do wyjścia.

Strażnik zabrał mnie i innego więźnia, młodego Latynosa, do windy. Spojrzeliśmy na siebie, gdy zjeżdżaliśmy w dół.

Kiwnął na mnie głową.

– Ile czasu?

– Trzy miesiące. A ty?

– Dwadzieścia.

Kiedy dojechaliśmy na dół, znaleźliśmy się w wejściu dla personelu. Strażnik otworzył drzwi na ulicę i wyszliśmy. Znaleźliśmy się na pustej bocznej uliczce – małym kanionie pomiędzy fortecą a jakimś biurowcami. Nad nami widać było kawałek szarego nieba. Na Latynosa ktoś czekał w SUV-ie po drugiej stronie ulicy – pognał do samochodu jak sprinter i już go nie było.

Rozejrzałam się.

– A po ciebie ktoś przychodzi? – spytał strażnik.

– Tak! – powiedziałam niecierpliwie. – Gdzie my jesteśmy?

– Zabiorę cię do frontowego wejścia – powiedział niechętnie.

Odwróciłam się i zaczęłam iść zwawo przed nim. Dziesięć metrów dalej zobaczyłam Larry'ego, stojącego przed więzieniem, rozmawiającego przez komórkę. Odwrócił się i mnie zobaczył. A potem już tylko biegłam, biegłam najszybciej, jak potrafiłam. I nikt nie mógł mnie powstrzymać.

Posłowie

I tak wróciłam do domu, rozkuta już w samolocie. Wylądowałam późno w nocy. Larry przyprowadził mnie do nieznanego mi mieszkania w Brooklynie i o pierwszej w nocy zjadłam kawałek pizzy.

Musiałam udać się do federalnego kuratora ze śródmieścia Brooklynu – był to początek mojej dwuletniej kontroli. Nadzór kuratorski wiązał się z testami moczu, potężną ilością roboty papierkowej, a czasami także niespodziewanymi wizytami kuratora w pracy lub w domu. Potrzebowałam też zezwolenia na podróz, jeśli chciałam opuścić miasto. Kończył się właśnie okres dziewięciu lat, podczas których byłam ciągle kontrolowana lub więziona przez rząd federalny.

Tydzień później zaczęła się praca – etat w marketingu firmy technologicznej, stworzony specjalnie dla mnie przez przyjaciela. Jego rada nadzorcza, która zatwierdziła moje zatrudnienie, traktowała mnie z ciekawością. Moi współpracownicy, w większości młodzi goście, powitali mnie entuzjastycznie. Dla większości ludzi zaznaczenie krzyżykiem okienka „karana” przy wypełnianiu podania o pracę, automatycznie skreśla ich jakiegokolwiek szanse na zatrudnienie. Każdego dnia, gdy jechałam metrem do pracy lub szłam do delikatesów po coś na lunch lub chodziłam nocnymi ulicami Nowego Jorku, czułam się przytłoczona swoim szczęściem. Gdy biegałam po Prospect Park w zimnym, marcowym słońcu, do oczu nabiegały mi łzy, które następnie ściekały po moich policzkach.

Byłam zaledwie jedną z 700 tysięcy osób, które wracają do domu z amerykańskich więzień każdego roku, ale byłam świadoma moich szans „na wolności”, których nie miały te setki tysięcy kobiet i mężczyzn. Miałam bezpieczne i stabilne miejsce

do życia, rodzinę oraz sieć przyjaciół, zdolnych pomóc mi po powrocie do domu, a także ceną pracę, z ubezpieczeniem zdrowotnym. Często myślałam o planach innych kobiet w Danbury: schroniskach dla bezdomnych, sądzie rodzinnym, niepewnych perspektywach pracy. Patrzyłam, jak setki kobiet opuszczały więzienie z optymizmem i planami, by zmienić swoje życie, by pójść naprzód i wiedziałam, że wiele z nich będzie musiało sobie poradzić, mając tylko niewielką pomoc z zewnątrz.

W sercu każdego przestępstwa leży brak empatii – z pewnością było tak w moim przypadku – jednak empatia jest kluczem do przywrócenia dawnego więźnia z powrotem do społeczeństwa. To, co dzieje się teraz w naszych więzieniach, jest w całości w rękach społeczności. Opinia publiczna naciska, by wyroki były wyznacznikiem kary, ale oczekuje jednocześnie, by pomagały one w rehabilitacji. Jednakże to, czego spodziewamy się po naszych więzieniach i to, co od nich dostajemy, to dwie zupełnie różne sprawy. Nasze więzienia uczą, jak przetrwać, gdy jest się osadzonym, ale nie – jak poradzić sobie jako obywatel. Taka wiedza na niewiele się nam przydaje, gdy wracamy do naszych społeczności.

Kiedy jesteś pod federalną kuratelą, nie możesz mieć kontaktu z innymi ludźmi, którzy popełnili przestępstwa. Od lat nie jestem już we władzy kuratora i teraz mam kontakt z wieloma wspaniałymi kobietami, które spotkałam w więzieniu. Niektóre wyszły za mąż, mają nowe dzieci czy wnuki i prowadzą spokojne życie. Kolejne pracują lub chodzą do szkoły, pełne nadziei, jaką niesie przyszłość. Inne są chore i próbują jakoś sobie poradzić. Niektóre są aktywistkami, chcącymi zmienić system sprawiedliwości, a jeszcze inne zetknęły się z tym systemem ponownie i wróciły do więzienia. W głowie słyszę ich głosy i widzę ich twarze, a czasami w metrze przeszukuję wzrokiem tłum, na w pół oczekując, że zobaczę Natalie, Janet czy inną z setek kobiet, z którymi skrzyżowały się moje drogi.

Zanim trafiłam do Danbury, przyjaciółka przyjaciółki przyjaciela, która odsiedziała rok w federalnym więzieniu dla kobiet,

opowiadała mi o tym, czego mogę oczekiwać. Do dziś pamiętam jedno jej zdanie:

– Każdego dnia myślę w jakiś sposób o więzieniu.

Teraz zasiadam w radzie Więziennego Stowarzyszenia Kobiet, organizacji non profit, pomagającej kobietom, które zetknęły się z systemem sprawiedliwości od 1845 roku. I każdego dnia myślę w jakiś sposób o więzieniu. W mojej pracy rozmawiałam z grupami więźniarek i personelem więzienia, kuratorami oraz opiekunami, obrońcami z urzędu, wolontariuszami i adwokatami reformy systemu sprawiedliwości. Niezależnie od tego, czy uważają się za reformatorów, czy przedstawiciele systemu, wszyscy są zdania, że musimy bardziej postarać się zmieniać życie osadzonych i zreformować system.

Stany Zjednoczone mają największą na świecie populację więzienną – w naszych więzieniach przebywa 25 procent światowej populacji więźniów, chociaż stanowimy tylko 5 procent populacji świata. Dopiero od niedawna tak mocno i wymiennie opieramy się na systemie więziennym: w 1980 roku w więzieniu siedziało 500 tysięcy Amerykanów; dziś za kratami znajduje się ponad 2,3 miliona ludzi. Wzrost ten spowodowały w dużej części kobiety, takie jak te, z którymi odsiadywałam wyrok – skazane za niegroźne przestępstwa. Te, które popełniły wielki błąd, ale nie stanowią zagrożenia. Większość kobiet, które poznałam w więzieniu, nie zaznała w życiu rzeczy, które wiele z nas uważa za oczywiste. Wydaje się czasami, że zbudowaliśmy bezpośrednie połączenie między najbiedniejszymi dzielnicami a zakładami karnymi i stworzyliśmy perwersyjny system, pełen finansowych ułatwień dla utrzymywania pełnych stanów w więzieniach, kosztem podatników. Ameryka zainwestowała w więzienia, a publiczne instytucje, które zapobiegają przestępstwom i wzmacniają społeczność – szkoły, szpitale, biblioteki, muzea, domy kultury – muszą sobie radzić bez pieniędzy.

Za murami więzień zdarzają się niesamowite historie, ponieważ ludzie są tak bardzo odporni. Możemy przetrwać niemal wszystko: to jedna z przyczyn, dla których surowa kara nie przy-

nosi rezultatów. Aby więzienia naprawdę służyły społeczeństwu, ludzie, którzy je prowadzą, muszą próbować dorównać słowom Thomasa Motta Osborne'a, sławnego strażnika z więzienia Sing Sing w Nowym Jorku z początku dwudziestego wieku, który powiedział: „Zamienimy to więzienie ze złomowiska w warsztat naprawczy”.

Podziękowania

Przede wszystkim chciałabym podziękować mojemu mężowi, Larry'emu Smithowi, którego zapamiętała i uparta miłość do mnie podtrzymywała mnie, i bez którego nie napisałabym tej książki. Chciałabym także podziękować kobietom z więzienia w Danbury oraz z innych więzień, do których trafiłam, ponieważ zmieniły moje życie.

Jestem głęboko wdzięczna za miłość i wsparcie mojej matce, ojcu i bratu, a także całej mojej rodzinie, także Carol i Lou, i całej rodzinie Smithów.

Dziękuję mojemu agentowi, Stuartowi Krichevskiemu, za jego wiarę w ten projekt, jego cierpliwość i ciężką pracę. Dziękuję także Shanie Cohen, Jennifer Puglisi, Danielle Rollins i Howardowi Sandersowi. Serdeczne podziękowania przesyłam mojej niezwyklej redaktorce, Julie Grau, która zawsze wiedziała, jaką książkę chciałam napisać i stawiała mi wyzwania, żebym uczyniła ją lepszą. Dziękuję także Cindy Spiegel, Larze Van der Veer, Hanie Landes, Steve'owi Messinie, Donnie Sinisgalli, Christopherowi Sergio, Rachel Bernstein, Londonowi Kingowi, Anne Tate, Avidelowi Bashirradowi i wspaniałemu zespołowi Spiegel&Grau oraz Random House.

Szczególne podziękowania należą się mojej najlepszej przyjaciółce, Kristen Grimm, która zna każdy krok mojej podróży, opisaną w tej książce, i dołożyła wszelkich starań, bym mogła ją ukończyć. Moim czytelnikom: Trish Boczkowski, Davidowi Boyerowi, Robyn Crawford oraz Ellen DeLaRosie dziękuję za wyjątkową pomoc i radę.

Jestem wdzięczna wszystkim, którzy pisali do mnie listy, wysyłali mi książki i pomagali mi na wiele innych sposobów, gdy byłam w więzieniu – niezwykła dobroć przyjaciół oraz obcych mi

zupełnie ludzi uczy pokory. Szczególnie chciałabym podziękować Earl Adams, Zoe Allen, Kate Barrett, Michaelowi Callahanowi, Jeffowi Cranmerowi, Cheryl Della Pietrze, Gabrielli DiFilippo, Dave'owi Eggersowi, Arin Fishkin, Victorowi Friedmanowi, Johnowi Garrisonowi, Noah Hatton, Liz Heckles, Steve'owi Huggardowi, Joemu Loya, Kirkowi i Susan Meyer, Leonidowi Olikerowi, Julie Oppenheimer, Edowi Powersowi, Brie Reeder, Tedowi Rheingoldowi, Kris Rosi oraz rodzinie Rosi, Jonowi Schulbergowi, Shannon Snead, Tarze Stiles, Tyowi Wengelowi, Penelope Whitney, Kelly Wylie, i Samowi Zalutskiemu.

Wielkie podziękowania dla mojego adwokata, Patricka J. Cottera oraz moich prawniczych orłów: Dave'a Corbetta, Wallace'a Doolittle'a i Erica Heckera.

Tim Barkow, twórca www.thepipebomb.com, jest wspaniałym przyjacielem i niezwykłym geniuszem w dziedzinie technologii, podobnie jak i Teresa Tauchi, twórczyni www.piperkerman.com. Podziękowania należą się także mojemu przyjacielowi i zarazem entuzjastycznemu fotografowi, Johnowi Carterowi, a także Lisie Timothy za jej pomysły na pytania do dyskusji.

Powrót do pracy po pobycie w więzieniu to przerażająca propozycja. Dziękuję za szczodrość i wspaniałe powitanie Danowi Hoffmanowi oraz całej ekipie M5. Dziękuję także moim entuzjastycznym kolegom o wielkim sercu ze Spitfire Strategies.

Bez wspaniałej gościnności Jean Brennan i Zacha Rofersa, Paula oraz Eriki Tullis a także Liz Gewirtzman ta książka zapewne by nie powstała. Dziękuję także całej ekipie Above and Beyonce za ciągłe wsparcie i wspaniałe rozłożone w czasie odwracanie uwagi.

Wszystkim tym ludziom – ogromne „dziękil”.

Wywiad

Piper Kerman

autorka książki

„Dziewczyny z Danbury. Orange Is the New Black”

Magazyn „SMITH”

6 kwietnia 2010

rozmawiała Whitney Joiner

„Wspomnienia często składają się z trudnych momentów życia człowieka. W moim wypadku historia zaczyna się od najgłępszej, najbardziej niemoralnej rzeczy, jaką kiedykolwiek zrobiłam; i właśnie za to, co zrobiłam, musiałam ponieść straszne konsekwencje”.

W 1993 roku Piper Kerman, świeżo upieczona absolwentka Smith College, podjęła nierozważną decyzję, która miała zmienić jej życie. Postanowiła potowarzyszyć swojej ówczesnej dziewczynie, „niezwykle *cool*” starszej kobiecie o imieniu Nora, która podczas kilku dłuższych wypraw dokopała się do niekończącego się strumienia pieniędzy, zarabiając na przemyśle narkotyków. Kiedy Nora spotykała się ze swoimi „kontaktami” w Europie oraz Azji, Kerman włóczyła się po ulicach i plażowała. Jednak po tym, gdy sama przewiozła walizkę pełną pieniędzy przez Atlantyk, zrozumiała, że wpadła po uszy i uciekła do San Francisco, żeby jakoś pozbiierać swoje życie.

Pięć lat później żyła już szczęśliwie w Nowym Jorku ze swoim ówczesnym chłopakiem (a teraz mężem, twórcą magazynu „SMITH”, Larrym Smithem). Okres jej działalności kryminal-

nej był krótki, pozbawiony przemocy. Pozostawiła go za sobą – lub też tak chciała myśleć. W maju 1998 roku dwóch agentów celnych pojawiło się u jej drzwi. Po kilku latach prawnych przepychanek została skazana na piętnaście miesięcy w więzieniu federalnym; trzynaście miesięcy przy dobrym sprawowaniu. Po odsiadce w trzech zakładach – a także wycieczce Con Air – została wypuszczona na wolność w marcu 2005 roku.

„Dziewczyny z Danbury” to przejmujący i porywający zapis tych miesięcy. Niesamowite jest podążanie za Kerman, gdy ta stara się manewrować w gąszczu niekończących się zasad, wrednych strażników, nudnej roboty za marne grosze (by kupić mydło lub używane radio w więziennym sklepiku) i w oczekiwaniu na rozdanie poczty – najważniejszy moment, wyznaczający rytm życia w więzieniu w Danbury, w Connecticut. Jednak to dzięki opisowi życia współwięźniarek – przyjęć niespodzianek urządzanych na urodziny, z ręcznie robionymi kartkami i sernikiem z mikrofalówki, sposobami, w jaki przynosiły sobie nawzajem nadzieję i humor oraz jak tworzyły tymczasowe rodziny – książka Kerman różni się od innych wspomnień z więzienia. Jest historią niezwykle siły i świadectwem wytrzymałości autorki, ale także kobiet, które spotkała w więzieniu.

Rozmawiałam z Kerman przez telefon, gdy znajdowała się w swoim domu w Brooklynie. Debatowałyśmy o jej decyzji, o skupieniu się na czasie spędzonym za kratkami, emocjonalnych problemach leżących u podstaw każdego przestępstwa i o tym, dlaczego ponad 7 milionów Amerykanów może odnaleźć siebie w jej książce.

Whitney Joiner: Kiedy pierwszy raz zaczęłaś pisać o swoich doświadczeniach z więzienia?

Piper Kerman: Nigdy nie prowadziłam dziennika, ale podczas pobytu w więzieniu od czasu do czasu coś notowałam. I pisałam setki listów. Potem, wkrótce po powrocie do domu, usiadłam i zaczęłam zapisywać krótkie historie, które znalazły się teraz

w książce – jak wyglądał pierwszy dzień albo trochę o mojej sąsiadce, Vanessie, która kiedyś była mężczyzną, a teraz została kobietą. Wszystkie te rzeczy znalazły się w końcu w „Dziewczynach z Danbury”.

WJ: Jak przeszłaś od pisania fragmentów do decyzji o próbie stworzenia składowej całości – książki?

PK: Nawet zanim zaczęłam pisać, gdy tylko wróciłam do domu, ludzie chcieli usłyszeć o moich doświadczeniach. Z detalami. Dało się wyczuć w ich prośbach zainteresowanie ukrytym światem – i to zachęcało mnie do pracy. Myślę, że ludzie są zafascynowani więzieniem. Sam fakt przekroczenia obowiązujących norm i kary jest fascynujący, niezależnie od tego, czy chodzi o kobiety, czy o mężczyzn.

Moje własne doświadczenie było, w wielu aspektach, dramatycznie różne od popularnego wyobrażenia i ogólnie przyjętych sądów o więzieniu: kto tam trafia, dlaczego tam trafia i jak wygląda życie właśnie tam. Kiedy wróciłam do domu, pytali mnie: „Czy bili cię każdego dnia?”. Ludzie spodziewają się przemocy. Oczywiście, w więzieniach jest wiele przemocy, ale nie była ona główną częścią mojego doświadczenia. Czułam, że trzeba nakreślić tym ludziom znacznie bardziej skomplikowany i kompletny obraz więzienia: właśnie tego, kto tam trafia, dlaczego tam trafia i jak wygląda tam życie.

WJ: Twoje doświadczenie było zupełnie inne niż popularne wyobrażenia o więzieniu dlatego, że znajdowałaś się w zakładzie o obniżonym rygorze? Czy może dlatego, że byłaś białą kobietą z klasy średniej, o znacznie bardziej uprzywilejowanym pochodzeniu niż większość kobiet, z którymi siedziałaś?

PK: Ani jedno, ani drugie. To wszystko, oczywiście, prawda, ale sądzę, że popularne wyobrażenie więzienia, jak w *Oz* czy *Cops* jest bardzo ograniczone – i ma na celu uzasadnić siłę systemu

więziennego i jego wykraczający poza normę rozrost. Jeśli każdy w więzieniu byłby niekontrolowany i używałby przemocy, to w pełni uzasadnione jest posiadanie potężnego i niezwykle kosztownego systemu więziennictwa. No wiesz, publiczne bezpieczeństwo ponad wszystko.

Jednak w rzeczywistości nie każdy w więzieniu jest osobą brutalną. Jeśli widzisz, że życie takich osób ma znaczenie i wartość, to nagle zaczynasz zadawać pytanie: czy rząd postępuje słusznie? To ważne, by ludzie, którzy byli więźniami, mieli głos i by mogli opowiedzieć w najbardziej autentyczny sposób, jak wyglądało ich życie. Jeśli tak nie będzie, to ktoś inny będzie opowiadał naszą historię.

WJ: W Danbury nie miałaś regularnego dziennika. W jaki inny sposób rekonstruowałaś swój pobyt?

PK: Napisałam i dostałam bardzo wiele listów. Wielu moich przyjaciół zachowało je i wysłało mi kopie. W moim biurze mam wielkie segregatory. Jeden pełen jest podstawowych dokumentów: listów, które napisałam, formularzy z więzienia, rzeczy, które dostałam od innych więźniarek, takich jak liściki czy kartki urodzinowe. W drugim segregatorze ułożyłam listy, które dostałam, a które pomogły mi zrozumieć mój związek z zewnętrznym światem.

Pierwszy szkic, który napisałam, był dosłownie ułożony miesiącami – na każdy rozdział przypadał jeden miesiąc. Było to bardzo pomocne i pouczające, jeśli chodzi o ułożenie sobie własnych doświadczeń... Ale myślę, że strasznie trudno się to czytało. Moja redaktorka w jednej z pierwszych notatek na temat mojego manuskryptu napisała coś w stylu: „Tutaj chyba próbujesz uchwycić niewyobrażalną nudę...”. Ta metoda została zarzucona po pierwszym szkicu.

WJ: Pracowałaś wcześniej w mediach i komunikacji, ale nie pisałaś wcześniej tekstów, które miały zostać opublikowane. Martwiłaś się?

PK: Kiedy skończyłam pierwszą wersję, pomyślałam: „Och, napisałam książkę! Nie wiem, czy jest dobra, ale to książka!”. A potem nastąpiła seria nowych wersji, aby uczynić z niej coś lepszego. Jednak czasami, szczególnie w wirze pracy, myślałam: „Jak ja sobie z tym poradzę?”. Na szczęście miałam wielkie wsparcie i wspaniałą redaktorkę.

Trzeba usiąść do pracy i dać z siebie wszystko. Nie można dać się przygnieść zwątpieniu. Julie Grau, redaktorka, z którą miałam szczęście pracować, od początku stawiała mi wysokie wymagania i mówiła: „Twoja zdolność uchwycenia detali i namalowania barwnego obrazu jest bardzo silna, jednak musisz popracować nad połączeniem tego, co opisujesz, ze swoimi własnymi przeżyciami oraz emocjami i zobaczyć siebie nie jako obserwatorkę, lecz jako uczestniczkę”. To było właśnie największe wyzwanie i nad tym musiałam najbardziej pracować.

WJ: Jakie były, według ciebie, plusy i minusy tego projektu, zanim się na niego zdecydowałaś?

PK: Największym minusem była chyba utrata prywatności, a jestem osobą, która ceni ją bardzo wysoko. Rozmawiałam dość poważnie z moją rodziną, by upewnić się, że mam ich poparcie – wystawiałam się – mimo wszystko – na widok publiczny. Wspomnienia często składają się z trudnych momentów życia człowieka. W moim wypadku historia zaczyna się od najgłupszej, najbardziej niemoralnej rzeczy, jaką kiedykolwiek zrobiłam; rzeczy, która miała straszne konsekwencje. Pisanie o tym doświadczeniu wiąże się z wystawieniem na widok publiczny, ale tak już jest, gdy ktoś decyduje się zrobić to w niefikcyjnej formie.

WJ: Niewiele miejsca poświęciłaś temu, co wydarzyło się przed twoim skazaniem, decyzjom, przez które trafiłaś do więzienia. Jak pracowałaś z tym materiałem? Jak tłumaczyłaś twój okres kryminalnej działalności czytelnikom?

PK: Każdy człowiek popełnia błędy i robi rzeczy, z których nie jest dumny. Mogą być to rzeczy codzienne, a może to być coś, co kończy się katastrofą. Niewygodną prawdą o człowieku jest to, że mamy chwile, gdy jesteśmy nieczuli na cierpienie innych. Dla mnie to podstawowy powód, dla którego popełniane są przestępstwa: obojętność na cierpienie innych. Jeśli kradniesz coś komuś, jeśli przyprawiasz kogoś o ból, jeśli sprzedajesz mu produkt, o którym wiesz, że mu zaszkodzi – we wszystkich tych przypadkach jakoś przekonujesz sam siebie, że nie ma to dla ciebie znaczenia. Wszyscy robimy rzeczy, z których nie jesteśmy dumni, nawet jeśli nie mają one aż tak strasznych konsekwencji. I dlatego uznałam, że bardzo ważne jest, szczególnie w tych początkowych rozdziałach, by zarówno pomóc czytelnikowi zrozumieć, jak podejmuje się złe decyzje, lecz także to, jak wziąć za nie odpowiedzialność. Mam nadzieję, że z książki jasno wynika, że sama biorę odpowiedzialność za swoje czyny.

WJ: To oczywiste, że spędzanie czasu w federalnym więzieniu to okropne doświadczenie – w książce jest to szczególnie widoczne, gdy opisujesz stosunki między strażnikami a więźniarkami. Jednak byłam zdziwiona, jak wiele rzeczy czyniło ten czas znośnym: przyjaźnie z innymi osadzonymi, codzienne i cotygodniowe rytuały, które pomagały ci przetrwać...

PK: Więzienie to okropne miejsce. Po pierwsze (muszę to podkreślić), miałam bardzo krótki wyrok, w porównaniu z wieloma kobietami, z którymi siedziałam. Rzuciłam się w to wszystko – po sześciu latach czekania – myśląc „jeden rok to jeden rok, możesz przetrwać wszystko przez jeden rok”. Przez bramy więzienia przeszłam, myśląc właśnie w ten sposób.

Jednak odsiadywałam swój wyrok, myśląc o pozytywnych rzeczach, które mogłam znaleźć: czy to we mnie, czy w innych ludziach. I to znalazło swój wyraz w książce. Nie skupiałam się na ludziach, których nie lubiłam. Nie skupiałam się na samoumartwieniu. Kiedy zaczynasz rozmawiać z ludźmi, którzy ma-

ją wyroki znacznie dłuższe od ciebie i wydaje się, że jedynym tego powodem jest ich kolor skóry oraz to, że pochodzą z biednej dzielnicy lub rodziny, cholernie trudno uznać się nad sobą.

Trochę mnie denerwuje, gdy ktoś mówi: „Ach, to nie brzmi aż tak strasznie”. To jest straszne. Więzienie to okropne miejsce. Jeśli musisz iść do więzienia na rok, to jesteś niezwykle wdzięczna, gdy z niego wyjdiesz. Miałam łatwą drogę w porównaniu z większością ludzi, którzy wracali do domów z więzienia. Jednak dzięki skupieniu się na rzeczach pozytywnych, w książce można odkryć wartość ludzkości i ciepło w otoczeniu, o którym stale mówi się, że ludzie są tam okropni i bez szans na poprawę. To nie jest prawda.

WJ: Czytelnik z pewnością ma poczucie okropnego marnotrawstwa w ramach systemu – Stany Zjednoczone wydają ogromne sumy pieniędzy, by więzić przestępców, którzy nie dopuścili się przemocy, często na podstawie pomniejszych zarzutów związanych z narkotykami. Daje się też zauważyć marnotrawstwo w kwestii więzienia – brak systemu resocjalizacji. Jednak nie protestujesz głośno przeciwko wojnie z narkotykami lub systemowi więziennictwa – wpłatasz za to ten protest w swoją narrację.

PK: Czytelnik będzie mógł sam wyciągnąć wnioski. Teraz, z ekonomią w stanie chaosu, to jest z 60 miliardami dolarów rocznie z pieniędzy podatników. Nie możemy sobie na to pozwolić, także z powodów społecznych: niszczy to ludzi, którzy już i tak są narażeni. Co więcej, nie uważam, by było to moralne, ponieważ jest swego rodzaju składowaniem jednostek. Myślę, że panuje przekonanie, że samo osadzenie w więzieniu stworzy zachętę dla danej osoby, by zmieniała swoje życie, a także środki do tego celu. Niestety, to tak nie działa.

WJ: Kobiety, z którymi siedziałas, stanowią ważną część książki. Czy miałaś z nimi jakiś kontakt w trakcie pisania?

PK: Miałam kontakt z kilkoma osobami i wszystkie były zaintrygowane. Nie wiem, czy każdy, kto przeczyta moją książkę i był ze mną w Danbury, będzie podekscytowany czy nie, ale mam nadzieję, że jednak tak.

Rzadko kiedy więźniarki mają szansę opowiedzieć swoją historię. Niemal wszystkie osobiste wspomnienia napisane są przez mężczyzn, dotyczy to zwłaszcza wspomnień w formie książkowej. Na rynku można znaleźć antologie kobiecych tekstów z więzienia, ale tak naprawdę nie ma tego za wiele. Mam nadzieję, że więcej kobiet będzie miało okazję opowiedzieć swoją historię, ponieważ moja jest szczególna i specyficzna. Mamy w USA potężny system więzienny – niemal 2,5 miliona Amerykanów siedzi w więzieniach federalnych, stanowych, okręgowych czy miejskich. 7 milionów Amerykanów jest albo w więzieniu, albo na zwolnieniu warunkowym, albo pod dozorem kuratorskim, a do tego dochodzą jeszcze ich rodziny.

To był jeden z powodów, dla których chciałam opowiedzieć tę historię. Myślę, że moja opowieść odnosi się jakoś do losów tych milionów Amerykanów, mimo tego, że białe kobiety z klasy średniej nie stanowią większości systemu więziennego. Jednak nadal uważam, że sens ma tylko zupełne poznanie problemu: więziennictwo jest wielkim rządowym organizmem, który ma wpływ na życie tych wszystkich Amerykanów i jeśli nie mają oni głosu, to coś jest nie tak.

WJ: Książce towarzyszy medialny szum, w tym zajawka pióra Dave’a Eggersa, który napisał: „Nie dajcie się zwieść prześmiewczemu tytułowi: to poważna i wielkoduszna książka”. Dlaczego wybrałaś taki tytuł?*

PK: Tytuł jest, oczywiście, grą słów, związaną z klasycznym pomarańczowym kombinezonem, który noszą więźniarki (nabiera

* Oryginalny tytuł książki, *Orange is the New Black*, można tłumaczyć jako „Pomarańczowy jest w modzie” (przyp.red.).

on także osobistego znaczenia z powodu listu, który opisuję w książce). Jednak odnosi się także do tego, że coraz więcej kobiet trafia do więzień w tym kraju. Większość z nich to te skazane za niezwiązane z przemocą wykroczenia narkotykowe.

WJ: Twój poprzedni krótki życiorys brzmiał: „Do gorącej wody i z powrotem”. Jak brzmiałby teraz?

PK: Myślę, że zawsze taki będzie! Ten życiorys, na mniejszą skalę, byłby pewnie prawdziwy nawet i przed pobylem w Obozie. Taka jest już kolej rzeczy: wpadasz do wrzątku, a potem jakoś znajdujesz sposób, by się z niego wydostać.

O autorce

Piper Kerman jest zastępcą szefa firmy zajmującej się komunikacją w Waszyngtonie. Pracuje z fundacjami i organizacjami non profit. Ukończyła Smith College i mieszka w Brooklynie wraz ze swoim mężem.

Spis treści

Od Autorki	9
Rozdział 1: Czy pójdziesz ze mną?	11
Rozdział 2: Nagła zmiana	26
Rozdział 3: 11187-424	45
Rozdział 4: Pomarańczowy jest teraz w modzie	68
Rozdział 5: W głąb króliczej nory	91
Rozdział 6: Wysokie napięcie	109
Rozdział 7: Godziny	129
Rozdział 8: Ażeby te zdziwy mnie nienawidziły	141
Rozdział 9: Dzień Matki	158
Rozdział 10: Szkoła gangsterów	179
Rozdział 11: Ralph Kramden i Kowboj Marlboro	196
Rozdział 12: Nagie prawdy	210
Rozdział 13: Trzydzieści pięć lat i nadal przy życiu	227
Rozdział 14: Październikowe niespodzianki	245
Rozdział 15: Przybita	261
Rozdział 16: Dobre sprawowanie	283
Rozdział 17: Terapia dieslem	300
Rozdział 18: Zawsze może być gorzej	323
Posłowie	343
Podziękowania	347
Wywiad	349
O autorce	358